

From the *New York Times* bestselling author

DIABLO®

KRÓLESTWO CIENIA # 3 THE KINGDOM OF SHADOW

RICHARD A. KPAK

RICHARD A. KNAAK

DIABLO

Królestwo Cienia

Tłumaczenie: Anna Studniarek-Więch





– GAZARA! WENDO TY UREH! MAGRI! MAGRI!

Powietrze przepęniało coś, co można by nazwać jedynie czystą, magiczną energią. Nad ocienionym królestwem zaczęły tworzyć się ciemne chmury, które Kentrilowi przypominały nie tyle Niebiosa, co raczej inną dziedzinę. Ale jeśli te słowa zadziałały raz, z pewnością zadziałają i teraz...

Wyciągając ręce w stronę ruin, Quov Tsin dalej wykrzykiwał zaklęcie - Lucin ahn! Lucin...

– W imię równowagi - wtrącił się ktoś - nakazuję ci to zakończyć, nim doprowadzisz do wielkiej katastrofy.

Tsin przerwał. Najemnicy obrócili się jak jeden mąż, a niektórzy sięgnęli po broń. Kentril powstrzymał ryk, który miał właśnie z siebie wydać i spojrzał wściekle na głupca, który odważył się im przerwać.

Szczupła postać, odziana w czerń, patrzyła na nich z arogancją charakterystyczną dla tych, którzy nie tylko uważali się za lepszych we wszystkim, ale i wiedzieli, że jest to prawda. Mężczyzna o nieładnej twarzy, młodszy od kapitana o więcej niż kilka lat, nie przeraziłby tak Kentrila, gdyby nie dwie sprawy. Po pierwsze chodziło o jego skośne, nienaturalnie szare oczy, które przyciągały uwagę każdego, kto w nie spojrzał. Zarazem jednak odrzucały, gdyż Kentril widział w nich swoją śmiertelność, a żaden najemnik nie chciałby tego ujrzeć.

Mężczyzna był nekromantą, najbardziej przerażającym z czarodziejów.



Dla Chrise Metzera i Marco Palmieriego

KRÓLESTWO CIENIA



JEDEN



Od strony rzeki zabrzmiał przerażający krzyk.

Kentril Dumon zaklął i zaczął wykrzykiwać rozkazy. Ostrzegał swoich ludzi, by unikali wody, ale w gęstych, parnych dżunglach Kedzystanu niełatwo było śledzić meandry i odgałęzienia rzek i strumieni. Poza tym niektórym najemnikom zdarzało się zapominać o rozkazach, gdy w pobliżu zauważyli chłodną wodę.

Ten głupiec, który krzyczał, najwyraźniej właśnie nauczył się, jak groźna jest nieostrożność... choć pewnie nie pożyje na tyle długo, by docenić tę lekcję.

Szczupły, opalony kapitan przebijał się przez gęste listowie, starając się kierować w stronę błagalnego krzyku. Przed sobą widział swojego zastępcę Gorsta. Olbrzymi wojownik przebijał się przez pnącza i gałęzie jakby były z mgły. Inni najemnicy, w większości pochodzący z chłodniejszych, górzystych regionów Królestw Zachodu, źle znosili upał, lecz opalony Gorst nie miał tych problemów. Rozczochrana czupryna, niemal czarna w porównaniu z jasnobrązowymi włosami Kentрила, sprawiała, że olbrzym przypominał biegnącego lwa.

Podążając śladem przyjaciela, Kentril Dumon mógł poruszać się zdecydowanie szybciej. Krzyk wciąż rozbrzmiewał, przypominając o trzech innych mężczyznach, którzy zginęli od momentu wkroczenia do potężnej, pokrywanej większością tej krainy, dżungli. Drugi z nich miał wyjątkowo paskudną śmierć, gdyż wpadł w sieć rozpiętą przez horde potężnych

pająków. Jego ciało, napompowane trucizną, było spuchnięte i zniekształcone. Kentril nakazał spalić sieć i wszystkich jej głodnych mieszkańców. Nie udało się uratować mężczyzny, ale przynajmniej w jakiś sposób pomścił jego śmierć.

Trzeciego nieszczęsnego wojownika nigdy nie znaleźli - po prostu znikł w trakcie wyczerpującej wędrówki przez okolicę, w której ziemia była tak miękka, że czepiała się butów przy każdym kroku. Ponieważ sam kapitan raz zapadł się prawie po kolana, domyślał się, co przytrafiło się zaginionemu żołnierzowi. Błoto wciągało szybko i nie pozostawiało żadnych śladów.

Gdy w myślach doszedł do śmierci pierwszego najemnika, który zginął w przerażających dżunglach Kedżystanu, ujrzał coś, co bardzo przypominało tamtą katastrofę.

Potężna sylwetka węża unosiła się wysoko nad brzegiem rzeki, a wąskie, gadzie oczy wpatrywały się w małe postacie poniżej, bezskutecznie usiłujące uwolnić z jej olbrzymiej paszczy wyrywającego się mężczyznę. Choć stwór zacisnął zęby na przerażonym najemniku, którego krzyki przywołały Kentrila i innych, nadal był w stanie syczeć. Z jego boku wystawała włócznia, ale rana musiała być płytka, bo nie wyglądało, by behemot w ogóle ją zauważył.

Ktoś wypuścił w stronę głowy stwora strzałę, najwyraźniej celując w straszliwe oczy, ale wymierzył zbyt wysoko i pocisk odbił się od łusek. Mackowata bestia - tak nazywał te potwory ich szacowny pracodawca, Quov Tsin - szarpała swą ofiarę to w jedną, to w drugą stronę, aż w końcu Kentrilowi udało się zobaczyć, kogo pochwyciła.

Hargo. Oczywiście, to musiał być Hargo. W tej podróży brodaty idiota bardzo go rozczarował, gdyż od czasu przybycia na tę stronę Bliźniaczych

Mórz unikał wykonywania większości swoich obowiązków. Mimo to nawet Hargo nie zasługiwał na taki los, niezależnie od swoich wad.

– Przygotujcie linę! - krzyknął Kentril do swoich ludzi. Istota miała bliźniacze rogi zakrzywiające się do tyłu i było to jedyne miejsce na jej węzowatym cielsku, które dawało najemnikom jakieś oparcie. - Powstrzymajcie go przed powrotem na głęboką wodę!

Gdy wojownicy wypełniali jego rozkazy, kapitan Dumon ich policzył; Szesnastu, wliczając w to nieszczęsnego Harga. To znaczyło, że są wszyscy - oprócz Quova Tsina.

Gdzie tym razem podział się ten przeklęty Vizjerei? Miał bardzo denerwujący zwyczaj wędrowania daleko przed oddziałem najemników, przez co ci przez większość czasu musieli zgadywać, czego właściwie od nich chce. Kentril czasem żałował, że przyjął jego propozycję, ale opowieści o skarbach brzmiały tak prawdziwie, tak kusząco...

Otrząsnął się z takich myśli. Hargo wciąż miał niewielką szansę na przeżycie. Mackowata bestia mogłaby bez trudu przegryźć go na pół, ale te stwory lubiły wciągnąć swoją ofiarę pod powierzchnię i pozwolić, żeby woda zrobiła swoje. Dzięki temu ich posiłek stawał się miękki i łatwiejszy do przełknięcia - tak w każdym razie powiedział ten przeklęty czarodziej.

Mężczyźni przygotowali liny. Kentril kazał im zająć miejsca. Pozostali wciąż zaczepiali olbrzymiego węża, aby zapomniał, że może zakończyć całą zabawę, po prostu się wycofując. Gdyby tylko najemnicy mogli jeszcze chwilę polegać na prostym, zwierzęcym umyśle...

Gorst przygotował linę. Nie czekał na rozkaz Kentrila, gdyż już domyślił się, czego chce od niego kapitan. Olbrzym rzucił linę z doskonałą celnością i zaczepił pętlę na prawym rogu.

– Oskal! Spróbuj rzucić linę Hargo! Benjin! Zaczep pętlę na drugim rogu! Wy dwaj... pomóżcie Gorstowi!

Przysadzisty Oskal rzucił linę słabnącej, pokrytej krwią postaci w paszczy behemota. Hargo bezskutecznie próbował ją pochwycić. Mackowata bestia znów zasyczała i chciała się wycofać, lecz trzymany przez Gorsta i dwóch innych ludzi sznur powstrzymał ją.

– Benjin! Drugi róg, niech cię diabli!

– Niech przestanie się rzucać, a zrobię to, kapitanie!

Oskal znów rzucił linę i tym razem Hargo ją pochwycił. Resztkami sił okręcił ją wokół siebie.

Cała ta sytuacja przypominała Kentrilowi jakąś makabryczną grę. Znów przeklął się za przyjęcie propozycji i Quova Tsina za jej złożenie.

Gdzie jest ten plugawy czarodziej? Czemu nie przybiegł z innymi? Czyżby nie żył?

Kapitan wątpił, by miał aż tyle szczęścia. Obecne położenie Vizjerei, jakie by ono nie było, nie miało wpływu na tragiczną sytuację tutaj. Wszystko spoczywało na i tak obciążonych barkach Kentрила.

Kilku wojowników próbowało zranić węzowego potwora. Niestety, włócznie i miecze nie były w stanie przebić grubej skóry mackowatej bestii, a dwaj pozostali przy życiu łucznicy bali się, że przez przypadek zabiją człowieka, którego mieli uratować.

Pętla zaczepiła się na lewym rogu. Kapitan Dumon próbował powstrzymać nagły przypływ nadziei. Złapanie potwora to jedno, a wyciągnięcie to zupełnie inna sprawa.

– Kto tylko może, ciągnąć liny! Ściągnąć go na brzeg! Na ziemi będzie wolniejszy i bardziej wrażliwy!

Przyłączył się do swoich ludzi, ciągnąc za linę zarzuconą przez Benjina. Mackowata bestia syczała głośno i choć musiała jakoś rozumieć niebezpieczeństwo, nie wypuszczała ofiary. Kentril zwykle podziwiał taki

upór, tkwiący we wszystkich żywych istotach - ale nie wtedy, gdy chodziło o życie jednego z jego ludzi.

– Ciągnąć! - krzyczał kapitan. Wysilek sprawił, że brązowa koszula przykleiła mu się do pleców. Skórzane buty... świetne skórzane buty, które kupił za ostatnią wypłatę... zagłębiły się w błotnistą ziemię na brzegu rzeki. Mimo iż każdy sznur ciągnęło czterech ludzi, wodny potwór niezwykle powoli zbliżał się do brzegu.

A jednak się zbliżał, a gdy w większości znalazł się na ziemi, najemnicy podwoili wysiłki. Jeszcze tylko chwila i z pewnością uda im się uwolnić towarzysza...

Ponieważ stwór znalazł się dużo bliżej, jeden z łuczników wycelował.

– Powstrzymaj... - zdołał powiedzieć Kentril, nim bełt zagłębił się w lewym oku.

Wężowaty potwór zadrżał z bólu i cofnął się. Otworzył paszczę, ale nie na tyle, by ciężko ranny Hargo zdołał wypaść, mimo iż ciągnęło za niego dwóch ludzi. Choć mackowata bestia nie miała widocznych kończyn, szarpała się tak, że zaczęła wszystkich ciągnąć w stronę ciemnej wody.

Mężczyzna za Gorstem potknął się i pociągnął za sobą jeszcze jednego, za nim polecieeli następni. Benjin wypuścił linę i niemal wpadł na kapitana.

Mackowata bestia, z jednym okiem pokrytym juchą, cofnęła się do rzeki.

– Zatrzymajcie go! Zatrzymajcie! - krzyczał Kentril. Dwa sznury przytrzymujące potwora trzymało tylko pięciu ludzi. Gorst, potężny i umięśniony, radził sobie, choć za nim stał tylko jeden najemnik, ale nawet jego niezwykła siła nie wystarczyła.

Tyłna część wielkiego gada znikła już pod wodą.

Przeegrali bitwę, kapitan dobrze o tym wiedział. Nie byli w stanie odwrócić biegu rzeczy.

Hargo, jakimś sposobem trzymający się przy życiu, też to wiedział. Choć jego twarz przypominała krwawą masę, ochrypłym głosem błagał wszystkich o pomoc.

Kentril nie pozwoli mu odejść tak, jak to stało się z pierwszym.

– Benjin! Chwytaj linę!

– Za późno, kapitanie! Nic nie...

– Powiedziałem, chwytaj!

Gdy tylko wojownik wypełnił rozkaz, Kentril podbiegł do najbliższego łucznika. Mężczyzna stał bez ruchu, z szeroko otwartymi ustami i pobladłą twarzą przyglądając się temu, co działo się z ich nieszczęsnym towarzyszem.

– Twój łuk! Daj mi go!

– Kapitanie?

– Łuk, do diabła! - Kentril wyrwał broń z ręki nic nie rozumiejącego najemnika. Kapitan Dumon ćwiczył strzelectwo długo i wytrwale, wciąż był drugim lub trzecim strzelcem w oddziale.

To, co zamierzał teraz zrobić, wymagało mistrzowskiego strzału.

Żyłasty kapitan bez wahania uniósł łuk i odnalazł cel. Hargo odpowiedział spojrzeniem na spojrzenie i przestał błagać. W oczach umierającego kapitan widział prośbę o szybki strzał. Tak też zrobił.

Strzała wbiła się głęboko w pierś Harga. Mężczyzna zwiśł w paszczy bestii.

Pozostali najemnicy byli zupełnie zaskoczeni. Gorst wypuścił linę z rąk. Inni z pewnym opóźnieniem puścili swoje, by stwór przypadkiem nie wciągnął ich do wody.

W ponurym milczeniu mężczyźni patrzyli, jak ranny potwór szybko zanurza się w rzece, ciągle sycząc z wściekłości i bólu. Ramiona Harga

przez chwilę unosiły się na powierzchni zwodniczo spokojnej wody, po czym znikły.

Kentril upuścił łuk i zaczął się cofać.

Inni wojownicy szybko zebrali swoje rzeczy i podążyli za nim, tym razem jednak trzymali się bliżej siebie niż wcześniej. Od czasu trzeciej śmierci minęło dość czasu, by stali się zbyt lekkomyślni, a teraz jeden z nich za to zapłacił. Kentril winił się za to, gdyż jako dowódca powinien stale pilnować najemników. Dotychczas tylko raz był zmuszony zabić jednego ze swoich ludzi, by skrócić jego cierpienia, ale zdarzyło się tak na polu bitwy, nie w nieprzewidywalnej dżungli. Tamten mężczyzna leżał na ziemi z raną brzucha tak wielką, że kapitan nie mógł uwierzyć, iż pozostało w nim jeszcze życie. Zapewnienie spokoju śmiertelnie rannemu żołnierzowi było proste.

To... to wydawało się barbarzyństwem.

– Kentril - powiedział cicho Gorst. Jak na kogoś tak potężnego, potrafił mówić bardzo cicho, gdy tylko zechciał. - Kentril. Hargo...

– Cicho, Gorst. - Kentril...

– Wystarczy. - Ze wszystkich najemników, którzy służyli pod jego dowództwem przez ostatnie dziesięć lat, tylko Gorst zwracał się do niego po imieniu. Kapitan Dumon nigdy mu tego nie zaproponował, prosty olbrzym po prostu zaczął tak robić. Być może dlatego właśnie zostali bliskimi przyjaciółmi, jedynymi prawdziwymi przyjaciółmi wśród tych, którzy pod dowództwem Kentrila walczyli dla pieniędzy.

Teraz pozostało tylko piętnastu ludzi. Mniej do podziału rzekomego skarbu, który zaoferował im Vizjerei, ale i mniej do obrony, gdyby coś się stało. Kentril z radością zabrałby więcej ludzi, ale nikt inny nie chciał przyjąć tej propozycji. Tylko siedemnastu twardych wojowników, którzy towarzyszyli jemu i Gorstowi, zdecydowało się podjąć tą wyczerpującą

podróż. Pieniądze, które dał mu Quov Tsin, z trudem wystarczyły dla tylu ludzi.

A skoro mowa o Tsinie - gdzie on jest?

– Przeklęty Tsin! - krzyknął w stronę dżungli poznaczoney bliznami kapitan. - O ile nie zostałeś zjedzony, chcę, żebyś się natychmiast zjawił!

Żadnej odpowiedzi.

Kentril próbował zobaczyć przez gęste listowie niewielkiego czarodzieja, ale nigdzie nie widział jego łysej głowy.

– Tsin! Pokaż się, albo każę moim ludziom wrzucić twoje cenne wyposażenie do rzeki! Wtedy będziesz mógł opowiedzieć bestiom o swoich nieustannych obliczeniach!

Od początku wędrówki czarodziej żądał przerwy za przerwą. Podczas postojów ustawiał przyrządy, rysował wzory i rzucał pomniejsze zaklęcia - wszystko ponoć po to, żeby doprowadzić ich do celu. Tsin wydawał się wiedzieć, gdzie zmierzają, ale do tej chwili nikt z pozostałych, nawet Kentril, nie mógł powiedzieć tego samego o sobie.

Z pewnej odległości zabrzmiał wysoki, nieco nosowy głos. Ani kapitan, ani Gorst nie rozróżniali słów, ale bez trudu poznali pogardliwy ton pracodawcy.

– Tędy - powiedział olbrzym, wskazując do przodu i trochę na prawo.

Świadomość, że czarodziej nie tylko przeżył, ale i całkowicie zignorował los Harga, wywołała gniew Kentrila. Jego dłoń opadła do rękojeści miecza. To, że Vizjerei wykupił ich usługi, wcale nie oznaczało, iż można wybaczyć nie udzielenie pomocy podczas rozpaczliwych prób ratowania nieszczęsnego najemnika.

Tak, Kentril musi porozmawiać z Quovem Tsinem...

– Gdzie jesteś? - zawołał.

– Tutaj, oczywiście! - warknął Tsin gdzieś z za gęstego listowia. - Pospieszcie się! Zmarnowaliśmy tak wiele cennego czasu!

Zmarnowaliśmy go? Kapitan Dumon był coraz bardziej wściekły. *Zmarnowaliśmy go?* Jako najemnik i poszukiwacz skarbów, Kentril wiedział, że ten zawód oznacza możliwość śmierci każdego dnia, niemniej jednak szczyił się, że zna wartość życia. To zawsze ci ze złotem, ci, którzy kusili bogactwem, najmniej doceniali koszty, jakie ponosił kapitan najemników i jego ludzie.

Kentril powoli wyciągnął miecz z pochwy. Z każdym mijającym dniem był oraz bardziej przekonany, że ich wędrówka to pogoń za cieniem. Miał dość. Czas zerwać umowę.

– Niedobrze - zamruczał Gorst. - Powinieneś to odłożyć, Kentril.

– Pilnuj swojego miejsca. - Nikt, nawet Gorst, go nie powstrzyma.

–Kentril...

W tej właśnie chwili obiekt gniewu szczupłego kapitana przebił się przez listowie. Dla Kentrila, który miał około sześciu stóp wzrostu, Gorst wydawał się ogromny. Kapitan górował jednak nad Vizjerei tak samo jak olbrzym nad nim.

Wedle legend czarodzieje byli więcej niż ludźmi - wysokie, zakapturzone postacie odziane w pokryte runami, czerwono-pomarańczowe płaszcze zwane turinnash - duchowymi płaszczami. Niewielkie, srebrne runy pokrywające większość obszernej szaty ponoć chroniły czarodziejów przed pomniejszych groźbami magicznymi, a w pewnym stopniu nawet mocami demonów. Vizjerei dumnie obnosili turinnash, jakby była to oznaka pełnionego urzędu, znak wyższości. Choć jednak Quov Tsin również miał taki płaszcz, przy wzroście niewiele ponad pięć stóp strój ten niezbyt podkreślał jego wygląd. Drobna, pomarszczona postać z długą siwą brodą

przypominała Kentrilowi jego starego dziadka - choć ten ostatni był przynajmniej sympatyczny.

Skośne, srebrzystoszare oczy Tsina spoglądały znad orlego nosa z wyraźną pogardą. Niewielki mag nie był zbyt cierpliwy i najwyraźniej nie zauważył, że jego życie wisi na włosku. Oczywiście, jako Vizjerei znał zaklęcia obronne, a trzymana przez niego laska zawierała wiele ochronnych czarów, przygotowanych na różne okazje.

Jeden szybki cios, pomyślał Kentril. Jeden szybki cios i mogę skończyć z tą bluźnierczą ropuchą...

– Najwyższy czas! - warknął pracodawca najemnika. Machnął końcem laski w stronę twarzy kapitana. - Co zajęło wam tak długo? Wiecie, że kończy mi się czas!

Bardziej nawet niż myślisz, ty bełkoczący stary pryku...

– Gdy wy sobie spacerowaliście, mistrzu Tsinie, ja próbowałem uratować swojego człowieka przed jednym z tych węży wodnych. Przydałaby nam się wasza pomoc.

– Tak, tak, koniec gadania! - odrzekł Quov Tsin, powracając wzrokiem do dżungli za plecami. Najpewniej nawet nie usłyszał tego, co powiedział Kentril. - Chodźcie! Chodźcie szybko! Musicie to zobaczyć!

Gdy Vizjerei się odwrócił, kapitan Dumon podniósł dłoń i przygotował miecz.

Gorst położył dłoń na ramieniu przyjaciela.

– Zobaczmy to, Kentril.

Olbrzym niby przypadkowo stanął przed kapitanem i w ten sposób znalazł się między Kentrilem i plecami Tsina. Mag i wojownik ruszyli do przodu, a Kentril niechętnie podążył za nimi.

Mógł zaczekać jeszcze kilka chwil.

Najpierw Quov Tsin, a potem Gorst zniknęli wśród roślinności. Kentril szybko odkrył, że musi się przebijać, ale znajdował pewną przyjemność w wyobrażaniu sobie, że każda odcięta gałąź czy pnącze to szyja czarodzieja.

Potem, bez ostrzeżenia, dżungla skończyła się. Poranne słońce oświetliło leżącą przed nimi ziemię, a takiego widoku nie oglądał przez ostatnie dwa tygodnie. Kentril odkrył, że wpatruje się w rząd wysokich, poszarpanych szczytów, stanowiących początek ogromnego łańcucha górskiego ciągnącego się przez cały Kedżystan i dalej, na wschód.

A w pewnej odległości, tuż nad wschodnią podstawą pewnego wyjątkowo wysokiego i paskudnego szczytu, leżały zniszczone przez wiatr i deszcze, zrujnowane pozostałości niegdyś potężnego miasta. Wciąż dawało się rozpoznać fragmenty wielkiego, kamiennego muru otaczającego jego wschodnią część. Wewnątrz samego miasta stało kilka wyjątkowo trwałych budowli. Jedna, być może kiedyś siedziba władcy zaginionego królestwa, znajdowała się na szczycie szerokiej półki skalnej, co niegdyś bez wątpienia pozwalało mu ogarnąć wzrokiem całą swoją dziedzinę.

Choć w tych okolicach dżungla częściowo się poddała, bujna roślinność pokrywała większość krajobrazu i nawet zaczęła zdobywać ruiny. To, czego nie przykryła, zniszczyły żywioły. Erozja oderwała fragment północnej części muru i zabrała ze sobą duży kawałek miasta. Spadł też na nie spory kawał góry.

Kentril nie sądził, żeby w środku pozostało wiele nietkniętych budynków. Na tym starożytnym mieście czas mocno odcisnął swoje piętno.

– To powinno ukoić twój gniew, kapitanie Dumonie - stwierdził nagle Quov Tsin, patrząc się przed siebie. - I to znacznym stopniu.

– Co masz na myśli? - Opuszczając miecz, Kentril przyglądał się ruinom z pewną niechęcią. Czuł, jakby wdarł się do miejsca, gdzie nawet duchy drżały. - Czy to tu? Czy to...

– Światło wśród światła? Najczystsza z krain w całej historii świata, zbudowana na samym zboczu wysokiej góry zwanej Nymyr? Tak, kapitanie, oto ona... i jesteśmy tu w samą porę, o ile tylko moje wyliczenia są poprawne.

Zza pleców Kentrila dochodziły zduszone westchnienia. Inni wojownicy właśnie dotarli na miejsce, w samą porę, by usłyszeć słowa czarodzieja. Wszyscy znali legendy o krainie zwanej przez starożytnych Światłem wśród światła, ponoć jedynym królestwie, do którego Piekło bało się wejść. Wszyscy znali tę historię, nawet w miejscach tak dalekich jak Zachodnie Królestwa.

Oto miasto wielbione przez tych, którzy podążali za światłem. Oto cud, rządzony przez władczych i łagodnych panów, którzy kierowali dusze wszystkich poddanych w stronę Niebios.

Oto królestwo tak czyste, że wedle opowieści uniosło się w całości ponad dziedzinę śmiertelnych, a jego mieszkańcy wyszli poza ograniczenia ludzi i dołączyli do aniołów.

– Oto widok wart śmierci twoich ludzi, kapitanie - wyszeptał Vizjerei, wskazując kościstym palcem w stronę ruin. - Ponieważ teraz jesteście jednymi z niewielu ludzi, którzy zobaczyli jeden z cudów przeszłości... bajeczne, zaginione Ureh.

DWA



Miała alabastrową cerę pozbawioną jakichkolwiek niedoskonałości, długie kasztanoworude włosy opadające na idealnie ukształtowane ramiona, i szmaragdowe oczy. Gdyby nie wschodnie w kroju oczy, mógłby ją uznać za jedną z ognistych dziewcząt ze swej górskiej ojczyzny.

Była piękna. Kentril, podobnie jak inni zmęczeni poszukiwacze przygód, w swej młodości każdej nocy śnił o takich kobietach - i nadal to robił.

Szkoda, że nie żyła od wielu stuleci.

Macając starożytną broszę, o którą dosłownie się potknął, Kentril przyjrzał się skrycie swoim towarzyszom. Wszyscy ciężko pracowali, nieświadomi jego znaleziska, szukając wśród okrytych roślinnością ruin czegokolwiek wartościowego. Kentril uważał, że póki co poszukiwania okazały się bezowocne. Oto pracowali, w sile piętnastu ludzi, wśród pozostałości najświetniejszego z wszystkich miast, a efektem trzech dni ciężkiej harówki był nieduży worek zardzewiałych, powyginanych i w większości poniszczonych przedmiotów o wątpliwej wartości. Pięknie zdobiona brosza była największym ich znaleziskiem, ale nawet i ona pokryje tylko ułamek kosztów wyczerpującej podróży do tej parszywej nekropolii.

Nikt nie patrzył w jego stronę. Kentril uznał, że zasługuje choć na jedną pamiątkę i wsunął broszę do sakiewki. Jako przywódca najemników i tak miał prawo do dodatkowej części łupów, więc nie czuł żadnych wyrzutów sumienia.

– Kentril?

Kapitan z trudem ukrył zaskoczenie. Odwrócił się i spojrzał na człowieka, który tak go podszedł. Jakimś sposobem mimo sylwetki wołu Gorst umiał poruszać się cicho, kiedy tylko chciał.

Przeczesał dłońmi włosy, Kentril spróbował udąć, że nie zrobił nic złego.

– Gorst! Myślałem, że pomagasz naszemu szacownemu pracodawcy z narzędziami i przyrządami! Co cię tu sprowadza?

– Magik... chce się z tobą widzieć. - Gorst uśmiechał się. Był zafascynowany magią niczym dziecko i choć dotychczas Vizjerei nie rzucił zbyt wielu zaklęć, wielkiemu najemnikowi wyraźnie podobały się niezrozumiałe i tajemnicze przedmioty Quova Tsina.

– Powiedz mu, że zaraz przyjdę.

– On chce cię widzieć natychmiast - odrzekł opalony mężczyzna, jakby nie mógł zrozumieć, dlaczego inni nie chcą popędzić, żeby natychmiast się dowiedzieć, czego chce od nich Vizjerei. Gorst najwyraźniej wierzył, że oczekuje ich jakiś spektakularny pokaz magii i każde opóźnienie jego przyjaciela tylko przedłuża czekanie.

Kapitan Dumon wzruszył ramionami, gdyż wiedział, że nie da się tego przeciągnąć i uświadomił sobie, że ma powód, by porozmawiać z czarodziejem.

– Dobrze. Chodźmy spotkać się z magikiem.

Gdy ruszał, olbrzym nagle go zapytał - Czy mogę to zobaczyć, Kentril?

– Co?

– To, co znalazłeś.

Kentril niemal zaprzeczył, że cokolwiek znalazł, ale Gorst znał go lepiej niż inni. Krzywiąc się lekko, kapitan ostrożnie wyjął broszę i ułożył ją na dłoni tak, że tylko drugi najemnik mógł ją zobaczyć.

Gorst uśmiechnął się do niego szeroko.

– Ładna.

– Posłuchaj... - zaczął Kentril

Ale potężny wojownik już go wyminął i kapitan poczuł się głupio z planowanym podstępem. Nigdy nie był do końca pewien, co Gorst w danej chwili myśli, ale wydawało się, że dla przyjaciela sprawa broszy już była zamknięta i teraz miał już inne sprawy. „Magik” czekał na nich, a dla zastępcy kapitana było to najwyraźniej ciekawsze niż portret martwej od setek lat kobiety.

Kiedy dotarli do Tsina, ten niecierpliwie przeglądał zestaw kamieni, przyrządów alchemika i innych narzędzi pracy. Od czasu do czasu łysiejący czarodziej notował coś na pergaminie rozłożonym na prowizorycznym biurku, które zrobili wcześniej najemnicy. Tego dnia wydawał się być zajęty spoglądaniem przez lunetę na szczyt Nymyru, a potem sprawdzaniem czegoś w podniszczonym zwoju. Gdy się zbliżyli, Kentril usłyszał, jak czarodziej chichocze z radości i znów zagląda do zwoju.

Vizjerei sięgnął po przedmiot, który najemnikowi przypominał sekstans, choć czarodziej najwyraźniej wprowadził w nim jakieś poprawki. Gdy jego kościste palce dotknęły przedmiotu, Quov Tsin zauważył przybyłych.

– Ach! Dumon! Najwyższy czas! Czy dzisiejsza praca przyniosła większe efekty niż wczorajsza?

– Nie... Jest tak, jak mówiliście. Jak na razie znajdowaliśmy głównie śmiecie. - Kentril wolał nie wspominać o broszy. Znając życie, Tsin uznałby ją za coś ważnego i skonfiskował.

– Nieważne, nieważne! Pozwalam tobie i twojej bandzie szukać głównie po to, byście mi nie przeszkadzali, póki nie dokonam ostatnich odczytów. Oczywiście, jeśli uda się wam cokolwiek odnaleźć, będzie to plus, ale na dłuższą metę brak sukcesów wcale mnie nie martwi.

Może i czarodzieja to nie martwiło, ale najemnicy narzekali. Opierając się na słowach czarodzieja, Kentril wiele obiecał swoim towarzyszom i to on zostanie obwiniony, jeśli im się nie powiedzie, bardziej niż Tsin.

– Posłuchaj, czarodzieju - zamruczał. - Zapłaciłeś nam wystarczająco, byśmy wyruszyli w tę szaloną podróż, ale obiecałeś nam jeszcze więcej: Jeśli chodzi o mnie, mógłbym teraz wrócić do domu i cieszyć się, że wydostałem się z tego miejsca, ale inni spodziewają się wiele. Powiedziałeś, że w tych starożytnych ruinach znajdziemy skarb... i to ogromny... ale póki co...

– Tak, tak, tak! Wszystko to wyjaśniłem! To nie jest odpowiedni czas! Ale już wkrótce nadejdzie!

Kentril spojrzał na Gorsta, który wzruszył ramionami. Odwracając się z powrotem do niewysokiego maga, kapitan Dumon warknął - Powiedziałeś mi dużo szalonych rzeczy, Vizjerei, ale im dłużej to trwa, tym bardziej zdają się one szalone! Może jeszcze raz wyjaśnisz mi i Gorstowi, o co ci chodzi, dobrze? I niech to wreszcie będzie zrozumiałe.

– Marnowałbym tylko czas - powiedział szorstkim głosem mały czarodziej. Widząc ciemniejącą z gniewu twarz Kentrila, westchnął poirytowany. - Dobrze, ale to ostatni raz! Już znacie legendy o bogobojności mieszkańców miasta, więc tego nie będę powtarzać. Przejdę od razu do czasu zła, czy to wystarczy?

Opierając się o kawał kamienia, który kiedyś był fragmentem wielkich murów, Kentril splótł ramiona na piersi i pokiwał głową.

– Dobrze. Wtedy właśnie twoja opowieść robi się nieco zbyt fantastyczna jak na mój gust.

– Ten najemnik jest krytykiem. - Quov Tsin przerwał swoje zajęcia i zaczął opowiadać historię, którą, jak podejrzewał kapitan Dumon, mógłby opowiadać nawet setki razy, a i tak byłaby ona nie do końca zrozumiała. -

Zacząło się to w czasie... czasie znanym tym, którzy opanowali sztukę i mają pojęcie o bitwie między światłością i mrokiem... czasie znanym jako Wojna Grzechu.

Choć najemnik przez te wszystkie lata zahartował się, nadal nie mógł powstrzymać się od drżenia, gdy niski Vizjerei wypowiadał te ostatnie słowa. Póki nie spotkał Tsina, nie znał takich legend, ale w tej mitycznej wojnie, o której opowiadał jego pracodawca, było coś, co sprawiało, że głowę Kentrila wypełniały wizje diabolicznych istot próbujących poprowadzić świat śmiertelnych ścieżką zepsucia do Piekieł.

Wojna Grzechu nie była zwyczajną wojną, gdyż walczyły w niej same Niebiosa i Piekło. Archanioły i demony rzeczywiście stawały naprzeciw siebie jak zwyczajne armie, ale większość bitew odbywała się gdzie indziej, z dala od wzroku śmiertelnych. Rzekoma wojna trwała ponoć setki lat... bo czymże są lata dla nieśmiertelnych? Królestwa powstawały i upadały, potwory takie jak Bartuc, Władca Krwi, zdobywały władzę i ginęły, a wojna trwała nadal.

A na początku tej wojny głównym polem bitwy stało się wspaniałe Ureh.

– Wówczas wszyscy znali wspaniałość Ureh - ciągnął dalej łysy czarodziej. - Źródło światłości, w tych czasach główną siłę dobra... co oczywiście oznaczało, że miasto przyciągnęło uwagę nie tylko archaniołów, ale i władców Piekieł, Mroczej Trójcy we własnych osobach.

Mrocza Trójca. Niezależnie od miejsca urodzenia, czy były to dżungle Kedzystanu, czy bardziej górzyste i chłodniejsze Zachodnie Królestwa, wszyscy słyszeli o Mroczej Trójcy, trzech braciach, którzy rządzą Piekłem. Mefisto, Pan Nienawiści, władca nieumarłych. Baal, Pan Zniszczenia, przynoszący chaos.

Diablo.

Diablo, być może najbardziej straszny z nich, ostateczne wcielenie przerażenia, koszmar trwożący nie tylko dzieci, ale i zahartowanych wojowników, którzy widzieli już wszystkie przerażające obrazy, jakie tylko potrafi stworzyć człowiek. To właśnie Diablo najczęściej spoglądał ze swej potwornej dziedziny na jasne Ureh i to dla niego istnienie wspaniałego miasta było największą obrazą. Z chaosu tworzonego przez Baala można wyprowadzić porządek, a nienawiść Mefista mógł pokonać każdy silny mężczyzna, ale nie bać się samego strachu - nie, w to Diablo nie mógł uwierzyć i tego nie potrafił znieść.

– Z każdym rokiem ziemie wokół Ureh stawały się coraz mroczniejsze, kapitanie Dumonie. Istoty wypaczone przez zło lub nie zrodzone w tym świecie napadały na tych, którzy opuszczali mury miasta. Złowroga magia wkradała się, gdzie tylko mogła, i czarodzieje królestwa z trudem ją odpędzali.

A z każdym zwycięstwem mieszkańców Ureh, dodał Vizjerei, Diablo był coraz bardziej zdeterminowany. Pragnął zniszczyć cudowne miasto, a jego mieszkańców uczynić niewolnikami Piekieł. Wszyscy mieli zobaczyć, że nic w świecie śmiertelnych nie jest w stanie przeciwstawić się najohydniejszemu z Mrocznej Trójcy.

– Doszło do sytuacji, gdy nikt nie odważył się zbliżyć do miasta, a tylko niewielu udało się uciec. Powiada się, że wtedy właśnie władca krainy, mądry i łagodny Juris Khan, zebrał swoich najwyższych kapłanów i czarodziejów i nakazał im uczynić wszystko, by na zawsze zapewnić bezpieczeństwo swojemu ludowi. Wedle legendy, Juris Khan otrzymał od archanioła wizję, wedle której moce w Niebiosach widziały cierpienia swych najszlachetniejszych wyznawców i były tak poruszone, iż zapewniły im miejsce w najwyższym niebie, jeśli ludzie sami do niego dotrą. - Na

twarży Quova Tsina widniał zachwyt. - Archanioł zaproponował mieszkańcom Ureh bezpieczeństwo w samych Niebiosach.

Gorst chrząknął, co w jego wypadku było wyrazem najwyższego podziwu. Kentril zachowywał spokój, ale nie był w stanie sobie wyobrazić takiej propozycji. Archanioł otworzył dla mieszkańców Ureh same bramy Niebios, dał im miejsce, gdzie nawet połączone siły Mrocznej Trójcy nie odważyły się wejść. Wszyscy mieszkańcy Ureh mieli się tam znaleźć.

– Niezły gest - wtrącił kapitan najemników nie bez sarkazmu. - „Zapraszam, jeśli tylko znajdziecie jakąś drogę do nas”.

– Prosiłeś o opowieść, Dumonie. Chcesz jej wysłuchać czy nie? Mam ważniejsze rzeczy do roboty niż zabawianie ciebie.

– Mów dalej, czarodzieju. Powstrzymam swój podziw.

Z pogardliwym pociągnięciem nosem Tsin stwierdził - Archanioł pojawił się jeszcze dwa razy w snach Juris Khana, za każdym razem składając tę samą obietnicę i dając pewne wskazówki, jak można doprowadzić do takiego cudu...

Prowadzony przez wizje, lord Khan zachęcił kapłanów i czarodziejów do wysiłków, których nikt wcześniej nawet nie potrafił sobie wyobrazić. Archanioł dał im tyle wskazówek, ile mógł, ale istniejące zakazy nie pozwoliły mu na udzielenie śmiertelnym większej pomocy. Mimo to, z wiarą w Niebiosy, Ureh zabrało się za wypełnianie tego wspaniałego zadania. Mieszkańcy mieli świadomość, co im zaproponowano i wiedzieli, co stanie się, jeśli im się nie powiedzie.

– To wszystko, co wiemy o tym okresie, pochodzi od Gregusa Maziego, jedyne go mieszkańca Ureh, którego później odnaleziono. Ponieważ był jednym z kręgu magów zajmujących się rzucaniem zaklęcia, założono, że w ostatniej chwili jego wiara osłabła i kiedy czarodzieje wraz z kapłanami

otworzyli drogę do Niebios... jak, tego nie wiadomo... Gregus Mazi nie został zabrany z pozostałymi.

– To nie wydaje się w porządku.

– Od niego wiemy - kontynuował Tsin, całkowicie ignorując Kentrila - że wówczas Ureh otoczyło ogromne czerwone światło, okrywając swym blaskiem wszystko, nawet mury miasta. Gdy Gregus... wciąż załamany z powodu pozostawienia na ziemi... przyglądał się temu, nad pierwszym miastem pojawiło się drugie, doskonałe choć eteryczne odbicie Ureh...

Na oczach nieszczęsnego czarodzieja olbrzymi, nieziemski obraz unosił się nad swą śmiertelną skorupą. Z miejsca, gdzie stał, Gregus Mazi widział światła pochodni, a nawet kilka postaci stojących na murach. Wydawało mu się, że dusza Ureh opuściła krainę śmiertelnych, ponieważ gdy spojrzał na porzucone budynki poniżej, te już zaczynały się kruszyć i rozpadać, jakby ich istota została z nich wyssana i pozostały tylko rozkładające się szkielety.

Gdy samotna postać ponownie podniosła wzrok, migoczące miasto stało się bardziej niematerialne. Rozbłysła szkarłatna aura, równie jasna, co słońce, które zaszło kilka chwil wcześniej. Gregus Mazi zasłonił na krótko oczy i w tym właśnie momencie wizja Ureh znikła.

– Gregus Mazi załamał się, kapitanie Dumonie. Znaleźli go wyznawcy Rathmy, nekromanci z głębi dżungli, i troszczyli się o niego, aż częściowo powrócił do zdrowia. Wówczas opuścił ich, a jego umysł opanowała jedna myśl: dołączyć do rodziny i przyjaciół. Czarodziej przewędrował cały świat w poszukiwaniu tego, czego potrzebował, bo choć sam częściowo stworzył zaklęcia, które umożliwiły mieszkańcom Ureh dotarcie do Niebios, nie znał całości.

– Przejdź do sedna, Tsinie, do powodu, dla którego tu jesteśmy.

– Kretyn. - Krzywiąc się, mężczyzna ciągnął dalej. - Dwanaście lat po Ureh Gregus Mazi powrócił do swej porzuconej ojczyzny. Pozostawił po sobie księgi i zwoje, pokazujące, nad czym pracował. Tu i tam zostawił notatki, z których większość odnalazłem. Dwanaście lat po Ureh Gregus Mazi dotarł do ruin... i znikł.

Kentril potarł wąsy. Doskonale wiedział, co przydarzyło się czarodziejowi.

– Zjadł go jakiś zwierzak albo coś mu się przytrafiło.

– Też mógłbym tak pomyśleć, mój drogi kapitanie, ale już na początku poszukiwań znalazłem coś takiego.

Quov Tsin sięgnął do dużej sakiewki, w której trzymał najcenniejsze notatki, i wyjął stary zwój. Wyciągnął go w stronę Kentrila, który niechętnie go wziął.

Kapitan Dumon rozwinął go bardzo ostrożnie. Pergamin był słaby, a pismo wyblakłe, ale był w stanie je odczytać, choć z trudem.

– To napisał człowiek z Marchii Zachodniej!

– Tak... kapitan najemników, który podróżował z Gregusem Mazim. Uznałem za znaczącą ironię losu, że to właśnie ty do mnie przyszedłeś, gdy rozgłosiłem swoją propozycję. Wydaje mi się przeznaczeniem, iż my dwaj podążamy śladami mojego poprzednika i tego człowieka.

Tym człowiekiem okazał się niejaki Humbart Wessel, doświadczony żołnierz, który, całe szczęście, pisał wyjątkowo prosto. Kentril z trudem odcyfrował kilka akapitów, ale z początku nie znalazł w nich niczego ciekawego.

– Pod koniec - poradził mu Tsin.

Szczupły najemnik przeczytał wskazaną część starego zwoju, który Humbart Wessel najwyraźniej napisał wiele lat po wydarzeniach.

Siódmego dnia, tuż przed zachodem słońca, czytał, mistrz Mazi znów zbliżył się do ruin. Ja mu mówię, że ta cała wyprawa nie ma sensu i powinniśmy wracać, ale on mówi, że tym razem ma pewność. Cień dotknie go pod odpowiednim kątem. Musi.

Mistrz Mazi obiecał nam dużo złota i coś jeszcze, czego żaden z nas nie przyjął, choć niektórzy uważają się za godnych. Polecieć do Niebios... choć teraz jestem dużo starszy, i tak bym nie skorzystał.

Cień pojawił się tak, jak mówił Mazi. Ręka Nymyru sięgnęła po stare Ureh. Patrzyliśmy, jak wcześniej, pewni, że to szaleństwo.

Ach, jacy z nas byli głupcy!

Pamiętam cień. Pamiętam migotanie. Jak ruiny wydawały się nagle ożywać. Jak w środku zapłonęły światła! Przysięgam, że słyszałem głosy ludzi, choć ich nie widziałem!

„Idę...” To były ostatnie słowa mistrza Maziego, ale nie skierowane do nas. Wciąż je pamiętam. Pamiętam również, jak myśleliśmy, że widzimy blask złota, o którym wciąż nam powtarzał... ale żaden z nas nie wszedł. Nikt nie poszedł. Mistrz Mazi wszedł do miasta sam.

Rozbiliśmy tam obóz, słysząc głosy, słysząc, jak niektóre z nich nas nawołują, tak się nam zdawało. Ale nikt z nas nie wszedł. Jutro, mówię pozostałym, jutro, kiedy wróci mistrz Mazi i powie, że wszystko w porządku, wejdziemy do miasta i weźmiemy, co swoje. Jedna noc nic nie zmieni.

A rano zobaczyliśmy same ruiny. Żadnych świateł, żadnych głosów.

Mistrza Maziego też nie było.

Lordzie Hyramie, opisuję to tak, jak obiecałem, a potem pójdzie to do Zakarum...

Kapitan Dumon przekręcił zwój, szukając dalszych słów.

– Nic nie znajdziesz. Te kilka zdań, które pozostały oprócz tego fragmentu, mówi o innych rzeczach i mnie nie obchodzi. Tylko ta strona.

– Kilka słów nabazgranych przez starego wojownika? To sprowadziło nas tutaj? - Kentril miał ochotę rzucić zwojem w paskudną twarz Tsina.

– Kretyn - powtórzył Tsin. - Widzisz słowa, ale nie potrafisz odczytać ich znaczenia. Nie ufasz jednemu ze swoich? - Machnął pokręconą ręką. - Nieważne! To miało tylko dowieść pewnej rzeczy. Gregus. Mazi odnalazł drogę do starego Ureh, tego samego Ureh, które stracił dwanaście lat wcześniej... a my możemy zrobić to samo!

Kentril przypomniał sobie zdanie o złocie, tym samym złocie, które ściągnęło na tę szaloną wyprawę również jego. Przypomniał sobie także, że Humbart Wessel i jego ludzie byli zbyt przerażeni, by go poszukać, choć mieli okazję.

– Nie mam ochoty od razu trafić do Niebios, czarodzieju.

Tsin prychnął.

– Ja też nie! Gregus Mazi wszedł na tę ścieżkę, ale ja szukam ziemskich skarbów. Po wstąpieniu mieszkańcy Ureh nie potrzebowali przedmiotów, które zebrali przez całe śmiertelne życie. Przedmioty wartościowe, księgi czarów, talizmany... to wszystko musieli pozostawić.

– Więc czemu nic nie znaleźliśmy?

– Wskazówki są w rękopisie Humbarta Wessela! Aby śmiertelnicy mogli wejść do Niebios, Juris Khan i jego czarodzieje stworzyli wyjątkowe zaklęcie. Musieli przerzucić most nad otchłanią między ich planem a Niebiosami. Aby tego dokonać, stworzyli miejsce pomiędzy... w postaci Ureh-cienia, które Gregus odnalazł dwanaście lat później!

Kapitan Dumon próbował podążać za tokiem myśli maga. Złoto, które im przyobiecano, znajdowało się być nie w ruinach, lecz w unoszącej się w powietrzu wizji, w mieście duchów, które opisał inny kapitan najemników.

Spojrzał na ruiny, które pozostały po ziemskim Ureh.

– Ale jak uda się nam dotrzeć do takiego miejsca, nawet jeśli istnieje? Powiedziałeś, że nie jest częścią naszego świata, ale leży między naszym i... i...

– I Niebiosami, zgadza się- dokończył Vizjerei, po czym powrócił do swoich przyrzędów i popatrzył przez jeden z nich. -Gregus Mazi potrzebował ponad dziesięciu lat, żeby tego dokonać, ale dzięki niemu obliczenia zajęły mi trzy lata, kiedy już zgromadziłem odpowiednie informacje. Wiem dokładnie, kiedy się to wszystko stanie!

– Czy znów wraca?

Oczy Tsina rozszerzyły się ze zdziwienia i czarodziej z niedowierzaniem spojrział na Kentrila.

– Oczywiście! Nie słuchałeś, co mówiłem? - Ale...

– Powiedziałem ci nawet więcej niż to konieczne, kapitanie Dumonie, i muszę wracać do pracy. Teraz postaraj się mi nie przeszkadzać, chyba że będzie to absolutnie konieczne, jasne?

Kentril zacisnął zęby i wyprostował się.

– Wzywałeś mnie, Vizjerei.

– Naprawdę? Ach, tak, oczywiście. Właśnie chciałem ci to powiedzieć. To już jutro wieczorem.

Kapitan zaczynał się zastanawiać, czy on i Quov Tsin rzeczywiście mówią tym samym językiem.

– Co będzie jutro wieczorem, czarodzieju?

– To, o czym właśnie mówiłem, kretynie! Jutro wieczorem, godzinę przed zmrokiem pojawi się cień! - Tsin znów spojrział na notatki. - Na wszelki wypadek niech to będzie godzina i kwadrans.

– Godzina i kwadrans - powtórzył ogłupiały kapitan.

– Właśnie tak! A teraz idź! - Łysiejący Vizjerei już powrócił do pracy. Przyglądając mu się, Kentril zrozumiał, że czarodziej zupełnie zapomniał o

obecności dwóch wojowników. Jediną rzeczą, która obchodziła Quova Tsina, jedyną rzeczą, która dla niego istniała, było legendarne zaginione Ureh.

Kentril wycofał się, a w głowie miał mętlik. Teraz już był pewien, że wyruszył w drogę z szaleńcem. Cała ta gadanina o złocie sprawiła, że kapitan uznał, iż Tsinowi chodziło o to, że wszystkie bogactwa miasta schowano w jakiejś kryjówce, której położenie można ustalić, sprawdzając, gdzie padają cienie o określonej porze dnia. Nigdy do końca nie uświadomił sobie, że Vizjerei rzeczywiście szuka krainy duchów, miejsca nie z tego świata.

Dotarliśmy tutaj w pogoni za widmami...

A jeśli Tsin ma rację? A jeśli w legendach o mieście było ziarno prawdy? Niebiosy nie potrzebują złota. Być może, jak twierdził czarodziej, wszystko zostało i można to zabrać.

A jednak Humbart Wessel miał taką okazję i żaden z jego ludzi nie zdecydował się wejść do królestwa cienia.

Kentril Dumon sięgnął do sakiewki i wyjął z niej elegancką broszkę. Aby spotkać taką kobietę, z chęcią zdecydowałby się na podróż do Ureh, ale w innym wypadku wystarczy mu trochę biżuterii ze szkatuły należącej do niej lub innego bogatego mieszkańca Ureh.

W końcu przecież właściciele nie będą już jej potrzebować.



Zayl ze zmartwieniem obserwował najemników ze swojego miejsca na szczycie wieży strażniczej. Ludzie poniżej poruszali się w ruinach niczym mrówki połączone wspólnym celem. Zaglądali do każdej szczeliny, pod każdy kamień, a choć najwyraźniej nie odnosili zbyt wielkich sukcesów, pracowali nadal.

Zayl, blady mężczyzna o uważnym spojrzeniu pasującym bardziej do urzędnika w domu kurierskim niż do zdolnego i wykształconego nekromanty, przyglądał się najemnikom od momentu ich przybycia. Żadne wróżby nie zapowiadały przybycia tych intruzów, a on czuł, że w tak krytycznym momencie nie może to być przypadek.

Wyznawcy Rathmy zawsze z największą ostrożnością traktowali Ureh, wyczuwając w nim niezwykle delikatną równowagę w różnych sferach istnienia. Zayl dobrze znał legendy, ale poznał również część kryjącej się za nimi prawdziwej historii. Ku niezadowoleniu i zaskoczeniu mentorów, Ureh zawsze go przyciągało. Jego przełożeni sądzili, że pociąga go wizja wykorzystanych w nim niezwykłych zaklęć i mocy, jaką może posiadać ktoś, komu uda się odtworzyć. W końcu czarodziejom z tego starożytnego kraju udało się zatrzeć granicę między życiem a śmiercią bardziej niż jakimkolwiek nekromancie. W rzeczy samej, jeśli legendy mówiły prawdę, mieszkańcom Ureh udało się w ogóle uniknąć śmierci, co sprzeciwiało się podstawom nauki Rathmy.

Zayl nie pragnął jednak poznać tajemnic magów - choć nie trudził się uświadamianiem tego nauczycielom. Nie, nekromanta o nieładnej twarzy, który teraz przyglądał się najemnikom szarymi oczami o kształcie migdałów, marzył o czymś zupełnie innym.

Zayl pragnął połączyć się z archaniołami... i mocą większą od nich.

– Jak szczury w śmietniku - zaszydził wysoki głos gdzieś z boku.

Nie patrząc na mówiącego, najemnik odpowiedział - Myślałem raczej o mrówkach.

– To szczury, mówię ci... a ja wiem lepiej, bo czyż nie odgryzły mi rąk i nóg, a potem jeszcze czyż nie przebiły się przez pierś? Ta banda wygląda zupełnie tak samo jak tamte bestie!

– Nie powinno ich tu teraz być. Powinni trzymać się z dala. To byłoby rozsądne.

Towarzysz Zayla zaśmiał się pusto.

– Ja nie byłem rozsądny, choć przecież wiedziałem więcej!

– Nie miałeś wyboru. Gdy już dotknęło cię Ureh, musiałeś tu powrócić. - Zakapturzony nekromanta popatrzył ponad najemnikami w stronę miejsca, skąd nadszedł ich dowódca. - Jest z nimi czarodziej. Nie wyszedł na otwartą przestrzeń od chwili, gdy tu przybyli, ale czuję go.

– Tak strasznie śmierdzi? Szkoda, że już nie mam nosa.

– Wyczuwam jego moc... i wiem, że on wyczuwa moją, choć może nie znać źródła. - Zayl cofnął się trochę i wstał. Hieny cmentarne znajdujące się dużo niżej nie zauważą go. - Ani on, ani jego najemnicy nie mogą się wtrącić.

– Co masz zamiar zrobić?

Odziany na czarno mężczyzna nie odpowiedział. Miał tego sięgnął po ustawione z boku przedmioty. Do sakiewki u pasa włożył sztylet z rękojeścią z kości słoniowej, dwie niemal zupełnie wypalone świece, niewielką fiolkę z gęstym, szkarłatnym płynem... i ludzką czaszkę bez dolnej szczęki, która stała pośrodku.

– Ostrożnie - szydziła czaszka. - Jesteśmy dość wysoko! Wolałbym nie powtórzyć tamtego upadku!

– Cicho, Humbart. - Zayl umieścił makabryczny artefakt w sakiewce i zawiązał ją. Skończywszy zadanie, spojrzął ostatni raz na poszukiwaczy skarbów i zastanowił się nad ich losem.

Tak czy inaczej, nie można pozwolić, żeby byli tu następnego wieczora, dla ich własnego dobra i jego.

TRZY



– *Kapitanie Dumonie...*

Kentril przekręcił się we śnie, próbując znaleźć wygodną pozycję. Pod kocem była kamienista ziemia. Tylko Quov Tsin miał namiot, gdyż najemnicy potrafili znosić kaprysy żywiołów. Jednak nawet dla tak zaprawionych wojowników okolice Ureh wydawały się najgorszym, najmniej wygodnym miejscem odpoczynku. W całym obozie wszyscy najemnicy przewracali się z boku na bok jak kapitan, za wyjątkiem Gorsta, który w zgodnej opinii oddziału spałby spokojnie nawet na cierniowym łożu.

– *Kapitanie Dumonie...*

– Mmm? Co...? - Kentril obudził się i uniósł powoli na łokciu. - Kto tam?

Księżyc, prawie w pełni, świecił tak jasno, że mężczyzna nie musiał zbyt długo przyzwyczajać się do ciemności. Rozejrzał się, zauważając mężczyzn chrapiących wokół przygasających ognisk. Z namiotu czarodzieja dochodziło szczególnie głośne chrapanie.

– Przekłete miejsce... - Najemnik znów opuścił głowę. Będzie się cieszył, gdy opuszczą ruiny. Nie denerwował się tak bardzo nawet na polu bitwy.

– *Kapitanie Dumonie...*

Kentril zsunął koc. Dłoń już opuścił na rękojeść sztyletu, który zawsze trzymał przy pasie. Poczul zimny dreszcz, gdy skoncentrował wzrok na stojącej zaledwie kilka stóp od niego postaci, której chwilę wcześniej tam nie było.

Odkrycie to samo w sobie nie zaskoczyłoby tak kapitana, gdyż sam potrafił poruszać się wyjątkowo cicho. Tym, co przeraziło go tak bardzo, iż sztylet niemal wypadł mu z drżących palców, był fakt, że stał twarzą w twarz z ni mniej ni więcej tylko nieszczęsnym Hargo.

Choć „twarzą w twarz” nie było tu najszcześniejszym określeniem, gdyż Hargo nie miał większości swojej. Prawa strona głowy została oderwana, ukazując czaszkę i gnijące mięśnie. Jedno oko zupełnie znikło, pozostał po nim tylko głęboki, czerwono-czarny krater. Splątana broda otaczała wargi wygięte w grymasie śmierci, a pozostałe oko patrzyło oskarżycielsko na Kentrila.

Reszta ciała Harga nie wyglądała lepiej. Prawe ramię zostało odgryzione tuż poniżej barku, a pierś i brzuch rozszarpane, ukazując żebra, wnętrzności i więcej. Pozostały tylko strzępy ubrania, jeszcze podkreślające straszliwy los mężczyzny.

– *Kapitanie Dumonie...* - wycharczał przerażający gość.

Teraz sztylet wypadł ze zdrtwiałych palców Kentrila. Mężczyzna rozejrzał się wokół, ale nikogo nie poruszyła potworna wizja. Wszyscy spokojnie spali.

– Har... Hargo? - udało mu się w końcu wykrztusić. – *Kapitanie Dumonie...* - Trup podszedł kilka kroków, a woda z rzeki wciąż ściekała z jego na wpół pożartego trupa. – *Nie powinno was tutaj być...*

Jeśli chodzi o Kentrila, w tej właśnie chwili miał szczerą ochotę znaleźć się w Marchii Zachodniej i schlać się w trupa w ulubionej tawernie. Znaleźć się gdziekolwiek, byle nie w tym miejscu.

– *Musicie odejść, kapitanie...* - ciągnął dalej Hargo, nie zwracając zupełnie uwagi na to, że w gardle ma sporą dziurę i nie powinien być w stanie w ogóle mówić. – *Tu jest śmierć. Dopadła mnie i dopadnie was... was wszystkich.*

Ostrzegając Kentrila, postać uniosła pozostałe ramię, wskazując na kapitana. Blask księżyca podkreślał śmiertelną bladość trupa i zgniliznę, która zaczęła już się pojawiać w nieuszkodzonej kończynie.

– O co ci chodzi? - udało się wykrztusić Dumonowi. - O co ci chodzi?

Ale Hargo tylko powtórzył ostrzeżenie.

– *Zabije was wszystkich. Jak mnie, kapitanie... Zabije was wszystkich jak mnie...*

Powiedziawszy to, trup uniósł zniszczoną twarz do nieba i wydał z siebie mrozący krew w żyłach krzyk, pełen żalu i strachu.

Choć Kentril był odważnym człowiekiem, załamał się. Opadł na kolana i zakrył uszy dłońmi, próbując odciąć się od ściskającego serce odgłosu. Z oczu popłynęły mu łzy. Wpatrywał się w ziemię, gdyż nie był w stanie znieść straszliwego widoku.

Krzyk gwałtownie umilkł.

Wciąż zakrywając uszy, kapitan najemników odważył się unieść wzrok...
...i obudził się.

– Aaa! - Kentril wy dostał się z posłania, odrzucił koc i zatoczył na bok. Dopiero kiedy się wyprostował, zauważył, że jego najemnicy zachowują się podobnie, krzyczą z przerażenia i rozglądają dookoła ze zdziwieniem. Dwaj wyjęli miecze i teraz machali nimi szaleńczo, co groziło zranieniem któregoś z towarzyszy. Jeden twardy wojownik siedział na ziemi z szeroko otwartymi oczami i drżał.

Więcej niż jeden z nich wykrzykiwał lub szeptał imię... Hargo.

– Widziałem go! - wydyszał Oskal. - Stał przede mną jak za życia!

– Nic w nim z życia! - warknął inny. - Sama śmierć nie może wyglądać gorzej.

– To było ostrzeżenie! - stwierdził Benjin. - Chce, żebyśmy się stąd wynieśli! - Wojownik sięgnął po koce. - Jeśli chodzi o mnie, jestem za!

Widząc swoich ludzi w rozsypce, kapitan Dumon oprzytomniał. Niezależnie od przerażającej wiadomości, jaką być może przekazał im Hargo, zdrowy rozsądek dyktował pewne środki ostrożności.

– Zatrzymajcie się! - krzyknął jasnowłosy oficer. - Nikt nigdzie nie idzie.

– Ale, kapitanie - sprzeciwił się Oskal. - Ty też go widziałeś! Widzę to w twojej twarzy!

– Może i tak, ale nie ma powodu, żebyśmy uciekali do dżungli i skończyli jak Hargo, co?

Te słowa prawdy trafiły do nich wszystkich. Oskal opadł na koc i rozejrzał się dookoła. Benjin zadrzał.

– Co na to powiesz, Gorst? - Zastępca Kentрила wydawał się najspokojniejszy z całej gromady, choć nawet jego zwykle radosna twarz była zmartwiona. Mimo to kapitan Dumon poczuł się odrobinę lepiej, widząc, że jego zastępca nie poddał się ogólnej fali paniki.

– Lepiej tu - stwierdził potężny mężczyzna. - Nie tam.

– Słyszeliście? Nawet Gorst wolałby nie wchodzić teraz do dżungli! Któryś myśli, że jemu uda się jednak przeżyć?

Znów odzyskał nad nimi kontrolę. Nikt nie chciał wejść do tego piekielnego miejsca, przynajmniej nie po ciemku. Nawet światło księżyca za słabo oświetlało wszystkie niebezpieczeństwa dżungli.

Kentрил pokiwał głową.

– Rano zadecydujemy. Teraz schowajcie broń! Przywróćcie porządek w obozie i podsyćcie ogniska!

Zaczęli wypełniać jego rozkazy, ten ostatni szczególnie gorliwie. Kentрил zauważył, że wykonując znajome czynności, zaczęli się uspokajać. Był pewien, że w umysłach weteranów koszmar wkrótce zblaknie. W tym zawodzie ludzie często miewali złe sny. Kentрилowi wciąż śniły się koszmary z czasów pierwszej kampanii, gdy jego dowódca i większość jego

oddziału zostali zarżnięci na jego oczach. Wtedy uratowało go tylko szczęście, ale wspomnienia tamtych strasznych czasów nadal pozostały w pamięci.

Jednak ten straszliwy sen był gorszy od tamtych powtarzających się tortur, gdyż musiał go znosić nie tylko Kentril. Każdy doświadczył go w tej samej chwili, w ten sam sposób. Kapitan nie wątpił, że gdyby przepytał swoich ludzi, każdy opisałby szczegóły mniej więcej tak samo.

Ostry, przesywający ciszę dźwięk na chwilę przypomniał tamtą przerażającą wizję. Kentril położył dłoń na rękojeści sztyletu, po czym uświadomił sobie, że to co słyszy, to odgłos chrapania.

Chrapania Quova Tsina.

Vizjerei przespał nie tylko sam sen, ale i panikę, która nastąpiła po nim. Dumon ruszył w stronę namiotu, lecz zatrzymał się w ostatniej chwili. Co mu pomoże, że spojrzy na śpiącego czarodzieja albo nawet go obudzi? Tsin najpierw wyzwie kapitana od ostatnich, a potem zapyta, po co właściwie go obudzono.

Kentril cofnął się. Wyobraził sobie, jak po usłyszeniu wyjaśnień pomarszczona twarz Vizjerei wykrzywia się w wyrazie głębokiej pogardy. Potężni, odważni najemnicy przestraszeni przez zły sen? Quov Tsin śmiałyby się z takich strachów, szydziłby z Dumona i jego ludzi.

Nie, lepiej nie budzić czarodzieja, który śpi. Jutro za to powiadomi pracodawcę, że najemnicy nie mają zamiaru czekać, aż złoto Ureh spadnie z nieba. Jutro rano oddział Kentрила odejdzie.

W końcu, ile pieniędzy może wydać trup?



Kawałek w głębi dżungli, w miejscu niewidocznym z obozu, Hargo zatrzymał się. Gałęzie i liście poruszane nocnym wiatrem przechodziły

przez przerażającą postać, nie zatrzymując się na gnijącym cieple i nadgryzionych kościach. Jedyne oko spoglądało ślepo przed siebie, a usta otworzyły się, ukazując poczerniały język i dziąsła.

Zayl spojrzął na upiora ze szczytu wysokiego, powykrzywianego drzewa. W dłoni blady nekromanta trzymał nieduży talizman w kształcie smoka, wokół którego owinał kawałek materiału.

– Twoja misja została wykonana - powiedział cicho duchowi. - Spoczywaj w pokoju, przyjacielu.

Hargo podniósł wzrok na nekromantę... i rozplynął się w powietrzu.

– Niezbyt wygadany gość - zauważyła czaszka ze swojego miejsca na gałęzi, gdzie umieścił ją Zayl. - Ja tam uważam, że śmierć potrzebuje trochę życia, żeby nadać jej smak, co?

– Ucisz się, Humbart. - Szczupły nekromanta zsunął kawałek materiału z talizmanu i ukrył przedmiot w fałdach płaszcza. Przez chwilę przyglądał się materiałowi.

– Myślisz, że chłopaki załapią, o co chodzi?

– Mam taką nadzieję. Zadałem sobie wiele trudu.

I tak rzeczywiście było. Zayl wyczuł śmierć najemnika ze swojego stanowiska w ruinach. To pozwoliło mu pójść śladem śmierci aż do miejsca zdarzenia. Tam Zayl przeszukał okolice rzeki w poszukiwaniu resztek świętej pamięci Harga. Udało mu się odnaleźć ten kawałek materiału, ale dopiero, gdy oszukał zmysły głodnej bestii, tej samej, która pożarła mężczyznę.

Kawałek ciała, kilka kropli krwi... to lepiej posłużyłoby Zaylowi, ale ten materiał pochodził z trupa i był noszony tak długo blisko jego ciała, że wytworzył z mężczyzną więź, która pozwoliła na przywołanie. Zayl chciał tylko dotknąć śpiących umysłów najemników. Chciał wykorzystać ich martwego towarzysza, by skłonić oddział do opuszczenia Ureh, nim będzie

za późno. Cień Harga doskonale wypełnił to zadanie. Nekromanta był pewien, że wojownicy uciekną z pierwszymi promieniami słońca.

Zayl nawet nie próbował zaklęcia na Vizjerei. Byłaby to nie tylko strata czasu. Zaklęcia obronne czarodzieja, działające nawet podczas snu, mogłyby go ostrzec o obecności Zayla. Na to nekromanta nie mógł sobie pozwolić.

– Jeśli oni to zrobią, on także będzie musiał odejść - powiedziała do siebie odziana na czarno postać. - Będzie musiał.

Nekromanci, żyjący zwykle w samotności, często mieli zwyczaj mówienia do siebie. Mimo iż Zayl dwa lata wcześniej znalazł szczątki Humbarta Wessela i ożywił jego czaszkę, nie mógł zerwać ze starym przyzwyczajeniem.

Humbarta nie obchodziło, czy mężczyzna mówi do siebie, czy też do czaszki. Odpowiadał, kiedy chciał, czyli często.

– Mówię ci, to był naprawdę kawał niezłej roboty - wtrącił. -I może dzięki temu czarodziej spakuje manatki... ale tylko jeśli żołnierze odejdą.

– Oczywiście, że odejdą.. Po takim omenie, doświadczonym przez nich wszystkich, byliby głupcami, gdyby tego nie zrobili.

– Ale kiedy nadejdzie ranek, mój niezbyt światowy przyjacielu, słodkie podszepty złota mogą przeważać nad wychrypianymi ostrzeżeniami sennego koszmaru! Myślisz, że przybyli tu ze względu na ładną pogodę i zabawne wodne węże? Ha! Uwierz mi, Zayl! Jeśli nie odejdą o świcie, w ogóle nie odejdą! - Czaszka bez żuchwy zaśmiała się.

Upuszczając skrawek materiału na ziemię, nekromanta pokiwał ponuro głową.

– Módlmy się, żebyś się mylił, Humbart.



Mężczyźni stanęli przed kapitanem, gotowi do inspekcji. Na twarzach wielu z nich wciąż malował się niepokój, połączony z niepewnością. Wszyscy zawędrowali daleko, ryzykowali życiem dla złota i klejnotów. Powrót teraz oznaczał powrót z pustymi rękami.

Ale przynajmniej jeszcze byli w stanie wrócić. Nikt nie pragnął podzielić losu Harga.

Kentril był zdecydowany wyprowadzić stąd swoich ludzi. Inni mogliby się wahać, ale On umiał rozpoznać prawdziwy zły omen. Skończywszy inspekcję, sięgnął do sakiewki, w której trzymał broszę. Przynajmniej zabierze ze sobą i przyjemniejsze wspomnienie.

Quov Tsin wyszedł z namiotu w momencie, gdy Kentril przygotowywał się do konfrontacji. Niski czarodziej wyszedł na słońce i zauważył zbliżającego się do niego oficera.

– Dziś jest ten dzień, Dumonie! Tajemnice i bogactwa Ureh staną przed nami otworem!

– Tsin... odchodzimy.

Srebrzystoszare oczy zwęziły się bardziej niż zwykle.

– Co powiedziałaś?

– Odchodzimy. Nie zostaniemy w tym przeklętym miejscu. -Kapitan zdecydował się nie mówić pracodawcy dlaczego.

– Nie bądź głupi! Jeszcze jeden, dwa dni i odejdziecie bogaci niczym królowie!

Efektom tych słów były szepty wśród wojowników, którzy z pewnej odległości obserwowali rozmowę. Kapitan Dumon zaklął w duchu. On tu próbuje ratować im życie, a ci myślą tylko o złocie. Jakże krótką pamięć mają niektórzy.

– Odchodzimy. To wszystko.

– Zapłaciłem wam...

– Tylko tyle, żebyśmy cię tu doprowadzili. Nie mamy wobec ciebie żadnych zobowiązań, Vizjerei, a ty nie możesz nam nic dać.

Czarodziej otworzył usta, by coś powiedzieć, po czym zamknął je gwałtownie. Kentril, oczekujący zwyczajowej tyrady, był nieco zaskoczony. Ale może tylko pokazał Tsinowi, że dyskusja z nim nie ma sensu.

– Jeśli taki jest wasz wybór, niech tak będzie. - Niewielka postać odwróciła się w stronę namiotu. - Wybaczcie mi, mam dużo pracy.

Kentril skrzywił się, patrząc na odchodzącego Quova Tsina. Udało mu się stawić czoła czarodziejowi. Umowa z Vizjerei została zerwana. Kapitan i jego ludzie mogą odejść.

Więc dlaczego jego własne stopy poruszają się tak powoli?

Odchodzimy! - ryknął na siebie w myślach. Odwróciwszy się do innych, Kentril krzyknął - Przygotować plecaki! Za kilka minut macie być gotowi ruszyć do domu! Zrozumiano?

Jego ostre spojrzenie i surowy ton sprawiły, że najemnicy zaczęli pospiesznie zwijać obóz. Kapitan Dumon od czasu do czasu spoglądał na namiot swojego już wkrótce byłego pracodawcy. Vizjerei ani razu nie wystawił jednak głowy. Kentril zastanawiał się, czy czarodziej się obraził, czy też po prostu przygotowuje się do spodziewanego spektaklu. Nie był zbyt zadowolony, że zostawia Tsina samego, ale skoro Vizjerei postanowił zostać, choć wszyscy inni odchodzili, kapitan zdecydował się nie marnować na niego czasu. Jego ludzie byli ważniejsi.

Wkrótce najemnicy byli gotowi do wymarszu. Gorst wyszczerzył się do Kentрила, który otworzył usta, by dać rozkaz wymarszu.

Grzmot z południa sprawił, że słowa zamarły mu na wargach.

Spojrzał przez ramię i ujrzał ciemne chmury kłębiące się nad dżunglą i pędzące w ich stronę. Czarne niczym smoła, groźne chmury poruszały się

niezwykle szybko. Wiatr w ciągu kilku oddechów nabrał mocy huraganu. Niebo przecięła błyskawica. Burza piasku wywołała chaos w obozie.

– Znajdźcie schronienie! - Kentril rozejrzał się i uświadomił sobie, że oprócz zrujnowanego miasta w okolicy nie ma nic, co mogłoby ochronić jego ludzi przed tytanicznym starciem żywiołów. Bardzo niechętnie nakazał innym podążać za sobą.

Oddział najemników wszedł do zrujnowanego Ureh poprzez fragment zewnętrznego muru, który zawalił się wiele lat wcześniej, nie zwracając większej uwagi na niegdyś wspaniałą architekturę. Kentril szybko zauważył zaokrąglony, dwupiętrowy budynek i uznał, że w całej okolicy wygląda on najpewniej. Zaprowadził tam pozostałych. Wojownicy skulili się w oczekiwaniu na uderzenie wiatru.

Kiedy tylko najemnicy znaleźli schronienie, okolicę zalał ocean deszczu. Zygzakowate błyskawice uderzały niebezpiecznie blisko ich schronienia. Od grzmotów budynek dygotał, jakby atakowała go armia katapult. Z sufitu spadał kurz i kawałki tynku.

Siedzący w pobliżu wejścia Kentril próbował nie myśleć o straszliwej burzy. Błyskawice i grzmoty przypominały mu o wcześniejszych bitwach i utraconych towarzyszach. W rozpaczy wyjął broszę, ukrył ją w dłoni i wpatrywał się w nią, marząc.

Minęła godzina. Dwie. Trzy. A przerażająca burza trwała nadal. Nie mogąc zapalić ognia, najemnicy siedzieli w małych grupach. Niektórzy próbowali się zdrzemnąć, a inni rozmawiali.

Minęło jeszcze więcej czasu, i wtedy Gorst zadał pytanie, które Kentril powinien sobie zadać dużo wcześniej.

– Gdzie jest magik?

W pośpiechu banda nawet nie pomyślała o Vizjerei. Choć Kentrila nie obchodził czarodziej, nie mógł pozostawić go na pastwę burzy. Wsunąwszy

broszę do sakiewki, przyjrzał się pozostałym i uznał, że to on musi poznać prawdę.

Podniósł się i popatrzył na zastępcę.

– Gorst. Przypilnuj innych. Ja postaram się wrócić jak najszybciej.

Stanął w drzwiach. Ulewny deszcz nie przestawał padać. Przeklinając swoje uciążliwe poczucie przyzwoitości, kapitan Dumon wybiegł w burzę.

Wiatr niemal wepchnął go z powrotem do środka. Mimo takiego oporu jakoś przebił się przez ruiny, po drodze znajdując niewielką ochronę przed deszczem.

Kapitan zatrzymał się przy wyrwie w zewnętrznym murze. Błyskawica uderzyła w kamienistą ziemię tuż przed nim, obsypując go kamykami i gliną. Gdy deszcz ziemi skończył się, Kentril odetchnął głęboko i wyszedł ze względnie bezpiecznego Ureh.

Mrużąc zalane wodą oczy, poszukał namiotu czarodzieja.

Ten stał na swoim miejscu, najwyraźniej nietknięty przez szalejące żywioły. Delikatny namiot wydawał się zupełnie nienaruszony, jakby wcale nie wiał wiatr i nie spadła na niego ani kropla wody. Mimo żalosnego położenia, w jakim się znajdował, Kentril zatrzymał się i wpatrywał z niedowierzaniem w ten widok.

W pobliżu uderzyła kolejna błyskawica. Kentril oprzytomniał i popędził w stronę namiotu, walcząc z burzą z taką gwałtownością, jakby był to materialny przeciwnik. Dwa razy się poślizgnął, ale za każdym razem udało mu się podnieść. Gdy Kentril dotarł do siedziby czarodzieja, wykrzyczał imię czarownika, ale nikt nie odpowiedział.

W okolicy szalały błyskawice. Atakowany przez deszcz i kamienie, Kentril w końcu wpadł do namiotu...

– A ty co tu właściwie robisz?

Pomarszczony Vizjerei, pochylony nad zwojem i najwyraźniej nietknięty przez burzę, popatrzył na Kentrila, jakby temu wyrosła druga głowa.

– Przyszedłem... sprawdzić, czy wszystko w porządku - wyjaśnił niepewnie żołnierz. Tsin wyglądał, jakby właśnie wstał po długiej, odświeżającej drzemce, zaś Kentril, jakby właśnie przepłynął całą długość jednej z tych zgniłych rzek w dżungli.

– Jaka troska... a dlaczego miałyby być inaczej ?

– No, burza...

Czarodziej zmarszczył czoło.

– Jaka burza?

– Ta wielka, która właśnie szaleje... - Kapitan przerwał. W namiocie nie słyszał ryku grzmotów ani wycia wichru. Nawet deszcz nie stukał o materiał.

– Jeśli tam trwa burza - zauważył sucho Quov Tsin - to czy nie powinieneś być mokry?

Kentril spojrział w dół i zobaczył, że jego buty i spodnie nie były wilgotne. Patrzył na zupełnie suche dłonie, a gdy dotknął głowy, poczuł jedynie kilka kropli potu, poza tym nic.

– Byłem przemoczony!

– Wilgoć czasem może być uciążliwa, szczególnie w dżungli, ale jak dla mnie wyglądasz całkiem nieźle, Dumon.

– Ale na zewnątrz... - Kapitan odwrócił się w stronę wyjścia i odrzucił klapy namiotu, by obaj zobaczyli straszliwą pogodę na zewnątrz.

Ośłupiały Kentril ujrzał słoneczny dzień.

– Czy wróciłeś tu tylko z powodu jakiejś mitycznej burzy, Dumon? - spytał ostrożnie mały czarodziej.

– Nie opuściliśmy obozu, Tsin... zaczęło się zaraz po tym, jak się spakowaliśmy!

– W takim fazie gdzie są pozostali?

– Chronią... się... w ruinach... - Mówiąc to, Kentril czuł rosnące zawstydzienie. Ponad tuzin weteranów kulących się przez kilka godzin w budynku, żeby uchronić się przed... bezchmurnym niebem?

Ale przecież naprawdę była burza.

Kiedy jednak rozejrzał się wokoło, szukając śladów potopu, nic nie zauważył. Kamienista ziemia była spalona, nie zauważył ani kropli wody. Wiał silny wiatr, ale w porównaniu z poprzednią wichurą był zaledwie zefirkiem. Nawet jego własne ciało go oszukiwało, bo jak inaczej wyjaśnić względną suchość ubrania, skóry?

– Hm.

Kapitan Dumon odwrócił się i ujrzał, że Quov Tsin podniósł się. Czarodziej splótł ramiona na piersi i wyglądał na rozbawionego.

– Przed wyruszeniem zajrzałeś do beczułki z rumem, co, Dumon? Miałem o tobie lepsze mniemanie, przynajmniej pod tym względem.

– Nie jestem pijany.

Postać w szacie machnęła ręką.

– Nie o to teraz chodzi, kapitanie. Mamy ważniejsze sprawy do omówienia. Skoro jednak tu pozostaliście, powinniśmy ustalić plany. Nadchodzi godzina...

– Godzina... - Uświadomiwszy sobie, o co chodziło Tsinowi, Kentril policzył szybko w myślach. Zmarnowali tyle czasu, że daleko nie ujdą. Nawet gdyby najemnicy wyruszyli zgodnie z planem, musieliby się pospieszyć, by przed zmrokiem dotrzeć do miejsca uważanego za względnie bezpieczne i tam rozbić obóz.

Jeśli zostaną tutaj jeszcze jedną noc, może wrócą z czymś, co wynagrodzi ich nieszczęścia.

Ale czy chcą zostać jeszcze jedną noc w miejscu, gdzie martwi nawiedzają sny, a potworne burze pojawiają się i znikają w mgnieniu oka?

Nim Kentril doszedł do jakiś wniosków, Tsin zrobił to za niego.

– Ruszaj i zbierz swoich ludzi, Dumon - nakazał czarodziej. -Muszę dokonać paru obliczeń na zewnątrz. Wróc za kilka godzin, a ja ci powiem, co masz zrobić. W końcu musimy dokładnie obliczyć czas...

Powiedziawszy to, Quov Tsin odwrócił się plecami do wysokiego wojownika i zajął się swoimi dziwacznymi czynnościami. Kentril, nadal zagubiony, zamrugał i wyszedł na zewnątrz. Jeszcze raz rozejrzał się, szukając jakichkolwiek śladów burzy, po czym ruszył w stronę Ureh. Miał nadzieję, że decyzja pozostania trochę dłużej nie okaże się straszliwą pomyłką.

Dopiero gdy Kentril dotarł do popękanego muru, w jego głowie pojawiła się myśl, że Vizjerei był może nieco zbyt spokojny, zbyt rozluźniony, gdy usłyszał o burzy. Wtedy właśnie zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem czarodziej nie wiedział o niej więcej, niż wyjawiał, i czy dogodne pojawienie się burzy oraz jej nagły koniec nie były nieprzypadkowe.

Ale Tsin nigdy nie pokazał takiej mocy... chyba że wszystko, czego doświadczyli wojownicy, było iluzją. I tak wymagałaby ona wielkich umiejętności, gdyż żaden z ludzi kapitana Dumona jej nie przejrzał.

Z budynku, w którym pozostawił Gorsta i pozostałych, dobiegł krzyk. Wielki najemnik machał do Kentrila, uśmiechając się jak zwykle. Nietypowy koniec deszczu w ogóle go nie zdziwił.

Kapitan postanowił nic nie mówić o swoich podejrzeniach... na razie. Przynajmniej on i pozostali mieli szansę odnieść jakieś korzyści z tego przedsięwzięcia. Jeden dzień w pobliżu Ureh na pewno nie zaszkodzi.

Zawsze mogą odejść jutro...



Przemowa Kentrila o szansie na jakieś zyski z wyprawy szybko wyparła z ich myśli złe przeczucia wywołane przez dziwaczną pogodę. Wszyscy rozumieli równie dobrze jak on, że późne ruszenie w dżunglę nie było dobrym pomysłem, a skoro jeśli poczekają jeszcze jedną noc, mogą odejść z plecakami pełnymi bogactwa, to tym lepiej. Strachy poprzedniej nocy były tylko złymi snami, a już wkrótce wyparły je wizje złota i klejnotów.

I tak oto, tuż przed wyznaczoną godziną, kapitan ustawił swoich ludzi tak, jak miał to zrobić i zwrócił się do czarodzieja dokonującego ostatnich obliczeń. Cień góry Nymyr już rozciągał swoje palce nad większością upadłego Ureh, ale Tsin znów mu powiedział, że dopiero gdy pokryje on całe miasto, z pewnością ich oczekiwania zostaną wynagrodzone.

W końcu Vizjerei uniósł głowę znad zwojów i ogłosił - Już czas.

Cień, jak plaga czarnych mrówek, rozpełzał się coraz szybciej. Kentril znów poczuł się niepewnie, ale nie poruszył się. Wkrótce, już wkrótce...

– *Basara ty korni...* - zaintonował Quov Tsin. - *Basara yn alli!*

Kentril poczuł dreszcze, jakby otoczyła go jakaś potężna moc. Spojrzał na innych i zobaczył, że oni też to poczuli. Trzeba im przyznać, że żaden się nie poruszył.

Oddział tworzył nierówny pięciokąt, z czarodziejem w samym środku. Zarówno wzór jak i słowa pochodziły z dzieł Gregusa Maziego i miały ponownie otworzyć korytarz, który pozwolił mu dołączyć do błogosławionych mieszkańców miasta. Teraz nikt nie miał zamiaru podążać tą samą ścieżką aż do końca, ale jeśli po drodze rozrzuconych było wystarczająco wiele ziemskich bogactw, byłoby to prawdziwe, można tak rzec, błogosławieństwo.

– *Gazara! Wendo ty Ureh! Magri! Magri!*

Powietrze przepęniało coś, co można by nazwać jedynie czystą, magiczną energią. Nad okrytym cieniem królestwem zaczęły tworzyć się

ciemne chmury, które Kentrilowi nie przypominały Niebios, a raczej inną dziedzinę. Ale jeśli te słowa zadziałały raz, z pewnością zadziałają i teraz...

Wyciągając ręce w stronę ruin, Quov Tsin dalej wykrzykiwał zaklęcie - Lucin ahn! Lucin...

– W imię równowagi - wtrącił się ktoś - nakazuję ci to zakończyć, nim doprowadzisz do wielkiej katastrofy.

Tsin przerwał. Najemnicy obrócili się jak jeden mąż, a niektórzy sięgnęli po broń. Kentril powstrzymał ryk, który miał właśnie z siebie wydać i spojrzał wściekle na głupca, który odważył się im przerwać.

Szczupła postać, odziana w czerń, patrzyła na nich z arogancją charakterystyczną dla tych, którzy nie tylko uważali się za lepszych we wszystkim, ale i wiedzieli, że jest to prawda. Mężczyzna o nieładnej twarzy, młodszy od kapitana o więcej niż kilka lat, nie przeraziłby tak Kentrila, gdyby nie dwie sprawy. Po pierwsze chodziło o jego skośne, nienaturalnie szare oczy, które przyciągały uwagę każdego, kto w nie spojrzał. Zarazem jednak odrzucały, gdyż Kentril widział w nich swoją śmiertelność, a żaden najemnik nie chciałby tego ujrzeć.

Po drugie chodziło o jego szaty, bo choć wielu ludzi lubiło czerń, szata i płaszcz przybysza ozdobione były niewielkimi wzorami, o których kapitan Dumon kiedyś słyszał. Każdy symbol oznaczał jeden z aspektów życia po śmierci, włączając te, o których większość ludzi wolała nie myśleć.

Gdy intruz szedł w ich stronę, Kentril zauważył sztylet u jego boku, niepodobny do tych, które nosili najemnicy. Ten sztylet został wyrzeźbiony, nie wykuty, i nawet ze swojego miejsca Kentril zgadywał, że wykonano go z kości słoniowej.

Mężczyzna był nekromantą, najbardziej przerażającym z czarodziejów...

– Bądźcie rozsądni i odejdźcie natychmiast! - krzyknęła odziana na czarno postać. - W tych nawiedzonych ruinach czeka was tylko śmierć!

Oskal zaczął się cofać, ale powstrzymało go spojrzenie kapitana.

– *Ques ty nogu!* - odrzekł Quov Tsin, wykrzywiając się. Ignorując ostrzeżenia nekromanty, ostatni raz wskazał na ruiny niegdyś dumnego miasta. - *Protasi! Ureh! Protast!*

Niebo zagrzmiało. Wiatr co chwila zmieniał kierunek. Kentril widział, jak nekromanta opada na jedno kolano, dłonią dotykając sztyletu z kości słoniowej. Mimo zbierających się chmur i cienia, bajeczna kraina wydawała się mocniejsza, wyraźniejsza.

Zamigotały błyskawice... błyskawice z miejsc, gdzie jeszcze nie było chmur.

– *Ureh!* - wrzasnął pomarszczony Vizjerei. - *Ureh aproxos!*

Trzy błyskawice zderzyły się ze sobą nad ruinami. Ludzie skulili się, a paru nawet sapnęło.

A gdy zgasły błyskawice i ucichły grzmoty, Kentril w końcu spojrzał na to, co stworzył Quov Tsin, na kulminację tygodni potu, a nawet krwi. Spoglądał na Ureh, legendarne miasto, Światło wśród światła, i w końcu wyrzucił z siebie - I co?

Ruiny się nie zmieniły.

CZTERY



– Nie rozumiem! - wrzasnął Tsin. - Nie rozumiem!

Ureh pozostało niezmienione, było takim samym rozpadającym się szkieletem jak wtedy, gdy ujrzeli je po raz pierwszy. Chmury, błyskawice, wiatr - wszystko ucichło lub rozpląnęło się. Tylko potężny cień rzucony przez Nymyr nadal pokrywał starożytne królestwo, z każdą chwilą umacniając swój chwyt, a Ureh coraz głębiej tonęło w ciemnościach.

– To on! - Vizjerei wskazał pokręconym palcem na nekromantę. - To on! To on sprawił, że wszystko poszło nie tak! Przerwał nam w najważniejszym momencie!

– Moje wtrącenie się - odrzekł zamyślony nekromanta - niestety nic nie zmieniło. - Mimo ostrzeżeń i wyraźnego zamiaru skłonienia pozostałych do ucieczki, nawet on wydawał się Kentrilowi nieco rozczarowany, że w Ureh nie zaszła żadna fantastyczna zmiana. - Jestem równie zaskoczony, co ty.

Ponieważ nie było żadnego powodu, by pozostać na swoich pozycjach, najemnicy otoczyli nekromantę. Nawet Gorst, którego Vizjerei wyraźnie fascynował, bez entuzjazmu przyglądał się drugiemu czarodziejowi. Wszyscy wiedzieli, że nekromanci rozmawiają z umarłymi i zamazują granice między światem żywych a życiem pośmiertnym.

Kapitan Dumon wyjął miecz i stanął przed aroganckim intruzem.

– Kim jesteś? Jak długo nas szpiegowałeś?

– Nazywam się Zayl. - Mężczyzna spoglądał na ostrze Kentrila, jakby wcale go nie obchodziło. - To mój dom.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie... - Przywódca najemników nagle się zawahał, gdyż coś przyszło mu na myśl. Nekromanci bawili się umarłymi. Czy to mogło znaczyć...

Kentril, pewien, że poznał prawdę, umieścił sztych miecza tuż pod szczęką Zayla.

– To ty! To ty posłałeś ducha Harga do naszych snów, prawda? Posłałeś nam ostrzeżenie, żebyśmy odeszli.

Te słowa wywołały gniew pozostałych wojowników. Tsin, stojący nieco z tyłu, przechylił głowę na bok i przyglądał się rywalowi z większym zainteresowaniem.

– Zrobiłem to, co musiałem zrobić... przynajmniej wtedy tak sądziłem.

– Aha! - stwierdził Tsin. - Czyli ty też miałeś pewność, że droga otwarta przez Gregusa Maziego może dziś zostać ponownie otwarta! Tak myślałem.

Kentril usłyszał cichy chichot, który najwyraźniej nie pochodził od żadnego z jego ludzi. Zayl na chwilę opuścił dłoń do dużej, wypchanej sakiewki przy boku, która wyglądała, jakby znajdował się w niej melon albo inny przedmiot o podobnym kształcie. Zauważywszy zainteresowanie kapitana, Zayl wyciągnął dłoń.

– Miałem taką pewność - zgodził się niechętnie Zayl. - Jak się wydaje, równie bezpodstawną jak twoja.

– Więc gdzie jest złoto? - spytał ponuro Benjin.

Kentril spojrzał ostro na najemnika.

– Zamknij się. A jeśli chodzi o ciebie - poklepał ostrzem gardło Zayla - myślę, że wiesz więcej, niż chcesz przyznać.

– To bez wątplenia prawda - przyznał Quov Tsin. - Byłoby najlepiej, gdybyś pilnował tego stwora, a może nawet go związał. Tak, sądzę, że to byłoby najlepsze rozwiązanie, tak.

Kentril odkrył, że ten jeden raz zgadza się z pracodawcą. Wszyscy wiedzieli, że nekromantom nie można ufać. Zayl już może mieć w rękawie truciznę albo jakiś eliksir.

Podczas ich krótkiej rozmowy cień góry przesunął się jeszcze bardziej do przodu, tak że teraz pokrywał nawet najemników. Razem z cieniem pojawił się chłodny wiatr, od którego kilku wojowników zaczęło drżeć. Płaszcz Zayla zaczął szaleńczo furkotać, a Kentril musiał unieść kołnierz koszuli.

– Dotyk Nymyru jest zimny - stwierdził nekromanta. - Jeśli chcecie pozostać w pobliżu Ureh, lepiej ubierzcie się ciepło.

– A czy ma to sens? - mruknął Oskal. - Sberta głazów i pustych grobów! Cała ta droga na nic...

– Będziemy potrzebować nie tylko płaszczy - zgodził się inny wojownik. - Jeśli się jeszcze ściemni, będziemy potrzebować pochodni.

Rzeczywiście, cień góry sprawił, że w okolicy zrobiło się ciemno jak w nocy, co było prawdziwym kontrastem, zwłaszcza że kilkanaście stóp dalej nadal świeciło słońce. Ureh leżało w takiej ciemności, że ledwo można było wyróżnić w nim kształty budynków, a im dłużej tam stali, tym głębszy stawał się okrywający ich cień.

– Lepiej wycofajmy się do obozu - zaproponował Kentril. - To dotyczy również ciebie, mistrzu Zaylu.

Błady nekromanta uklonił się lekko i ruszył razem z czterema pilnującymi go najemnikami. Gorst szybko pomógł Tsinowi zebrać zwoje i talizmany i podążył za nim jak wierny szczeniak. Kentril nie ruszył się, dopóki wszyscy pozostali nie odeszli, a potem jeszcze raz rozejrzał się po okolicy, by sprawdzić, czy nic tam nie zostawili.

Gdy jego spojrzenie padło na ruiny, zamarł.

Na jednej z odległych wież migotało światło.

Zamrugał, sądząc, że to tylko jakieś złudzenie, ale wówczas ujrzał dwa światła, drugie daleko na prawo od pierwszego, w innej części miasta.

Czując, jak przeszywają go dreszcze i włosy stają mu na głowie, kapitan Dumon patrzył, jak martwe miasto zaczyna wypełniać blask. Zapalało się światełko po światełku, na jego oczach zmieniając bajeczne Ureh.

– Tsin! - krzyknął, wciąż wpatrując się w fantastyczną wizję. -Tsin!

Okazało się, że zrujnowane miasto, teraz już lepiej widoczne, nie jest wcale zrujnowane. Szeroki otwór w murze znikł, a waląca się wieża strażnicza znów stała dumnie. Kentril mógł niemal przysiąc, że na szczycie murów widzi falujące na coraz silniejszym wietrze sztandary.

– To prawda... - wyszeptał znajomy głos. Kentril spojrzał z góry na pomarszczonego Vizjerei, na którego twarzy malowała się radość dziecka, które właśnie dostało wspaniałą zabawkę. - To prawda...

Kapitana Dumona szybko otoczyła reszta najemników. Wielu z nich wpatrywało się w Ureh z otwartymi ustami. Nawet nekromanta Zayl spoglądał na miasto z czymś przypominającym zadziwienie. To, że w tej chwili nikt nie pilnował odzianego w czerń czarodzieja, wcale nie martwiło Kentrila, gdyż Zayl najwyraźniej nie miał zamiaru uciekać. Cud przed ich oczami uwiódł go tak samo jak pozostałych.

– Legendy mówiły prawdę - wyszeptał Zayl. - Miałeś rację, Humbart.

– Na co czekamy? - spytał nagle Tsin. - Dlatego przecież wędrowaliśmy tak daleko! Dlatego tak długo walczyliśmy! Dumon! Twoim ludziom obiecałem złoto i coś więcej! Możecie je sobie wziąć!

To w końcu pobudziło najemników do działania.

– On ma rację! - powiedział ze śmiechem Benjin. - Złoto! Miasto pełne złota!

Nawet Kentril odkrył, że pokusa złota odsuwa odczuwaną przez niego niepewność na daleki plan. Ureh było ponoć jednym z najbogatszych

królestw w historii świata. Opowiadano historie o innych łowcach skarbów, którzy poszukiwali jego bogactw, ale wedle opowieści żaden z nich nie odniósł sukcesu. To oznaczało, że w środku mogą znaleźć tyle, by każdy z najemników stał się bogaty jak król czy sułtan.

– Nie możecie mówić tego poważnie - wtrącił Zayl. - Skarby Ureh są tylko dla Ureh. Chcecie okraść zmarłych.

– Oni nie umarli, pamiętasz? - przypomniał Kentril. - Odeszli... a w takim wypadku na pewno nie potrzebują tego, co tu pozostawili. To znaczy, że Tsin ma rację. Wszystko należy do nas.

Nekromanta miał minę, jakby chciał się kłócić dalej, ale najwyraźniej zabrakło mu argumentów. W końcu pokiwał głową, ale z wyraźną niechęcią.

Zwracając się do Vizjerei, Kentril spytał - Te światła mogą oznaczać jakieś kłopoty?

– Bzdura! Wedle opowieści mieszkańcy opuścili ziemską sferę w ciągu kilku minut. Jeśli widzimy Ureh takim, jakie było w momencie opuszczenia, z pewnością pozostało w nim wiele palących się lamp i pochodni. Poza sferą śmiertelnych czas to tylko słowo. Możemy nawet odnaleźć dla twoich ludzi jedzenie w misach i dobre piwo! Co na to powiecie?

Wojownicy ucieszyli się z możliwej dodatkowej korzyści. Coś w logice czarodzieja przez chwilę martwiło Dumona, ale ponieważ oficer nie był w stanie stwierdzić, co to właściwie jest, machnął na to ręką. Nic nie mógł poradzić na to, że odczuwał entuzjazm.

– Zgoda! - krzyknął do innych. - Weźcie wszystko., co potrzeba! Zabierzcie ze sobą liny i pochodnie... nie mam zamiaru zaufać tym światłom! Nie zapomnijcie o workach! Pospieszcie się!

Ludzie Kentrila zabrali się do działania z gorliwością znacznie większą niż wcześniej. Quov Tsin również się przygotował, wyjmując magiczną laskę i umieszczając na szyi trzy amulety, które wyjął z sakiewki. Mimo wielu konfliktów, kapitan postanowił prowadzić poszukiwania razem z Tsinem. Kentril miał pewność, że w miejscach, w których Vizjerei będzie szukać magicznych przedmiotów i ksiąg, znajdą się też wielkie bogactwa.

Ku zdziwieniu wszystkich, gdy niewielki oddział zebrał się ponownie, nekromanta czekał na nich w tym samym miejscu. W gorączce przygotowań najemnicy zapomnieli o pilnowaniu go, ale wydawało się, że Zayla również kusi to, co magiczne królestwo ma im do zaoferowania. Mężczyzna znów położył dłoń na wypchanej sakiewce, ale gdy Kentril zbliżył się do niego, zasłonił ją płaszczem.

– Idę z wami - powiedział stanowczo.

Kentrilowi nie podobał się ten pomysł, ale ku jego zdziwieniu Tsin zgodził się natychmiast.

– Ależ oczywiście - stwierdził Vizjerei. - Twoja wiedza i doświadczenie z pewnością okażą się bezcenne. Naturalnie pójdziesz razem ze mną i kapitanem Dumonem.

Zayl ukłonił się lekko, ale jego twarz pozostała bez wyrazu. - Oczywiście.

Choć żaden z najemników nie sprzeciwił się obecności nekromanty, gdy cała drużyna z zapalonymi pochodniami ruszyła w stronę Ureh, ludzie trzymali się od niego z daleka. Ponieważ zewnętrzny mur nie wyglądał już na zniszczony, Kentril, zgodnie ze wskazówkami Zayla, poprowadził ich do głównej bramy. Choć z początku obawiali się, że w wyglądającym na nietknięte miście brama może być zamknięta, gdy dotarli do wejścia, okazało się, że jest otwarta, a most zwodzony opuszczono.

– Zupełnie, jakby nas zapraszali - skomentował to Kentril.

Quov Tsin prychnął.

– W takim razie czemu tu stoimy i się gapimy?

Z wyciągniętą bronią i uniesionymi wysoko pochodniami weszli do miasta.

Na pierwszy rzut oka wydawało się, że mieszkańcy właśnie wyszli albo nawet poszli spać. Budynki, które podczas poprzednich wizyt były zrujnowane lub popękane, teraz wyglądały na nowe. Stojące w rzędach wysokie latarnie oliwne, wcześniej pordzewiałe i pogięte, oświetlały alejki. Inne światła rzucały blask z wież i budynków w głębi miasta. Nawet sama ulica, po której szli, wyglądała na świeżo zamiecioną.

Nie słyszeli jednak żadnych dźwięków. Żadnych słów, żadnych śmiechów, nawet odgłosów ptaków czy owadów.

Ureh może i wyglądało na odrodzone, ale panująca w nim cisza przypominała o zaskakującym losie jego mieszkańców.

Kawałek dalej główna aleja dzieliła się na trzy części. Kentril przyjrzał się każdej, po czym stwierdził - Gorst! Weź czterech ludzi i wejdźcie w prawe odgałęzienie, ale nie dalej niż na sto kroków. Albord! Ty, Benjin i czterech innych sprawdźcie lewe. Reszta idzie z Tsinem i ze mną. Nikt nie wchodzi dalej niż kazałem i wszyscy wracamy tu jak najszybciej.

Nie włączył Zayla do żadnej grupy, ze szczególnym uwzględnieniem swojej, ale nekromanta i tak poszedł za nim. Kentril stanął na szpicy, a Oskal i jeszcze jeden szli po bokach, krok za nim. Kapitan, rozglądając się w prawo i lewo, starannie liczył kroki.

Mijali budynek po budynku. W niektórych z nich się świeciło, ale za każdym razem, gdy sprawdzali pomieszczenia, nie znajdowali śladów życia.

– Sprawdź te drzwi - kazał Kentril Oskalowi, wskazując na budynek po lewej. Oświetlony od środka bardziej niż pozostałe, przyciągał uwagę

kapitana jak przysłowiową ćmę do ognia.

Oskal, ubezpieczony przez innego najemnika, pchnął drzwi. Otworzyły się z pewnym trudem. Wojownik zajrzał do środka i rozejrzał się wokół, po czym zawołał spokojnym głosem - Warsztat garncarski, kapitanie! Mnóstwo cudeniek na ścianach. Jedno jeszcze jest na kole, chyba dopiero zrobione. -Na jego brzydkiej twarzy pojawiło się pożądanie. - Może powinniśmy sprawdzić, czy właściciel nie zostawił w kasetce kilku monet?

- Zostaw ją. Wciąż tam będzie, kiedy tu wrócimy... jeśli jeszcze będzie ci się chciało zabierać te marne grosze po tym, jak przejdziemy całe miasto!

Słyszając to, najemnicy roześmiali się. Nawet Tsin uśmiechnął się lekko, co nie zdarzało się zbyt często. Tylko twarz Zayla pozostała niemal bez wyrazu. Kentril zauważył, że jego dłoń znów dotykała dużej sakiewki.

- Co tam masz, nekromanto?

- Pamiątkę, nic więcej.

- Myślę, że to coś więcej, niż...

Zabrzmiał krzyk, odbijający się echem wśród pustych alei Ureh.

- To brzmiało jak jeden z naszych! - sapnął Oskal.

Kapitan już zaczął się odwracać.

- Bo tak było! Biegiem, głupcy!

Krzyk się nie powtórzył, ale za to doszły ich przekleństwa, brzęk broni i przez chwilę coś, co mogło być niskim, złowrogim rykiem jakiegoś zwierzęcia.

Gorst i jego grupa dołączyli do ludzi Kentрила na skrzyżowaniu. Nikt nic nie mówił, oszczędzali oddech na działanie.

Gdy znaleźli wysokiego, chudego Alborda, białowłosego wojownika pochodzącego z okolic położonych na północ od ojczyzny kapitana Dumona, wrzeszczał właśnie na czterech pozostałych najemników, którzy wyglądali na przerażonych. Niedaleko Alborda, po prawej stronie alei,

leżało poszarpane ciało. Dopiero po chwili, dzięki procesowi eliminacji, Kentril zrozumiał, że ta krwawa miazga to Benjin.

– Co tu się stało? - spytał kapitan.

– Coś wyszło i rozszarpało go, a poruszało się tak szybko, że prawie wcale tego nie zobaczyliśmy!

– To był kot! - upierał się jeden z mężczyzn. Wyglądał na osłupiałego. - Wielki, piekielny kot...

– Ja widziałem tylko mignięcie! - stwierdził Albord.

– Mignięcie nie rozedrze człowieka na pół!

Kentril spojrzał na Tsina.

– I co?

Czarodziej uniósł laskę i narysował okrąg w powietrzu. Przez chwilę spoglądał w górę, po czym powiedział - Cokolwiek to było, już go tu nie ma.

– Jak możesz być pewien? - spytał Zayl. - Nie wszystko da się tak łatwo wykryć magią.

– A czy ty coś czujesz, kretynie?

Zayl wyciągnął sztylet z kości słoniowej, który wcześniej zauważył Kentril. Na oczach zaskoczonych najemników ukłął się w palec. Gdy kilka kropli krwi popłynęło po ostrzu, nekromanta wyszeptał coś bezgłośnie.

Sztylet zabłysł, po czym powrócił do normalnego wyglądu.

– Nic nie wyczuwam - stwierdził blady mężczyzna. - Ale to nie znaczy, że nic tu nie ma.

Przeklinając, Kentril odwrócił się do Alborda.

– Gdzie poszło to coś, gdy już zabiło Benjina?

– W stronę tego budynku po lewej... tak myślę...

– E tam - przerwał inny wojownik. - Odwróciło się i weszło głębiej w ciemność!

– Głupi jesteś! - stwierdził ten, który nazwał stworza kotem. - Obróciło się dookoła i popędziło tam, skąd przyszło! Tak widziałem!

Reszta najemników patrzyła na grupę Alborda, jakby wszyscy zwariowali. Jeden z ludzi Gorsta splunął na budynek, przy którym stał i prychnął - Zaczynam się zastanawiać, czy przypadkiem nie zabili go sami, co, kapitanie?

Nie byłby to pierwszy przypadek, gdy najemnicy zabili towarzysza z powodu skarbu, ale kapitan Dumon nie sądził, żeby tak się stało. Mimo to uznał, że dalsze zadawanie pytań ma sens.

– Gdzie był każdy z was, gdy zginął Benjin?

– Szliśmy rozciągnięci, jak nas uczyłeś, kapitanie - odrzekł Albord. - Jodas tuja obok niego, Benjin tam, gdzie teraz Toko - wskazał na mężczyznę, który rzucił oskarżenie - stoi...

W tej właśnie chwili czarna błyskawica wypadła z drzwi, przy których stał Toko, i wbiła mu się w pierś.

Wojownik krzyknął prawie tak samo jak Benjin, gdy zakrzywione szpony długie na stopę przebiły się przez pikowaną skórę i ciało, ukazując jego przerażonym towarzyszom mokre, czerwone żebra i rozszarpane organy. Toko miał nawet możliwość spojrzeć na straszliwą ranę, nim dopadła go śmierć i osunął się na ziemię.

Z budynku wypadła bestia, która rzeczywiście nieco przypominała kota, i zaczęła syczeć na ludzi. Żaden kot jednak nie miał siedmiu stóp wysokości ani czerwonych oczu bez źrenic. W świetle lamp jego futro wyglądało na nierówne, jakby ostre, i czarne. Kot ryknął raz, a dźwięk ten mroził krew w żyłach i pokazał nie jeden, ale dwa rzędy ostrych, kocich zębów.

– Kleszcze! - zawołał Kentril. - Kleszcze!

Znajomy ton głosu kapitana wydającego rozkazy przywrócił żołnierzy do rzeczywistości. Szybko ustawili się tak, jak nakazał, starając się odciąć

potworowi drogę ucieczki.

Kot zbliżył się do wrogów, machając ostrym ogonem. Spoglądał od najemnika do najemnika, przyglądając się każdemu.

– Co on robi?

– Może zastanawia się, kogo teraz zjeść?

– Cisza! - nakazał Kentril. Potwór przerwał obserwację innych, by starannie mu się przyjrzeć. Kapitan Dumon pochwycił nieludzkie spojrzenie i mimo wewnętrznych obaw wytrzymał je.

W końcu to potwór pierwszy odwrócił wzrok. Zaczął się powoli cofać, jakby zamierzał ponownie schować się w budynku, z którego wyszedł.

Na to nie mogli pozwolić. Kentril nie był tak głupi, by podążać za wrogiem do jego kryjówki. Gorzej, gdyby kotu udało się uciec, wkrótce pewnie znów by ich dopadł, w chwili, gdy trochę się odprężą.

– Albord! Oskal! Wy i...

Z kolejnym przerażającym rykiem kot przykucnął i rzucił się na niego.

Kentril nie zdążył się przygotować. Z łap stwora wystrzeliły pazury, ostre jak brzytwa sierpy, które porwały na kawałki dwóch jego ludzi. Kapitan widział nadchodzącą śmierć i wiedział, że jego odruchy są zbyt wolne, by ją choćby opóźnić.

Wtedy z kotem spotkała się w powietrzu postać stworzona, podobnie jak ona, z cienia. Choć była mniejsza, uderzyła z taką siłą, że razem spadli na ziemię.

Kończyna nowej postaci zabłysła bielą. Nie był to pazur ani szpon, jak z początku myślał Kentril, ale sztylet - sztylet z kości słoniowej.

Zayl poświęcił się, by uratować kapitana.

Kentril nigdy nie wiedział tak szybkiego i zręcznego człowieka. Mimo iż nekromanta nadal był odziany w obszerny płaszcz, tańczył wokół pazurów kota. Potwór kłapnął paszczą, ale pochwycił tylko powietrze. Błady

czarodziej skoczył na grzbiet ogromnego potwora i trafił go sztyletem z kości słoniowej.

Tam, gdzie wbiło się dziwne ostrze, pojawiła się szmaragdowa iskra i choć Zayl najwyraźniej zadał mu jedynie płytką ranę, kot zaryczał, jakby przebito mu serce. Zaczął szaleńczo zwijać się i skręcać, aż w końcu odrzucił nekromantę na bok.

Kentril rzucił się do przodu, gdyż nie chciał, by ktokolwiek zginął, ratując jego żalosne życie. Gdy zaatakował, Oskál, Jodas i dwaj inni najemnicy odciągnęli Zayla we względnie bezpieczne miejsce.

Kot machnął łapami w stronę nekromanty i zaryczał, gdy nie trafił. Kentril pchnął, ale osiągnął tylko to, że kot znów zwrócił na niego uwagę.

Gdy jedna łapa szybko niczym błyskawica sięgała do ich dowódcy, Oskál i Jodas zaatakowali z dwóch stron. Potwór odwrócił się w stronę tego ostatniego, który szybko się wycofał. Stojący z drugiej strony Oskál, wciąż niezauważony, wbił swoje ostrze w odsłonięty bok.

Miecz wszedł na ponad stopę. Kot wrzasnął i odwrócił się w stronę najemnika. Wyciągnąwszy miecz, Oskál próbował uciec z zasięgu paszczy i szponów.

Ucieczka okazała się tragicznym błędem.

Ostry ogon potwora spadł na niczego się nie spodziewającego się wojownika niczym maczuga i z głośnym trzaskiem rozwalił mu czaszkę. Dwóch najbliższych najemników ochlapała krew. Martwy żołnierz upadł na ziemię, a miecz z brzękiem wysunął się z jego rąk.

Rozwścieczony Kentril znów zaatakował, rzucając się kotu do gardła. Potwór odwrócił się do niego, ale coś z drugiej strony przyciągnęło jego uwagę. Potworny kot na chwilę się zdekoncentrował i zawahał.

Kapitan Dumon z całej siły wbił swój miecz w grubą, umięśnioną szyję.

Piekielny kot cofnął się, zabierając ze sobą broń Kentрила. Choć życie wypływało z niej razem z krwią, ciężko ranna bestia atakowała wszystko dookoła. Albord ledwo uniknął utraty głowy. Najemnicy cofnęli się o krok, licząc, że śmierć nadejdzie szybko.

Mimo tak ciężkiej rany bestia nie zapomniała o Kentrilu. Wciąż zwinna i szybka, skoncentrowała się na przyczynie swoich cierpień i spojrzała kapitanowi w oczy. W czerwonych ślepiach Kentril wyraźnie widział swoją śmierć.

Wówczas do akcji wkroczył Gorst. Barbarzyńca ryknął tak głośno, że niemal dorównał kotu, i skoczył na zwierzę od tyłu. Potwór próbował odwrócić się, by dopaść olbrzyma. Gorst jednak otoczył go ramionami i potraktował rękojeść miecza Kentрила jako uchwyt. Nie tylko wróg nie mógł go dopaść, ale też wojownik dzięki swej niezwykłej sile obracał ostrzem, powiększając ranę kota.

W końcu mordercza bestia potknęła się i upadła. Próbowwała się podnieść, ale nie mogła. Jednak nawet wówczas. Gorst trzymał ją mocno. Mięśnie, mocno napięte, niemal groziły zerwaniem, ale wojownik utrzymał swoją pozycję. Potwór usiłował zaatakować go ostrym ogonem, lecz Gorst znajdował się poza jego zasięgiem.

– Wykończcie go! - nakazał Kentril.

Z Zaylem u boku, najemnicy zbliżyli się, a każdy unikał ogona. Unosząc miecz Oskala, Kentril dołączył do innych, raz za razem wbijających ostrza w ciało kota. Zdawało im się, że próbowali wykończyć potwora przez godzinę, choć w rzeczywistości była to minuta albo dwie.

W chwili, gdy Kentril zaczynał już podejrzewać, że nic nie będzie w stanie do końca zabić tej istoty, kot prychnął... i upadł bezruchu.

Ci, którzy przeżyli, przyglądali się ostrożnie, z mieczami pod ręką, jak Gorst schodzi z ciała. Gdy piekielna bestia nie spróbowała zaatakować

zastępcy kapitana, zrozumieli, że ją zabili.

– Wszystko w porządku? - spytał ktoś zbyt spokojnym głosem.

Kentril odwrócił się i ujrzał Zayla. Nekromanta wyglądał na całego i nieporuszonego tym straszliwym zdarzeniem. W innej sytuacji zirytowałoby to najemnika, ale Zayl uratował mu życie i Kentril nigdy o tym nie zapomni.

– Dziękuję, mistrzu Zaylu. Gdybyś nie zareagował tak szybko, z pewnością już bym nie żył.

Odpowiedzią był słaby uśmiech.

– Mów mi po prostu Zayl. Człowiek urodzony w dżungli uczy się, że należy reagować szybciej niż zwierzęta, kapitanie... albo zostaje pożarty w młodym wieku.

Nie mając pewności, czy nekromanta właśnie sobie zażartował, czy też nie, Kentril grzecznie pokiwał głową, po czym odwrócił się w stronę jedyne go w drużynie, który nie zrobił nic, by zapobiec tragedii.

– Tsin! Niech cię diabli, Tsin! Gdzie się podziała twoja moc? Myślałem, że wy, Vizjerei, macie różne zaklęcia! Trzech ludzi zginęło!

Malutki czarodziej jakimś sposobem popatrzył z góry na o wiele wyższego wojownika.

– A ja byłem gotów, gdyby okazało się, że jest więcej niż jedna bestia... a może uważasz, że wasza grupka poradziłby sobie z dwoma jednocześnie?

– Kapitanie - wtrącił się Albord. - Kapitanie, wynośmy się stąd. Żadne złoto nie jest tego warte.

– Odejść? - prychnął inny wojownik. - Nie wracam z pustymi rękami.

– A nie wystarczy ci twoja głowa?

Kentril odwrócił się do swoich ludzi.

– Cicho!

– Odejście jest chyba mądrym rozwiązaniem - stwierdził Zayl.

Tsin machnął drewnianą laską w stronę nekromanty.

– Bzdura! Tak wiele czeka na nas w tym mieście! Najpewniej zwierzak żył tu jeszcze przed przemianą, tylko nigdy na niego nie wpadliśmy. A ponieważ nic nie przyszło mu na pomoc, twierdzą, że musiał żyć samotnie. Tutaj naprawdę nie ma się czego bać. Niczego!

W tym momencie zabrzmiała muzyka.

– Skąd to? - wyrzucił z siebie Jodas.

– Wydaje się, że dochodzi zewsząd! - odrzekł jeden z jego towarzyszy.

Rzeczywiście, muzyka zdawała się otaczać oddział ze wszystkich stron. Prosta lecz wpadająca w ucho melodia, nie bez nuty wesołości, grana na flecie. Kentril jednocześnie odczuwał dwa sprzeczne pragnienia - zatańczenia w rytm melodii i jak najszybciej ucieczki.

Oprócz muzyki przez chwilę rozlegał się jeszcze męski śmiech.

Daleko na prawo od Kentrila pojawiła się jakaś sylwetka... ludzka sylwetka.

Albord wskazał przed siebie.

– Kapitanie, przy tamtej starej gospodzie są ludzie!

– A tam koń i jeździec! - krzyknął inny najemnik.

– Ten starzec! Jeszcze przed chwilą go tam nie było!

Wszędzie wokół drużyny pojawiały się postacie, których wcześniej tam nie było - szły, jechały lub po prostu sobie stały. Nosiły luźne stroje we wszystkich odcieniach, a Kentril jednym spojrzeniem objął młodych i starych, silnych i słabych.

I przez każdego z nich widział znajdujące się za nim budynki...

– Wszelkie bogactwa świata to za mało, by stawić czoła temu, Tsin! - Kapitan wezwał do siebie ludzi. - Ruszamy razem w stronę bramy! Nikt nie odchodzi na bok, nikt nie próbuje zawrócić, żeby zabrać parę błyskotek, zrozumiano?

Żaden z wojowników nie próbował się sprzeciwić. Splądrowanie opuszczonego miasta to jedno, ale zamknięcie w mieście pełnym duchów...

– Nie! - wyrzucił z siebie Vizjerei. - Jesteśmy tak blisko! -Mimo to nie pozostał z tyłu, gdy najemnicy i Zayl ruszyli.

Myśląc o nekromancie, Kentril spytał - Zayl! Ty zajmujesz się różnymi takimi rzeczami. Jakież propozycje?

– Twój rozkaz był niezwykle rozsądny, kapitanie.

– Czy możesz coś zrobić z tymi duchami?

Błady mężczyzna zmarszczył czoło.

– Mogę utrzymać je z dala, tak sądzę, ale jest w nich coś, co mnie niepokoi. Byłoby najlepiej, gdyby udało nam się opuścić Ureh, unikając walki.

To ostrzeżenie nekromanty bynajmniej nie uspokoiło Kentrila. Jeśli nawet Zayl uważał duchy Ureh za niepokojące, to powinni jak najszybciej przejść przez bramę.

Dotychczas jednak widmowe postacie nie zrobiły im żadnej krzywdy, nawet zdawały się ich nie zauważać. A choć flet grał nadal, a jego muzyka z każdą minutą robiła się coraz głośniejsza, on też im w żaden sposób nie zaszkodził.

– Jest brama! - krzyknął Albord. - Jest bra...

Nie powiedział nic więcej. Najemnicy jak jeden mąż stanęli w miejscu, a krew odpłynęła z ich twarzy, gdy ujrzeli drogę wyjścia. .. już dla nich niedostępną.

Tak, rzeczywiście była tam brama, ale wyglądała inaczej niż przedtem. Most zwodzony został podniesiony, a sama brama zamknięta. Co gorsza, zebrał się przed nią tłum, tłum bladych, widmowych postaci o wychudzonych twarzach i zagadniętych oczach, mieszkańców ciemnego królestwa. Zapadnięte oczy zwróciły się jednocześnie w stronę

poszukiwaczy skarbów i wpatrywały się w nich ze straszliwą intensywnością.

Muzyce nadal towarzyszył męski śmiech.

PIĘĆ



Zayl uniósł sztylet z kości słoniowej, mrużąc coś pod nosem. Broń rozblęła jasno i przez chwilę nieziemska horda zdawała się cofać. Potem, jakby poruszona niezwykłą mocą, rzuciła się do przodu, poruszając się w pełnym determinacji milczeniu.

– To powinno było zadziałać - wyszeptał nekromanta rzeczowym tonem.
- Są duchami, niczym więcej... tak sędzę.

Przerażający tłum wydawał się rosnąć z każdą chwilą. Zjawy nie wyciągały rąk w stronę wojowników ani też nie groziły w żaden inny sposób, ale nadchodziły i było ich coraz więcej. Ani na chwilę nie odwracały wzroku od Kentрила i jego oddziału, wskazując wyraźnie, że chcą dotrzeć do ludzi stojących przed nimi.

Ściskając mocno broń - choć nikt nie wiedział, czy ostrza pomogą na bezcielesne upiory - łowcy skarbów zaczęli się szybko wycofywać w głąb Ureh. Nawet Zayl i Vizjerei ruszyli biegiem - Quov Tsin wyjątkowo szybkim jak na swój wzrost i wiek. Za nimi podążał legion bladych postaci, nie poruszający się w żaden widzialny sposób, a jednak dotrzymujący im kroku.

– Przy następnym skrzyżowaniu skręćcie w lewo! - nakazał pozostałym Kentril. O ile dobrze pamiętał, ta droga prowadziła do jednej z wież strażniczych. Gdyby udało im się tam dostać, mogliby stamtąd zejść po murze. Dwaj jego ludzie wciąż nieśli liny, na pewno było ich wystarczająco dużo, by sięgnąć do ziemi.

Kiedy jednak dotarli do skrzyżowania, poruszenie na wybranej przez Kentrila trasie sprawiło, że najemnicy się zatrzymali.

Nadchodzili stamtąd kolejni mieszkańcy Ureh, a ich twarze były równie puste, co tych za plecami.

– Z przodu też nadchodzą! - krzyknął Albord, wskazując palcem.

Rzeczywiście, ulicę przed nimi wypełniały tłumy. Kentril spojrzął w prawo - tylko tam nie widział hordy duchów. Tylko tam pozostała im jeszcze nadzieja na ucieczkę.

– A czy mamy jakiś inny wybór? - zamruczał za jego plecami Zayl.

Kentril wskazał kierunek ręką i poprowadził drużynę. Oczekiwał, że w każdej chwili mogą zostać odcięci, ale droga pozostała wolna.

Na wszystkich bocznych uliczkach sytuacja wyglądała zupełnie inaczej. Gdy dwaj najemnicy próbowali oderwać się od reszty i skręcić w jedną z nich, widmowe postacie zmaterializowały się zaledwie kilka cali przed zaskoczonymi wojownikami. Przerażona dwójka szybko powróciła do pozostałych. Co ciekawe, choć nowe duchy również zaczęły za nimi podążać i podobnie jak pozostałe zbliżały się do uciekinierów, nigdy tak naprawdę nie znalazły się w ich zasięgu.

Pierwszy wypowiedział to na głos nekromanta.

– Jesteśmy prowadzeni, kapitanie. Idziemy dokładnie tam, gdzie chcą.

Kentril wiedział, o co chodziło Zaylowi. Nawet najmniejsza sugestia, że drużyna chce zmienić kierunek ruchu, ściągała dziesiątki nowych, straszliwych widm, ale żadnemu nie udało się pochwycić ofiary. Dopóki najemnicy pozostawali na wybranej drodze, duchy tylko dotrzymywały im kroku.

Ale co czekało na intruzów na jej końcu, zastanawiał się Kentril.

Mijali wysokie, zbudowane z kamienia sklepy. Mijali wąskie, eleganckie domy z kopułami i wejściami otoczonymi murem. W wielu z nich paliły się

lampy i pochodnie, a czasem słyszeli nawet głosy, ale gdy Kentrilowi udawało się zajrzeć do środka, nic nie widział.

Podczas całej niebezpiecznej ucieczki flet nie przestawał grać tej samej, niekończącej się melodii. Od czasu do czasu wtrącał się jowialny męski śmiech, jakby szydząc z wysiłków przerażonej drużyny.

Nagle zmęczeni najemnicy zobaczyli, że drogę przed nimi blokują inne duchy. Z początku Kentril nie wiedział dlaczego, ale po chwili zauważył wąską boczną uliczkę - nieprzyjemne i kiepsko oświetlone przejście, które wydawało się ciągnąć w nieskończoność. Kapitan szybko rozejrzał się po okolicy, szukając innego wyjścia, ale nic nie znalazł.

– Tędy! - krzyknął, wskazując drogę mieczem. Miał nadzieję, że nie popełnił straszliwej pomyłki.

Żadne widma nie zmaterializowały się, by odciąć im drogę. Jeden po drugim, mężczyźni wchodzili w wąskie przejście. Kentril przez cały czas trzymał miecz przed sobą. Wiedział, że jest to głupie, ale mimo tej wiedzy czuł się pewniej.

– Wciąż są za nami, kapitanie! - krzyknął ostatni w rzędzie.

– Idźcie za mną! To się musi kiedyś skończyć! To się musi...

Jakby w odpowiedzi na jego słowa, uliczka doprowadziła ich na wielki plac. Kentril zatrzymał się tuż przy wejściu w uliczkę, patrząc na coś, czego nie pamiętał z poprzednich odwiedzin w mieście.

– Nie mogliśmy tego nie zauważyć... - wyszeptał. - Nie mogliśmy...

– Na smoka! - westchnął Zayl za jego plecami. Gdy Kentril spojrział na nekromantę, ujrzał, że mężczyzna stoi z ustami otwartymi w zachwycie, co było w pewien sposób równie zaskakujące jak widok przed nimi.

Wielkie wzgórze - właściwie część samej góry Nymyr - wznosiło się w samym środku Ureh. Kapitan oczywiście przypominał sobie wzgórze. Nawet wcześniej zastanawiał się, dlaczego mieszkańcy zdecydowali się

wybudować swoje królestwo wokół wysokiej na kilkaset stóp góry czarnego kamienia. Nie tylko jednak zdecydowali się włączyć ją w obręb miasta, ale i wykuli prowadzące na sam szczyt stopnie.

A tam, górując nad wszystkim, znajdowało się to, co tak przyciągnęło spojrzenia wszystkich. Wspaniała kamienna budowla z trzema iglicami i własnym murem wznosiła się nie tylko nad Ureh, ale też i ziemiemi wokół miasta. Kształtem przypominała Kentrilowi zamki z jego ojczyzny - wysokie, poszarpane, zimne. Bramy, przez którą musieli przejść wszyscy pragnący dotrzeć do środka, strzegły skrzydlate istoty. Podczas gdy czarne wzgórze, na którym stał zamek, doskonale wtapiało się w cień rzucany przez górę, dziwny biały marmur, z którego zbudowano twierdzę, otaczał słaby blask.

Kentril dwa razy zamrugął, ale odblask otaczający królewską budowlę pozostał. Widok ten wywołał w nim złe przeczucia.

– Pałac Juris Khana! - wyszeptał Zayl. - Ale on znikł wraz z nim...

– Pałac Juris Khana? - Quov Tsin przebił się przez grupę, odpychając silniejszych wojowników swoją laską. Stanął z przodu i przyjrzał się wszystkiemu bardzo dokładnie. W jego głosie był więcej niż tylko ślad chciwości, gdy powiedział - O tak... Czy jest lepsze miejsce, by zacząć? Czy jest lepsze miejsce?

Kentril nagle przypomniał sobie o podążających za nimi fantomach. Obejrzał się przez ramię, spodziewając się, że ujrzy, jak wychodzą z uliczki, ale najwyraźniej przerażający towarzysze porzucili jego oddział.

– Skończyli polowanie - orzekł nekromanta z twarzą bez wyrazu. - Doprowadzili nas tam, gdzie mieliśmy przyjść.

Kapitan Dumon ponownie przyjrzał się wysokim, kręconym schodom prowadzącym do wielkiej, zamkniętej bramy, i ciemnym, skrzydlatym sylwetkom na murze, które zdawały się wpatrywać w przybyszów.

– Wchodzimy tam?

– W tej chwili - zauważył Zayl - wydaje się to lepszym rozwiązaniem niż powrót do naszych przyjaciół. Nie wątpię, że jeśli zawrócimy, pojawią się ponownie... a tym razem mogą nie tylko za nami podążać.

– Oczywiście, że wejdziemy na górę! - Tsin niemal wypluł te słowa. Wskazał laską na bajeczny pałac. - W tym miejscu połączone siły kapłanów i czarodziejów dopełniły czarów Juris Khana! Tam znajdują się największe księgi czarów... i oczywiście mnóstwo złota!

Ze wszystkich członków drużyny tylko Vizjerei wydawał się jeszcze zainteresowany poszukiwaniem mocy i złota. Kentril i pozostali przy życiu najemnicy zapomnieli o chciwości, przynajmniej na razie. Każdy z żołnierzy ponad wszystko pragnął wydostać się ze skrytego w cieniu królestwa, nawet jeśli oznaczało to ucieczkę bez jednej monety.

Nie mieli jednak innej możliwości. Zostali doprowadzeni do tych schodów i kapitan najemników wiedział, że nie był to wcale przypadek.

– Idziemy na górę - warknął. - Pilnujcie pochodni.

Gdy zaczęli się niechętnie wspinać, Kentril uświadomił sobie, że coś jeszcze zmieniło się wraz ze zniknięciem niezziemskiego pościgu. Nie słyszeli już niepokojącej muzyki ani śmiechu. W Ureh było cicho jak w grobie.

Wspinali się powoli. Schody były tak strome i niewygodne, że Kentril zastanawiał się, jak ktokolwiek mógł z nich często korzystać. Tu i tam część schodów zawałiła się, co jeszcze utrudniało wspinaczkę. Pochodnie nie pomagały im zbytnio, gdyż ich światło zdawało się w jakiś sposób przytłumione przez głęboki cień. Kentril widywał już noce jaśniejsze niż ten dzień. Czemu podczas wcześniejszych wypraw do miasta nie zauważył, że jest w nim tak ciemno? Czemu teraz wszystko wydaje się inne?

Oddział wspinał się coraz wyżej. Schody wydawały się dwa razy dłuższe niż powinny. Po tym, jak wspięli się na co najmniej tysiąc stopni... albo przynajmniej tak im się zdawało... Kentril zauważył urywane oddechy i zarządził przerwę na odpoczynek. Nawet Tsin, który tak bardzo chciał dostać się do pałacu, nie protestował.

Zayl, wyglądający na mniej zmęczonego od pozostałych, usiadł kilka kroków nad nimi, znów układając dłoń na wypchanej sakiewce. Przymknął oczy i wachał powietrze, jakby czegoś szukał.

Nekromanta szybko otworzył oczy, gdy Kentril się do niego zbliżył. Po raz kolejny opuścił dłoń i zakrył sakiewkę płaszczem.

– Kapitanie Dumonie.

– Mógłbym z tobą porozmawiać, Zayl?

– Jestem do usług.

Kentril przykucnął obok czarodzieja i zauważył - Najwyraźniej sporo wiesz o tym miejscu. Wiesz nawet więcej od starego Tsina, a on przez całe życie miał obsesję na punkcie tych okolic.

– On miał obsesję przez całe życie, a ja przez całe życie mieszkałem w okolicy, kapitanie.

– Racja, Zayl. Jak dużo rzeczywiście wiesz? Kiedy zauważyłeś to - kapitan Dumon wskazał na pałac - byłeś trochę zdziwiony, ale nie tak bardzo jak ja. Tego tu nie było, nekromanto! To wzgórze, owszem, ale nie ten marmurowy pałac!

– Zaskakuje cię to w krainie, która ma związki z Niebiosami?

Kentril prychnął.

– Jak na ziemskie Niebiosy, Ureh dało mi tylko krew.

Zayl uniósł lewą brew.

– Masz wyjątkowo bystry umysł, kapitanie Dumonie, i wewnętrzną znajomość świata, która pewnie i mnie by zadziwiła.

– Zapytam cię ponownie, nekromanto, co wiesz o tym pałacu?

– Tylko to, co powiedział Vizjerei - blady mężczyzna wypowiedział ostatnie słowo jakby z niesmakiem - że jest to miejsce, gdzie rzucono zaklęcie i otwarto drogę do Niebios. Nie dziwi mnie, że dom Juris Khana nawet dziś nie zachowuje się zgodnie z ludzkimi zasadami. Dotknęły go moce wykraczające poza naszą wiedzę i nawet kilka stuleci nie zmniejszyło ich wpływu.

Te słowa nie pocieszyły Kentрила. Spróbował innej metody.

– Chciałbym wiedzieć, co jest w tej sakiewce.

– Jak już mówiłem, pamiątka.

– A czemu ją trzymasz? Wydaje mi się, że jest dla ciebie bardzo cenna.

Zayl wstał, a jego twarz nie wyrażała żadnych emocji.

– Czy nie powinniśmy już ruszać, kapitanie? - spytał głośniej. - Wciąż jeszcze pozostał spory kawałek drogi.

– On ma rację, Dumon - mruknął Tsin z dołu. - Marnujemy tylko czas.

Zayl bez słowa ruszył w górę. Kentril zazgrzytał zębami, po czym niechętnie kazał innym ruszać dalej. Kapitan obiecał sobie, że kiedyś nekromanta powie mu prawdę... o ile oczywiście przeżyją to szaleństwo.

Co ciekawe, od tego miejsca wspinaczka szła o wiele szybciej. Z każdym krokiem otoczona murem dziedzina wielkiego Juris Khana stawała się coraz większa. Nie minęło wiele czasu, a wędrowcy stanęli przed wysoką bramą.

– Paskudne bestie - mruknął Albord, spoglądając na dwa skrzydlate gargulce.

Teraz dobrze widzieli ich ludzkie, choć przypominające też nieco lwie, ciała i sępie łby z dziobami. Ich łapy kończyły się pazurami jak u orłów czy jastrzębi. Wielkie, nieludzkie oczy patrzyły na każdego, kto stanął tuż przed wejściem.

– To jest dom najpobożniejszych z pobożnych? - zauważył Kentril.

– Gargulce są często uważane za strażników chroniących przed Piekłem - wyjaśnił Zayl. - Te najwyraźniej mają uświadamiać wchodzącemu, że tylko ludzie o dobrych sercach mają prawo wejść do pałacu.

– Czy to oznacza, że musimy tu poczekać, kapitanie? - spytał ktoś z tyłu.

– Wchodzimy do środka wszyscy, albo nie wchodzi nikt. - Kentril przyglądał się zamkniętej bramie. - Jeśli w ogóle uda się nam wejść.

W odpowiedzi Zayl wyciągnął rękę, by to sprawdzić. Przy najlżejszym dotknięciu potężna brama otworzyła się szeroko.

– Wejdziemy? - spytał grzecznie najemników.

Kapitan zdusił dreszcz. Starożytna brama otworzyła się w idealnej ciszy, jakby została świeżo naoliwiona.

Zayl zrobił krok do przodu, a gdy nic się nie stało, wszedł na teren pałacu. Kentrilowi sukces nekromanty dodał odwagi, więc podążył za nim i nakazał swoim ludziom wejść jeden po drugim.

Następny przeszedł Albord, za nim Jodas i cała reszta. Im więcej członków drużyny przechodziło bez żadnych problemów, tym odważniejsi stawali się następni. Jeden nawet zażartował z gargulców, że przypominają mu byłą żonę. Po raz pierwszy od przebudzenia miasta ich nastroje nieco się poprawiły.

Tsin stał z tyłu, patrząc, jak kolejni najemnicy wchodzi. Gdy ostatni przeszedł przez bramę, mocno uchwycił laskę i ruszył do przodu z całą arogancją zdobywcy.

Gargulce nad bramą nagle ożyły.

Stwory rozłożyły szeroko skrzydła i wpatrzyły się kamiennymi oczami w Vizjerei. Wyciągnęły szpony do przodu. Tsin natychmiast się wycofał.

– Strażnicy mają bystry wzrok - zamruczał Zayl za plecami Kentrila.

Kapitan zignorował go, podszedł do bramy i przyjrzał się uważnie każdemu z gargulców. Gdyby nie widział tego na własne oczy, uznałby, że ktoś wymyślił tę historię nad paroma dzbanami mocnego piwa. Lekko poklepał jedną z figur swoim mieczem, ale usłyszał tylko brzęk metalu na kamieniu.

– Odsuń się, Dumon - nakazał nagle czarodziej. - Zajmę się tymi hałaśliwymi psami.

Quov Tsin skierował czubek laski na gargulca po lewej. Mówiąc, jednocześnie machał drugą ręką nad drewnem, sprawiając, że część wyrzeźbionych na nim run zaczęła się złowieszczo jarzyć.

Zayl dołączył do Kentрила.

– To może nie być najmądrzejsze zachowanie, kapitanie Dumonie.

Najemnik musiał się zgodzić.

– Nie rób tego, Tsin. Tylko pogorszysz sytuację.

– I mówi to człowiek, który wcześniej pragnął mojej magicznej pomocy? - zaszydził Vizjerei. - Te bestie nie utrzymają mnie na zewnątrz!

Kentрил szybko przeskoczył przez wejście, blokując drogę Tsinowi. Vizjerei cofnął się o krok, ale nie opuścił laski.

– Stań obok mnie - nakazał kapitan. - Trzymaj się blisko, a może uda nam się uniknąć niepotrzebnych kłopotów.

– Co masz zamiar zrobić?

– Rób, co mówię, Tsin!

Gdy Kentрил zaczął zbliżać się do bramy, stanął przed nim Zayl.

– Jeśli nalegasz, by to zrobić, potrzebujesz kogoś innego niż Vizjerei do obserwowania drugiego gargulca. - Mocno trzymał sztylet z kości słoniowej. - Pomogę ci.

– Nie potrzebuję żadnej... - zaczął czarodziej.

– Cicho, Tsin! - Może i pracodawca był czarodziejem, ale kapitan Dumon zaczynał go mieć serdecznie dosyć. Zayl pomógł tam, gdzie Tsin nie potrafił, co mówiło dużo o obu mężczyznach.

Trzymając między sobą małą postać, Kentril i nekromanta zaczęli zbliżać się do bramy. Gargulce pozostały bez ruchu, niczym zwyczajne kamienne rzeźby. Towarzysze nie zauważyli żadnego ożywienia.

Postawiwszy jedną nogę na terenie pałacu, Kentril odetchnął lekko. Jego pomysł zdawał się działać. Ponieważ czarodziej ukrył się między dwoma wyższymi mężczyznami, strażnicy zdawali się go nie zauważać.

– Jeszcze tylko dwa kroki...

Gdy Tsin zaczął przekraczać próg, gargulec przed Kentrilem ożył nagle, zaczął machać skrzydłami i ryczeć głośno.

Za sobą Kentril usłyszał bliźniaczy krzyk, co było wystarczającym dowodem, że Zayl również musi stawić czoła nagle ożywionej bestii.

Łeb zbliżył się do niego i stwór zaczął dziobać powietrze na lewo od wojownika. Miecz kapitana znów zadźwięczał o marmur, ale gargulec przynajmniej się wycofał. Nekromanta zaczął wypowiadać słowa w jakimś nieznanym języku, a chwilę później kapitana zaskoczył błysk w kącie oka.

Pierwszy gargulec wykorzystał jego zaskoczenie, by znów zaatakować, ale ponownie próbował ominąć najemnika. *Chce Tsina!*, uświadomił sobie Kentril. *Próbuje uniknąć walki ze mną! Chce tylko jego!*

Przerażające szpony minęły jego ramię i próbowały pochwycić niewielkiego czarodzieja. Vizjerei odepchnął je swoją laską. Gdzie tylko drewno dotknęło kamienia, pojawiały się iskry.

– Tsin! - zawołał Kentril. - Teraz masz szansę! Skacz...

W tej właśnie chwili znów zaczęła rozbrzmiewać muzyka fletu, dochodząca, jak się zdawało, ze wszystkich stron naraz. Kentril zamknął usta i zaczął się zastanawiać, co zapowiada powrót dziwnej melodii.

Muzyka miała zaskakujący wpływ na gargulce. Ten przed kapitanem zamarł w połowie ataku, po czym spojrzał w górę. Zaskrzeczał raz i szybko usadowił się w pierwotnej pozycji. Kentril patrzył, jak szybko znikają wszelkie pozory życia i gargulec zmienia się w kamiennego strażnika.

– Niesamowite - zauważył Zayl.

Kentril odwrócił głowę i ujrzał, że przeciwnik nekromanty też powrócił na swoje miejsce.

Nie było wątpliwości, że to muzyka ich uratowała i kapitan miał szczerzy zamiar wykorzystać to nagłe szczęście.

– Ruszaj, Tsin!

Vizjerei nie potrzebował więcej zachęty. Już postawił jedną stopę na dziedzińcu starożytnego pałacu, a gdy Kentril i Zayl zdecydowali się za nim podążyć, pomachał do nich ze środka.

Muzyka nadal grała...

– Dochodzi ze środka - nalegał Vizjerei, zdecydowany wejść. - Chodźcie za mną.

Usłyszeli śmiech Zayla.

– To rzeczywiście odważny człowiek, chce wejść tam, gdzie wyraźnie nikt go nie chce!

Kentril spojrzał na nekromantę, ale Zayl zachowywał się, jakby nic nie mówił, a kapitan musiał przyznać, że głos brzmiał inaczej. Nie przypominał też żadnego z podkomendnych kapitana.

Nikt inny najwyraźniej nie usłyszał głosu. Albord i pozostali czekali na jego rozkazy. Tsin już wyrwał się do przodu, a Kentril z jakiegoś powodu nie chciał, żeby Vizjerei odszedł za daleko. Coś mówiło mu, że powinien uważać na niskiego, aroganckiego mężczyznę. Gargulce pilnowały wejścia z jakiegoś powodu i zareagowały tylko na Tsina... nie Zayla, choć tego można było oczekiwać. To nie wróżyło dobrze.

Podążając za dźwiękiem fletu, drużyna dotarła do wejścia - do wysokich, dwuskrzydłowych drzwi z brązu, na których wyrzeźbiono sylwetki archaniołów dzierżących miecze. Co ciekawe, płaskorzeźby zdawały się mocno podniszczone, zaś cała reszta nietknięta.

Quov Tsin końcem laski pchnął jedno ze skrzydeł. Podobnie jak brama wejściowa, otworzyło się bezdźwięcznie. Vizjerei wmaszerował do środka z pewnością kogoś, kto powraca do własnego domu.

Po obu stronach wspaniałego korytarza oświetlonego przez żyrandol na co najmniej sto świec stały wysokie na trzy piętra, marmurowe kolumny. Podłogę pokrywała mozaikowa posadzka przedstawiająca różne dziwaczne zwierzęta w rodzaju chimery i smoków, co Kentril uznał za spory kontrast w porównaniu z archaniołami. Pomiedzy rzędami kolumn znajdowały się portrety dumnych postaci w królewskich szatach, bez wątplenia poprzednich władców Ureh.

Na końcu korytarza znajdowały się kolejne dwuskrzydłowe drzwi. Minawszy patrzące na nich portrety dawno nieżyjących władców Ureh, drużyna zatrzymała się, świadoma, że dźwięk tym razem zdaje się dochodzić ze środka. Drzwi ponownie ozdabiały postacie archaniołów, równie zniszczone jak te wcześniej. Tsin dotknął drzwi, ale tym razem nic się nie stało. Zayl spróbował, ale i jemu nie udało się ich otworzyć.

Kentril stanął obok czarodziejów.

– Może jest tu zamek albo...

Miał właśnie dotknąć jednej ze zniszczonych płaskorzeźb, gdy nagle oba skrzydła drzwi się otworzyły. Trzej mężczyźni cofnęli się, czując przypływ chłodnego powietrza z ciemnej komnaty przed nimi.

Z początku nic nie widzieli, ale później muzyka przyciągnęła ich uwagę do samego końca komnaty, gdzie zauważyli słabą lampkę... a obok niej

starszego mężczyznę w białych szatach, siedzącego na krześle z wysokim oparciem.

Mężczyzna pochylił się do przodu, jakby nie zauważył ich przybycia. Oczy Kentrila na tyle przyzwyczały się do mroku, że najemnik zauważył siedzącą na podłodze obok mężczyzny szczupłą postać w kapturze, z fletem na wysokości warg.

– Znowu duchy - zamruczał Albord.

Choć mówił szeptem, obie postacie w środku zareagowały tak gwałtownie, jakby żyrandol spadł na ziemię i z hałasem roztrzaskał się na marmurowej posadzce. Zakapturzona postać przestała grać, podniosła się i znikła w ciemnościach jednym płynnym ruchem. Patriarcha uniósł wzrok i, ku zdziwieniu wszystkich, przywitał ich, jakby przez ten cały czas ich oczekiwał.

– W końcu przybyliście, przyjaciele - powiedział cichym głosem, który zdawał się nieść ze sobą moc całej armii.

Quov Tsin, który nigdy nie znosił ceremoniałów, chyba że dotyczyły jego własnej wielkości, postukał laską w posadzkę i ogłosił - Jestem Quov Tsin! Czarodziej wewnętrznego kręgu, wysoce wtajemniczony, mistrz...

– Wiem, kim jesteś - odrzekł poważnie stary mężczyzna. Potem spojrzał na Kentrila i pozostałych, a choć dzieliła ich spora odległość, kapitan czuł się, jakby stał tuż przed mężczyzną, który widział każdą jego myśl i uczucie. - Wiem, kim wszyscy jesteście, przyjaciele.

Zayl stanął przed czarodziejem. Twarz miał tak przepełnioną uczuciem, że zaskoczyło to wszystkich wokół, szczególnie Kentrila. Wszyscy zdążyli się przyzwyczać do tego, że nekromanta doskonale kontroluje swoje emocje i nic, nawet królestwo duchów, nie wywołuje u niego większej reakcji. Nawet wyraz jego twarzy, gdy po raz pierwszy ujrzeli pałac, nie mógł równać się z obecnym.

– A czyja mam rację, szlachetny panie, czy mam rację, myśląc, że też cię znam?

Odziana na białą postać uznała to za niemal zabawne. Mężczyzna oparł głowę na dłoni.

– A znasz mnie?

– Czy nie jesteś... czy nie jesteś wielkim Juris Khanem?

Ich gospodarz skrzywił się lekko.

– Tak... tak, jestem Juris Khan.

– Wszyscy święci! - wyszeptał jeden z najemników.

– Kolejny duch! - warknął inny.

Kentril uciszył najemników machnięciem ręki. Spojrzał na Tsina, szukając potwierdzenia tych słów, a choć czarodziej nic nie powiedział, pożądlivy wyraz jego twarzy mówił wszystko.

Choć wydawało się to niemożliwe, odnaleźli Juris Khana, gwiazdę przewodnią królestwa uważanego za najświętsze ze wszystkich... i człowieka, który powinien być martwy tak samo jak przerażające duchy, które ich tu zagoniły.

Zagoniły?

– On to zrobił - poinformował Kentril pozostałych, zbliżając się do siedzącej postaci. - Nakazał im zmusić nas do przybycia tutaj. To on zwabił nas w pułapkę, z której jedyna droga prowadziła do jego pałacu.

Jeśli spodziewał się, że władca Ureh odrzuci te oskarżenia, Juris Khan bardzo go zaskoczył. Władcza postać podniosła się z siedzenia, ukryła dłonie w obszernych rękawach szaty i z żalem pochyliła głowę.

– Tak, jestem za to odpowiedzialny. To ja sprawiłem, że zostaliście zmuszeni do przybycia do mnie... ale tylko dlatego, że ja nie mogłem przyjść do was.

– Co za bzdurne... - Kapitan Dumon nie dokończył, ponieważ w tym momencie Khan uniósł szatę na tyle, by ukazać stopy.

A raczej miejsce, gdzie powinny się znajdować.

Stopy władcy Ureh tuż nad kostkami wtapiały się w przednie nogi krzesła tak doskonale, że nikt nie był w stanie twierdzić, gdzie kończy się ciało, a zaczyna drewno.

Juris Khan opuścił szatę i szczerym tonem poprosił - Mam nadzieję, że mi wybaczyacie.

Nawet Tsin nie był w stanie tego zignorować.

– Ale co to znaczy? Co ze ścieżką do Niebios? Legendy twierdzą...

– Legendy twierdzą wiele rzeczy - przerwał mu Zayl. - A wiele z nich okazuje się być fałszem.

– Nasza jest najbardziej fałszywa ze wszystkich - wyszeptał głos z ciemności.

Juris Khan wyciągnął dłoń w ciemność i uśmiechnął się do znajdującej się tam osoby.

– Są tym, na co wyglądają. Możesz bezpiecznie wyjść.

Z cieni wyłonił się flecista, już bez skrywającego twarz kaptura. Kentril uświadomił sobie, że luźna szata skrywała kobietę. Młodą i bardzo piękną kobietę o skórze gładkiej niczym alabaster, oczach świecących jak szmaragdy nawet w słabym świetle lampki i pochodni, włosach bardziej jeszcze rudych niż u kobiet z jego ojczyzny i wschodnich rysach świadczących dobitnie, że pochodzi z tej odległej krainy.

– Przyjaciele... oto moja córka, Atanna.

Atanna. To imię zapadło głęboko w serce doświadczonego wojownika. Atanna, najpiękniejsza z pięknych kobiet, które kapitan Dumon miał okazję poznać. Atanna, anioł wśród śmiertelnych...

Atanna... twarz z broszy.

SZEŚĆ



– Zostaliśmy zdradzeni - powiedział im Juris Khan, gdy już Atanna wręczyła każdemu puchar z winem. - Zdradzeni przez kogoś, komu wszyscy ufali.

– Gregusa Maziego - wtrąciła jego córka, sadowiąc się na podłodze obok Kentрила. Kobieta napotkała spojrzenie kapitana i na chwilę jej szmaragdowe oczy o migdałowym kształcie zapłonęły, potem jednak temat rozmowy przygasił ich blask. - Gregus Mazi... mój ojciec niegdyś nazywał go bratem braci.

– Siedział po mojej lewicy, a dobry kapłan Tobio po mej prawicy. - Siwowłosy władca odchylił się do tyłu, a w dłoniach trzymał kielich. - To im powierzyłem wspaniałe zadanie urzeczywistnienia wizji. To im powierzyłem błogosławione zadanie doprowadzenia nas do schronienia w Niebiosach.

Najemnicy i dwaj czarodzieje siedzieli na podłodze przed uwięzionym monarchą, każdy z winem i owocami podanymi przez piękną, zwinną Atannę. Po całym rozlewie krwi i strachu drużyna z radością przyjęła gościnnie lorda Khana. Poza tym mężczyźni oczekiwali odpowiedzi na wiele pytań, a kto mógł ich udzielić, jeśli nie legendarny władca świętego królestwa?

Juris Khan miał nawet wygląd przywódcy. Stojąc, był równie wysoki co Kentрил i niemal równie szeroki w barach. Jak na kogoś tak posuniętego w latach, miał młodzieńczy wygląd i osobowość, nie wykazywał też słabości.

Choć czas nie ominął jego rysów, silna szczeka, królewski nos i przenikliwe zielone oczy nadawały mu władczy wygląd. Nawet długie, siwiejące włosy nie postarzały go, lecz raczej świadczyły o jego mądrości.

Rozważając słowa gospodarza, Kentril skrzywił się.

– Ale legendy mówią, że Mazi został pozostawiony przez pomyłkę i spędził całe lata, próbując do was dotrzeć...

Juris Khan westchnął.

– Legendy to zwykle więcej fikcji niż prawdy, przyjacielu.

– Więc nie dotarliście do Niebios? - spytał Tsin, który już wypił większość wina. - Zaklęcie nie zadziałało? .

Kapitan miał wrażenie, że Vizjerei był raczej rozczarowany nieudanym zaklęciem niż poruszony losem nieszczęsnych mieszkańców Ureh.

– Nie. Zostaliśmy uwięzieni w limbo, w pół drogi między ziemią a naszym wspaniałym celem... i to wszystko z powodu zła jednego, człowieka.

– Gregusa Maziego - powtórzyła Atanna, spuszczać wzrok.

Kapitan Dumon nagle zapragnął ją pocieszyć, ale zdusił w sobie to pragnienie.

– Co zrobił?

– Gdy nadszedł czas rzucania zaklęcia - wyjaśnił monarcha - Tobio uświadomił sobie, że słowa nie brzmią odpowiednio. Ich znaczenie zostało odwrócone i stały się zaproszeniem nie do Niebios... ale do najgłębszych Piekieł!

Kentril spojrzał na Zayla, który wsłuchiwał się uważnie w słowa króla. Nekromanta pokiwał głową.

– Przy niektórych rodzajach zaklęć subtelna zmiana znaczenia pojedynczych słów zupełnie zmienia efekt. Zaklęcie leczące może jeszcze bardziej zranić albo nawet zabić.

– Gregus nie chciał nas tylko zabić - wyszeptał Juris Khan. -Chciał przekląć nasze dusze... i prawie mu się to udało.

Kapitan pomyślał o tym, że siedząca obok niego kobieta mogła trafić do królestwa Diabła i zadrżał. Gdyby tylko miał możliwość, chwyciłby ohydneho Gregusa Maziego za szyję i skrzył ją tak, żeby czarodziej był w stanie zobaczyć własne pięty.

– Udałoby mu się - dodała Atanna, czerwieniąc się lekko pod spojrzeniem kapitana Dumona - gdyby nie mój ojciec i Tobio.

– Próbowaliśmy ponownie wypowiedzieć już wypowiedzianą inkantację, odwrócić to, co zostało odwrócone, i tak zamiast w Niebiosach czy Piekło wylądowaliśmy pośrodku nicości, beczasowej krainie, z której nie byliśmy w stanie się wydostać.

Quov Tsin stwierdził z prychnięciem - Powinniście stamtąd ponownie rzucić zaklęcie! Dla grupy dobrze wyuczonych Vizjerei nie byłoby to najmniejszy kłopot, nie mówiąc już...

– Nie było to takie proste, przyjacielu, bo to samo zaklęcie zabiło kapłanów i magów. - Łagodne zwykle rysy władcy stężały. - Gregus starannie wszystko zaplanował. Jedna linijka została tak zmieniona, że szybko wyssała siłę życiową z każdego nucącego zaklęcie oprócz Tobia i mnie. Nasza siła i wiedza nas uratowały, ale byliśmy słabi. Co gorsza, bez pozostałych nie mieliśmy mocy, by ponownie rzucić zaklęcie.

Choć Juris Khan i arcykapłan nie byli w stanie ponownie rzucić zaklęcia, udało im się przynajmniej wygnać Gregusa Maziego. Ta bitwa kosztowała Tobia życie, ale odesławszy zdradzieckiego czarodzieja, nie pozwolili mu dopełnić przerażającego planu wysłania Ureh do Mrocznej Trójcy.

I tak oto królestwo i jego mieszkańcy unosili się pośrodku nicości, w beczasie... aż nadeszła chwila, gdy świat ponownie się zmaterializował. Świat w głębokim cieniu.

– Nikt, kto przeżył całe życie w Ureh, nie pomyliłby z niczym cienia wielkiej góry Nymyr, który zawsze rzucała na nasze królestwo. Wierząc, że nasze przekleństwo nagle przestało działać, około czterdziestu ludzi, nie myśląc, wybiegło przez bramę. Chcieli tylko poczuć słońce i łagodny wietrzyk... - Khan, bledszy nawet niż nekromanta, przechylił się do tyłu. - A otrzymali tylko straszliwą śmierć.

Wybiegli na słońce i w ten sposób przypieczętowali swój los. W chwili, gdy dotknęło ich światło, zapłonęli. Jak kawałki górskiego lodu rzucone na rozgrzane do czerwoności kowadło, nieszczęśni mieszkańcy Ureh dosłownie się stopili, a ich krzyki jeszcze odbijały się echem od murów, gdy oni sami już zmienili się w kałuże, które szybko wyparowały. Niektórym udało się cofnąć z krawędzi światła do cienia góry, ale w ten sposób tylko przedłużyli swoją agonię, bowiem to, co zostało dotknięte, płonęło nadal. W końcu ci, którym udało się zatrzymać na czas, byli zmuszeni do zabicia krzyczących, cierpiących, na wpół pożartych ofiar.

Atanna dołała Kentrilowi wina i uśmiechnęła się do niego lekko. W tym samym czasie jednak po jej policzkach spływały łzy. Uniosła swój nietknięty kielich i ciągnęła dalej wstrząsającą opowieść ojca.

– Nie doceniliśmy potworności Gregusa Maziego. Ten ohydny wąż sprawił, że przestaliśmy być częścią świata śmiertelnych. Co gorsza, zaczęliśmy się obawiać, że kiedy cień zniknie i słońce dotknie naszych domów, wszystkim z nas przytrafi się to samo.

Następnego ranka jednak zdarzyło się coś, co przerażeni mieszkańcy z początku uznali za cud, gdyż kiedy pierwsze promienie słońca pojawiły się nad horyzontem, świat zaczął blednąć.

Po raz kolejny nicość limbo przyjęła miasto i jego mieszkańców.

Wszyscy zgadzali się, że dopóki nie zostanie znalezione rozwiązanie, wygnanie jest lepsze niż straszliwa śmierć, którą ponieśli niektórzy.

Mieszkańcy zwrócili się do swego błogosławionego przywódcy, Juris Khana, pewni, że w jakiś sposób znajdzie drogę do wolności. Wielu uznało nawet ratunek przed palącym słońcem za znak, iż Niebiosa ich nie porzuciły. Jakimś sposobem Ureh albo powróci do świata śmiertelnych, albo dokończy podróż do świętej krainy.

– A ja po wielu badaniach stwierdziłem - wyjawiał ojciec Atanny - że istnieje sposób, by przynajmniej bezpiecznie zakotwiczyć nas w świecie śmiertelnych, ponieważ również stwierdziłem, że kiedyś tam znów wrócimy. Z pomocą mojej wspaniałej córki - uśmiechnął się z miłością do rudowłosej kobiety - która ma wiele talentów, udało mi się stworzyć dwa niezwykle, magiczne klejnoty.

Juris Khan podał Atannie swój kielich i na oczach gości narysował palcem w powietrzu ognisty krąg. Pośrodku owego kręgu ukazywały się na przemian dwa obrazy - bładny kryształ migoczący jak lód, na który padł promień słońca, i jego smoliście czarny bliźniak. Nigdy nie istniały tak idealne klejnoty, więc kapitan Dumon i jego ludzie zarazem podziwiali je i pożąдали ich.

– Klucz Cienia - powiedział Khan, wskazując na czarny. - Klucz Światłą - dodał, ukazując ponownie przezroczysty. - Jeden umieszczony pod Ureh, w najgłębszych jaskiniach, drugi na szczycie Nymyru, aby pochwycić tam pierwsze promienie słońca. Razem miały związać cień nad nami, utrzymywać go na tym samym miejscu przez cały czas, abyśmy mogli tu pozostać, szukając jednocześnie sposobu ostatecznej ucieczki.

Gdy więc Ureh ponownie zjawiało się w świecie śmiertelnych - tak, jak przewidział to Juris Khan - zaczęto realizację planu. Znalezione ochotników, dziesięciu dzielnych ludzi. Pięciu posłano pod ziemię, aby znaleźli najciemniejsze z ciemnych miejsc, gdzie najsilniej działał cień. Druga piątka zaczęła wspinać się na szczyt Nymyru, aby umieścić klejnot

na miejscu wskazanym przez, władcę. Oprócz Klucza Światła nieśli specjalne szczypce, by uniknąć niebezpiecznego słońca. Gdy obie drużyny wyruszyły, wszyscy odczuli przypływ nadziei, bo zdawało się, że nadeszła odpowiedź na modlitwy ludu.

Niestety, nikt nie spodziewał się powrotu Gregusa Maziego.

Należy założyć, że podejrzewał albo nawet wyczuł obecność tych, których wiele lat wcześniej zdradził. Gdy Ureh po raz kolejny pojawiło się w cieniu, zepsuty czarodziej już czekał na jego granicy. Odkrył próbę uratowania królestwa i szybko podążył za tymi, którzy wspinali się na górę. Tam słowami mocy sprowadził błyskawicę, która zniszczyła szczyt i zabiła całą piątkę.

Dokonawszy tego, Gregus Mazi w tajemnicy wkradł się do pałacu dawnego władcy i zaskoczył Khana.

– Ledwie uniosłem głowę, a on już zaatakował. Gdy próbowałem wstać, by stawić mu czoło, odkryłem, że stałem się jednym z krzesłem, a ono z kolei z pałacem. „Będziesz tu tak siedział i przez wieczność rozważał swoje porażki, mój panie”, zaśmiała się ta bestia. „A teraz przypieczętuję los twego ukochanego królestwa, niszcząc klejnot w podziemiach tak, jak zrobiłem to z pierwszym.”

Mężczyzna przeczesał dłonią siwe włosy. Łza spłynęła po jego policzku.

– Zrozumcie, przyjaciele, kochałem Gregusa jak syna. Był taki moment, kiedy myślałem... - Spojrzał na Atanę, która się zaczerwieniła. Siedzący obok niej Kentril poczuł nieuzasadnioną zazdrość. - Ale to nic. Liczy się, że unieruchomił mnie, żebym nie mógł za nim podążyć, gdy on ruszy zniszczyć nadzieje wszystkich, którzy na mnie liczyli.

Gregus Mazi nie docenił jednak swego dawnego władcy. Owszem, był osłabiony. Owszem, w pułapce. Ale Khan miał jeszcze jedno źródło siły. Miał swój lud i jego miłość. Wykorzystał to, czerpiąc moc z całego Ureh.

Gdy zaatakował sztydzącego Gregusa Maziego, zrobił to z mocą nie jednej osoby, ale tysięcy.

– Przyznaję - wyszeptał zmęczony monarcha, przymykając oczy z żalem.
- Zaatakowałem z gniewem, zaatakowałem z nienawiścią, zaatakowałem grzesznie... ale zaatakowałem też z radością i zdecydowaniem. Gregus Mazi nie miał szans.

Po zdrajcy nie pozostało ciało, które można by pochować lub spalić. Tylko kilka smużek dymu znaczyło odejście tego, który przeklął Światło wśród światła. Niestety, choć potwór zapłacił za to, co uczynił, ponownie skazał ukochane królestwo Juris Khana na straszliwe wygnanie. Bez kryształu na szczycie Nymyru Ureh nie miało kotwicy, która zatrzymałaby je w prawdziwym świecie. O świecie następnego dnia całe miasto ponownie znalazło się w limbo, tym razem bez nadziei.

– Widzicie, nie mogłem ponownie stworzyć kryształów - przyznał Khan.
- Ich stworzenie wymagało składników już dla mnie niedostępnych. Co gorsza, zostałem uwięziony w tej komnacie i nie byłem w stanie się uwolnić, choć próbowałem ze wszystkich sił. Musiałem polegać na opiece kochającej córki.

Choć jednak Juris Khan pozostał uwięziony, nie poddał się. Wszystkie księgi, zwoje i talizmany, które znaleziono, przynoszono do niego. On badał wszystkie zaklęcia z nadzieją, że kiedy królestwo znów wróci do świata śmiertelnych, znajdzie jakąś pomoc. W tych rzadkich chwilach, gdy Ureh rzeczywiście się tam pojawiał, wykorzystywał kamienie widzenia do poszukiwania pomocy wśród tych, którzy znaleźliby się w pobliżu.

I tak tym razem odkrył obecność Kentрила Dumona i pozostałych, i to już w samym mieście.

– Nie możecie sobie nawet wyobrazić mojej radości, gdy was ujrzałem! Odważni poszukiwacze w samym sercu mojego królestwa! Wiedziałem, że

nie mogę utracić tej szansy, naszej jedynej nadziei. Musiałem sprowadzić was do mnie!

Kentril ujrzał oczami duszy legiony widmowych postaci prowadzących ich od ulicy do ulicy.

– Mogłeś wybrać lepszy sposób...

– Mój ojciec zrobił to, co mógł - wtrąciła przeproszająco Atanna. - Nie mógł przyjść do was. Musiał to zrobić.

– To był twój lud? - spytał Zayl tonem wskazującym, że już zna odpowiedź. - Są jak umarli... choć nimi nie są.

Pan Ureh ponuro pokiwał głową.

– Uwięzienie pomiędzy Niebiosami a Piekłem ma swoją cenę. Nie jesteśmy już całkiem żywi ani też całkiem martwi. Atanna, ja i ci, którzy służą w zamku, mniej ucierpieliśmy, gdyż pomogły nam zaklęcia, które chronią i wiążą to miejsce, ale i my w końcu tacy się staniemy, jeśli ktoś nam nie pomoże.

– Ktoś - wyszeptała rudowłosa piękność, spoglądając na Kentrila.

– Ale co mamy zrobić? - spytał ją dowódca najemników.

Jej uśmiech ogrzał jego serce.

– Możecie umieścić Klucz Światła na swoim miejscu.

– Umieścić kryształ? - warknął Quov Tsin. - Powiedziałeś, że został zniszczony!

Khan grzecznie skinął głową.

– Tak myśleliśmy. Tak sądził Gregus Mazi. Ale pewnego razu, gdy szukałem pomocy u podobnych wam, odkryłem, że Klucz Światła nie został zniszczony wraz ze szczytem góry. Miast tego siła wybuchu przerzuciła go na drugą stronę Nymyru.

Niewysoki czarodziej potarł brodę.

– A wy go nie odzyskaliście? Z pewnością w nocy, gdy wszystko jest w ciemnościach...

– Ale nie w cieniu. Tego pierwszego razu, gdy znów pojawiliśmy się w ojczyźnie, wieczorem po śmierci pierwszych ofiar, wysłałem mały oddział, by rozejrzał się wokół i sprawdził, co się wydarzyło. Pod osłoną nocy nie powinno być to trudne zadanie. Szukałem tylko wiedzy, nadziei, że w okolicy jest jakaś osada. - Odsłonił zęby. - W chwili, gdy pierwszy człowiek wyszedł poza miejsce, gdzie w dzień sięgał cień Nymyru, spłonął.

Atanna ułożyła dłoń na ręce Kentрила, wzrokiem błagając go o zrozumienie i wsparcie.

– Jesteśmy naprawdę w pułapce, kapitanie. Nasz świat kończy się tuż za murami miasta. Gdybym postąpiła choćby cal dalej, ryzykowałabym stopieniem ciała i wypaleniem kości.

Kapitan Dumon nie mógł walczyć z tymi oczami, z tą twarzą. Położył dłoń na jej dłoni i spojrzał na Juris Khana.

– Czy możemy dotrzeć do kryształu? Czy możemy na czas umieścić go na swoim miejscu?

Rysy starego mężczyzny rozświetliła nadzieja.

– Zrobicie to dla nas? Pomóżecie nam? Jeśli to zrobicie, obiecuję królewską nagrodę dla każdego z was!

Jodas zakrzusił się swoim winem. Nastroje wojowników poprawiły się. Zadanie wydawało się trudne, ale możliwe do wykonania i bardzo opłacalne. Wszyscy wojownicy zgłosili się na ochotnika, tylko Tsin i Zayl milczeli.

– Nie wszyscy musimy iść - powiedział Kentрил swoim ludziom. - Gorst, ciebie na pewno potrzebuję. Jodas, ty się dobrze wspinasz. Brek, Orlif, też idziecie z nami. Albord, ty dowodzisz resztą.

Niektórzy z pozostałych zaczęli narzekać, ale Khan uciszył ich stwierdzeniem - Jeśli tego dokonacie, wszyscy dostaną swoją część nagrody, obiecuję.

Kentril ponownie zapytał o czas i gdzie mogą odnaleźć klejnot. W odpowiedzi na pierwsze pytanie Juris Khan zapewnił go, że jeśli wyruszą w ciągu godziny, wystarczy im czasu. Ścieżka wycięta przed wiekami w zboczu góry powinna im pomóc.

W odpowiedzi na drugie pytanie, władca Ureh poprosił córkę o przyniesienie szkatułki. Chwilę później, gdy Atanna powróciła z niewielką srebrną skrzyneczką, Khan wręczył kapitanowi niewielki klejnot o niezwyklej jasności, na którego szczycie wypisano pojedynczą runę.

– Ten fragment pozostał po ukształtowaniu kamienia. Runa wiąże go z resztą. Trzymaj go przed sobą, a on wskaże ci drogę.

– Powinniście teraz wyruszyć - poinformowała ich jego córka. Znów dotknęła ręki Kentrila. - Ruszajcie z moim błogosławieństwem.

Zayl stanął naprzeciw niego.

– Kapitanie Dumonie, chciałbym wyruszyć z wami. Moje umiejętności mogą okazać się użyteczne, poza tym znam okolicę. To wszystko nieco przyspieszy, tak sądzę.

– Mądra rada - stwierdził Juris Khan. - Dziękuję ci.

– Cóż, jeśli on idzie, nie będziecie mnie potrzebować na tej lodowatej górze - rzucił Tsin. - Wolę tu poczekać.

Ich gospodarz zaakceptował również tę decyzję.

– Uczynisz mi przysługę, pozostając tutaj, mistrzu czarodzieju. Być może, jeśli mi pomożesz, uda mi się uwolnić od złego zaklęcia Gregusa. Otrzymasz wszystkie księgi, zwoje i inne dzieła zebrane w moim zamku, abyś zaczął poszukiwania, a jeśli przywrócisz mi wolność, będziesz mógł zatrzymać te, których zapragniesz.

Jeśli wspomnienie złota i klejnotów poruszyło ludzi Kentrila, wspomnienie magicznej wiedzy miało taki sam wpływ na Vizjerei.

– Jesteś... jesteś niezwykle hojny, lordzie Khanie.

– Oddałbym wszystko, by skończyć ten koszmar - odpowiedział stary mężczyzna, spoglądając na kapitana Dumona. - Nieprawdaż, Atanno?

– Wszystko - zgodziła się, także patrząc na Dumona.



Mały klejnot rozjarzył się, co było zachęcającą oznaką.

Kentril szybko zacisnął dłoń, żeby nie zgubić kamienia, i umieścił go w tej samej sakiewce, w której trzymał broszę. Nie powiedział Atannie o swoim znalezisku, ale obiecywał sobie, że odda broszę właścicielce, kiedy już umieszczą Klucz Światła na swoim miejscu.

Juris Khan dał im dokładne instrukcje, co mają zrobić, kiedy już odnajdą magiczny klejnot. Kentril wiedział, gdzie ma go umieścić, żeby nie tylko nie zrzucił go wiatr, ale też kamień uchwycił pierwszy blask słońca. Tylko dokładnie wypełniając polecenia, miał szansę powstrzymać Ureh - i Atannę - przed zniknięciem z jego życia.

Pięciu mężczyzn wspinało się po zboczu góry. Choć ścieżka została porządnie wycięta, czas nie pozostał na nią bez wpływu. Musieli przeskakiwać nad pęknięciami czy wspinać się na kamienie. Raz Orlif poślizgnął się, ale Gorst i Jodas chwycili go, nim mu się coś stało.

Ku zaskoczeniu najemników Zayl okazał się świetnym przewodnikiem. Gdy twierdził, że zna okolicę, mówił prawdę. Wprawdzie nigdy nie wspinał się na sam szczyt Nymyru, ale zdawał się wyczuwać, jak ukształtowana jest góra.

Kentril podążał z pochodnią w ręku za Zaylem, co oznaczało, że gdy ostry, lodowaty wiatr wydymał szatę nekromanty, kapitan mógł przyjrzeć

się tajemniczej sakiewce. Coś w jej zawartości nadal go denerwowało. Czuł niemal, jakby sakiewka na niego patrzyła. Ten pomysł wydał się Kentrilowi śmieszny, ale wciąż miał uczucie, że ktoś go obserwuje.

– Tam są głazy, nad którymi musimy przejść - poinformował go Zayl.

– Gorst. - Potężny wojownik, teraz odziany w prosty płaszcz, ruszył do przodu z liną. Z pomocą Kentрила zamocował ją, a potem wszyscy mężczyźni wspięli się na szczyt.

Gdy już przeszli, Kentril zarządził przerwę i znów sprawdził klejnot. Tym razem płonął on tak jasno, że kapitan niemal spodziewał się ujrzeć Klucz Światła na skalnej półce przed nimi.

– Musi być blisko - mruknął.

– Tak, mamy szczęście - odrzekł blady czarodziej. - Juris Khan spodziewał się, że kamień spadł o wiele dalej.

– Jak sądzisz, ile czasu jeszcze mamy?

Zayl spojrział na nocne niebo. Minęło kilka godzin, nim udało im się dotrzeć do tego miejsca. Cień Nymyru został pochłonięty przez ciemność nocy już jakiś czas temu.

– Wystarczająco dużo, jeśli niedługo znajdziemy Klucz. Wspinaczka po tym zboczu góry jest łatwiejsza niż od strony Ureh.

Ruszyli dalej, zaciskając zęby i walcząc z zimną nocą. Kentril ponownie wyjął kamień, poprawiając ich trasę.

Kilka minut później niemal potknęli się o magiczny klejnot.

Ziemia i kamień, być może efekty morderczego zaklęcia Gregusa Maziego, niemal całkowicie przykryły artefakt. Dopiero gdy Kentril zrobił kółko* pragnąc sprawdzić, dlaczego wydawało się, że nie powinni iść dalej, i kopnął kilka luźnych kamieni, odkrył błyszczącą krawędź.

Choć jedynym oświetleniem były ich słabe pochodnie, Klucz Światła płonął jak maleńka gwiazda. Zayl pochylił się i wykopał kamień.

Doskonale ukształtowany klejnot leżał idealnie w jego dłoniach.

– Musi być wart fortunę - mruknął brodaty Brek. - Jak myślisz, kapitanie, ile byśmy za niego dostali?

– Od Ureh na pewno dostaniemy więcej, niż moglibyśmy zyskać na sprzedaniu go - odrzekł Kentril, patrząc ze złością na najemnika. Myśl o zdradzeniu Atanny napełniała go gniewem.

Zayl postanowił ich uspokoić.

– Nikt nawet nie pomyślał, by zrobić coś innego, niż zaplanowaliśmy, kapitanie. Teraz musimy się spieszyć, bo świt nadchodzi coraz szybciej.

Nekromanta niosący artefakt ruszył przodem, a wszyscy podążyli za nim. Gorst umocował po drodze liny i od czasu do czasu służył jako przeciwwaga, gdy musieli przeskoczyć z jednej strony jakiejś szczeliny na drugą. Kentril uświadomił sobie, że wspinaczka jest łatwiejsza, niż oczekiwał. Góry w jego ojczyźnie sprawiłyby mu więcej trudności. Gdyby nie fakt, że mieszkańcy Ureh musieli pozostać w cieniu tego właśnie szczytu, z łatwością polepszyliby swoją sytuację.

W końcu przybliżyli się do szczytu. Gdy zatrzymali się na szerokiej półce, Zayl podał Klucz Światła Kentrilowi.

– Kapitanie?

– O co chodzi, Jodas?

– Co stanie się z resztą oddziału, jeśli nie umieścimy tego czegoś na swoim miejscu? Chłopaki znikną razem z tamtymi?

Kentril przeniósł wzrok na Zayla, który wzruszył ramionami i powiedział - Lepiej, żebyśmy się tego nie dowiedzieli.

Po krótkich poszukiwaniach kapitan Dumon i nekromanta uznali to samo miejsce za najbardziej odpowiednie dla kamienia. Niestety, aby tam dotrzeć, konieczna była niebezpieczna wspinaczka po zdradzieckim zboczu, na wysokość ponad trzystu stóp. Choć był to zaledwie fragment samego

szczytu Nymyru, obaj zgodzili się, że zgodnie z obliczeniami Khana będzie to najlepsze miejsce.

– Sam to zrobię - powiedział Kentril pozostałym.

Gorst jednak nawet nie chciał o tym słyszeć. Choć do tej chwili głównie milczał, propozycja Kentrila wywołała jego sprzeciw.

– Będziesz potrzebował zakotwiczenia. Obwiążemy się liną w pasie. Jeśli upadniesz, ja cię złapię, obiecuję.

Kentril wiedział, że kłótnia nie ma sensu i pozwolił olbrzymowi towarzyszyć sobie we wspinaczce. Właściwie to nawet czuł się pewniej, wiedząc, że Gorst jest z nim. W wielu bitwach walczyli ramię przy ramieniu i zawsze mogli na sobie polegać. Jeśli mógł komuś zaufać w takiej sytuacji, to tylko Gorstowi.

Kentril mocno zacisnął zęby i zaczął wspinaczkę. Po całkiem łatwej wędrówce i niezbyt trudnych poszukiwaniach artefaktu, ten ostatni fragment drogi groził zaprzepaszczeniem wszystkiego, co osiągnęli. Wiatr wydawał się sto razy silniejszy, a Kentril nigdzie nie mógł znaleźć pewnego chwytu. Ze strachu, że zatrzymanie się będzie oznaczać poślizgnięcie się i zabójczy upadek, szedł coraz szybciej i szybciej, modląc się, by dotrzeć do szczytu, zanim skończy mu się szczęście.

Gorst zdawał się mieć naturalne zdolności do wspinaczki, jak do wszystkiego innego, i bez trudu dotrzymywał mu kroku. Kentril wyobrażał sobie, jak jego przyjaciel gołymi rękami wyrywa sobie uchwyty w kamieniu. W sumie lepiej by było, gdyby potężny najemnik sam poszedł na szczyt, ale wtedy to kapitan by się sprzeciwił.

Palce Kentrila dosięgły w końcu górnej krawędzi. Mężczyzna musiał ponowić chwyt, gdy palce ześlizgnęły się po lodzie, ale potem udało mu się bez trudu podciągnąć. Rozejrzał się po okolicy. Miejsce było na tyle duże,

że mogli na nim stanąć czterej ludzie i bez wątpienia to właśnie je jako pierwsze dotknie pocałunek słońca.

Gorst wspiał się za nim ze zręcznością kozicy. Gęste włosy wpadały mu na twarz. Potężny najemnik uśmiechnął się szeroko do Kentрила.

Kapitan Dumon wyjął artefakt z sakiewki. Rozejrzał się uważnie, nie chcąc, by Klucz Światła spadł ze swojego miejsca w chwili, gdy najemnicy powrócą do Ureh.

– Tam? - zaproponował Gorst.

„Tam” okazało się niewielkim kamiennym występem w kształcie przewróconej misy. Był on zwrócony w odpowiednią stronę i pasował do opisu Juris Khana, ale niestety, kamień nie do końca się na nim mieścił.

Kentрил wyjął sztylet i zaczął nim uderzać w wybranym miejscu. Musi tylko usunąć trochę zamrożonej ziemi, a będzie mógł umieścić bezpiecznie artefakt i wynieść się z tego lodowatego miejsca.

Sztylet powoli wgryzał się w zamrożoną ziemię. Kawałki kamienia i twardej ziemi leciały na boki...

Ostrze zatrzymało się na czymś białym. Kentрил zaczął nad tym pracować, próbując usunąć przeszkodę.

Zaklął. Przy pomocy sztyletu odkrył kość. Nie miał wątpliwości, że należała ona do jednego z pięciu nieszczęśników, którzy zostali zamordowani przez Gregusa Maziego. Teraz przeznaczenie sprawiło, że martwy czarodziej znów przeszkadzał w planach uwolnienia Ureh od przekleństwa. Choć Kentрил próbował ze wszystkich sił, nie był w stanie wykopać kości, a żadne inne miejsce na szczycie Nymyru się nie nadawało.

– Ja spróbuję. - Gorst zajął miejsce Kentрила i wyciągnął własne ostrze. Wielu mężczyznom sztylet olbrzymia mógł służyć jako krótki miecz. Gorst wykorzystał swoją niezwykłą siłę i udało mu się osiągnąć sukces tam, gdzie kapitan musiał się poddać.

W końcu duża część kości, najprawdopodobniej przedramienia, została odsłonięta. Gorst chwycił ją wielką ręką i zaczął ciągnąć. Potężny wojownik stękał z wysiłku, a mięśnie i żyła na szyi zaczęły pulsować. Zamarznięta ziemia wokół kości popękała...

Kość wyszła z ziemi.

Gorst poleciał do tyłu z okrzykiem zaskoczenia i poślizgnął się na lodzie. Zaczął zsuwać się w stronę zbocza.

Kentril wepchnął artefakt w powstałą dziurę, otoczył ramieniem występ i zaparł się o niego. Drugą ręką chwycił linę łączącą go z Gorstem i pociągnął z całej siły.

Głowa i ramiona drugiego najemnika już znalazły się poza krawędzią. Gdy jednak lina napięła się, Gorst przekreślił się na bok, tak że jedna z jego nóg znalazła się po drugiej stronie, ale za to mógł chwycić się jedną ręką.

Sapiąc, Kentril ciągnął z całej siły, walcząc z wyczerpaniem i sporą wagą Gorsta. Ramię, którym otoczył występ, trzeszczało z bólu, ale się nie poddawał.

Gorstowi nie udało się pierwsza próba znalezienia uchwytu, a w trakcie poszukiwań niemal wyleciał poza krawędź. Uratował go przed tym Kentril, z trudem równoważąc znacznie większy ciężar najemnika.

Przy drugiej próbie Gorstowi udało się uchwycić wystających z lodu kamieni. Mężczyzna bardzo ostrożnie wspiął się w bezpieczne miejsce, tym razem dysząc ciężko z wysiłku.

– Klucz - zawołał do Kentrila.

– Na swoim miejscu. - O ile jakiś czarodziej po raz kolejny nie zniszczy szczytu, pozostanie na swoim miejscu przez jakiś czas. Juris Khan twierdził, że nawet podczas deszczowych czy śnieżnych dni artefakt jakimś sposobem będzie wypełniał swe zadanie.

Klucz Światła zamigotał nagle, zupełnie jakby budził się do życia. Przez chwilę Kentril zastanawiał się, jaka wewnętrzna magia mogła to sprawić, ale wówczas uświadomił sobie, że nie tylko klejnot wyglądał na jaśniejszy, ale też i dokładniej widział otoczenie.

Obejrzał się przez ramię.

Udało im się rzeczywiście w ostatniej chwili.

Nadszedł świt.

Artefakt zapłonął jak same słońce, wydając się pochłaniać całe oświetlenie z otoczenia. Kentril przyglądał mu się jeszcze przez chwilę, po czym ruszył na drugą stronę lodowatego szczytu Nymyru.

Światło dnia zbliżało się do miejsca, gdzie znajdowało się Ureh. W pewnej odległości dżungla zdawała się otwierać zielony namiot. Bliżej, kamieniste tereny prowadzące do legendarnego królestwa nabierały kształtów.

A Ureh?

Gdy kapitan mu się przyglądał, słońce dotknęło miasta w miejscu, gdzie Atanna modliła się o jego sukces. Słońce dotknęło miejsca, gdzie dotychczas chronił ją cień.

W końcu jednak słońce przegrało... i otoczone murami miasto wznosiło się dumnie w nieprzeniknionym i nieprawdopodobnym cieniu góry.

SIEDEM



Powracającą drużynę powitała muzyka, tym razem pełna radości i życia. Grały nie tylko flety, ale też i rogi, lutnie oraz bębny. Gdy Kentril i pozostali weszli do miasta, usłyszeli wesołe głosy i zauważyli krążące po ulicach światła.

Głęboki cień nadal otaczał królestwo, ale jego ulic nie przepełniało już uczucie beznadziei.

Atanna niemal natychmiast się z nimi spotkała. Jej oczy stały się dla Kentrila całym światem, a jej głos, gdy im dziękowała, znów poruszył jego serce i duszę.

– Chciałabym, żebyście coś zobaczyli, nim pójdziemy do mojego ojca - powiedziała od razu. Wziąwszy kapitana za rękę, poprowadziła ich do balkonu, z którego mogli widzieć niemal całe miasto. Atanna ręką wskazała na Ureh, pokazując Kentrilowi owoce jego sukcesu.

Wszędzie na ulicach świętowali ludzie... żywi ludzie.

Byli wszędzie. Nie przypominali bladych duchów z poprzedniego wieczora, lecz byli żywymi, oddychającymi ludźmi w luźnych, kolorowych szatach, bardziej przypominających ubiory mieszkańców pustynnego Lut Gholein, niż surowe, formalne stroje zwykle widywane w Kedzystanie. Śmiali się, tańczyli, śpiewali, robili wszystko to, co zwykli ludzie.

– Ładnie - stwierdził Gorst, uśmiechając się na widok zabaw.

Kapitan Dumon spojrział na gospodynię, samą w sobie stanowiącą cudowny widok.

– Nie rozumiem. Ci ludzie...

– Stało się to w chwili, gdy słońce nie dotknęło naszego królestwa. Nie tylko utrzymał się cień, ale i też Ureh zdaje się nabierać materialności. Nie jesteśmy jeszcze częścią świata, ale zbliżyliśmy się do tego bardziej niż kiedykolwiek!

Nekromanta przybliżył się do nich.

– Magia to dziwna i kapryśna istota, kapitanie. Może władca tej krainy będzie w stanie wyjaśnić ten cud.

Kentril pokiwał głową.

– Nie każmy mu i pozostałym dłużej czekać.

Atanna nie puściła jego dłoni, a on jej do tego nie zmuszał. Pospieszyli pałacowymi korytarzami, które jak wszystko inne wydawały się zmienione w sposób niezauważalny na pierwszy rzut oka.

Żyrandole i lampy oliwne świeciły jaśniej, o to Kentril mógł się założyć. Do tego wrażenie śmierci i rozkładu, jakiego doświadczyli przy pierwszej wizycie, zostało zastąpione przez siłę i nowe życie.

Podobnie jak po ulicach chodzili ludzie z krwi i kości, tak w korytarzach znajdowały się cielesne postacie okryte błyszczącym metalem. Żołnierze odziani od szyi do stóp w kolczugi i zbroje płytowe, noszący na głowach kapaliny, salutowali najemnikom i Atannie. Ich wąskie oczy i blada cera przypominały Kentrilowi Zayla i najemnik zaczął się zastanawiać, czy przodkowie nekromanty nie pochodzili przypadkiem z Ureh.

Inni ludzie mijali ich, gdy zbliżali się do komnaty Khana. Nosili szaty urzędników z błękitnymi lub czerwonymi szarfami. Na ich widok każdy wykonywał elegancki ukłon. Dworzanie również oddawali im cześć - mężczyźni klękali na jedno kolano, a kobiety dygały. Brek prawie się zatrzymał, pragnąc zaczepić jedną z dam, ale Gorst uderzył go lekko w tył głowy, poganiając wojownika.

Drzwi otworzyły się - miejsce, które wcześniej znajdowało się w ciemnościach głębszych nawet niż cień spowijający miasto, teraz błyszczało od złota i klejnotów.

Ściany komnaty pokryły się warstwą złota. Każdy segment otaczały spirale, a pośrodku znajdowały się reliefy. Aby podkreślić figury i wzory, wprawiono w nie klejnoty o różnych barwach, odcieniach i stopniach przejrzystości. Ukończenie tej niezwykłej dekoracji prawdopodobnie zajęło rzemieślnikom wiele lat, ale efekt wart był czasu i wysiłku.

Gdy weszli do środka, przywitała ich straż honorowa w pełnej gali. Dwudziestu mężczyzn natychmiast stanęło na baczność z włóczniami zwróconymi w sufit. Na drugim końcu komnaty, gdzie kończył się zaczynający się przy drzwiach gruby, szkarłatny chodnik, radosny Juris Khan oczekiwał na przybyłych. Albord i pozostali wydawali się równie zadowoleni z powrotu Kentrila co władca Ureh, i w sumie czemu nie? Powodzenie oznaczało, że wszyscy opuszczą okryte cieniem królestwo obładowani tyłoma skarbami, ile im się tylko uda unieść.

Nigdzie jednak nie widzieli Tsina. Przypominając sobie, że Vizjerei miał pomóc ich gospodarzowi w uwolnieniu się od klątwy, Kentril założył, że brodaty czarodziej już zabrał się za przeglądanie bogatych zbiorów Khana. Tym lepiej, jeśli chodziło o zdanie kapitana. Po pierwsze, Tsin zrobi w końcu coś pożytecznego, a po drugie, nie będzie im się pętał pod nogami.

- Przyjaciele! - zawołał z radością siwowłosy monarcha. - Dobrzy i wierni przyjaciele! Macie zapewnioną wdzięczność całej krainy! Daliście Ureh szansę odrodzenia się w sposób, o jakim nawet nie marzyliśmy! - Wskazał na komnatę, strażników, nawet na dworzaków za drzwiami. - Owoce waszego wysiłku już dojrzewają. Przynieśliście do miasta życie! Mieszkańcy pragną uczcić nie tylko odrodzenie, ale też i tych, którzy je przynieśli.

– Kapitanie Kentrilu Dumonie - ciągnął dalej Khan, opierając dłonie na kolanach i uśmiechając się łaskawie. - Ty i twoi ludzie... i ty, mistrzu Zaylu... jesteście gośćmi w moim pałacu. Zebranie waszych nagród zajmie kilka dni, ale tymczasem wszystko, czego zapragniecie w Ureh, należy do was.

Kentril pomyślał o zabawie w mieście.

– Czy moi ludzie mogą opuścić pałac, jeśli zechcą?

– Myślę, że mój lud tego zażąda! - Juris Khan spojrział na najemników. - W pałacu są dla was miejsca do spania, ale poza tym nie musicie tu pozostawać. Wiem, że na zewnątrz czeka na was muzyka, jedzenie i inne rozrywki, przyjaciele! Jeśli chcecie, ruszajcie z moim błogosławieństwem, a gdy będziecie mieli dość, możecie wrócić tutaj!

Kapitan skinieniem głowy udzielił pozwolenia. To właśnie pragnęli usłyszeć Albord i pozostali. Klepiąc się po plecach i rozmawiając ze sobą wesoło, wyszli z komnaty, a każdy przechodząc, salutował Kentrilowi.

– Wy też możecie iść - poinformował kapitan Jodasa i tych, którzy się z nim wspinali.

Mężczyźni szybko dołączyli do towarzyszy. Gdy Gorst zebrał się do wyjścia, kapitan zawołał go do siebie.

– Przypilnuj ich choć trochę, jeśli możesz - poprosił zastępcę. - Upewnij się, że mimo wszystko nie nadużyją cierpliwości naszych gospodarzy, co?

Gorst wyszczerzył się szeroko.

– Przypilnuję ich, kapitanie, obiecuję.

Pozostał tylko Zayl, a choć kapitan Dumon czuł się w jego towarzystwie lepiej niż na początku, nadal pragnął, by blady nekromanta znalazł sobie coś do roboty. Atanna wciąż trzymała Kentrila za rękę i kapitan miał nadzieję, że nie będzie miała nic przeciwko jego zalotom.

Jakby czytając mu w myślach, Zayl nagle ogłosił - Wielki władco Ureh, za pozwoleniem, chciałbym udać się do Vizjerei i sprawdzić, czy nie potrzebuje przypadkiem mojej pomocy.

- Na pewno zostanie to docenione, przyjacielu. Jeden ze strażników cię zaprowadzi.

Nekromanta uklonił się głęboko i wycofał się, pozostawiając Kentrila z córką Juris Khana.

Jej ojciec uśmiechnął się do nich.

- Atanno, jestem pewien, że kapitan czuje głód. Zadbaj, by go zaspokoił.

- Jak sobie życzysz - odpowiedziała, schylając lekko głowę.

Atanna wyprowadziła Kentrila z komnaty i poprowadziła go korytarzem, którym wcześniej nigdy nie szedł. Nie puściła go ani na chwilę, a on wcale nie próbował wyrwać ręki. Jeśli o niego chodzi, mogliby przejść razem całe królestwo wzdłuż i wszerz.

- Tak wiele uczyniłeś dla nas, dla mnie - powiedziała, gdy zostali sami. - Nie wiem, jak ci dziękować, kapitanie.

- Kentrilu. Mam na imię Kentril, pani.

Uśmiechnęła się do niego.

- Kentril. Oczywiście w zamian musisz mi mówić Atanna.

- To dla mnie zaszczyt. - Skrzywił się. - Czy Ureh jest rzeczywiście bezpieczne? Czy rzeczywiście pokonaliśmy zaklęcie Gregusa Maziego?

Jej uśmiech nieco zbladł.

- Zakotwiczyliście nas w tym świecie. Nie możemy wyjść poza cień, ale istnieje nadzieja, że wkrótce nam się to uda. Kiedy już mój ojciec zostanie uwolniony od drugiego zaklęcia, może sprawdzić niektóre swoje pomysły. Nekromanta i czarodziej mogą okazać się bardzo pomocni.

- Lepiej niech ktoś pilnuje starego Tsina. Nie jest najuczciwszym Vizjerei na świecie.

– Mój ojciec czyta w ludziach jak w otwartej książce, Kentrilu. Lepiej o tym pamiętać.

Na korytarzu nagle zrobiło się nieznośnie gorąco. Kapitan zastanawiał się, jak zmienić tok rozmowy... i w końcu przypomniał sobie o broszy.

– Pani... Atanno, muszę ci się przyznać, że kiedy ujrzałem cię z lordem Khanem, nie po raz pierwszy zobaczyłem twą twarz.

Zaśmiała się cicho, a brzmiało to jak muzyka.

– A ja myślałam, że uwiodłam cię od pierwszego wejrzenia! Zauważyłam, że zareagowałeś silniej niż towarzysze. - Atanna przechyliła głowę. - Powiedz mi więc. Skąd o mnie wiedziałeś?

– Dzięki temu. - Wyjął broszę.

Atanna westchnęła, gdy ją ujrzała. Wzięła ją z jego dłoni i przeciągnęła palcem wskazującym po swoim portrecie.

– Tak dawno! Tak dawno jej nie widziałam! Gdzie ją znalazłeś?

– W ruinach, w środku miasta...

– Zabrał ją - powiedziała rudowłosa kobieta tonem tak ponurym, że Kentril zadrżał lekko. - Gregus. Zabrał ją.

– Ale dlaczego?

– Ponieważ mnie pożądał, Kentrilu, pożądał mnie z całego serca i duszy. Kiedy odkrył, że Ureh powróci, gdy cień Nymyru dotknie miasta w określony sposób, przybył nie tylko po to, by dokonać tego, czego nie udało mu się wcześniej, ale i by wziąć mnie jako łup!

Najemnik nieświadomie opuścił dłoń na rękojeść miecza. Atanna zauważyła to i zarumieniła się lekko.

– Chciałbyś być moim obrońcą, Kentrilu? Gdybyś tylko był tutaj za pierwszym razem... Wiem, że nie pozwoliłbyś mu uczynić z Ureh tego, co z nim uczynił. Wiem, że zabiłbyś tego potwora dla nas... dla mnie.

Chciał ją przytulić, ale powstrzymał się w ostatniej chwili. Nie mógł jednak powstrzymać się przed powtórzeniem - Zrobiłbym dla ciebie wszystko.

Zarumieniła się jeszcze bardziej... co tylko dodało jej uroku. Atanna z powrotem położyła broszkę na jego dłoni.

– Weź ją i potraktuj jako prezent ode mnie. Niech to będzie znak mojej wdzięczności... i względów.

Próbował się odezwać, podziękować jej, ale nim zdążył się poruszyć, córka Juris Khana stanęła na palcach i pocałowała go.

Wszystko inne na świecie straciło znaczenie.



Zayl odczuwał wyjątkowy niepokój. Czuł się tak od dłuższego czasu, niemal od chwili, gdy wraz z pozostałymi spotkał Juris Khana. To, że nikt inny tego nie zauważył, dobrze świadczyło o umysłowych i fizycznych zdolnościach nekromanty. Trwający właściwie przez całe życie trening dał Zaylowi niemal pełną kontrolę nad każdym aspektem jego istnienia. Niewiele rzeczy mogło wytrącić go z równowagi.

Tak właśnie działało na niego coś w Ureh i jego mieszkańcach. Na powierzchni Zayl nie widział nic, co mogłoby mieć taki wpływ. Khan i jego lud znaleźli się w trudnym położeniu, padli ofiarą zaklęcia spalonego przez zepsutego czarodzieja. Pragnął pomóc im tak samo jak kapitan Dumon, choć w wypadku najemnika wiązało się to z piękną córką władcy Ureh, zaś Zayl pragnął przywrócić równowagę, która została w tak szalony sposób naruszona. Okropność, jakiej dopuścił się Gregus Mazi, mogła zagrozić całemu światu, gdyż kiedy niewinni cierpieli tak jak mieszkańcy tego miasta, Piekło rosło w siłę.

Gregus Mazi...

– Jesteśmy na miejscu, panie - powiedział towarzyszący Zayłowi strażnik.

– Dziękuję. Nie będę już cię potrzebował.

Blady nekromanta wszedł do środka. Zgodnie ze swą prośbą, został zaprowadzony do biblioteki, gdzie Juris Khan przechowywał największe księgi magiczne, święte dzieła, zwoje i artefakty. W czasach świetności królestwa setki uczonych, podążających zarówno teologiczną, jak i mistyczną ścieżką wiedzy, przebywały w tym obszernym pomieszczeniu, przeglądając wysokie do sufitu regały w poszukiwaniu zgromadzonych przez stulecia tajemnic i prawd.

Teraz tylko jeden niski mężczyzna pochylał się nad wielką, butwiejącą księgą, niemal tak ogromną jak on sam. Wchodząc, Zayl słyszał, jak Vizjerei mruczy do siebie.

– Ale jeśli ta runa tutaj oznacza moc słońca, a ten fragment tu odnosi się do Oka Hesta...

Vizjerei nagle podniósł wzrok, po czym spojrział przez ramię w stronę nekromanty.

– Mistrzu Tsinie - przywitał Zayl czarodzieja.

Niski, brodaty mężczyzna prychnął na widok nowo przybyłego i wrócił spojrzeniem do księgi.

– Jak idą badania?

Nie patrząc na Zayla, Tsin odrzekł poirytowanym głosem - Idą powoli, gdy młodociani kretyńscy ciągle je przerywają swoją gadaniną!

– Może połączenie naszych wysiłków...

Teraz stary Vizjerei spojrział na nekromantę, a jego oczy płonęły wściekłością.

– Jestem czarodziejem pierwszej wielkości. Nie nauczę się od ciebie niczego.

– Chciałem tylko...

– Czekaj! Właśnie przyszła mi na myśl rzecz, którą możesz dla mnie zrobić.

Zayl skrzywił się podejrzliwie.

– Tak?

– Możesz natychmiast opuścić tę bibliotekę i nie zbliżać się do mnie - odrzekł Vizjerei jadowitym tonem. - Kalasz powietrze, którym oddycham.

Szare oczy, nekromanty napotkały srebrnoszare oczy Tsina. Vizjerei i sługa Rathmy mieli wspólnych przodków, ale żaden z czarodziejów nie przyznałby, że taka więź krwi istnieje. Obie strony dzieliła przepaść niemal tak szeroka jak między Niebiosami a Piekłem i przepaści tej żaden z nich nie miał zamiaru zasypać.

– Jak sobie życzysz - odrzekł blady mag. - Nie chciałbym zbyt denerwować kogoś w tak poważnym wieku. Mogłoby się to okazać niebezpieczne dla jego zdrowia.

Quov Tsin odwrócił się z parsknięciem. Zayl zrobił podobnie, opuścił bibliotekę i ruszył opuszczonym korytarzem.

Nie miał ochoty na kłótnie z Vizjerei, nawet w drobnych kwestiach. Nekromanta miał szczerzy zamiar mu pomóc, by przyspieszyć uwolnienie Juris Khana.

Istniały jednak pewne zaklęcia i badania, którymi Zayl mógł się zająć sam, sposoby, których bardziej materialistyczny Tsin nigdy by nie zaakceptował. Ci, którzy podążali ścieżką Rathmy, często odnajdywali to, co inni czarodzieje przeoczyli. Byłoby ironią losu, gdyby Zayl szybko odkrył to, nad czym tak trudził się drugi mag. Tsin z całego serca pragnął ksiąg magicznych i artefaktów, które obiecał mu Juris Khan. Nie zniósłby, gdyby to Zayl otrzymał nagrodę.

– Zayl, chłopcze! Muszę ci coś powiedzieć!

Mężczyzna położył dłoń na wypchanej sakiewce, próbując zagłuszyć głos, który nie chciał się dać zagłuszyć. Choć mówił właściwie szeptem, nekromancie zdawało się, że głos odbija się echem w pustym korytarzu.

– Zayl...

– Cicho, Humbart! - wyszeptał. Rozejrzał się wokół i zauważył wejście na balkon. Blady mężczyzna szybko i cicho wyszedł na zewnątrz.

Z dołu dochodziły odgłosy zabawy. Zayl odetchnął. Tutaj nikt nie usłyszy jego rozmowy z czaszką.

Nekromanta wyjął pozostałości Humbarta Wessela z sakiewki i spojrzał ostro w puste oczodoły.

– Kilka razy niemal się ujawniłeś, Humbart, a to oznaczałoby dla mnie kłopoty! My z trudem zdobywamy zaufanie ludzi, ale łatwo je tracimy. Ci, którzy nie rozumieją prawdy Rathmy, wierzą w kłamstwa.

– Takie jak wskrzeszanie umarłych?

– Czego chcesz, Humbart?

– Gregus Mazi - odpowiedziała czaszka, a jej oczodoły niemal zdawały się zwęzać.

Te słowa przyciągnęły uwagę Zayla.

– Co z nim?

– Chyba nie uwierzyłeś w te bzdury na temat starego Gregusa, co? - szydził Humbart. - Gregusa, który tak bardzo pragnął dołączyć do swoich przyjaciół w Niebiosach, że modlił się każdego ranka i wieczora, a przez większość dnia płakał?

Spoglądając z góry na jasno oświetlone miasto, nekromanta rozważał wszystko, co powiedziano na temat czarodzieja. Słyszając wyjaśnienia Juris Khana, Zayl więcej niż raz zastanawiał się nad brakiem zgodności z opowieścią Humbarta Wessela, ale uznał, że władca Ureh z pewnością lepiej znał Maziego.

– Czarodzieje, szczególnie ci w rodzaju Vizjerei, potrafią być bandą kłamców i oszustów. Mazi cię oszukał, Humbart.

– Gdyby mnie oszukał, chłopcze, miałbym nadal dwie nogi, dwie ręce i wszystkie kości między nimi... i to ładnie pokryte ciałem! Stary Gregus był rozdarty, od początku winił się, że nie był wystarczająco dobry i modlił się o zbawienie. Nie był potworem ani zepsutym czarodziejem, mówię ci!

–Ale Juris Khan...

– Albo został oszukany, albo łże jak pies. Przysięgłbym na mój grób, a wiesz, że jest to przysięga, której dotrzymam.

Teraz Zayl w pełni zrozumiał swoją wcześniejszą niepewność. W przeszłości słyszał od czaszki fragmenty opowieści o wydarzeniach dziejących się na granicy królestwa cienia, gdy Humbart Wessel i jego ludzie patrzyli, jak Gregus Mazi biegnie w stronę miasta duchów. Czarodziej uniósł ramiona wysoko do Niebios i głośno dziękował za drugą szansę. Gdy tylko Humbart wspominał czarodzieja, zawsze mówił o nim jak o człowieku pragnącym się odkupić i udowodnić, że jest godny.

Zupełnie nie przypominał bestii, jaką opisali Juris Khan i jego córka.

– Co proponujesz? - mruknął nekromanta.

– Dowiedz się prawdy u źródła, oczywiście!

Zayl otworzył szeroko usta.

– Gregus Mazi?

Nigdy nie wpadł na pomysł, by wezwać ducha zmarłego maga. W przeszłości wydawało się to niemożliwe, gdyż wszelkie ślady mężczyzny znikły z powierzchni ziemi razem z legendarnym królestwem, teraz jednak Zayl znajdował się w tym królestwie.

Pozostał jeszcze jeden problem. Wedle Juris Khana Mazi został całkowicie zniszczony, a jego cielesna postać spalona. Bez skóry, włosów,

krwi czy kawałka znoszonego ubrania, nawet tak bardzo uzdolniony nekromanta jak Zayl niewiele mógł osiągnąć.

Mężczyzna powiedział to Humbartowi, co wywołało jego ostrą i sarkastyczną odpowiedź.

– Czy z nas dwóch tylko ja mam jeszcze mózg w głowie? Pomyśl, chłopcze! Gregus urodził się i wychował w Ureh. Mieszkał tu przez całe życie, aż do chwili rzucenia zaklęcia, które wyгнаło miasto i jego mieszkańców w nicość, a potem jeszcze wrócił. Co ważniejsze, Ureh zostało zamrożone w czasie, więc niemal się nie zmienia. Jeśli stary Gregus miał tu swój dom, założyłbym się, że można go tam znaleźć.

To, co powiedział Humbart, trzymało się kupy, a Zayl nie mógł wręcz uwierzyć, że sam na to nie wpadł. Jeśli wśród przedmiotów należących do zmarłego maga znajdzie się kawałek ubrania lub przedmiot przez niego często używany, może to wystarczyć, by przywołać cień mężczyzny. Wówczas nekromanta dowie się prawdy od samego Gregusa Maziego - a może nawet znajdzie ratunek dla Ureh. Jeśli zaś Mazi okaże się potworem, jak twierdził Juris Khan, Zayl wyciągnie od niego tajemnicę zaklęcia szybciej, niż poznają Tsin, przeglądając tom po tomie w zakurzonej bibliotece.

– Musimy odnaleźć jego dom.

– Ale raczej nie możemy zapytać, co?

Zayl znów spojrzął na miasto, gdzie trwało świętowanie, i uśmiechnął się leciutko.

– Być może tak, Humbart... być może tak.



Kilka minut później owinięty płaszczem nekromanta wędrował wśród mieszkańców Ureh, wyglądając niczym wieża czerni pośród kolorowych

miejscowych, tańczących, radujących się i śpiewających przy świetle pochodni i lamp oliwnych. Konieczność palenia lamp i pochodni w samo południe była dość dziwna, ale ponieważ głęboki cień Nymyru chronił ich zarówno przed wygnaniem, jak i przed straszliwą śmiercią, mieszkańcy nie mieli zamiaru narzekać.

Paru mężczyzn koniecznie chciało uścisnąć jego dłoń lub poklepać go po plecach, zaś więcej niż jedna kusząca kobieta pragnęła mu podziękować w nawet bardziej osobisty sposób. Zayl znosił klepnięcia i grzecznie przyjmował pocałunki w policzek, ale choć nie mógł oprzeć się wpływowi ogólnej atmosfery, koncentrował się raczej na czekającym go zadaniu.

– Niech mnie, cholernie żałuję, że nie mam ciała oprócz tej popękanej czachy - zabrzmiał z sakiewki głos Humbarta. - Ech, wypić dobrego piwa, znaleźć złą kobietę...

– Cicho! - Choć wydawało się mało prawdopodobne, żeby ktoś usłyszał głos czaszki w środku zabawy, Zayl wolał nie ryzykować.

Jeden z ludzi Kentrila Dumona zataczał się ulicą, a na każdym jego ramieniu wisiała młoda kobieta. Brodaty najemnik pocałował tę odzianą w złotą szatkę bardziej pasującą do haremu, po czym zauważył patrzącego na niego nekromantę.

– Dobrze się bawisz, czarodzieju? - Mężczyzna wyszczerzył zęby i wypuszczając na chwilę kobiety, rozłożył ramiona, jakby chciał objąć całe Ureh. - To całe przekłete królestwo chce oddawać cześć nam, bohaterom!

Zayl przypomniał sobie imię ciemnowłosego najemnika. Przywołując na twarz lekki uśmiech, stwierdził - Różni się to od zwyczajowego losu najemnika, co, Brek?

– Można tak powiedzieć! - Brek otoczył ramieniem drugą kobietę, zmysłową i krągłą piękność, której jedwabna suknia niewiele ukrywała.

Wojownik położył palce jakiś cal od najwyższych z owych krągłości i pocałował ją w czoło.

Ta w złotej szacie zaczęła przyglądać się Zaylowi z podziwem. Opuszczając zalotnie rzęsy, spytała - Czy ty też jesteś jednym z bohaterów?

- Ostrożnie! - zażartował najemnik. - To nekromanta, moje panie! Wicie, wskrzesza umarłych i gada z duchami.

Jeśli Brek myślał, że to przestraszy tę dwójkę, to bardzo się pomylił. W rzeczy samej obie kobiety zaczęły uważniej przyglądać się Zaylowi, który poczuł się nagle jak związana mysz umieszczona przed dwoma głodnymi kotami.

- Czy umiesz wskrzeszać umarłych? - wydyszała pierwsza. -I duchy też?

- Pokażesz nam? - spytała druga.

- No nie, drogie panie! Od tego przewróci mu się w głowie!

Zayl potrząsnął głową.

- Nie jest to coś prostego, moje panie. Poza tym nie chciałbym psuć radosnego nastroju tego święta. W końcu przekleństwo Gregusa Maziego zostało wreszcie pokonane.

Ta w złocie straciła resztki dobrego nastroju.

- Straszny, straszny człowiek!

- O tak, zdrajca. Ureh powinno się pozbyć wszelkich śladów jego obecności. Wszystkie obrazy, pisma powinny zostać zniszczone. Nawet jego dom powinien zostać zrównany z ziemią, byście mogli zapomnieć o jego złych uczynkach... o ile oczywiście nie zagroziłoby to domostwom innych.

- Nie ma tam wiele do spalenia - odpowiedziała krągła kobieta - gdyż było we wnętrzu góry.

- Góry? Mieszkał w jaskini? Jakie to potworne!

- Była to część starego klasztoru, wybudowanego jeszcze przed miastem - wytłumaczyła. - Ale to potworne, owszem - dodała szybko. - Naprawdę potworne.

Brek miał już dość takiej gadaniny.

- Dziewczyny, może pozwolimy czarodziejowi wreszcie odejść? Jestem pewien, że sam spieszy się na jakieś spotkanie, nieprawdaż, panie?

Zayl zauważył, że najemnik pragnie jego odejścia. Nadal się uśmiechając, powiedział - Tak, w rzeczy samej, ktoś chce mnie bez zwłoki ujrzeć.

Obie kobiety się roześmiały, ale wojownik skrzywił się na żart Zayla. Nekromanta uklonił się lekko na pożegnanie i ruszył, jakby wracał do zabawy.

- Teraz już wiem, skąd wzięto się określenie „wisielczy humor” - mruknął Humbart z sakiewki.

- Chciałem tylko, żeby myśleli, że dziś mam zamiar się bawić.

- Przy pomocy takiego żartu? Jeśli chodzi o mnie, to powiedziałbym...

- Cicho. - Zayl lekko postukał w sakiewkę, żeby podkreślić swoje słowa.

Wiedział już, gdzie znaleźć dawny dom Gregusa Maziego, a tam z pewnością odnajdzie jakiś przedmiot, przy pomocy którego przyzwie ducha mężczyzny. Wówczas Zayl w końcu pozna prawdę i odkryje, która wersja faktów się zgadza.

Odkryje, dlaczego odrodzone Ureh wywołuje w nim taki niepokój.



Brek wtoczył się do domu jednej z towarzyszek z żądzą przepelniającą jego myśli. Nawet krótka przerwa na rozmowę z nekromanta nie zmniejszyła jego pożądania. Obie młode kobiety nie tylko wyglądały na chętne, ale też były o wiele ładniejsze niż te, z którymi się zwykle stykał.

Byłoby przyjemną odmianą, gdyby raz nie obudził się rano u boku jednookiego potwora o skórze twardszej niż jego buty. Brek czuł, że ma siły na więcej niż zaspokojenie obu piękności, a gdyby nawet okazało się inaczej, to jeśli one go zaspokoją, nie będzie narzekał.

Tylko słabe światełko na końcu budynku rozjaśniało otoczenie. Najemnik zatoczył się w jego kierunku, dopiero po chwili uświadamiając sobie, że już nie otacza ramionami kobiet. Gdzieś w okolicy wejścia obie znikły.

– Zaraz, zaraz, moje panie! - zawołał. - Gdzie mi uciekłyście?

– Tutaj... - zabrzmiał głos, który Brek rozpoznał jako należący do tej w złotej szatce.

Jeśli chciała być pierwsza, nie rozczaruje jej. Brek podążył w stronę głosu, wyciągając ręce przed siebie, gdy zbliżał się w stronę słabego światła.

– Już prawie... - zamruczała druga, której kształty najemnik uznał za niezwykle kuszące.

– Czyli obie chcecie wziąć sobie kawałek mnie? - Zaśmiał się. - Mnie tam to nie przeszkadza.

– Cieszymy się, że tak twierdzisz - powiedziała pierwsza, wchodząc w krąg światła.

Brek krzyknął.

Resztki włosów zakrywały wysuszoną twarz, która wpatrywała się pusto w najemnika. Usta w kształcie okręgu wypełnione były ostrymi jak igły zębami. Ciało na twarzy, która mogła niegdyś należeć do kobiety, wyschło, pozostawiając skórę tak naciągniętą, że z trudem opinała czaszkę.

Kościste palce wyciągnęły się w jego stronę. Zauważył podarte resztki złotej szaty, nim wreszcie oprzytomniał na tyle, by się ruszyć. Sięgnął po miecz, ale pochwa była pusta.

Gdzie się podziała jego broń? Powoli przypominał sobie, jak w tawernie pokazywał kobietom i innym widzom, jak walczył z piekielnym kotem. Potem była kolejka dla uhonorowania takiego bohaterstwa, a potem...

Nie zabrał pozostawionego obok krzesła miecza.

Brek cofał się ostrożnie, ale wpadł na kogoś. Obejrzał się przez ramię i ku swemu przerażeniu ujrzał kolejną trupią, wygłodzoną twarz, zmumifikowaną powłokę, która musiała być jego drugą towarzyszką.

– Wszyscy chcielibyśmy kawałek ciebie - powiedziało to coś.

Gdy mówiła, Brek uświadomił sobie obecność innych postaci poruszających się w słabym świetle, postaci o podobnych kształtach, otaczających go, wyciągających do niego ręce, wygłodzonych...

Nim go opadli, udało mu się krzyknąć jeszcze raz.

OSIEM



Kapitan Dumon zawsze sądził, że Niebiosa to miejsce pełne światła, do którego nigdy nie wkrada się mrok. Nigdy by nawet nie pomyślał, że Niebiosa mogą być krainą, którą okrywa cień, a nawet blask świtu oznacza śmierć.

Oczywiście, dla niego Niebiosami było każde miejsce, w którym mógł przebywać z Atanną.

Rozstał się z nią kilka godzin wcześniej, ale wciąż wypełniała jego serce i umysł. Od tamtej chwili Kentril tylko drzemał, ale czuł się odświeżony i bardziej żywy niż kiedykolwiek przedtem.

Wyjrzał przez okno przeznaczonego dlań pokoju i ujrzał, że w mieście nadal płoną pochodnie. Choć część jego duszy pragnęła światła dziennego, choćby po to, by mógł zauważyć upływ czasu, kapitan wiedział, że tak być nie może. Póki mieszkańcy Ureh nie będą mogli bezpiecznie stanąć na słońcu, cień musiał okrywać królestwo.

Atanna była pewna, że skoro już zakotwiczyli się w ludzkim świecie, jej ojciec znajdzie jakieś rozwiązanie. Aby jednak osiągnąć cokolwiek, musiał zostać uwolniony, a umożliwić to mógł jedynie Quov Tsin.

Kentril nigdy wcześniej nie szukał u Vizjerei pomocy. Pragnął jej, owszem, podczas walki z piekielnym kotem, ale wcale się jej nie spodziewał. Teraz modlił się, by Tsin rzeczywiście okazał się tak wielkim czarodziejem, jak twierdził.

– Kentril.

Gorst stał na baczność w drzwiach jego komnaty. Kentril zamrugał i przypomniał sobie, że każdego dnia przyjmował raport od swojego zastępcy. Oczywiście, skoro ich praca dla Quova Tsina właściwie się skończyła, kapitan o tym zapomniał. Teraz obchodziła go tylko córka Khana.

– Tak, Gorst?

– Trzech brakuje, Kentril.

– Brakuje?

– Siedmiu wróciło. - Wyszczerył się. - Byli pijani. Trzej nie wrócili.

Kapitan Dumon wzruszył ramionami.

– Wcale mnie to nie dziwi w tej sytuacji. Właściwie to jestem zaskoczony, że aż tylu wróciło.

– Mam ich poszukać?

– Nie, chyba że nie wrócą przez parę dni. Wszyscy jesteśmy tu traktowani niczym królowie, Gorst. Oni po prostu z tego korzystają, i tyle.

Ciemnowłosego wojownika zaczął się odwracać, po czym stwierdził - Jest ładniejsza niż na broszy, Kentril.

– Wiem. Gorst... Tsin wspominał coś o postępach w swej pracy? - Jeśli ktoś z nich interesował się pracą Vizjerei, to tylko wielki najemnik.

– Magik uważa, że coś ma.

To ucieszyło Kentrila.

– Gdzie mogę go znaleźć?

– Z książkami. - Gdy stało się jasne, że kapitan nie rozumie, Gorst chrząknął. - Pokażę ci.

Kentril podążył za nim przez płataninę korytarzy, aż dotarli do największego zbioru pism, jaki najemnik kiedykolwiek widział czy o którym nawet słyszał. Choć Kentril umiał trochę pisać i czytać - niewielu jego ludzi w ogóle posiadało takie umiejętności -nie potrafił sobie wyobrazić

stworzenia tak długich tekstów. Co więcej, słowa w tych księgach i zwojach miały nie tylko znaczenie, ale i moc. Te słowa miały w sobie magię.

Regały sięgały wysoko, a każdy wypełniały oprawione w skórę księgi lub mocno zwinięte pergaminy. Kapitan Dumon nie widział w nich żadnego porządku, ale jako wojskowy zakładał, że jakiś system musiał tu istnieć. Przed co drugim regałem stały drabiny z wytartymi szczeblami, a z boku ustawiono stoły i krzesła dla wszystkich korzystających ze skarbów biblioteki Ureh.

Jako najemnik, Kentril mógł również docenić wartość wielu pism zebranych w obszernym pomieszczeniu. Czarownicy tacy jak Quov Tsin sporo płacili za takie księgi, a on sam kiedyś podjął się zdobycia jednej czy dwóch, za odpowiednią zapłatą, oczywiście. Mimo to w tej chwili Kentril widział w bibliotece jedynie drogę do uwolnienia Atanny.

Teraz zobaczył coś jeszcze. Pośrodku jasno oświetlonego pomieszczenia Quov Tsin pochylał się nad księgami i zwojami i notował coś piórem, opierając palec wskazujący na szczególnie wielkim tomiszczu.

Gdy Kentril się zbliżył, Vizjerei nie podniósł wzroku. Tsin mruczał pod nosem coś niezrozumiałego, a w jego pomarszczonej twarzy było coś, co sprawiło, że twardy wojownik się zatrzymał. Już wcześniej widywał Vizjerei opanowanego przez jakąś myśl czy sprawę, ale teraz Tsin przypominał zupełnego szaleńca. Gdy pracował, jego oczy wcale nie mrugały, a spojrzenie przesuwano się wyłącznie od księgi do notatek i z powrotem. Twarz miał wyszczerzoną w grymasie, który Kentril widywał dotychczas jedynie u trupów, przez co wyglądał dość niesamowicie.

Kentril chrząknął.

Pochylona postać nie podniosła nawet wzroku i pisała dalej na pergaminie już pokrytym dużą ilością notatek.

– Tsin.

Ptasia twarz zwróciła się w jego stronę z niemal heroicznym wysiłkiem.

– *O co chodzi, Dumon?*

Jad, którym ociekała każda wypowiedziana przez Vizjerei sylaba, zaskoczył Kentrila i Gorsta. Kapitan uświadomił sobie, że jego dłoń opadła na rękojeść miecza, więc szybko ją wycofał, by Vizjerei nie poczuł się jeszcze bardziej obrażony.

– Przeszedłem, by dowiedzieć się, jak postępują prace związane z uwolnieniem lorda Khana i miasta...

– *Postępowałyby znacznie szybciej, gdyby wciąż i bezustannie nie przeszkadzali mi kretyńscy tacy jak ty!* - Quov Tsin uderzył pięścią w stół, przewracając kałamarz. Atrament popłynął po dole pergaminu i jego dłoni. Mag wydawał się nie zauważać tego, co zrobił, gdyż zajęty był wypluwaniem obraźliwych słów. - *Przychodźcie tutaj, prosicie, błagacie, gdy ja prawie dokonałem najważniejszego odkrycia! Czy wasze słabe umysły nie są w stanie pojąć wielkości tego, co pragnę osiągnąć?*

Wypuściwszy pióro, czarodziej sięgnął poplamioną atramentem dłonią po laskę. Jego oczy płonęły złością.

Kentril cofnął się jeszcze bardziej, prawie wpadając na Gorsta.

– Spokojnie, Tsin! Oszalałeś?

Vizjerei ścisnął laskę tak mocno, że aż zbieleły mu kostki. Jego srebrnoszare oczy spoglądały to na dwóch mężczyzn, to na pokryte runami drewno. Przez kilka pełnych napięcia chwil Quov Tsin najwyraźniej rozważał obie możliwości... a potem odstawił laskę i z wyraźnym wysiłkiem powrócił do pracy.

Nie patrząc na nich powiedział - *Lepiej stąd idźcie...*

– Tsin, potrzebujesz odpoczynku... a kiedy ostatnio coś jadłeś...

Czarodziej mocno zacisnął pięści. Nie podnosząc wzroku, powtórzył - *Lepiej stąd idźcie.*

Gorst wziął Kentrila za ramię i obaj wycofali się z biblioteki. Nic nie mówili, dopóki nie odeszli na kilka kroków, gdzie, jak mieli nadzieję, Tsin nie mógł ich usłyszeć.

– Czy zachowywał się tak, gdy ostatnio go widziałeś?

– Nie... w każdym razie nie aż tak, Kentril.

– Wiedziałem, że stary mag ma paskudny charakter, ale on miał zamiar nas zabić. Widziałeś to, prawda?

Olbrzym spojrzał na niego ponuro.

– Widziałem.

– Chyba powinienem porozmawiać z Juris Khanem. Nic dobrego z tego nie wyniknie, jeśli stary Tsin nagle dostanie ataku szału. Może zrobić komuś krzywdę.

– Może po prostu potrzebuje snu.

Kentril skrzywił się.

– Jeśli ktoś jest w stanie go do tego zmusić, to tylko Khan. Widziałeś, jak mnie wysłuchał.

– Chcesz, żebym go przypilnował? - spytał Gorst.

– Tylko jeśli będziesz to robił z bezpiecznej odległości. Ale nie zabieraj się za to od razu. Niech na godzinę czy dwie znów zatopi się w robocie. Tak będzie lepiej.

Gdzieś w pałacu zaczął grać flet. Nagle Kentril stracił całe zainteresowanie wysokimi przeklętego Vizjerei. W pałacu Khana tylko jedna osoba grała na flecie.

– Może jeśli najpierw porozmawiam z Atanna, ona będzie umiała wytłumaczyć to ojcu. - Kapitan nie potrafił się powstrzymać przed wypowiedzeniem tych słów. - Tak, to będzie najlepsze rozwiązanie.

Na szeroką twarz Gorsta powrócił uśmiech.

– Pewnie tak.

Kentril poczuł, że się rumieni. Odwrócił się i miał zamiar ruszyć, ale powiedział jeszcze - Uważaj na siebie, Gorst.

Uśmiech pozostał.

– Ty też, Kentril.

Flet grał nadal tę samą melodię, którą usłyszeli za pierwszym razem. Kapitan Dumon podążał za muzyką przez wiele wijących się korytarzy. Przez jakiś czas wydawało mu się, że powtarza drogę do biblioteki. W końcu dotarł nie do jakiegoś balkonu czy jednej z wielkich komnat, ale do otwartej bramy prowadzącej na duży wewnętrzny dziedziniec, pośrodku którego znajdował się ogród.

Słowo „ogród” nie było chyba najlepszym określeniem. Przed weteranem rozciągał się miniaturowy las - a właściwie dżungla. Egzotyczne drzewa i inne rośliny, których Kentril w życiu nie widział, nawet podczas podróży przez Kedzystan, rosły wysokie i silne. Ciemna zieleń, żywy szkarłat, jasna żółć i ognisty pomarańcz ozdabiały ogród w niezwykle sposób. Mężczyzna widział zwieszające się pnącza i olbrzymie kwiaty, niektóre większe od jego głowy. Kentril nie wątpił, że w takim ogrodzie rzeczywiście można się zgubić.

A obok prowadzącej w głąb ogrodu ścieżki, na kamiennej ławce siedziała Atanna i grała na flecie. Powiewna jedwabna suknia z długą, lecz wąską spódnicą w jakiś sposób bardziej podkreślała, niż ukrywała jej szczupłą, lecz jednocześnie kobiecą sylwetkę. Długie, rude włosy zwieszały się po lewej stronie twarzy, sięgając aż po wyjątkowo atrakcyjny dekol. Z początku go nie zauważyła, ale kiedy poruszony widokiem skierował się w jej stronę, nagle uniosła wzrok.

Jej oczy były tak przepełnione uczuciem, że Kentril nie wiedział, co ze sobą zrobić. Atanna zareagowała, odłożyła flet i podeszła do niego.

– Kentril! Mam nadzieję, że dobrze spałeś.

– Bardzo dobrze. Pięknie grasz, Atanna.

Skromnie spuściła wzrok.

– Ja tak nie uważam, ale mój ojciec podziela twą opinię.

Nie wiedząc, co ma powiedzieć, kapitan spojrział na ogród za jej plecami.

– W tym zamku nigdy nie wiadomo, czego się spodziewać.

– Podoba ci się? To moje ulubione miejsce. Spędziłam tu większość życia... i większość wygnania.

– Jest... wyjątkowy.

Atanna przyciągnęła go do siebie.

– Musisz lepiej mu się przyjrzeć!

Mimo fantastycznych kolorów kwiatów i niektórych roślin, ogród wyglądał raczej złowrogo, czego Kentril tak naprawdę nie zauważył, póki gospodyni nie poprowadziła go ścieżką. Nagle wrażenie piękna i cudowności ustąpiło niepokoju. Teraz ogród przypominał mu raczej dżunglę, przez którą musiał przebijać się z oddziałem i która zabrała czterech jego ludzi.

– Co się stało? - spytała córka Juris Khana.

– Nic. - Zacisnął zęby i szedł dalej. To nie była ta sama niebezpieczna dżungla. To był tylko fantastyczny ogród wybudowany dla władcy krainy. Jakie niebezpieczeństwo może się czaić w zamkniętej przestrzeni?

– Uwielbiam to miejsce - zamruczała. - Dzięki niemu mogę uciec ze świata, w którym jestem zamknięta, ono pozwala mi wyobrazić sobie, że jestem gdzieś daleko, w innej krainie, i właśnie mam spotkać przystojnego nieznajomego.

Kentril chciał coś powiedzieć, ale uznał, że nie może zaufać swojemu językowi. Ledwo w to wierzył. Żadna kobieta nigdy go tak nie zmieszała.

Szerokie liście roślin ocierały się o ich ramiona, a od czasu do czasu pędy pnączy zwieszały się nad ich głowami. Ścieżka pod ich nogami miała

udawać naturalną, najprawdopodobniej pokryto kamień warstwą piasku czy miękkiej ziemi.

Z każdym krokiem robiło się coraz ciemnie}, aż nie widział ani początku ścieżki za nimi, ani jej końca. Teraz rzeczywiście czuł się, jakby znalazł się z powrotem w dżungli.

Towarzyszka zauważyła jego nagły niepokój.

– Drżysz!

– To nic takiego, pani.

– Masz mi mówić Atanna - powiedziała z udawaną złością. - Czy to nic dla ciebie nie znaczy?

Pochyliła się do przodu i pocałowała go. Wszelkie niepokoje związane z otoczeniem znikły nagle. Kentril otoczył ją ramionami i odpowiedział namiętnie.

Wówczas poczuł coś na szyi, powolny lecz nieustanny ruch niczym robaka czy gąsienicy. Jednak to, co łąziło po jego skórze, miało odnóża ostre niczym igły.

Nie mogąc tego znieść, kapitan Dumon odepchnął Atannę i spróbował pochwycić istotę. Gdy jednak zbliżył dłoń, stwór nagle znikł, jakby spadł.

– O co chodzi? - spytała niepewnie Atanna.

– Coś na mnie spadło! Wydawało mi się, że ma małe miecze na końcu każdej nogi i łązi po mnie!

Nawet w ciemności dość dobrze widział jej twarz. Atanna zmarszczyła twarz, zastanawiając się, ale nie mogła mu udzielić odpowiedzi.

– Chcesz, żebyśmy wyszli?

Ból ustąpił, a Kentril nie chciał wydawać jej się tchórzliwy czy głupi, szczególnie że chodziło o owada.

– Nie, chodźmy dalej.

Przeszli kilka kroków i znów zaczęli się całować. Atanna położyła głowę na jego piersi i powiedziała - Ojciec nadal ma nadzieję ukończyć podróż do Niebios.

Zesztywniał.

- Czy to możliwe?

- Tak sądzi. Ja modłę się, żeby się mylił.

- Dlaczego?

Położyła dłoń na jego policzku.

- Ponieważ bardziej podoba mi się świat śmiertelnych.

- Czy możesz go przekonać? - Łagodny dotyk jej dłoni na skórze sprawił, że znów się rozluźnił.

- Być może, gdyby okazało się, że uczynienie z nas z powrotem częścią świata śmiertelnych jest łatwiejsze i bardziej prawdopodobne. Gdybym mogła go przekonać, że dla dobra wszystkich będzie nam lepiej z powrotem wśród ludzi, czuję, że zgodziłby się. W końcu groźba, przed którą uciekaliśmy, przestała istnieć.

Chciała zostać i on chciał, żeby pozostała. Juris Khan jednak pragnął osiągnąć święty cel, który dano mu w latach mroku i strachu.

- Może Tsina wiedziałby... - zaczął mówić Kentril, nim przypomniał sobie obsesję maga. Nie miał ochoty rozmawiać z Vizjerei, przynajmniej dopóki ktoś nie przekona czarodzieja, że powinien się przespać i coś zjeść.

- Może on przekona ojca? - Jej głos był pełen nadziei. - Starzec wydaje się bardzo utalentowany, choć brakuje mu grzeczności. Myślisz, że mógłby to zrobić?

- Nie... - Kapitan przerwał. W jego umyśle pojawił się pewien pomysł, wykorzystujący osobowość starego Tsina.

Atanna wyczuła zmianę jego nastroju.

- Coś wymyśliłeś, prawda?

– Być może. Jeśli Tsin będzie się zachowywał tak, jak zwykle, może zadziałać to na naszą, twoją korzyść. Muszę się nad tym zastanowić, byłoby też dobrze, gdybym nie poszedł do niego od razu.

– I tak na razie nie mam zamiaru się z tobą rozstawać - odrzekła młoda kobieta. - Nie w tej chwili. - Atanna stanęła na palcach i znów go pocałowała.

Kapitan Dumon poczuł się o wiele lepiej i odpowiedział jej w ten sam sposób. Jeśli uda mu się przekonać Vizjerei do swojego podejścia, wówczas Tsin powinien z kolei przekonać Khana. Kentril musiał tylko zagrać na chciwości czarodzieja...

Syknął z bólu. Coś wbijało się w jego plecy, jakby chciało dotrzeć aż do samego serca. Przekręcił się, wyczuł coś przypominającego jedno z pnączy i szybko je pochwycił.

Tysiące szpilek wbiły się w jego palce i dłoń.

– Kentril!

Mimo cierpienia najemnik trzymał mocno, a potem pociągnął pnącze ze wszystkich sił.

Przez ogród przebiegł dziwny, nie do końca ludzki jęk. Całe pnącze wypadło na ścieżkę - ciemny pęd trzy razy dłuższy niż człowiek.

Kentril puścił pęd i pochwycił ranną dłoń drugą ręką. Miał wrażenie, jakby włożył pulsującą kończynę w ognisko.

– Atanno! Co... co to było?

– Nie mam pojęcia! Twoja dłoń! Daj mi swoją dłoń!

Jej delikatne palce lekko dotknęły jego ręki. Ból nieco się zmniejszył. Atanna wyszeptała coś, po czym pochyliła się i lekko dotknęła wargami jego dłoni.

Bojąc się, że kobieta ucierpi z powodu roślinnej trucizny, kapitan próbował zabrać dłoń. Córka Juris Khana trzymała ją jednak z zaskakującą

siłą.

– Proszę, Kentril! Uspokój się. Wiem, co robię.

Wydawało się, że rzeczywiście tak jest, gdyż im dłużej zajmowała się jego raną, tym mniej go bolało. Po chwili mógł już zginać palce, czując tylko lekkie szczypanie.

– Co zrobiłaś?

– Jestem córką swego ojca - odrzekła. - Jestem córką przewielebnego Juris Khana.

Co oznaczało, że ma też pewne jego moce. Zachwycony jej urodą zapomniał o innych jej talentach.

Teraz, kiedy Atanna zajęła się jego raną, przypomniał sobie o tym, co go zaatakowało. Kentril zmrużył oczy i przyglądał się ciemnej ścieżce w poszukiwaniu końca pnącza.

Jego towarzyszka znalazła je pierwsza.

– Tego szukałeś?

– Uważaj!

Lecz ona wydawała się nietknięta przez ohydłą roślinę.

– To na pewno cię nie ugryzło. To tylko pnącze hakkara. W niektórych krajach zjada się jego mięsistą podstawę. Ma dużo soku i ponoć jest zdrowa.

– To cienkie coś? - Wziął je od niej i odkrył, że jest miękkie i gładkie, za wyjątkiem kilku występów. Zaskoczony Kentril przeciągnął dłonią po całej długości, ale nie znalazł nic niezwykłego.

– Musiał ugryźć cię jakiś owad. Pewnie ten sam, który już wcześniej cię zaczepiał - zasugerowała Atanna. - Czasami owady z dżungli dostają się do miasta, mimo iż góra sprawia, że powietrze tutaj jest o wiele chłodniejsze.

– Owad? W Ureh?

– A czemu nie? Ty i twoi przyjaciele jesteście tutaj/Czemu nie owad, który akurat znajdował się w okolicy? Dżungla leży całkiem blisko granicy naszego królestwa.

Jej słowa miały sens, ale nie uspokoiły go do końca. Rozejrzył się po ciemnym ogrodzie i w końcu powiedział - Chodźmy.

Kentril uspokoił się dopiero, gdy ujrzał światło na drugim końcu ścieżki. Gdy wyszli, spojrzął za siebie z ledwo ukrywanym niesmakiem. Atanna i inni mieszkańcy Ureh może i uważali ten zagajnik za piękne i spokojne miejsce, ale u żołnierza budził on skojarzenia z przekleństwem Gregusa Maziego. Czyżby pobyt w limbo zmienił rośliny w sposób, którego córka Khana nie zauważała?

– Teraz, kiedy mamy lepsze światło - powiedziała nagle Atanna - pozwól mi obejrzeć twoją dłoń.

Odwrócił ją, by mogli jej przyjrzeć się oboje, i ujrzał jedynie kilka prawie zagojonych ranek. Kentril z trudem mógł w to uwierzyć, bo spodziewał się raczej, że cała ręka będzie poraniona i zakrwawiona.

Przeciągając palcem po pozostałych śladach, kobieta stwierdziła - Wkrótce i one znikną.

– To niesamowite. Dziękuję. - Już wcześniej był świadkiem działania magii, ale nigdy nie dotyczyła ona jego samego. Kentril był pewien, że gdyby nie umiejętności Atanny, byłby teraz w o wiele gorszym stanie.

– To drobiazg... i jest mi przykro, że cierpiełeś z mojego powodu. Gdybym nie zaprosiła cię na spacer po ogrodzie...

– Takie rzeczy się zdarzają. Nie obwiniaj się o to.

Spojrzała na niego błagalnie.

– Porozmawiasz z mistrzem Tsinem, żeby spróbował przekonać ojca do zmiany zdania?

– Oczywiście! - Jak Atanna w ogóle mogła pomyśleć, że zmieni zdanie? Robił to nie tylko dla niej, ale też i dla siebie. - Stary Tsin nie zmienia zdania. Ja wyjaśnię sprawę tak, że uzna to za korzystne dla siebie, a on wtedy zrobi wszystko, by lord Khan również zobaczył ją w tym świetle.

– Taką mam nadzieję. - Znów go pocałowała. - A skoro już mówimy o moim ojcu, muszę iść. Ponieważ nie może się ruszać, gram dla niego, by złagodzić jego cierpienia. Może nawet od razu mu o tym delikatnie napomnę. Po wysłuchaniu mojej muzyki zawsze łagodnieje.

Atanna ucałowała go po raz ostami i znikła w ogrodzie. Kentril patrzył, jak znika, i choć jemu również najlepiej pasowałaby ścieżka przez ogród, najemnik nie wszedł do niego. Miast tego obszedł ogród dookoła, trzymając się na bezpieczną odległość. Gdy Kentril dotarł do miejsca, gdzie wcześniej grała córka Khana, ani jej, ani fletu już tam nie było.

Kapitan po raz ostami przyjrzał się niepokojącemu zagajnikowi. Na pierwszy rzut oka nie wydawał się bardziej niezwykły niż pierwszy z brzegu fragment lasu czy dżungli, a jako miejsce stworzone sztucznie przez jakiegoś mistrza ogrodnika powinien wydawać się nawet mniej groźny niż las. Tymczasem, im dłużej Kentril mu się przyglądał, tym bardziej dochodził do wniosku, że gdyby sam do niego wszedł, mógłby mieć trudności z wyjściem.

Za jego plecami ktoś odchrząknął.

– Kapitanie?

– Albord. - Miał nadzieję, że najemnik nie widział jego zdenerwowania. - O co chodzi?

– Przepraszam, nie chciałem przeszkadzać, ale paru z nas zastanawiało się, czy nie moglibyśmy dostać teraz nagrody od jego lordowskiej mości i ruszyć do domu.

– Już was zmęczyło świętowanie, Albord?

Białowłosy najemnik nie wyglądał na zbyt szczęśliwego. Kentril zapomniał, że mimo swego doświadczenia i umiejętności Albord był o wiele młodszy od pozostałych wojowników. Fakt, że często dostawał w dowodzenie innych najemników, gdy Gorst nie mógł się tym zająć, dobrze świadczył o jego zdolnościach.

– Nie o to chodzi... bawiłem się tak samo jak wszyscy... ale paru z nas chce wrócić do Zachodniej Marchii. - Wzruszył ramionami. - Lepiej będziemy się czuć w domu niż tu, panie.

Kentril za żadne skarby nie chciał odejść, ale rozumiał, jak czują się pozostali. Gorst pewnie zostanie - on też nie ma rodziny ani krewnych. Pozostali jednak czuli związek z Królestwami Zachodu, mieli rodziny. To, że zostali najemnikami, wiązało się nie tylko z pragnieniem bogactwa, ale też i koniecznością wykarmienia bliskich.

Zapominając zupełnie o ogrodzie, kapitan poklepał Alborda po ramieniu.

– Zobaczę, co da się zrobić z waszym powrotem do domu. Jeśli mi się uda, czy mogę wam zaufać, żebyście zabrali coś dla rodzin tych, których straciliśmy? O ile dobrze rozumiem naszego gospodarza, w jednym małym worku będzie wystarczająco dużo, by rozdzielić to między żyjących i zapewnić im dostatnie życie.

– Tak, kapitanie! Wiesz, że będę uczciwy.

Kentril wcale w to nie wątpił. Wiedział też, którzy z pozostałych wojowników mają podobne zasady. Do oddziału kapitana Dumona nie przyłączał się nikt, kto nie został wcześniej dokładnie sprawdzony. Jeśli Kentril pośle Alborda z pieniędzmi dla rodzin Benjina, Harga i innych, tamci je dostaną.

Młody wojownik zasalutował z wdzięcznością. Chciał już odejść, po czym się zawahał.

– Kapitanie, dwaj ludzie jeszcze nie wrócili z miasta.

– Wiem. Gorst mówił mi o trzech.

– Simon dowlókł się niedawno, ale powiedział, że Jace miał zamiar wracać już wiele godzin temu, a Breka nikt nie widział.

Kentril nie przejął się troską Alborda, gdyż wiele razy widział ludzi, którzy znikali tak jak tamta dwójka.

– Pokażą się, mówię ci. Przecież nie będą chcieli zrezygnować ze swojego udziału, prawda?

– Mam posłać kogoś, żeby ich poszukał?

– Nie teraz. - Kapitan robił się niecierpliwy. Potrzebował trochę czasu na zastanowienie się, jak wszystko sformułować, by Tsin dobrze go rozumiał. Nie chciał marnować czasu na pijanych najemników, którzy gdzieś się zgubili. - Już powiedziałem Gorstowi, że jeśli nie zjawią się za parę dni, może trzeba będzie to zrobić. - Kapitan Dumon znów poklepał Alborda po ramieniu, mając nadzieję, że nie brzmiał zbyt bezdusznie. - Spróbuj się rozluźnić. Baw się dobrze! Uwierz mi, Albord, w naszym zawodzie nie zdarza się to zbyt często. Dżungla, przez którą przechodziliśmy, albo tamta zima w Zatoce Zachodniej Marchii... to nasza zwykła zapłata.

Albord uśmiechnął się do niego jak młody oracz, przypominając Kentrilowi o pochodzeniu niemal każdego kiepsko opłacanego najemnika na tym świecie.

– Wydaje mi się, że jeszcze przez chwilę zniosę to jedzenie i kobiety.

– I o to chodzi! - wykrzyknął starszy najemnik, prowadząc towarzysza korytarzem. Oczyma duszy widział Atannę, swój powód do pozostania dłużej... może nawet na zawrze. Kapitan nie chciał podnosić tematu zapłaty, przynajmniej do chwili, kiedy namówi Vizjerei do przekonania Juris Khana, by ten przestał szukać drogi do Niebios. W końcu Albord i inni byli przez cały czas wynagradzani w inny sposób.

Poza tym, pomyślał Kentril, w czym może zaszkodzić parę dni oczekiwania?

DZIEWIĘĆ



Wieczny cień nad Ureh działał na korzyść Zayla, gdy ten zaczął wspinać się w stronę górskiej siedziby Gregusa Maziego. Choć wejście do dawnego klasztoru znajdowało się z dala od centrum miasta, w zwykłym świetle dnia komuś z pewnością udałoby się zauważyć odzianą na czarno postać wspinającą się po podniszczonej ścieżce wykutej w zboczu góry.

Zayl potrafił docenić miejsce, które wybrał czarodziej i zastanawiał się, dlaczego wcześniej nie zauważył ruin. Zakłęcie, które wysało ducha z Ureh i posłało go w stronę Niebios, miało pewne niezwykle cechy, którym Zayl postanowił się kiedyś przyjrzeć uważniej.

Poniżej świętowanie trwało nadal. Zayl skrzywił się. Czy ci ludzie nie musieli spać? Owszem, limbo nie podlegało tym samym prawom, co dziedzina śmiertelnych, ale teraz wyczerpanie powinno zmusić wielu mieszkańców do udania się na spoczynek.

Wielkie, złowrogie postacie strzegły miejsca, które kiedyś musiało być bramą do klasztoru. Niegdyś były to archanioły z majestatycznymi, płonącymi mieczami i potężnymi, rozpostartymi skrzydłami, ale podobnie jak odpowiedniki na bramach pałacu Khana zostały zniszczone. Jednemu aniołowi brakowało skrzydła i prawej strony twarzy, zaś drugi w ogóle nie miał głowy, a po wspaniałych skrzydłach pozostały tylko kikuty.

Zayl prześlizgnął się wśród gruzu. Interesujące było to, że mieszkanie Gregusa Maziego pozostało zniszczone, podczas gdy wszystko inne w Ureh odmłodziło. Nekromanta mógł tylko zakładać, że w pewnym momencie

mieszkańcy przekłętego miasta wyładowali swój gniew na siedzibie nieobecnego prześladowcy. Zayl miał tylko nadzieję, że nie oznaczało to, iż została splądrowana pracownia Maziego.

Ponownie zaczął żałować, iż nie wie więcej o tym, co działo się w dziedzinie, w której znalazło się Ureh. Khan zasugerował, że istniało coś podobnego do upływu czasu, bo czyż nie wspomniał o odnalezieniu metody ucieczki podczas stuleci uwięzienia? A jednak wydawało się, że nikt nie musiał jeść, bo przecież jedzenie tak długo by nie przetrwało.

Z początku resztki klasztoru nie wywarły na Zaylu zbyt wielkiego wrażenia. Budynek został umieszczony na samym zboczu góry, a jego prosty zarys wskazywał, że jest to piętrowa budowla z co najwyżej dwoma pomieszczeniami na każdym piętrze. Pojedynczy balkon wznosił się nad wszystkim poniżej, a tylko niski murek udawał, że chroni to miejsce.

Mimo rozczarowania tym, co widział, nekromanta szedł dalej. U podnóża budynku odnalazł proste drewniane drzwi, które pasowałyby raczej do zwykłej wiejskiej gospody. Ponieważ w ciemnościach Zayl widział lepiej niż przeciętny człowiek, zauważył zniszczenia po obu stronach drzwi. Każdy cal kamiennej framugi pokrywały ślady uderzeń toporów i pałek, jakby oznak absolutnej frustracji. Co dziwne, same drzwi wydawały się nietknięte.

Dopiero gdy położył dłoń na drewnie, dowiedział się dlaczego. Drzwi pokrywały przeplatające się zaklęcia ochronne, sprawiając, że były one niemal zupełnie odporne nie tylko na ataki fizyczne, ale i wiele magicznych. Kamienną framugę, powierzchownie spękaną, również chroniły zaklęcia, lecz te zdawały się starsze, jakby nie rzucił ich ostatni, niesławny mieszkaniec budowli. Zayl uznał, że być może klasztor jest rzeczywiście odpowiednim miejscem zamieszkania dla czarodzieja. Mnisi,

którzy go zbudowali, najwyraźniej wzmocnili gmach potężnymi modlitwami, i nawet po tak długim czasie zaklęcia działały.

Nekromanta uniósł wzrok, ale nie zauważył okien. W jednym miejscu mogło być kiedyś okno, ale w przeszłości zostało bardzo starannie zamurowane. Zayl założył, że gdyby się tam nawet wspiął, dawny otwór okazałby się równie dobrze chroniony, co wejście.

To pozostawiało mu tylko drzwi. Błąd nekromanta dotknął ich ponownie, wyczuwając tysiące zaklęć, które Gregus Mazi umieścił tam, by zapewnić bezpieczeństwo swemu domowi. Starożytny czarodziej najwyraźniej doskonale znał się na swej sztuce.

Zayl wyjął czaszkę Humbarta.

– Powiedz mi, co widzisz.

– Oprócz drzwi, znaczy się?

– Wiesz, czego od ciebie chcę.

Przysunął czaszkę bliżej, pozwalając jej przyjrzeć się uważnie. Po chwili Humbart stwierdził - Tam wszędzie są linie, chłopcze. Dużo dobrej, mocnej magii, i nie jest to dzieło jednej osoby. Większość tak, ale część poniżej pochodzi od dwóch, może nawet trzech. Nawet trochę modlitw.

Ciekawą cechą czaszki, którą Humbart odkrył dopiero po jej ożywieniu, było to, że duch Humbarta Wessela widział działanie magii w sposób niedostępny dla żyjących czarodziei. Zayl nie wiedział, skąd mogły się wziąć takie umiejętności i mógł tylko podejrzewać, że stulecia spoczywania w ruinach Ureh zmieniły czaszkę. W ciągu ostatnich kilku lat talent ten bardzo mu się przydawał, oszczędzając godzin, a nawet dni żmudnej pracy.

Odziana na czarno postać wyjęła drugą ręką sztylet z kości słoniowej. Trzymając go rękojęścią do góry, Zayl spytał Humbarta - Gdzie przecina się najwięcej z nich?

– Niżej i na lewo, chłopcze. Na wysokości pasa... nie!... nie tu. Bardziej na prawo... tu!

Skierowawszy rękojeść sztyletu we wskazany punkt, Zayl zaczął mrużyć pod nosem.

Sztylet zaczął błyszczeć.

Nagle we wskazanym punkcie zabłysł wielobarwny wzór przypominający ośmiokąt wpisany w kwiat. Zayl wbił rękojeść sztyletu we wskazany punkt, jednocześnie obracając jego koniec.

Magiczny wzór zapłonął jasno i zaraz znikł.

– Usunąłeś większość, chłopcze. Pozostało ci teraz trochę ręcznej roboty.

Przy pomocy czaszki Humbarta Zayl stopniowo usuwał ostatnie przeszkody. Gdyby musiał polegać tylko na swoich umiejętnościach, raczej nie osiągnąłby zbyt szybko sukcesu. Zaklęcia ochronne zostały starannie wykonane. Nekromanta odkrył jednak jedną rzecz, która ułatwiła mu pracę - najbardziej skomplikowane zaklęcia miały chronić przed demonami, nie przed ludźmi. Gdy spytał o to czaszkę, okazało się, że większość z nich była nowsza, co oznaczało, że ich twórcą był prawdopodobnie Gregus Mazi.

– Możesz wchodzić - ogłosił w końcu Humbart.

Zayl wszedł do środka, trzymając czaszkę pod pachą, ze sztyletem przygotowanym do bardziej typowego użycia.

Przywitał go ciemny korytarz. Nekromanta wyszeptał jedno słowo i sztylet zaczął świecić.

Zayl myślał, że siedziba Maziego będzie raczej niewielka, ale grubo się pomylił. Pusty korytarz prowadził daleko w głąb góry, tak daleko, że nie widział nawet jego końca. Po lewej kręcone schody najwyraźniej prowadziły do widocznej z zewnątrz części budynku, ale Zayla interesowało tylko miejsce przed nim, gdzie kończył się korytarz.

Oczywiście, być może w zewnętrznych pokojach znalazłby to, czego potrzebował, ale pragnął zaspokoić ciekawość. Jakież tajemnice pozostawił po sobie Gregus Mazi?

Oświetlając sobie drogę sztyletem, Zayl podążył korytarzem. Ściany wykuto w zboczu góry, a potem wypolerowano. Mnisi, którzy bez wątpienia zajmowali się tą morderczą pracą, nie zatroszczyli się o ozdoby. Od czasu do czasu płaskorzeźba uzbrojonego archanioła wskazywała przed siebie, ale poza tym ani mnisi, ani Mazi nie przejmowali się dekorowaniem pomieszczeń.

Zayl zatrzymał się przy trzeciej postaci starannie wyrzeźbionej w ścianie, gdyż nagle jego uwagę zwróciło coś w jej wyglądzie.

Humbart, nadal pod pachą, niecierpliwił się.

– Patrzę na pustą ścianę całe od miejsca, gdzie kiedyś był mój nos, Zayl. Czy wyżej jest coś bardziej interesującego?

Zakapturzony mężczyzna uniósł czaszkę tak, że martwy towarzysz mógł zobaczyć płaskorzeźbę.

– Jest nietknięta.

– A co to znaczy?

– Pomyśl, Humbart. Drzwi do pałacu. Archanioły w bramie prowadzącej tutaj. Wszystkie celowo zniszczone, jakby przez kogoś, kto nienawidził świętych obrazów.

– Tak, i co z tego?

Zayl przeszedł do kolejnego anioła i odkrył, że on też pozostał nietknięty.

– Czemu mag ponoć tak skażony jak Gregus Mazi miałby zostawiać je w spokoju?

– Może nie chciał bałaganić w swoim własnym domu?

– To coś znaczy, Humbart. - Ale co dokładnie znaczyło, tego nekromanta nie wiedział. Szedł dalej, patrząc na innych niebiańskich strażników, ale

każdy z nich wydawał się co najwyżej lekko podniszczony przez czas. Nie, z tymi obrazami we własnym domu Mazi nie zrobił nic, a to dla Zayla nie miało sensu.

W końcu dotarli do pierwszych pomieszczeń rzeczywiście wykutych w zboczu góry, których ostatni lokator jednak najwyraźniej nie wykorzystywał. Z wyposażenia pozostało niewiele. W kątach niektórych z nich stały bardzo stare łóżka, gnijąc powoli. Niektóre już się zapadły.

– Stary Gregus nigdy nie wydawał mi się zbyt towarzyski -stwierdził cicho Humbart. - Wygląda na to, że to prawda. Raczej nieczęsto przyjmował gości.

Minąwszy kolejne podobne pomieszczenia, Zayl dotarł w końcu do kamiennych stopni prowadzących w dół. Ponieważ nie był w stanie zobaczyć dna, nekromanta poruszał się jeszcze ostrożniej, sztylet trzymał przed sobą, a na ustach miał gotowe zaklęcie.

Całe szczęście nie Uwolnił żadnej pułapki, ani też nie zaatakował go demon. Schody prowadziły do krótkiego korytarza, który kończył się trojgiem drzwi -jednymi naprzeciwko schodów, a dwoma po bokach. Przyjrzał im się szybko i odkrył, że wszystkie są identyczne, a gdy kazał czaszce im się przyjrzeć, Humbart powiedział mu, że żadne nie są zabezpieczone zaklęciami.

– Przypomina mi się historia o pewnym poszukiwaczu przygód -stwierdziła czaszka, gdy Zayl zastanawiał się nad wyborem. - Znalazł się przed trojgiem drzwi. Powiedziano mu, że dwoje prowadzi do skarbu i ucieczki, a trzecie oznacza pewną, straszliwą śmierć. Chłopak się zastanowił, posłuchał pod drzwiami i w końcu wybrał.

Zayl, który prawie zdecydował się na drzwi po lewej, zauważył nagłe milczenie Humbarta.

– I co się stało?

– Oczywiście, otworzył jedno z nich i został żywcem pożarty przez stado ghuli! Jak się okazało, za żadnymi drzwiami nie było złota ani ucieczki, każde oznaczało potworną, okrutną śmierć dla tych...

– Zamknij się, Humbart.

Choć czaszka nie zauważyła żadnych zaklęć ochronnych, Zayl nie założył, że wejście jest bezpieczne. Umieściwszy swojego towarzysza w sakiewce, przygotował się na pułapkę, którą mogło uruchomić otwarcie pierwszych drzwi.

Przywitała go wielka komnata pełna kurzu i niczego poza nim.

– Już zostałeś pożarty? - spytał Humbart stłumionym głosem.

Nekromanta skrzywił się. Gregus Mazi rzeczywiście przejął porzucony klasztor, ale go nie wykorzystał. Zayl uznał, że być może rzeczywiście powinien wcześniej przeszukać zewnętrzne pomieszczenia.

Spoglądając na pozostałe drzwi, wybrał te najbliższe. Z pewnością pierwsze wejście, na które natykał się schodzący po schodach, było tym właściwym.

Zayl znów się przygotował i popchnął drzwi.

Przed nim rozciągały się rzędy na wpół zgniłych stołów, a na przeciwległej ścianie znajdowała się rzeźba archanioła z ręką wyciągniętą w geście błogosławieństwa. Zayl zaklął pod nosem, uświadamiając sobie, że w tym pomieszczeniu mnisi musieli spotykać się na posiłki. Oceniając po wyglądzie, ta komnata również nie zainteresowała Maziego.

Nic nie mówiąc, odwrócił się i skierował do ostatnich drzwi. Trzymając w wyciągniętej ręce świecący sztylet, Zayl wpakował się do środka.

Pomieszczenie wypełniało szkło i magiczne przedmioty, umieszczone nawet na suficie.

Zayl zatrzymał się, by przyjrzeć się wszystkiemu uważnie. Tu zaczynało się królestwo Gregusa Maziego. Tu, przed nekromanta, znajdował się

warsztat człowieka głęboko zafascynowanego każdym aspektem swojego powołania. Zayl machnął sztyletem i w jego blasku ujrzął słoje wypełnione wszelkiego rodzaju ziołami, marynowanymi i zakonserwowanymi stworami, których nawet nekromanta nie potrafił rozpoznać, oraz różnymi substancjami w postaci sproszkowanej i płynnej. Dokoła stały półki z księgami i zwojami, na niektórych stołach leżały otwarte pergaminy z notatkami i rysunkami, a do pewnych fragmentów sufitu przymocowano łańcuchami rozmaite artefakty.

Wszystko wyglądało na wyczyszczone, jakby czarodziej opuścił pracownię dzień wcześniej. Właściwie, uświadomił sobie Zayl, w budynku minęło najwyżej kilka dni. Specyficzne cechy limbo znów pomogły w zachowaniu historii.

– Musi tu być bardzo ciekawie... tak sędzę.

Nekromanta wyciągnął czaszkę i postawił ją na głównym stole, przy którym Mazi robił notatki. Trzymając blisko sztylet, Zayl przejrzał pisma.

– Co to?

– Wzory zaklęć. Wyniki teoretyczne. Ten Gregus Mazi był bardzo praktyczny. - Nekromanta skrzywił się. - Nie tego się po nim spodziewałem.

– Zło potrafi być bardzo sprytne, jeśli o to ci chodzi, chłopcze.

Zayl uważnie przyjrzał się pergaminowi.

– Tak, ale wszystkie te notatki mówią o badaniach nad tym, jak umożliwić wstąpienie do Niebios. Zupełnie jakby pisał je ktoś, kto naprawdę wierzy w swoją misję.

Nekromanta raz jeszcze spojrzął na pergamin i rozejrzał się po komnacie. Trzymając przed sobą sztylet, uświadomił sobie, że komnata jest głębsza, niż mu się z początku wydawało. W słabym świetle widział więcej półek, więcej słoii...

– Niech cię! Nie masz chyba zamiaru mnie tu zostawić, co?

– Nic ci się nie stanie, Humbart.

– Powiedział ten, który ma nogi.

Nie przejmując się sprzeciwem czaszki, Zayl zagłębił się w pracownię Gregusa Maziego. Z kolejnych zbiorników niewidzącymi oczyma spoglądały na niego istoty od dawna martwe. Czarnoszkarałatny pajak większy od jego głowy unosił się w gęstej, śluzowatej mieszance. Widział też młode piaseczniki, a nawet jednego fetysza, złowrogiego mieszkańca dżungli. Stwory przypominające lalki, ale o twarzach totemów, kryły się między drzewami i wśród liści, wykorzystując przewagę liczebną do zabijania nieuważnych. Nekromanci niszczyli ohydne stwory, kiedy tylko je napotkali, gdyż były one zdolne wyłącznie do czynienia zła.

– Zayl, chłopcze? Wciąż tam jesteś?

– Wciąż tu jestem, Humbart.

– Ano, ja też, ale ja nie mam zbyt wielkiego wyboru w tej kwestii!

Jeden okaz szczególnie przyciągnął uwagę nekromanty. Z początku Zayl myślał, że to kwadratowa próbka skóry, może nawet należącej do jednego z mackowatych potworów z rzek w dżungli. Kiedy jednak uważnie przyjrzał się szaremu kawałkowi wielkości dłoni, ujrzał, że w każdym rogu ma on trzy niewielkie, ale ostre szpony, a po środku coś, co przypomina usta. Na krawędziach znajdowały się nieduże kępki futra.

Zaciekawiony Zayl zdjął słój i umieścił go na pobliskim stole.

– Co tam masz, chłopcze? Słyszałem brzęk szkła.

– Nic, co powinno cię zainteresować. - Nekromanta zdjął pokrywkę, po czym, znalazłszy parę szczypiec bez wątplenia wykorzystywanych w tym właśnie celu, wyłowił okaz. Wyjął stwora z gęstego płynu i pozwolił, by jego resztki spłynęły do środka. Przyjrzał mu się uważniej, przyświecając sobie sztyletem.

–Nie chciałbym narzekać, ale jeśli będziesz badać każdy cholerny słój...

Zayl obejrzał się przez ramię na ledwo widoczną czaszkę.

– To nie zajmie mi dużo...

Z pojemnika rozległ się syk.

Szczypce zostały mu wyrwane z ręki, a coś potężnego próbowało owinać się wokół górnej połowy jego ciała.

– Zayl! Zayl, chłopcze!

Nekromanta nie mógł odpowiedzieć. Ociekające, pulsujące coś ze skórą jak u aligatora pokrywało jego twarz, ramiona i większość jednej ręki. Zayl krzyknął, gdy poczuł wbijające się w plecy sztylety, rozrywające szatę, jakby była z papieru.

Zęby, ostre zęby wgryzły mu się w pierś.

Za późno uświadomił sobie, że stracił też sztylet. Zayl próbował wypowiedzieć zaklęcie, ale z trudem oddychał, nie wspominając już o mówieniu.

Siła potwornego napastnika sprawiła, że potoczył się po podłodze. Uderzenie o kamienną podłogę niemal pozbawiło Zayla przytomności, ale trzymał się mocno, bo wiedział, że oznaczałoby to dla niego pewną, okrutną śmierć.

Syczenie stało się głośniejsze, bardziej przerażające, a potwór wyraźnie usiłował go pokonać. Teraz nekromanta czuł, że pokrywa go aż po biodra. Zayl wiedział, że jeśli istocie uda się otoczyć go w całości, będzie martwy.

Ze wszystkich sił próbował odepchnąć wilgotną, przerażającą istotę. Gdy tak jednak robił, szpony wbijały się w jego grzbiet, rozrywając wszystko. Ból sprawił, że niemal ją puścił.

Z zewnątrz zabrzmiał stłumiony, rozpaczliwy głos Humbarta Wessela.

– Zayl! Chłopcze! Widzę światło! Ostrze jest chyba po twojej lewej!
Tylko kilka cali!

Wykorzystując swoją wagę, Zayl popchnął siebie i napastnika w tamtą stronę. Poczuł coś pod ramieniem, ale gobelinowy potwór przesunął się, pociągając nekromantę za sobą.

Humbart krzyczał coś jeszcze, ale zagłuszyła to gruba, dusząca istota na głowie Zayla.

Zdesperowany Zayl rzucił się w lewo. Tym razem poczuł pod łopatką rękojeść sztyletu. Na wpół zaduszony, bojąc się pogryzienia, skręcił się, by sięgnąć po broń prawą ręką.

Zęby zacisnęły się na jego przedramieniu z taką siłą, że krzyknął. Zayl zmusił się jednak do dalszego sięgania po sztylet. Dotknął palcami broni i choć wiedział, że oznacza to dalsze cierpienia, mocno chwycił za ostrze.

Mimo iż krew spływała mii z rozciętych palców, nekromanta podniósł sztylet. W tym samym momencie wymruczał najszybsze i najpewniejsze zaklęcie, jakie sobie przypomniął.

Ze sztyletu wystrzeliła włócznia z czystej kości, bez kłopotu przebiła się przez grubą skórę bestii, przebiła jej ciało i uderzyła w sufit.

Przerażający adwersarz Zayla wycofał się, wydając z siebie dziwny jęk. Nekromantę oblała jego krew.

Wycofując się, Zayl dziękował smokowi Trag'Oulowi. Włócznia symbolizowała jeden ze szponów mitycznego lewiatana, który dla wyznawców Rathmy był swego rodzaju bogiem. Włócznia z kości była jednym z najskuteczniejszych zaklęć bojowych nekromanty. Dotychczas wykorzystał ją tylko dwa razy, ale nigdy w tak niebezpiecznej sytuacji.

Mimo straszliwych ran, gobelinowy potwór wcale nie wydawał się umierać. Poruszając się szybko i płynnie, uniósł się do sufitu, a potem przesunął w róg. Na ziemię spadały jego płyny ustrojowe.

– Wszystko w porządku, chłopcze?

– Przeżyję. Dziękuję, Humbart.

Czaszka wydała z siebie dziwny odgłos, jakby powietrza wypadającego przez ściśnięte wargi. ‘

– Podziękujesz mi, kiedy już wykończysz ten paskudny dywan.

Zayl pokiwał głową. Unosząc sztylet w stronę ciężko dyszącej istoty, wyszeptał kolejne zaklęcie. Trag’Oul pomógł mu już raz, może wielki smok udzieli mu jeszcze jednej łaski.

W powietrzu utworzył się deszcz niedużych pocisków mniej więcej wielkości sztyletu i wystrzelił w górę z zadziwiającą prędkością.

Istota pod sufitem nie miała szansy uciec. Ostre jak igły pociski bezlitośnie przebiły jej skórę. Deszcz krwi - czy tego, co pełniło jej rolę u stwora - zalał nekromantę, pracownię i przeklinającą czaszkę.

Teraz stwór zawodził, głośno i nierówno. Próbował uciec, ale Zayl wezwał Den’Trag, Zęby Smoka Trag’Oula, a one uderzyły tak mocno, że przyszpiliły wyrywającego się potwora do ściany i sufitu.

Przeciwnik Zayla poruszał się coraz wolniej, jucha przestała płynąć.

W końcu stwór zamarł.

– Zayl! Zayl! - wołał Humbart. - Bogowie! Wytrzymaj mnie z tego świństwa! Przysięgam, że choć nie mam nosa, czuję ten smród!

– Ci... cicho, Humbart -wydyszał nekromanta. Powtórne przyzwanie mocy Trag’Oula bardzo go wycieńczyło. Gdyby był przygotowany, wszystko wyglądałoby inaczej, ale początkowy atak bestii osłabił go jeszcze przed pierwszym zaklęciem.

Próbując odzyskać siły, Zayl spoglądał na ogromną ilość okazów zebranych przez Gregusa Maziego. Potwór był tylko jednym, niedużym i na pozór martwym okazem wśród wielu innych. Czy to oznaczało, że każdy ze stworów zebranych przez czarodzieja miał w sobie trochę życia? Jeśli tak, Zayl cieszył się, że żadna z półek nie została przewrócona, a jej zawartość

nie rozbiła się na podłodze. Nekromanta wątpił, by długo zachował życie w komnacie opanowanej przez tuzin niezwykłych, morderczych stworów.

Gdy Zayl poczuł, że może już polegać na swoich nogach, powrócił do czaszki. Pozostałości Humbarta Wessela pokrywała gruba warstwa żółtawego śluzu. Nekromanta znalazł najczystszy róg płaszcza i zaczął nim wycierać czaszkę.

– Fuj! Czasem żałuję, że nie pozwoliłeś mi zgnić tam, gdzie mnie znalazłeś, chłopcze!

– Ty już zgniłeś, Humbart - przypomniał mu Zayl, położył czaszkę na czystej części stołu i rozejrzał się. Coś na ścianie po prawej przyciągnęło jego uwagę. - Ach.

– Co? Znowu jedna z tych bestii?

– Nie. - Błady mężczyzna podszedł do tego, co zauważył. -To tylko płaszcz, Humbart. Tylko płaszcz.

Płaszcz noszony niegdyś przez Gregusa Maziego.

Nie samo ubranie jednak tak zainteresowało Zayla, lecz raczej to, co można na nim znaleźć. Przyjrzał mu się uważnie w świetle sztyletu.

Tam! Nekromanta z niezwykłą ostrożnością zdjął dwa włosy z wewnętrznej strony kołnierza. Włosy były nawet lepsze od ubrania i zwykle zapewniały sukces przy wzywaniu cienia zmarłego.

– W końcu znalazłeś to, czego potrzebujesz?

– Tak. To pomoże nam wezwać czarodzieja.

– Świetnie! Z przyjemnością znów zobaczę starego Gregusa po tak długim czasie. Mam nadzieję, że wygląda lepiej niż ja.

Przyjrząwszy się komnacie, Zayl zauważył otwartą przestrzeń obok wejścia. Gdy zbliżył się, zauważył symbole wyryte w podłodze. Czy jest coś bardziej odpowiedniego - i prawdopodobnie skuteczniejszego - od

wezwania ducha Gregusa Maziego przy wykorzystaniu miejsca, gdzie on sam rzucił wiele zaklęć?

Mruczając pod nosem, nekromanta ukląkł i zaczął rysować na podłodze nowe symbole końcem ostrza. Sztylet pozostawiał na posadzce wzory, których potrzebował Zayl.

Pośrodku nowego wzorca Zayl umieścił dwa włosy. Poruszając się ostrożnie, by ich nie przesunąć, nekromanta uniósł wolną dłoń i przy pomocy sztyletu otworzył jedną z wcześniejszych ran.

Z ledwo zagojonej ranki popłynęła krew. Jej trzy krople spadły na włosy. Tam, gdzie krew zetknęła się z włosami, uniósł się zielonkawy dym.

Nekromanta zaczął nucić. Wypowiedział imię Gregusa Maziego, raz, drugi, trzeci. Niesamowity dym zaczął tworzyć niewyraźną postać o ludzkim kształcie.

– Wzywam cię, Gregusie Mazi! - zawołał Zayl we wspólnym. - Wzywam cię! Potrzebna jest wiedza, wiedza, której tylko ty możesz dostarczyć! Przybądź do mnie, Gregusie Mazi! Niech twój cień znów chodzi po świecie śmiertelnych! Niech powróci do miejsca z twej przeszłości! Wzywam cię przez to, co kiedyś było częścią ciebie!

Teraz dym sięgał na wysokość człowieka, tworząc postać, która mogła być człowiekiem w długiej szacie. Zayl zaczął nucić słowa w zapomnianym języku, który w tych czasach znali tylko nekromanci.

Kiedy jednak sukces zdawał się już blisko, a postać nabrała materialności, wszystko poszło nie tak. Unoszący się dym zaczął się kurczyć na oczach nekromanty. Wszelkie podobieństwo do ludzkiej postaci znikło. Włosy skrzyły się, jakby rzucono je w płomień.

– Nie! - wydyszał Zayl. Mężczyzna wyciągnął dłoń w stronę z trudem znalezionych włosów, ale nim ich dotknął, znikły i pozostał po nich tylko popiół.

Przez kilka chwil klęczał tam, patrząc na swoją porażkę. Dopiero gdy Humbart się odezwał, czarodziej poruszył się i podniósł.

– I... co tam się stało, chłopcze?

Wciąż wpatrując się we wzór i popiół, który wcześniej był włosami, Zayl potrząsnął głową.

– Nie...

Przerwał i wpatrzył się w ciemność.

–Zayl?

– Wiem, czemu mi się nie udało, Humbart - odrzekł nekromanta, wciąż wpatrując się w nicość. - Nie mogło mi się powieść. Od początku byłem skazany na porażkę, ale sobie tego nie uświadamiałem!

– Czy mógłbyś łaskawie mówić w mniej zagadkowy sposób? - spytała czaszka nieco poirytowanym tonem. - I wyjaśnić to biednemu byłemu śmiertelnemu?

Zayl odwrócił się, a jego oczy były pełne zrozumienia.

– To bardzo proste, Humbart. Jest tylko jeden powód, czemu każda próba wezwania Gregusa Maziego byłaby nieudana: on wciąż żyje!

DZIESIĘĆ



Gdy kapitan Dumon kolejny raz odwiedził Tsina, ten zachowywał się w sposób jeszcze bardziej niepokojący. Z boku stołu, gdzie gorączkowo gryzmołił na pergaminie, stały pusty dzban i miska z niedojedzonym posiłkiem. Rysy mężczyzny wyostriżyły się zupełnie jak u trupa, którego ciało wyschło. Mag wyglądał na bledszego od nekromanty. Teraz Vizjerei nie mrucał do siebie, lecz mówił na cały głos.

– Oczywiście, znak Broka jest tam absolutnie niezbędny! Każdy kretyn by to zauważył! Ha!

Przed wejściem Kentril zasięgnął informacji u Gorsta, który opierał się o ścianę obok wejścia do biblioteki.

– W jakim jest stanie?

Olbrzym zwykle nie zwracał uwagi na paskudny charakter Tsina, ale tym razem na twarzy Gorsta malowała się rzadka u niego troska i niepewność.

– Bardzo złym, Kentril. Trochę się napił, zjadł nawet mniej. Myślę, że wcale nie spał.

Kapitan skrzywił się. Miał nadzieję na inny nastrój czarodzieja, ale właściwie od początku wydawało się mało prawdopodobne, że Vizjerei będzie się zachowywał rozsądniej. Kentril nie miał jednak wyboru, musiał porozmawiać z Tsinem, i to natychmiast.

– Uważaj na niego, dobrze?

– Wiesz, że to zrobię, Kentril.

Kapitan Dumon wyprostował się i podszedł do pochylonego czarodzieja. Quov Tsin nie spojrział na niego, nawet nie pokazał po sobie, że w ogóle zarejestrował fakt jego przybycia. Kentril szybko spojrział na pracę Tsina i zauważył, że czarodziej zapełnił już co najmniej tuzin dużych pergaminów niezrozumiałymi notatkami i wzorami.

– *Jesteś większym głupcem, niż sądziłem, Dumon* - ogłosił nagle Vizjerei tonem bardziej zjadliwym niż przy poprzedniej wizycie. Nadal nie patrzył na wojownika. - *Ostatnim razem popełniłem błąd, wybacząc ci przeszkadzanie...*

– Spokojnie, Tsin - przerwał mu Kentril. - Mam do ciebie bardzo ważną sprawę.

– *Nic nie jest ważniejsze od tego!*

Najemnik pokiwał mądrze głową.

– I właśnie o to mi chodzi. Nawet sobie nie uświadamiasz, co możesz stracić.

Na te słowa niewielki czarodziej w końcu spojrział na niego. Quov Tsin obejrzał go uważnie, najwyraźniej zastanawiając się, jaką wartość mogą mieć słowa mężczyzny.

– Wyjaśnij to.

– Znam cię na tyle, Tsin, by wiedzieć, że robisz to z dwóch powodów. Po pierwsze chcesz udowodnić, że potrafisz. Vizjerei mają reputację mistrzów sztuki, a twoja reputacja jest większa niż innych braci.

– Nie próbuj ułagodzić mnie pustymi komplementami.

Ignorując groźny wyraz brodatej twarzy, Kentril mówił dalej.

– Drugi powód rozumiem lepiej. Przybyliśmy do Ureh dla chwały i bogactwa, Tsin. Moi ludzie i ja pragniemy złota i klejnotów...

– Proch i pył!

– Owszem, ale ty przybyłeś po bogactwa innego rodzaju, prawda? Przybyłeś po magiczną wiedzę zebraną w tym królestwie przez wiele stuleci, wiedzę rzadką, która została utracona, gdy prawdziwe Ureh opuściło ten świat.

Tsin zaczął stukać palcami po stole. Jego spojrzenie przesunęło się na laskę, potem znów na najemnika, jakby czarodziej rozważał możliwe rozwiązania.

Kentril spokojnie zniósł złowrogie spojrzenie Vizjerei.

– Lord Khan zaoferował ci wszystko, co uda ci się unieść, jeśli tylko ci się powiedzie, prawda? Jak sobie wyobrażam, oznacza to księgi i zwoje warte tyle, co niejedno królestwo.

– Więcej, niż sobie wyobrażasz, kretynie. Gdybyś zrozumiał choć jotę z tego, co dotychczas tu odkryłem, byłbyś poruszony.

– Szkoda więc, że tak wiele zostanie ponownie utracone.

Czarodziej zamrugął.

– Jak to?

Kapitan Dumon położył dłonie na stole i powiedział konspiracyjnym szeptem - Co osiągnąłbyś, gdybyś przez rok albo dwa mógł badać ten zbiór?

W przekrwionych oczach czarodzieja zapłonęła chciwość.

– Mógłbym stać się najpotężniejszym, najlepszym z mego rodzaju.

– Juris Khan chce ponownie otworzyć drogę do Niebios.

– Brakuje mu wsparcia, które miał za pierwszym razem -stwierdził Tsin - ale z tego co mówił, wynika, że ma jakiś pomysł, jak ominąć tę przeszkodę. Wolałbym nie ryzykować zakładu, że kiedy już się uwolni, nie uda mu się spełnić świętego marzenia.

– A razem z nim odejdzie cała biblioteka.

Kentril widział wyraźnie, że ma Quova Tsina po swojej stronie. W przeciwieństwie do najemników Vizjerei miał świadomość, że bogactwa bajecznej krainy powrócą tylko wtedy, gdy miasto znów ożyje. Tsin nawet nie próbował sprawdzać bibliotek przed nadejściem cienia, gdyż wiedział, że nic tam nie znajdzie. Vizjerei oparł wszystkie swe nadzieje na legendzie, a teraz ta sama legenda groziła odebraniem mu tego, czemu poświęcił tak wiele pracy.

– Tak wiele znów zostanie utracone - wyszeptał pomarszczony czarodziej.

- Tak wiele utracone i to bez powodu...

– Oczywiście, mogłoby ci nie udać się znaleźć lekarstwa na przekleństwo Khana, ale on po jakimś czasie zacząłby coś podejrzewać i by cię odesłał. Gdybyś próbował to ukraść...

Tsin prychnął.

– Nawet o tym nie wspominaj, Dumon. Nawet gdybym zniżył się tak bardzo, w bibliotece są zaklęcia ochronne, które tylko nasz dobry gospodarz potrafi zneutralizować. Jak myślisz, dlaczego siedzę tutaj i wychodzę stąd tylko, by zająć się swoimi potrzebami?

– W takim razie nie ma nadziei.

Czarodziej wyprostował się.

– Najwyraźniej masz jakąś propozycję, mój drogi kapitanie. Powiedz mi łaskawie, na czym ona polega.

– Mag równie inteligentny co ty na pewno znajdzie jakieś powody, dla których w interesie lorda Khana będzie uczynić Ureh częścią prawdziwego świata.

Quov Tsin tak długo wpatrywał się w milczeniu w Kentrila, że kapitan zaczynał się już zastanawiać nad wartością swojego pomysłu. A jeśli Tsinowi nie uda się przekonać władcy? A jeśli tylko ściągnie na poszukiwaczy przygód gniew Juris Khana? Władca może zażądać, by

wszyscy opuścili jego królestwo. Vizjerei ma wielkie zdolności, ale i tak nie uda mu się pokonać oddziału dobrze wyszkolonych wojowników, którzy teraz strzegli pałacu.

– Jest, muszę to przyznać... pewna... możliwość - mruknął czarodziej, siadając ponownie. - I, co ciekawe, przybyłeś we właściwym momencie.

Teraz to Kentril zaczął się zastanawiać, o co chodzi rozmówcy.

– Co miałeś na myśli, mówiąc „we właściwym momencie”?

Tsin szerokim gestem wskazał górę notatek.

– Popatrz, kapitanie Dumonie, i dziwuj się! Popatrz na to, czego tylko ja, Quov Tsin, mogłem dokonać w tak krótkim czasie. Dokonałem tego!

– Dokonałeś tego? Dokonałeś...

– Ach! Widzę, że już wiesz, o co mi chodzi. Tak, Dumonie, myślę, że potrafię uwolnić naszego dobrego gospodarza od paskudnego, lecz całkiem skomplikowanego zaklęcia Gregusa Maziego!

W głowie Kentrila zderzały się sprzeczne myśli, gdy kapitan najemników przyjmował do wiadomości stwierdzenie Tsina. Z jednej strony zasłużą sobie na wdzięczność władcy Ureh, ale z drugiej będą mieli mało czasu, jeśli Khan zdecyduje się kontynuować swoją świętą misję.

– Musisz go przekonać, żeby zrezygnował, Tsin!

Czarodziej uśmiechnął się chytrze.

– Tak, i to z powodów ważniejszych niż twój romans z jego córką. Sprawdzenie poprawności wszystkich moich obliczeń i sformułowań zajmie mi jeszcze jakieś dwa dni, ale jestem niemal absolutnie pewien, że to właściwa droga. Jestem tego tak pewien, że muszę przekonać go do naszego pomysłu w ciągu najbliższych godzin. Najpierw jednak muszę zebrać myśli i przygotować się do audyencji.

– Mam pójść z tobą?

Czarodziej znów prychnął.

– W żadnym wypadku! Jeśli cię zobaczy, pomyśli, że to z twojego powodu. Pożądanie jednego najemnika niewiele waży w porównaniu ze wspaniałością Niebios.

Chciwość jednego bardzo ambitnego maga też, myślał Kentril... ale Quov Tsin potrafił ładnie mówić, gdy było to konieczne, i wiedział, jak rozmawiać z dobrze urodzonymi. Z pewnością poradzi sobie lepiej niż pochodzący z ludu najemnik.

– I co? Czemu tu jeszcze stoisz, Dumon? Chcesz, żeby mi się udało, czy nie? Idź, żebym mógł wszystko przygotować.

Kentril szybko skinął głową i pozostawił Vizjerei samemu sobie. Wiedział, że Tsin zajmie się tą kwestią z taką samą gorliwością, z jaką zajmował się wszystkim, co wiązało się z królestwem cienia. Z wytrzymałością i determinacją drapieżcy, jakimś sposobem przekona Juris Khana.

A wówczas kapitan Dumon będzie mógł zacząć starać się o rękę Atanny.

– Wciąż żyjesz - stwierdził Gorst, gdy Kentril wyszedł z biblioteki. - Magik chyba zaczyna cię lubić.

– Niech mnie Niebiosa przed tym bronią! Po prostu doszliśmy do porozumienia, i tyle.

– Pomoże ci jej nie stracić?

Kentril zmarszczył czoło.

Olbrzym wyszczerzył się, jak to miał w zwyczaju.

– Tylko ona mogła skłonić cię do przyjścia do niego. A jego obchodzi tylko magia. Jeśli Ureh zniknie, obaj na tym straciecie.

Nieco barbarzyński wygląd Gorsta sprawiał, że nawet Kentril zapominał, dlaczego uczynił czarnowłosego wojownika swoim zastępcą... i dlaczego połączyła ich przyjaźń.

– Dobrze to podsumowałeś.

- Zrobi to, Kentril. Przekona Juris Khana.
- Widziałeś ostatnio Zayla? - mruknął kapitan.
- Już od dawna nie.

Kentril nie ufał nekromancie. Ktoś w rodzaju Zayla mógł wywołać nieufność nawet u najbardziej ufnego z ludzi. Kentril nie żywił niechęci do czarodzieja ze wschodu i nawet wolał jego towarzystwo od Tsina, ale martwił się, że mężczyzna spotyka się z miejscowymi. Może powinien się upewnić, że nic innego nie zagrozi jego planom.

- Idę na spacer, Gorst.
- Do miasta?
- Tak. Jeśli Zayl się pokaże, powiedz mu, że chcę z nim porozmawiać.

Kentrilowi wcale nie podobały się poszukiwania nekromanty. Z chęcią wybrałby swój pierwotny plan, który wiązał się z przekazaniem Atannie wieści o udanej rozmowie z Tsinem, co z kolei oznaczało jakąś nagrodę z jej strony. Teraz miast towarzystwa pięknej i kuszącej córki Khana poszukiwał surowego, oficjalnego Zayla.

Nikt nie zaczepiał kapitana, gdy opuszczał siedzibę Juris Khana. Właściwie to strażnicy się wyprostowali, a paru nawet mu zaszalutowało. Ich pan rzeczywiście przekazał najemnikom władzę w mieście.

Kentril zaczął myśleć o swoich ludziach, a w szczególności o dwójce, która nie powróciła. Dowódca najemników nie słyszał wprawdzie o żadnych przypadkach nieodpowiedniego zachowania swych podwładnych, ale nie chciał, by cokolwiek zepsuło dobre stosunki z mieszkańcami.

W chwili, gdy Kentril zszedł z długich, kręconych schodów prowadzących z pałacu do samego miasta, otoczyli go radujący się mieszkańcy. Kobiety w jaskrawych, egzotycznych strojach z jedwabiu tańczyły do muzyki gitar, rogów i bębnow pod wszechobecnymi latarniami i pochodniami. Dzieci śmiały się i biegały wśród radujących się tłumów.

Miejscowi mężczyźni siedzący przy jednym ze stołów i ciężko pracujący nad gąsiorem zapraszali go do siebie, ale kapitan przeprosił uśmiechem i potrząsnął głową.

Gdzieś w Ureh ludzie musieli spać, ale kapitan nie widział na to żadnych dowodów. Wielu z tych, którzy się bawili, musiało spać wtedy, co on, bo inaczej przecież nie byłiby teraz na ulicach.

W pewnej odległości dowódca najemników zauważył Orlifa i Simona grających w kości z miejscowymi. Kentril ruszył w ich stronę, potem uznał jednak, że oni raczej nie wiedzą, gdzie podziewa się Zayl. Obaj prawdopodobnie właśnie wrócili do miasta po odpoczynku w pałacu.

Kapitan pozostawił rozbawioną dwójkę i wszedł głębiej w Ureh. Gdziekolwiek nie poszedł, zabawa trwała w najlepsze. Mieszkańcy legendarnego królestwa cieszyli się z takim rozmachem, że Kentril z trudem wierzył, że kiedyś było to najpobożniejsze, najbardziej religijne z królestw. Z drugiej strony, po tak długich cierpieniach zasługiwali przecież na trochę niewinnej rozrywki.

– Czy jesteś jednym z bohaterów? - spytał melodyjny głos.

Kentril odwrócił się i stanął twarzą w twarz nie zjedną, ale z dwoma kusząco odzianymi kobietami. Jedna nosiła wymyślną złotą szatkę, która przypominała mu słyszaną kiedyś od starego najemnika opowieść o haremach, zaś druga, posiadająca tak pożądane przez mężczyzn krągłości, patrzyła na niego przez długie czarne rzęsy. Każda z osobna byłaby kiedyś pokusą, której Kentril nawet nie potrafiłby sobie wyobrazić, ale teraz, choć nadal uważał je za interesujący widok, wcale go nie pociągały. Wszystkie jego myśli zaprzętnęła Atanna.

– Na pewno - powiedziała ta z krągłościami. Uśmiechnęła się. - Nazywam się Zorea.

– A ja jestem Nefriti - dodała ta w złocie, dygając uroczo.

– Moje panie - odpowiedział Kentril z ukłonem.

To sprawiło, że obie kobiety zarumieniły się i zaśmiały.

– Prawdziwy dżentelmen! - wykrzyknęła czarnowłosa Zorea. Pogłaskała palcami jego prawe ramię. - I taki silny!

– Poświętujesz z nami? - spytała Nefriti, wydymając pełne wargi, i wzięła go za ramię.

– To będzie dla nas zaszczyt - powiedziała jej towarzyszka. - Ureh pragnie odwdziżyć się wam wszystkim. Damy wam, czego zapragniecie.

Grzecznie i ostrożnie odsunął się od nich.

– Dziękuję wam za miłą propozycję, moje panie, ale w tej chwili kogoś szukam.

Twarz Zorei rozjaśniła się.

– Jednego z twoich przyjaciół? Widziałam dwóch obcych grających w kości z naszymi mężczyznami.

– Tak, też ich widziałem. Szukam kogoś innego. - Uświadomił sobie, że Zayl z pewnością wyróżnia się w mieście. Może to przypadkowe spotkanie okaże się jednak użyteczne? - Może go nawet widziałyście? Wysoki, blady, oczy bardziej jak wasze niż jak moje. Ubiera się na czarno.

– Widziałyśmy go! - zaświergotała Nefriti. - Prawda, Zoreo?

– O tak! - odpowiedziała druga, reagując podobnie jak przyjaciółka. - Nawet wiemy, gdzie jest.

– Zaprowadzimy cię tam!

Kapitan pozwolił się poprowadzić kobietom. Nie spodziewał się, że zabawa zainteresuje nekromantę, ale może go źle ocenił.

Z wielką wytrwałością i całkiem dużą siłą dwie kobiety przeciągnęły go przez tłumy. Zorea i Nefriti trzymały go za obie ręce, ponoć obawiając się rozdzielenia... tak przynajmniej twierdziły. Najwyraźniej dobrze wiedziały,

gdzie się kierują, skręcając bez wahania tu i tam i bez trudu poruszając się wśród innych świętujących.

Tłumy zaczęły się stopniowo przeredzać, a podejrzenia kapitana Dumona rosły. Gdy powiedziały, że wiedzą, gdzie jest Zayl, uwierzył im, ale teraz dla doświadczonego wojownika w obcym kraju sytuacja wyglądała zbyt znajomo. Okolica, gdzie się kierowali, wyglądała na opuszczoną. Dzięki takim czarującym przynętom wielu najemników skończyło z nożem w plecach. Ureh może i było świętym miastem, ale Gregus Mazi dowiódł, że nawet najbardziej pobożne krainy mają swoje demony.

Nim zdążyły zaprowadzić go dalej na manowce, Kentril zatrzymał się.

– Wiecie, moje panie, czuję się niemal pewien, że mój przyjaciel zostawił tego, z kim go ostatnio widziałyście i teraz wraca do pałacu, by się ze mną spotkać.

– Nie! - wydyszała Nefriti. - Jest już niedaleko.

– Całkiem blisko - nalegała Zorea, brzmiąc niczym bliźniaczka drugiej dziewczyny.

Kentril łagodnie lecz skutecznie wyrwał ręce z uścisku kobiet.

– Dziękuję wam za pomoc. Mieszkańcy tego królestwa okazali się wyjątkowo mili.

– Nie! - nalegała Zorea. - Tędy.

– Tak, tędy. - Nefriti pokiwała głową.

Ponownie chwyciły jego ramiona, tym razem z taką siłą, że kapitan krzyknął lekko z zaskoczenia. Próbował ponownie się uwolnić, ale odkrył, że kobiety trzymają go wyjątkowo mocno.

– Puszczajcie mnie! - Udało mu się oderwać od Zorei, ale Nefriti uczepliła się go jak pijawka.

– Musisz tam pójść. Proszę! - błagała.

Przytrzymywany w miejscu przez jedną, Kentril ryzykował ponowne złapanie przez drugą. Obawiając się, że wkrótce może pojawić się trzecia osoba - tym razem mężczyzna z nożem noszącym ślady używania - najemnik zapomniał o honorze i zamachnął się na zbliżającą się Zoreę.

Równie dobrze mógł uderzyć w pobliski mur. Kentril trafił ją z całej siły w brodę, ale to on został ranny. Wszystkie kości jego dłoni i ramienia otarły się o siebie. Poczul ostry ból i pomyślał, że połamał palce.

Palce Zorei zbliżyły się do niego, ale kapitanowi Dumonowi udało się przekreślić i kobieta chwyciła powietrze. W tej samej chwili wolną ręką najemnik wyciągnął miecz.

Na widok broni Nefriti rzuciła nim do tyłu. Zaskoczony jej niezwykłą siłą, nie zdołał uniknąć uderzenia o ścianę.

Gdy walnął w nią głową, cały świat wokół się zmienił. Z początku widział wszystko podwójnie, nawet dwie Zoree i dwie Nefriti, wpatrujące się w niego ze złością. Potem zaszła jeszcze bardziej przerażająca przemiana.

Kapitana otaczał teraz koszmar. Nagle znikło morze pochodni i bawiący się mieszkańcy. Wspaniałe budynki nie tylko znów zmieniły się w ruiny, ale też było w nich coś mrocznego, jakby jednocześnie zło i rozpacz. Z daleka dochodziły go głosy tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci krzyczących z bólu. Wszystko oświetlało dziwne, szkarłatne światło bez widocznego źródła. A gdziekolwiek Kentril Dumon się zwrócił, widział coś, co musiało być przeklętymi duszami.

Zjawy wyciągały do niego ręce, pożyły go, błagały go, a jednocześnie pragnęły go uczynić jednym z nich. Wszystkie wyglądały, jakby jakiś wielki potwór wyssał ich do cna, pozostawiając tylko łupiny, które teraz pragnęły zrobić to samo z wojownikiem. Miały zapadnięte oczy, skórę suchą niczym martwe liście, i podarte szaty, a poruszały się, jakby właśnie

wyszły z grobów. Szły w stronę Kentrila z ustami otwartymi w niecierpliwym oczekiwaniu.

– Nie! - krzyknął odruchowo. - Odejdźcie ode mnie!

Uwolniwszy broń, machał nią w różne strony, odpychając nadchodzących, nie widział jednak drogi ucieczki. Poczł się zgubiony, gdyż wiedział, że prędzej czy później zmęczy się tak bardzo, że go przemogą.

– Kapitanie! Kapitanie Dumonie!

Ignorując wołanie, Kentril ciął szaleńczo otaczające go demony. Nagle zdało mu się, że jest ich mniej, a z każdą chwilą ich liczba zmniejszała się jeszcze bardziej. Czując przypływ nadziei, kapitan zrobił krok do przodu, pragnąc wyrąbać sobie drogę ucieczki.

– Kapitanie Dumonie! Popatrz na mnie! Posłuchaj mnie!

Ktoś chwycił go z tyłu za ramiona. Kentril uwolnił się i obrócił gwałtownie. Stwierdził, że jeśli udało im się go otoczyć, to zanim zabiorą mu życie i duszę, przynajmniej zniszczy ich jak najwięcej.

– Kapitanie, to ja, Zayl! Zayl!

Powoli w polu widzenia Kentrila pojawiła się zatroskana twarz nekromanty. Najemnik patrzył na niego z mieszaniną strachu i wdzięczności.

– Zayl! Zrób coś! Nie pozwól im nas dopaść!

– Nas? - Zayl wyglądał na zakłopotanego. - Komu?

– Im, oczy...

Kentril przerwał nagle. Przerażający tłum znikł. Krzyki umilkły. W rzeczy samej, Ureh wyglądało tak, jak powinno - budynki, ludzie i niebo, wszystko było całkiem normalne. Mieszkańcy patrzyli na najemnika z mieszaniną troski i współczucia.

Dwóch kobiet, które doprowadziły go do takiego stanu, nigdzie nie spostrzegł.

Nekromanta szybko odciągnął go od tłumu. Razem podążyli z powrotem w stronę pałacu. Żaden nic nie powiedział, aż oddalili się od miejsca zdarzenia.

Zayl wprowadził Kentrila w boczną uliczkę i spytał cicho -Powiedz mi, co tam się stało, kapitanie. Usłyszałem twój krzyk i zobaczyłem, że stoisz wśród tłumu, machając mieczem i wrzeszcząc, jakby wszystkie demony Piekieł pragnęły twej krwi.

- Nie krwi - wyszeptał wojownik. Kentril spojrział na swoją dłoń i odkrył, że wciąż ściska rękojeść broni tak mocno, że aż zbieleły mu kostki.
- Mojego życia... mej nieśmiertelnej duszy.

- Opowiedz mi o tym. O wszystkim. Opisz szczegóły, jeśli możesz.

Kapitan Dumon odetchnął głęboko i zrobił to, o co go poproszono. Opowiedział Zayłowi o dwóch kobietach i o tym, jak próbowały ściągnąć go podstępem w odludną okolicę, i jak potem, po dziwnej, trudnej walce, cały świat oszalał.

Nekromanta słuchał uważnie, nic nie mówił, jego oczy też nic nie wyjawiały. Mimo tego milczenia Kentril nie czuł jednak, by Zayl uważał go za szaleńca. Wysoki, blady mężczyzna słuchał raczej, jakby każde słowo traktował śmiertelnie poważnie. To z kolei pozwoliło Kentrilowi rozluźnić się podczas opowiadania i przypomnieć sobie więcej szczegółów.

Dopiero gdy skończył, Zayl zadał mu pytanie, lecz ku zdziwieniu Kentrila nekromanty nie interesowała demoniczna horda, lecz dwie kobiety.

- Powiedziałeś, że jedna nosiła złotą szatkę, która przypominała te noszone w Lut Gholein. Równie szczegółowo opisałeś uroki jej bogato obdarzonej towarzyski, kapitanie. Ten szczegółowy opis bardzo mnie zainteresował.

– Nie jestem pierwszym mężczyzną, który padł ofiarą słodkich słówek kobiet, Zayl, a one naprawdę wydawały się być w stanie doprowadzić mnie do ciebie.

Towarzysz Kentrila pokiwał głową.

– A ja nie miałem zamiaru cię obrazić. Raczej podziwiam twoją pamięć. Rzeczywiście spotkałem je obie, tak jak twierdziły, kapitanie Dumonie. Spotkałem je, gdy świętowały z jednym z twoich ludzi, tym o imieniu Brek.

– Brek? - Nagły atak szaleństwa Kentrila przestał się liczyć. Jeden z jego ludzi był widziany w towarzystwie dwóch spiskujących dziewczek, które najwyraźniej próbowały zabić kapitana. - O ile mi wiadomo, nie wrócił z miasta. Ani Gorst, ani Albord, * którzy pilnują pozostałych, nie widzieli go od chwili, gdy z pierwszą grupą opuścił miasto.

– Trzeba się będzie tym zająć... między innymi, jak sądzę.

– Co to znaczy? - spytał ostrożnie Kentril.

– Kapitanie Dumonie, nie wpadłem na ciebie przez przypadek. Chciałem się z tobą zobaczyć, by omówić moje własne, niepokojące spotkanie.

– A o co chodzi?

Nekromanta skrzywił się.

– Nie będę teraz wchodził w szczegóły mojej historii, ale mam powód, by wierzyć, że to, co opowiedziano nam o Gregusie Mazim, nie jest do końca prawdą.

– Nie do końca? - zabrzmiał głos z boku Zayla. - To jedno wielkie kłamstwo!

Kentril, który właśnie kończył chować miecz, wyjął go ponownie.

– Co to było, na Niebiososa?

– Nieposłuszny i stanowczo zbyt wygadany towarzysz. - W stronę sakiewki Zayl powiedział - Ostrzegam cię po raz ostatni, Humbart. Przestań się ciągle wtrącać albo cofnę zaklęcie, które cię ożywia.

– Hm... - zabrzmiała odpowiedź.

Nagle wszystkie dziwaczne i ohydne plotki, które Kentril słyszał o tajemniczych wyznawcach Rathmy, zdały mu się prawdziwe. Najemnik cofnął się, zapominając, że dotychczas nekromanta tylko mu pomagał.

– Kapitanie, to nie jest konieczne.

– Trzymaj się ode mnie z dala, czarodzieju! Co tam jest? Chowaniec!

Zayl spojrzął z irytacją na sakiewkę.

– Zwykle raczej niewychowaniec. Humbart zapomina o swej sytuacji i niebezpieczeństwie, jakie dla mnie stanowi, za każdym razem, gdy pragnie wypowiedzieć swoje zdanie.

– Hum... Humbart Wessel?

– To, co ze mnie pozostało, chłopcze! Posłuchaj! Mówię jak jeden żołnierz do drugiego...

– Cisza! -Nekromanta postukał mocno w sakiewkę. Do Kentrila zwrócił się słowami - Kapitanie, całe życie spędziłem w pobliżu ruin Ureh. Przyglądałem się i czekałem, aż się pojawi, ale nigdy nie przywróciło go odpowiednie połączenie światła i cienia. To jednak nie znaczy, że nie odniosłem pewnych sukcesów. -Sięgnął do sakiewki. - Pewnego dnia znalazłem to.

W Kentrila wpatrywały się nie mrugające oczodoły podniszczonej czaszki. Brakowało zuchwy, a niektóre z górnych zębów zostały wyłamane. Z tyłu duże pęknięcie sugerowało mocny cios, choć nie wiadomo czy celowy, czy też przypadkowy.

– Pozostałości Humbarta Wessela - stwierdził cicho Zayl. -Żołnierza, najemnika, poszukiwacza przygód...

– I ostatniego człowieka, który widział Gregusa Maziego, nim ten zniknął w okrytym cieniem mieście, by dopełnić swą ohydną misję.

Od strony czaszki dobiegł pusty, poirytowany głos.

– Stary Gregus nigdy nie skrzywdziłby innego człowieka.

Kentril z trudem utrzymywał miecz w dłoni. Wiedział, że Zayl jest w stanie wzywać duchy umarłych, ale gadająca czaszka to za - dużo nawet dla doświadczonego wojownika.

– Co ty chcesz zrobić, nekromanto? Jaki masz plan?

Zayl westchnął z frustracji.

– Moim planem jest dowiedzenie się prawdy, kapitanie Dumonie, ponieważ wiąże się to z równowagą świata śmiertelnych. Aby tego dokonać, zacząłem szukać czegoś, co pomogłoby mi przyzwać ducha Gregusa Maziego. Wówczas może dowiedziałbym się czegoś, co pomogłoby mi złamać jego zaklęcia.

– I co?

Usłyszeli zbliżające się odgłosy zabawy. Zayl szybko schował czaszkę do sakiewki i poczekał, aż wszystko ucichnie. Wówczas wskazał na Nymyr i powiedział - W siedzibie wykutej w zboczu góry, w której niegdyś mieszkał czarodziej, odnalazłem coś, co mogłem wykorzystać do przyzwania go. Rzuciłem zaklęcie, które używałem już setki razy i zawsze mi się udawało. - Jego twarz spochmurniała. - Tym razem jednak żaden duch mi nie odpowiedział.

Kapitan uznał to za nieważne.

– Czyli w końcu ci się nie udało. Jeden umarły przeciwstawił się twojej mocy.

– Przeciwstawił się, ponieważ nie umarł.

Zayl poczekał, aż do Kentrila dotrą jego słowa. Najemnik skrzywił się, gdyż nie był pewien, czy wszystko rozumie, a jeśli tak, to czy chce znać takie wieści.

– Ale Juris Khan powiedział nam bez ogródek, że on i Mazi walczyli, a po tym, jak Mazi go uwięził, Khanowi i tak udało się zniszczyć złoczyńcę,

nim ten bardziej skrzywdził Ureh.

Czarodziej pokiwał głową.

– Tak, Juris Khan tak powiedział.

– W takim razie Gregus Mazi nie żyje.

– Żyje. Wiem o tym. Nie udało mi się dlatego, że on nie umarł.

Kentril w końcu schował miecz do pochwy i ruszył w stronę pałacu. Nagły strach o Atannę zastąpił obawy o zdrowe zmysły i nieufność wobec nekromanty.

– Musimy ich ostrzec! Nie wiadomo, gdzie może być Mazi.

Zayl zacisnął szczupłą lecz mocną dłoń na ramieniu najemnika. Pochylił się ku niemu i wyszeptał - Wiadomo... dzięki zaklęciu, które wykorzystałem. Gregus Mazi jest nadal w Ureh, kapitanie. - Spojrzał na wielki budynek na wzgórzu. - I obawiam się, że przebywa w samym pałacu.

JEDENAŚCIE



Gdyby Zayl powiedział Kentrilowi, że sam Diabło przebywa w pałacu, w którym mieszka Atanna, żołnierz wcale nie zdenerwowałby się bardziej. Gregus Mazi, który przeklął królestwo i pożądał córki Khana, nie tylko żył, ale i krył się w pobliżu. W całym swoim życiu Kentril nigdy nie pragnął tak bardzo kogoś zabić, nawet podczas swych licznych kampanii. Wówczas robił po prostu to, za co mu płacono. Tutaj jednak miał do czynienia ze sprawą o wiele bardziej osobistą.

– Gdzie w pałacu? - spytał Zayla, gdy wspinali się po zboczu. -Gdzie?

– Właściwie to pod nim. Nie byłem w stanie określić dokładnej lokalizacji. Tam działają moce, z którymi wcześniej sienie spotkałem. Zaklęcia, które rzuciłem, by wejść głębiej, zostały spaczone i stały się bezużyteczne. Jeśli się zbliżymy, może się to zmienić.

– Muszą zostać ostrzeżeni - upierał się Kentril. - Muszą wiedzieć, że tuż pod nimi czai się niebezpieczeństwo.

Czarodziej zmusił swojego towarzysza do zatrzymania się u podnóża starożytnych schodów.

– Kapitanie Dumonie, czy zauważyłeś, żeby ostatnio w pałacu było coś nie tak?

– Tylko tyle, że kilku moich ludzi nie wróciło.

– Ale ani lord Khan, ani jego córka nie wydają się być w niebezpieczeństwie.

Kapitanowi nie spodobały się słowa Zayla.

– I co z tego?

– Walczyłeś w wielu bitwach, wielu wojnach. Czy ogłasza się przeciwnikom swoje zamiary, czy też próbuje się ich oszukać, działa tak, by nic nie podejrzewali?

Kentril zmrużył oczy.

– Chcesz mi powiedzieć, że mamy im nic nie mówić?

– Zgadza się, przynajmniej dopóki nie dowiemy się więcej... albo wyczujemy, że grozi im niebezpieczeństwo.

– A co proponujesz, nekromanto?

Zayl rozejrzał się, upewniając się, że nikt nie jest w stanie ich podsłuchać.

– Najpierw sprawdzimy, co jest w podziemiach.

Część Kentrila uznała propozycję Zayla za głupotę, przekonana, że należy ostrzec Atannę o powrocie Gregusa Maziego. Inna część jednak obawiała się, że zepsuty czarodziej też się tego dowie. Z pewnością Mazi uważnie obserwował Khana i jego córkę, aby upewnić się, że nie wiedzą o jego obecności. Jeśli zostanie ostrzeżony, z pewnością zaatakuje.

Istniała jednak duża szansa, że łotr obserwuje też gości dawnego pana. Jeśli po prostu zaczną go szukać, przygotuje pułapki, by zabić ich wszystkich.

– Na razie jeszcze im nie powiemy - zgodził się w końcu Kentril. - Ale będzie potrzebne nam coś, co zainteresuje go tak, że w ogóle nie zwróci uwagi na poszukiwaczy.

– On ma rację - powiedział zduszonym głosem Humbart.

Zayl postukał w sakiewkę i pokiwał głową.

Gdy jakiś czas później dotarli do pałacu, nie wspominali o swoich planach. Żaden z nich jeszcze nie wymyślił sposobu na odwrócenie uwagi

ukrytego czarodzieja, ale obaj wiedzieli, że nie mają dużo czasu. Gregus Mazi na pewno już coś planował.

Myśląc o tym, Kentril wyszukał Alborda. Kiedy go odnalazł, młodszy najemnik właśnie wybierał się z dwoma innymi do miasta, co doskonale pasowało do planu kapitana. Kentril odciągnął Alborda na bok i wyszeptał - Mam dla ciebie rozkazy i nie pytaj dlaczego.

Choć jasnowłosy wojownik pozornie nie zareagował na dziwne słowa dowódcy, spojrzeniem dał mu do zrozumienia, że rozumie powagę sytuacji.

- Tak, kapitanie?

- Trzeba na jakiś czas ukrócić świętowanie. Chcę, żeby wasza trójka poszła do miasta i zebrała wszystkich naszych, których znajdziecie. Jeśli kogoś nie da się odnaleźć, powiadomcie mnie. Przede wszystkim się nie rozdzielajcie i nie mówcie miejscowym, o co wam chodzi... a gdyby ktoś zaproponował pomoc w odszukaniu kogoś, kogo nie możecie znaleźć, nie zgadzajcie się.

To ostatnie wywołało reakcję Alborda.

- Jak bardzo poważna jest sytuacja?

Kentril przypomniał sobie własne spotkanie, jak miasto zmieniło się w koszmar prosto z Piekieł. W końcu doszedł do wniosku, że dwie kobiety wykorzystały jakiś eliksir, który nie tylko go osłabił, ale też wywołał straszliwe halucynacje. Powiadano, że niektórzy skrytobójcy mają takie trucizny na paznokciach i jeden dotyk wystarczy, by wpłynąć na ofiarę.

- Wystarczająco poważna. Szczególnie wystrzegajcie się dwóch kobiet, jednej w złotych szatkach, podejrzanie mocno wami zainteresowanych.

Gdy Kentril odesłał Alborda i pozostałych, dołączył do niego Zayl.

- Co mu powiedziałaś?

- Wystarczająco dużo, by był ostrożny. Sprawdzanie moich ludzi nie będzie się nikomu wydawać niestosowne. Najemnicy w czasach pokoju

często robią się uciążliwi dla gospodarzy i zebranie ich wszystkich będzie wyglądać na zwykłe zabezpieczanie się.

– Czy powinniśmy powiedzieć mistrzowi Tsinowi?

Kentril wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Chciałbym jednak od razu powiedzieć Gorstowi, a on jest koło czarodzieja.

Pospiechali do biblioteki, ale odkryli, że jest pusta. Stół, przy którym tak długo siedział Vizjerei, przykrywała sterta ksiąg i zwojów, ale Tsin i góra notatek zniknęli.

Kapitan zauważył, że brakuje jeszcze jednego - Gorsta. Olbrzym mógł po prostu ruszyć za Tsinem, by go pilnować, ale biorąc pod uwagę górę pergaminu, jaka znikła ze stołu, i kłopoty, jakie miałyby niski czarodziej z jej noszeniem, było oczywiste, że Tsin rozkazał Gorstowi, by ten pomógł mu w noszeniu.

Kentril i Zayl ledwie się odwrócili, gdy pojawiła się Atanna. Zobaczyła ich i jej i tak radosna twarz właściwie zapłonęła ze szczęścia.

– Kentril! Udało ci się! Udało ci się!

Całkowicie ignorując nekromantę, kobieta zarzuciła ramiona na szyję kapitana i pocałowała go namiętnie. Kentril natychmiast zapomniał o niebezpieczeństwie czającym się w podziemiach i przyjął wdzięczność Atanny. Nie wiedział, za co mu właściwie dziękowała, ale też go to nie obchodziło.

W końcu uświadomił sobie, że speszony Zayl patrzy na niego zza pleców córki Khana. Z początku poczuł się zirytowany jego obecnością, ale potem przypomniał sobie, co właściwie pragnęli obaj uczynić. Odepchnął lekko Atannę i pocieszył się, że przynajmniej będzie w stanie popatrzeć na nią z bliska.

– A za co mi tak pięknie dziękujesz?

– Jakbyś nie wiedział! - Prawie znów go ucałowała, ale zauważyła jego opory. Uśmiechnęła się i pozwoliła Zaylowi przyłączyć się do rozmowy. - Ciebie również może to zainteresować, panie.

– Podejrzewam, że tak właśnie jest, pani.

Atanna z uśmiechem przyjęła jego grzeczność.

– W tej chwili - powiedziała im obu - Vizjerei Quov Tsin zaczął audiencję u mojego ojca.

– Już? -przerwał Kentril. Nie spodziewał się, że Tsin tak szybko zacznie próby przekonywania lorda Khana. Chciwość Vizjerei z pewnością wiązała się z nagłym rozwojem sytuacji. Kentril mógł mieć tylko nadzieję, że Tsin swym pośpiechem nie zepsuje wszystkiego.

– Dobry czarodziej powiedział ojcu, iż uważa, że za dzień albo dwa będzie w stanie zdjąć przekleństwo Gregusa! Będzie to wymagać godzin przygotowań i tyle samo czasu może potrwać samo rzucanie zaklęć, ale jest pewien, że się uda!

Jej oczy rozszerzyły się z nadzieją. Kentril miał nadzieję, że Tsin nie rozczaruje Juris Khana, przynajmniej ze względu na jego córkę.

– Cieszę się, że to słyszę, ale...

– I, co ważniejsze dla niektórych - dodała rudowłosa księżniczka, patrząc tylko na Dumona - mistrzowi Tsinowi już udało się dokonać cudu. Przekonał ojca, że Ureh powinno ponownie stać się częścią świata, że wędrówkę do Niebios powinniśmy podjąć tak jak inni śmiertelnicy, poprzez próby codziennego życia.

Kentril zawahał się, niezbyt pewien, czyją dobrze zrozumiał.

– Juris Khan nie spróbuje ponownie rzucić zaklęcia? Nie spróbuje po raz kolejny znaleźć schronienia w Niebiosach?

– Nie! Dzięki Vizjerei ojciec uwierzył, że mamy tu swoją rolę do odegrania. Myśli, że powinniśmy teraz skierować resztę świata na

odpowiednią ścieżkę. Ojciec zastanawia się nawet, czy nie miało tak być od początku!

Dla kapitana Dumona wszystko to brzmiało zbyt fantastycznie, ale w twarzy Atanny widział tylko prawdę. Lord Khan zmienił zdanie. Tsina już odniósł sukces, i to dużo wcześniej niż spodziewałby się Kentril.

– Gratuluj ę, pani - powiedział grzecznie Zayl.

– Dziękuję - odrzekła, uśmiechając się do nekromanty, po czym wróciła do Kentrila. - Ojciec jest tak szczęśliwy, że chciałby uczcić ciebie i mistrza Tsina prywatną kolacją. Ciebie także, mistrzu Zaylu, jeśli sobie życzysz.

Błady czarodziej potrząsnął głową.

– My nie słyniemy z ogłady, a poza tym nie zrobiłem nic, by zasłużyć ha takie wyróżnienie. Zgadzam się jednak, oczywiście, że kapitan Dumon i czarodziej powinni zostać tak uhonorowani.

– Jak sobie życzysz. - Od tej chwili Atanna jakby zapomniała o nekromancie. - Kentril, mam nadzieję, że się zgodzisz.

Co mógł odpowiedzieć?

– Oczywiście. Cały zaszczyt po mojej stronie.

– Wspaniale! W takim razie wszystko ustalone. Wkrótce w twych komnatach pojawi się służący, by pomóc ci w ubieraniu się.

– Ubieraniu? - Najemnikowi nie podobało się to stwierdzenie.

– Oczywiście - wtrącił niewinnie Zayl. -Na uroczystą kolację zawsze trzeba być odpowiednio odzianym.

Nim Kentril zdołał się sprzeciwić, Atanna pocałowała go jeszcze raz i odeszła pospiesznie. Obaj mężczyźni patrzyli, jak znika.

– Niezwykła kobieta, kapitanie Dumonie.

– O tak.

Nekromanta zbliżył się do niego.

– Ta kolacja może nam nawet pomóc. Kiedy lord Khan i jego córka będą zajęci tobą i Vizjerei, ja spróbuję poszukać zejścia do podziemi. Gdzieś musi być jakiś dokładny plan pałacu, a może nawet jakaś wzmianka o jaskiniach, o których wspominał Khan.

Kentril nadal spoglądał w stronę, w którą udała się Atanna.

– Nadal nie podoba mi się, że jej nie powiemy.

– Pamiętaj, że Gregus Mazi kiedyś pożądał córki Juris Khana. Jeszcze jej nie tknął, ale kiedy uświadomi sobie, że została ostrzeżona, porwie ją. Niewiedza zapewnia jej bezpieczeństwo.

– No dobrze - rzucił kapitan. Patrzył ze złością na wysokiego, szczupłego mężczyznę. - Postaraj się tylko, żeby cię nie złapali. To byłoby trudne do wytłumaczenia.

– Gdyby tak się stało, powiem wszystkim, że działałem na własną rękę. Nie będzie miała powodu, by stracić do ciebie zaufanie.

Zayl uklonił się lekko i odszedł. Kentril skrzywił się, niezbyt pewien, co ma myśleć o układzie, który zawarł z nekromanta, po czym podążył do swych komnat, żeby postarać się jak najlepiej przygotować do bez wątpienia eleganckiej kolacji.

Wolałby raczej brać udział w bitwie.



Na jego posłaniu ułożono elegancki czarny mundur galowy ze złotymi dodatkami, składający się z wąskich, prostych spodni i żakietu z długimi połami. Ramiona ozdabiały epolety, a na lewej piersi wyszyto stylizowany obraz miecza i korony. Błyszczące buty z czarnej skóry sięgały do kolan, a wszystko razem robiło duże wrażenie.

Kentril czuł się w tym stroju dość głupio. Był żołnierzem, najemnikiem. Taki mundur powinien nosić dowódca, generał, nie ktoś o tak niskim

pochodzeniu. Nie mógł jednak pojawić się na uroczystej kolacji z lordem Khanem i Atanną odziany w swoje stare, często łatanie ubranie.

To, że mundur pasował doskonale, wcale kapitana nie zdziwiło. Atanna nie zostawiłaby go dla niego, gdyby nie miała pewności, że będzie doskonale pasować. Zastanawiał się, czy należał kiedyś do kogoś innego, czy też Atanna go po prostu wyczarowała.

Choć Kentril znał drogę, przed drzwiami jego komnaty czekało dwóch strażników, którzy mieli go eskortować. Z całym ceremoniałem pomaszerowali korytarzem, prowadząc wojownika do miejsca, gdzie czekał Khan.

– Witaj, przyjacielu! - przywitał go mężczyzna z krzesła. - Tak się cieszę, że zgodziłeś się nam towarzyszyć.

Ponieważ monarcha nie był w stanie się ruszyć, do komnaty przyniesiono na czas posiłku ciężki rzeźbiony stół. Ozdabiał go filigran, a rzeźbienia wykonała bez wątpienia ręka mistrza. Kosztował bez wątpienia tyle, ile Kentril zarobiłby przez dziesięć lat... jeśli miałby szczęście. Na złocistym obrusie leżały połyskujące talerze, nieskazitelne srebro i stały wspaniałe, wysokie kandelabry.

Przy stole stały trzy krzesła. Samego Juris Khana nie dało się zdjąć z podestu, ale przysunięto do niego mniejszy, lecz równie bogato zdobiony stolik. Większy stół ustawiono tak, że władca Ureh siedział u jego szczytu.

Quov Tsin siedział już po lewicy gospodarza, ale Kentril nie widział śladu Atanny. Kiedy jednak się zbliżył, nagle pojawiła się z boku i wyciągnęła do niego rękę.

Wpatrywał się w nią bezwstydnie, ponieważ nie wiedział, jak mógł nie zauważyć jej wejścia, a poza tym nic w pięknie zdobionej komnacie nie równało się z nią urodą.

Jej szmaragdowa, obfita suknia doskonale pasowała do gęstych rudych włosów, które starannie ułożono na ramionach i piersi. Rękawy sięgały aż do grzbietu dłoni i nawet pasowały na trzy środkowe palce każdej z nich, jakby były częściowo rękawiczkami. Poza włosami jej ramiona były nagie, a suknia dopasowana na tyle, by kusić, ale nie by bezwstydnie ukazywać jej doskonałą sylwetkę.

Wziął podaną dłoń i pocałował ją lekko. Atanna wzięła go za rękę i poprowadziła do stołu.

– Usiądziesz tutaj, na końcu stołu - wyszeptała. - Będę po lewej, blisko ciebie.

Kentril niemal podszedł do swojego miejsca, ale przypomniał sobie, jak eleganccy oficerowie zachowywali się w towarzystwie dam dworu. Podprowadził ją do jej krzesła i odsunął je dla niej. Atanna przyjęła ten gest z pięknym uśmiechem.

– Najwyższy czas - mruknął Tsin, gdy Kentril usiadł. Oceniając po stojącym obok pustym pucharze, Vizjerei wypił już przynajmniej kielich wina. Przyszedł oczywiście odziany w te same szaty, co zawsze. Nikt nie spodziewał się, że założy cokolwiek innego, a poza tym ozdobione runami szaty nie wydawały się nie na miejscu,

– Wyglądasz wspaniale! - stwierdził Juris Khan. - Czyż nie wygląda wspaniale, moja droga?

– Tak, ojcze. - Atanna zarumieniła się.

– Mądry i znaczący wybór, córko! Kapitanie Dumonie, ten mundur rzeczywiście jest dla ciebie odpowiedni.

– Dziękuję ci, panie. - Kentril nie wiedział, co innego mógłby powiedzieć.

– Jestem taki szczęśliwy, że zjawiliście się obaj, mimo iż zawiadomiłem was tak późno. I tak już jestem wam wiele winien, a wygląda na to, że

wkrótce będę winien jeszcze więcej.

– Jesteśmy zaszczyceni, lordzie Khanie - odrzekł Quov Tsin, unosząc pusty kielich. Służący w liberii pojawił się znikąd i dopełnił go winem z ciemnozielonej butelki, o co być może od początku chodziło czarodziejowi.

Kentril pokiwał głową, przyjmując słowa gospodarza, choć doszedł do wniosku, że nie zrobił wiele, by zasłużyć na pochwały. Owszem, pomógł umieścić Klucz Światła na swoim miejscu, ale mógł to zrobić każdy silny mężczyzna. Co ważniejsze, to Tsin uwolnił władcę Ureh od klątwy Gregusa Maziego. Kapitan Dumon rozumiał, że czarodziej zasługuje na wszelkie zaszczyty, ale jemu wystarczyło siedzenie tutaj, blisko Atanny.

Juris Khan pstryknął palcami, a w odpowiedzi odziani w liberie służący wnieśli pierwsze danie. Wszyscy byli tak podobni do siebie, że Kentril musiał się przyglądać każdej postaci po kolei, by upewnić się, że nie są identyczni. Służący traktowali go z takim samym szacunkiem jak swojego władcę, co jeszcze bardziej go zawstydzalo. Był najemnym żołnierzem, miał swój stopień tylko dlatego, że przeżył, choć wielu dzielnych, ale obdarzonych mniejszym szczęściem ludzi zginęło.

Podczas kolacji wojownik delektował się owocami i warzywami, jakich nigdy nie próbował oraz grubymi plastrami dobrze ugotowanego mięsa ociekającego własnym sosem. Wino, które pił, miało tak pełny bukiet, że musiał się pilnować, by nie wypić go za dużo. Wszystko, czego próbował, było doskonałe. Obiad wydawał się bardziej snem niż rzeczywistością.

Przez cały ten czas delektował się również wspaniałym widokiem Atanny, i to tak bardzo, że dopiero pod koniec posiłku w jego umyśle pojawiła się sprawa, która zastanawiała go wcześniej. Popatrzył na resztki na swoim talerzu i spytał z najwyższą ostrożnością- Panie, skąd pochodzi całe to jedzenie?

Tsin spojrział się na niego, jakby był niegrzecznym dzieckiem przeszkadzającym dorosłym w rozmowie. Juris Khan jednak nie tylko odpowiedział na jego pytanie, ale sprawił, że wydało się bardzo mądre.

– Tak, masz prawo o to pytać. Bez wątpienia zastanawiasz się nad tym, bo powiedziałem, że choć zostaliśmy uwięzieni między Niebiosami a śmiertelnym światem, byliśmy świadomi naszego losu. W pewien sposób czas rzeczywiście płynął, a w inny nie. Nawet ja nie jestem w stanie tego do końca wyjaśnić, przykro mi. Wiedzieliśmy, że w prawdziwym świecie mijają lata, ale nie starzeliśmy się, nie spaliśmy zbyt wiele ani nie czuliśmy głodu.

– Wcale? - spytał Kentril z pewnym zdziwieniem.

– Cóż, może i czuliśmy... głód zbawienia. A skoro my się nie starzeliśmy, nie starzało się nasze jedzenie. Dlatego też mamy spore zapasy i pozostanie tak jeszcze przez jakiś czas. - Ojciec Atanny uśmiechnął się łagodnie do obu gości. - A mam nadzieję, że do tego czasu nasza sytuacja znacząco się poprawi.

Kentril pokiwał głową, wdzięczny za odpowiedź i nieco zawstydzony, że w ogóle zadał pytanie.

– Panie - wtrącił się Vizjerei - w czasie, gdy wyjaśniałeś rzeczy oczywiste kapitanowi, pomyślałem o dodatkowych sprawach do rozważenia.

Khan bardzo się tym zainteresował.

– Sprawach związanych z moją sytuacją?

– Tak. Jak wspominałem wcześniej, z pewnością będę potrzebować umiejętności twej córki tak samo jak twoich. Widzisz...

Gdy Tsin rozpoczął wyjaśnienia, dla kapitana długie i mało zrozumiałe, ten z radością skoncentrował się na gospodyni. Atanna zauważyła, że na nią

patrzy i uśmiechnęła się nad krawędzią kielicha, który właśnie uniosła do ust.

Wpatrując się w ten niebiański widok, kapitan przestał uważać na nóż i widelec. Ostrze zsunęło się z kawałka mięsa, który właśnie kroił, i wbiło się w bok dłoni, w której trzymał drugi sztuciec.

Na potrawę spadły krople krwi.

Kentril poczuł ból.

Bogata, jasno oświetlona komnata stała się komnatą strachu.

Po podniszczonych, podrapanych ścianach zdawała się płynąć krew - świeża krew - zaś zamiast sklepienia była tylko poszarpana dziura, która ukazywała niebo tak burzliwe i cierpiące, jak reszta jego otoczenia. Czarne i szkarłatne chmury walczyły ze sobą, a olbrzymie błyskawice znaczyły miejsce ich zderzenia. Na niebie tworzyły się wiry, gotowe, zdawało się, do pochłonięcia krwawiącego świata poniżej.

Na poplamionej i popękanej podłodze leżały rozrzucone kości, niepokojąco podobne do ludzkich, a coś, co na pewno nie było szczurem, przebiegło po jednej z nich i znikło w pęknięciu biegnącym wzdłuż ściany komnaty. Ostry wiatr z wyciem przelatywał przez pomieszczenie, niosąc ze sobą ogromny upał, który jednak w jakiś sposób mroził Kentrila.

Jego uszy nagle zaatakowały jęki i krzyki. W końcu wstał od gnijącego stołu. Na jego połamanym, pokrytym grubą warstwą kurzu talerzu leżał nie świeżo ugotowany posiłek, który właśnie spożywał, lecz kawał gnijącego, pełnego robactwa mięsa.

Jęki i krzyki stawały się coraz głośniejsze, aż kapitan musiał zakryć uszy. Zatoczył się do tyłu, oparł o ścianę... i wtedy odkrył, skąd pochodzą żałosne skargi.

Na każdej ze ścian setki ust krzyczały o pomoc. Te najbliższe mu zdawały się krzyczeć najgłośniej. Kentril cofnął się z przerażeniem i

potykając się, ruszył do stołu... i wpadł na rozłószczonego Quova Tsina.

– Co robisz, kretynie? Robisz z siebie głupca na oczach naszego gospodarza! - Vizjerei wskazał w stronę podestu.

Gdy jednak Kentril spojrział tam, nie ujrzał dobrego, ojcowskiego Juris Khana. Krzesło pozostało zamocowane na swoim miejscu, to prawda, i wydawało się najmniej zmienione ze wszystkiego, ale nie siedział na nim władca Ureh.

Na oczach przerażonego kapitana Dumona wznosił się...

– Kentril! Odezwij się do mnie! To ja, Atanna! Kentril!

I jakby to wszystko było snem, wielka komnata w jednej chwili stała się cała - jasna i żywa,

Atanna mocno trzymała jego zranioną dłoń, a jej oczy były rozszerzone i zatroskane. Kapitan mógł skupić się na tych oczach, potraktować je jak kotwicę, gdyż znów obawiał się o swój rozum.

– Kapitanie Dumonie, jesteś niezdrów?

Kentril bardzo niechętnie spojrział na Juris Khana. Odetchnął z ulgą, gdy ujrzał odzianego w królewskie szaty monarchę, stojącego tam z troską malującą się na twarzy. Znikł obraz... kogo? Kentril nie mógł sobie przypomnieć, co właściwie zobaczył, tyle tylko, że nie przypominało to niczego, co widział w całym swoim życiu. Sama próba przypomnienia sobie choćby fragmentu tamtego obrazu przyprawiła go o dreszcze.

Córka Khana uniosła mu puchar do ust.

– Wypij to, mój drogi.

Wypił tylko dla niej. Wino uspokoiło go, odepchnęło resztki koszmaru. Atanna odprowadziła go do jego krzesła.

– Przepraszam... przepraszam was wszystkich.

– Ten, kto jest chory, nie ma powodu przepraszać - powiedział uprzejmie Khan.

Wciąż trzymając rękę na ramieniu Kentрила, Atanna stwierdziła - Chyba wiem, co się stało, ojczec. Wcześniej poszliśmy na spacer w ogrodzie i coś go ugryzło.

– Rozumiem. Tak, owady z dżungli czasem trafiają tu, a niektóre ponoć sprowadzają halucynacje i inne jeszcze choroby. Jeden z nich musiał cię użądlić, kapitanie Dumonie.

Kentрил, który walczył w wielu paskudnych krajach, gdzie pogoda i zwierzęta były bardziej niebezpieczne niż żołnierze drugiej strony, mógł w to uwierzyć. Potworna wyrazistość jego halucynacji nadal go jednak przerażała. Co w jego duszy mogło wywołać takie wizje? Ponieważ widział i sam rozlewał krew, często śnił o mrocznej stronie wojny, ale jego wyobraźnia nigdy nie stworzyła czegoś takiego.

Słowa Atanny wyjaśniały jednak również epizod w mieście. Czy to był pierwszy znak choroby? Założył, że Zorea albo druga kobieta go otruły, ale taki narkotyk już przestałby działać.

Lord Khan usiadł ponownie.

– Cóż, niezależnie od powodów choroby, jestem pewien, że pod opieką mojej córki szybko wyzdrowiejesz. Chciałbym, byś przyjął moje dary z pełną jasnością umysłu, abym nie zmusił cię do przyjęcia czegoś, czego nie pragniesz.

– Dary?

– Tak, dobry kapitanie... choć jeśli je przyjmiesz, już nie będziesz kapitanem. - Mężczyzna pochylił się w stronę obu gości. - W walce przeciwko Gregusowi Maziemu zginęło wielu ludzi. Ważnych ludzi. Dobrych ludzi. Bliskich przyjaciół. Dlatego też w Ureh istnieje próżnia, a jeśli mamy stać się częścią świata śmiertelnych, tę próżnię należy wypełnić. Wy możecie w tym pomóc.

Kentril poczuł, jak Atanna zaciska palce na jego ramieniu, a gdy uniósł wzrok, spojrzała na niego z dumą i radością.

– Mistrzu Tsinie, my już to w części omówiliśmy, więc masz pewną przewagę nad kapitanem Dumonem. Niemniej jednak ta decyzja jest ważna również i dla ciebie, więc ponownie złożę swoją propozycję, tym razem bardziej zwięźle. Wszyscy, którzy posługiwali się magią w Ureh, zginęli, za wyjątkiem mnie i mojej córki. Proszę cię, byś przywrócił szacunek temu, co Gregus splamił. Chciałbym, byś przyjął rolę nadwornego czarodzieja. Magiczna wiedza mojego królestwa będzie twoja, jeśli usiądziesz po mojej lewicy.

Vizjerei podniósł się powoli z zadowolonym uśmiechem na pomarszczonej twarzy. Kentril mógł sobie jedynie wyobrażać radość czarodzieja. Ten zyskał więcej niż tylko możliwość korzystania przez jakiś czas z ksiąg i zwojów w bibliotece - Juris Khan właściwie podarował małemu czarodziejowi wszystko, czego ten mógł zapragnąć.

– Mój władco Khanie - odpowiedział Quov Tsin - nic nie sprawiłoby mi więcej radości.

– Miło mi. - Teraz poważny monarcha zwrócił się w stronę Kentrila, który poczuł ucisk w żołądku. - Kapitanie Dumonie, dzięki twym wysiłkom by nam pomóc i opinii kogoś, kto poznał cię lepiej niż ja, poznałem człowieka utalentowanego, zdecydowanego, honorowego i lojalnego. To najlepsze cechy żołnierza... nie, przywódcy! - Khan splótł palce przed twarzą. - Jesteśmy starym królestwem w nowym świecie, który ty znasz lepiej. Potrzebujemy takiego człowieka, by nas prowadził, chronił nas przed tymi, którzy mogą pragnąć naszego upadku w tych czasach, jakże innych. Potrzebuję dowódcy moich wojsk, obrońcy mego ludu, generała, na co wskazuje ten mundur.

Mimo wcześniejszego złego samopoczucia, Kentril zerwał się na równe nogi.

– Łaskawy panie...

Gospodarz przerwał mu grzecznie.

– A w Ureh, co powinienesz wiedzieć, taki stopień wiąże się z tytułem. Dowódca naszych wojsk nie jest tylko żołnierzem, ale też i księciem.

Kapitanowi odebrało na chwilę mowę. Atanna, tym razem trzymająca go za rękę, ścisnęła go mocno.

– A kiedy zostaniesz arystokratą, będą przysługiwać ci wszystkie ich prawa. Otrzymasz nadanie, będziesz mógł posiadać własne sługi, poślubić innych członków arystokracji...

Wtedy Atanna uścisnęła go szczególnie mocno. Gdy Kentril uniósł wzrok, zrozumiał, dlaczego Juris Khan zaproponował mu właśnie tę pozycję. Mimo dotychczasowych uczuć kapitan w głębi duszy wiedział, że nie ma szans na dłuższy związek. Atanna była księżniczką, urodzoną i wychowaną by poślubić kogoś o tej samej lub wyższej pozycji. Królowie, sułtani, cesarze i książęta mogli swobodnie prosić ją o rękę, ale nie zwykły najemnik.

Teraz jej ojciec usunął tę przeszkodę jednym gestem.

– ...i tak dalej - dokończył Juris Khan. Uśmiechnął się tak, jak ojciec uśmiecha się do syna... co może było zapowiedzią przyszłych wydarzeń. - Co na to powiesz, dobry kapitanie?

Cóż mógł Kentril powiedzieć? Tylko głupiec albo szaleniec mógł odmówić, a mimo dwóch ostatnich przypadków, on nie czuł się ani jednym, ani drugim.

– To... to dla mnie zaszczyt, panie.

– W takim razie wszystko, co ci zaproponowałem, jest twoje. Ty i mistrz Tsin tak bardzo mnie uszczęśliwiliście! Mistrz Tsin zapewnia mnie, że z

pewnością mnie uwolni, a jeśli jest to prawda, za trzy dni, jak wyznacza to słońce poza naszymi granicami, przed całym dworem oficjalnie ogłoszę wasze nowe pozycje. -Khan niemal opadł na swoje krzesło, jakby jego wspaniały gest wyczerpał go fizycznie i emocjonalnie. - Macie zapewnioną wdzięczność całego Ureh... ale szczególnie wdzięczność mej skromnej osoby.

Atanna wróciła na swoje miejsce i zarumieniła się, gdy tylko spotkały się spojrzenia jej i Kentрила. Rozmowa powróciła do planu uwolnienia lorda Khana z krzesła i w końcu wciągnęła nawet Atannę, gdyż ona też była tam konieczna. Pozostawiony sam sobie Kentril zajął się swoimi myślami.

A te myśli krążyły wokół podstępu. Nawet po tym, co właśnie dał mu Juris Khan i co obiecywała mu oczami i ustami Atanna, nie powiedział im nic o możliwości, że Gregus Mazi wciąż żyje i może jeszcze zwrócić się przeciwko nim. Jak wiedział Kentril, w tej właśnie chwili Zayl skrada się po pałacu, za plecami gospodarzy szukając jego planów. Owszem, obaj mieli jak najszlachetniejsze intencje, ale kapitan czuł, że z każdą sekundą, gdy nic nie mówi, coraz bardziej zdradza Atannę i jej ojca.

Mimo wyrzutów sumienia Kentril nic nie powiedział. Jeśli Zayl się myli, nic się nie stało. Jeśli jednak jego wróżby okażą się prawdziwe, tylko on i Kentril będą mogli się tym zająć. Khan nie mógł nic zrobić, póki pozostawał unieruchomiony, a kapitan Dumon nawet przez chwilę nie pomyślał, żeby pozwolić Atannie stanąć twarzą w twarz z zepsutym czarodziejem. Nie, jeśli Gregus Mazi rzeczywiście żyje, Kentril sam musi przypilnować, by zepsuty czarodziej zapłacił ostateczną cenę za swoje zbrodnie.

Atanna znów zauważyła jego spojrzenie. Uśmiechnęła się i zarumieniła, zupełnie nieświadoma mrocznych myśli kryjących się za uśmiechem

kapitana. Nie, niezależnie od wszystkiego Gregus Mazi nie może jej dotknąć... nawet jeśli Kentrila będzie to kosztować życie.

DWANAŚCIE



Zayl spotkał się z nim kilka godzin po kolacji. Gdy wślizgnął się do komnaty kapitana, wyraz jego twarzy nie mówił nic o wynikach poszukiwań. Dopiero gdy nekromanta uniósł sztylet z kości słoniowej i zatoczył nim pełen krąg, w końcu je wyjawiał.

– Było to łatwiejsze, niż się spodziewałem. Plany znajdowały się wyraźnie oznaczone i skatalogowane w bibliotece. Nasz gospodarz najwyraźniej uważa, że w swej siedzibie nie musi pilnować takich informacji.

– No właśnie - odpowiedział z pewną goryczą Kentril. - Pewnie myśli, że może wszystkim zaufać.

Zayl pokazał mu mapę odrysowaną z planu pokazującego, jak można dotrzeć do jaskini pod pałacem i jak wygląda ich system.

– Jak widzisz, dobrze, że to mamy. System jaskiń jest skomplikowany, właściwie przypomina labirynt. Można się tam zgubić i nigdy nie odnaleźć drogi na powierzchnię.

– Jak myślisz, gdzie może być Mazi?

– Tego spróbuję się dowiedzieć tuż przed wyruszeniem, kapitanie. Nie opuściłem dawnej siedziby czarodzieja z pustymi rękami. Zabrałem jeszcze kilka włosów. Wykorzystam je, by go zlokalizować. Wyniki mogą nie być zbyt dokładne, ale powinny wystarczyć.

Kentril wolał nie wyobrażać sobie, jak wędrują we dwóch po jaskiniach, szukając podstępnego czarodzieja.

– Czy on będzie w stanie odkryć, co robimy?

– Zawsze istnieje taka możliwość, ale za każdym razem powziąłem wszelkie środki ostrożności i tym razem też tak będzie. Nasze sposoby są bardziej subtelne niż te, do których uciekają się tacy jak Mazi czy Tsin. Nauczyliśmy się tego, by przeżyć, bo dobrze wiesz, jak postrzega nas wielu ludzi. Z konieczności nauczyliśmy się, jak poruszać się wśród innych wykorzystujących magię tak, by nas nie zauważali. Możesz być spokojny, Gregus Mazi nic nie zauważy.

Umiejętność oszukania Tsina nie wywołała na Kentrilu tak wielkiego wrażenia, jak spodziewał się Zayl, ale nie mogli już się cofnąć.

– Ile mamy czasu?

– Takie zaklęcie jak to, które ma rzucić Vizjerei, wymaga wielu godzin, nawet całego dnia, ale musimy wyruszyć, gdy tylko zaczną przygotowania. - Nekromanta spojrział znów na odrysowany plan. - Co oznacza, że bardzo dobrze, iż mamy to. Nie zgub go, kapitanie. - Zayl cofnął się, jakby chciał wyjść, po czym nagle spytał - Jak kolacja?

– Dobrze. - Kentril nie sądził, by był to odpowiedni czas na opowiedzenie nekromancie wszystkiego, co się wydarzyło.

Zayl czekał, aż rozwinię swą wypowiedź, ale gdy Kentril milczał, zakapturzona postać w końcu wyszła.

Kentril opadł na łóżko. Prawie udało mu się zasnąć, gdy pukanie do drzwi sprawiło, że wyprostował się. W jednej ręce już miał sztylet, który z przyzwyczajenia trzymał u boku. Chwilę później do środka weszli Gorst i Albord, obaj wyraźnie zaniepokojeni.

– O co chodzi, Gorst? – spytał Kentril, rozluźniając się jedynie odrobinę.

– Albord ma coś do powiedzenia.

Młodszy najemnik wyraźnie czuł się niepewnie.

– Kapitanie, coś mi się nie podobać.

– Co?

– Nikt nie widział ani śladu Breka, a teraz poza nim zginęło jeszcze dwóch.

Tego Kentril nigdy nie chciałby usłyszeć, a już szczególnie wiedząc, co jeszcze go czeka.

– Kto?

– Simon. Mordecai. Pytałem innych, ale nikt nie wie, kiedy ich ostatnio widziano.

– Pozostali się znaleźli?

Gorst pokiwał głową.

– Zatrzymałem ich tutaj. Trochę im się to nie podoba, ale zniknięcie tutaj nie jest takie złe, co, Kentril?

Kapitan był pewien, że się zarumienił, ale mało go to teraz obchodziło. Oznaczało to, że wliczając Alborda, poza Kentrilem i Gorstem pozostało jeszcze siedmiu ludzi.

– Trzech brakuje. Nie podoba mi się to. Komuś nie podoba się nasza obecność tutaj. - W duszy zastanawiał się, czy zniknięcia miały coś wspólnego z Gregusem Mazim. Czy czarodziej starał się wyeliminować nowych sprzymierzeńców swojego dawnego pana?

– Co robimy? - spytał Albord.

– Zatrzymamy te informacje dla siebie. Nikt nie opuszcza pałacu, póki na to nie pozwolę. Nie ma nas tylu, byśmy mogli zacząć poszukiwania innych. Obawiam się, że musimy założyć najgorsze. - Kentril z namysłem potarł brodę. - Albord, ty nimi dowodzisz. Ja mam zadanie dla Gorsta. Możesz się tym zająć?

Młody najemnik stanął na baczność.

– Dopilnuję tego, kapitanie!

– Dobry chłopak. A jeśli któryś z trójki zaginionych powróci, wypytaj go dokładnie o miejsce pobytu. Musimy dowiedzieć się jak najwięcej.

Ani razu nie wspomniał nic o zawiadomieniu lorda Khana, a Gorst i Albord ani razu tego nie zaproponowali. Akceptowali decyzje swojego kapitana.

Kentril odesłał Alborda, ale gestem zatrzymał zastępcę.

– Gorst, potrzebuję twojej pomocy, ale ponieważ to ryzykowne przedsięwzięcie, przyjmuję tylko ochotników. Jeśli nie chcesz iść, zrozumiam.

Znajomy uśmiech zbladł.

– O co chodzi, Kentril?

Kapitan Dumon opowiedział mu ostatnie wydarzenia, zaczynając od rewelacji wyjawionych przez nekromantę i tego, co razem postanowili. Gorst słuchał wszystkiego w milczeniu, a okrągłe ciemne oczy nie opuszczały twarzy dowódcy.

– Pójdę - powiedział, gdy tylko Kentril skończył.

– Gorst, to może być niebezpieczniejsze niż jakakolwiek bitwa.

– I co z tego? - Olbrzym się uśmiechnął.

Mimo pewnego poczucia winy, że wciągnął przyjaciela w misję, która mogła być samobójcza, Kentril odczuwał ulgę. Towarzystwo Gorsta sprawiało, że wydarzenia zaczynały wyglądać nieco zwyczajniej, nieco normalniej. To będzie tylko kolejna walka, specjalna misja na tyłach wroga. Owszem, wróg posługiwał się magią, ale przecież mieli Zayla. Jeśli nekromanta tylko powstrzyma Gregusa Maziego, dwaj wojownicy mogą mu zadać śmiertelny cios. Atak z trzech stron na jednego wroga - plan niemal idealny.

Kentril prychnął na swoją naiwność. Gdy o tym myślał, wszystko wydawało się takie proste, ale wątpił, że tak właśnie będzie, gdy dojdzie do

walki. Na samym początku swojej kariery nauczył się jednego - gdy bitwa rozgorzeje na dobre, wszystkie wspaniałe plany prowadzące do zwycięstwa diabli biorą.



Czekanie na odpowiednią chwilę okazało się najgorszą torturą. Kapitanowi każda minuta zdawała się godziną, a każda godzina dniem. Gdyby nie chwile, gdy Atanna mogła się oderwać od przygotowań zarządzonych przez Tsina i zaglądała do niego, Kentril podejrzewał, że chyba by zwariował.

Córka Khana i on mało rozmawiali, gdy byli razem, a te krótkie rozmowy odnosiły się raczej do przyszłości. Głowę kapitana wypełniały na wpół zawołowane obietnice, gdy kobieta znajdowała się w jego ramionach.

– Już niedługo - szepnęła więcej niż raz Atanna - ale dla mnie o wiele za długo...

Te słodkie słówka sprawiły, iż obiecał sobie, że kiedy nadejdzie czas, sam obetnie głowę Gregusa Maziego i wręczy ją Atannie oraz jej ojcu jako dowód swej wartości. Wówczas Juris Khan z pewnością uzna go za godnego szacunku zalotnika.

Wreszcie w końcu nadszedł czas. Atanna spotkała się z kapitanem Dumonem, gdy udawał, że czyści swoje rzeczy. Nosiła skromną białą szatę przypominającą tą, którą miał na sobie Juris Khan, a jej wspaniałe włosy zostały ciasno upięte z tyłu głowy. Poważny wyraz jej twarzy od razu powiedział Kentrilowi, po co przyszła tak ubrana.

– Zaczyna się? - spytał, a pytanie to miało dla niego podwójne znaczenie.

– Mistrz Tsin mówi, że moce są w odpowiedniej konfiguracji, a wzorce pasują do ich celów. I tak zajmie nam to wiele godzin, ale muszę tam być

przez cały czas. Przyszłam cię prosić o pewność, o wiarę w nasze powodzenie.

Pocałował ją.

– Uda wam się... a ja tam będę duchem.

– Dziękuję. - Uśmiechnęła się do niego z nadzieją i wyszła szybko.

Uśmiech Kentрила znikł, gdy kapitan uświadomił sobie, że teraz zaczyna się również jego misja. Mężczyzna zebrał swoje rzeczy, zaczekał kilka chwil dla bezpieczeństwa i wymaszerował ze swoich komnat, by odnaleźć Gorsta i nekromantę.

Olbrzym spotkał się z nim w korytarzu, a dla każdego widzącego ich strażnika to spotkanie musiało wyglądać na zupełnie przypadkowe. Rozmawiali o rozprostowaniu nóg, krótkim biegu, by utrzymać się w formie, typowych ćwiczeniach wojowników. Zachowując się zupełnie spokojnie, obaj przeszli przez wiele korytarzy pałacu i w końcu zupełnie opuścili budynek.

Daleko za ochronnym murem otaczającym palec leżało to, co nekromanta określił jako najlepsze wejście do jaskiń, które przecinały Nymyr. Ten właśnie otwór wykorzystali dzielni ochotnicy Khana, którzy nieśli Klucz Cienia do miejsca spoczynku w podziemiach. Zayl twierdził, że to wejście nie powstało naturalnie, lecz ktoś wykuł je w skale i doprowadził do jednej z naturalnych jaskiń. Nekromanta podejrzewał, że być może dawni mnisi podjęli się tego zadania, by móc się ukryć, gdyby klasztor został zdobyty, lub też wykorzystywali je do odprawiania świętych rytuałów.

Kentрила nie obchodziły wyjaśnienia ani historia jaskini, liczyło się tylko, że istnieje i prowadzi bezpośrednio do podziemi. Kiedy jednak po raz pierwszy ujrzał nierówny otwór, serce zaczęło mu bić jak nigdy od czasu

pierwszej bitwy. Musiał odetchnąć głęboko, by móc podejść bliżej, nie ujawniając Gorstowi swego strachu.

– Nie widzę Zayla - mruknął kapitan.

– Tu jestem - odrzekł jeden z cieni w pobliżu wąskiego wejścia.

Fragment kamienistego zbocza nagle znikł, gdy nekromanta opuścił płaszcz, ukazując ukrytą pod spodem postać.

– Sądziłem, że nim przybędziecie, lepiej będzie okryć się iluzją.

Kentril zacisnął zęby, udając, że nie zaskoczyło go nagłe pojawienie się czarodzieja.

– Jak to wygląda w środku?

– Korytarz wykuto tak, by mógł przejść jeden człowiek. Twój przyjaciel będzie musiał pochylić głowę, a w pani miejscach może być mu ciasno.

– Nie martw się o Gorsta. W razie czego sam przebije sobie drogę.

Zayl odwrócił się od najemników i poprowadził ich do środka. Gdy Kentril wszedł, przez chwilę miał wrażenie, że ściany zaciskają się wokół niego, ale całe szczęście to uczucie szybko minęło.

Zayl zamruczał coś. Chwilę później korytarz wypełniło dziwne, blade światło. Sztylet z kości słoniowej trzymany przez nekromantę w lewej ręce zaświecił się.

– Tak jest przez jakieś pięćset, sześćset jardów - stwierdził Zayl. - Potem korytarz się rozszerza.

Gorst rzeczywiście przez większość czasu musiał mieć pochyloną głowę, ale tylko raz musiał się przeciskać. Jeśli chodzi o Kentrila, równie dobrze mógłby iść przez ciemny korytarz pałacu. Nawet dno korytarza zostało wygładzone, przez co szło im się wygodnie.

Ich szczęście skończyło się, gdy dotarli do miejsca, gdzie powinna się przed nimi otworzyć jaskinia. Za zakrętem trójka zobaczyła nie szeroki otwór, jak się spodziewali, lecz ścianę gruzu.

– Tego się nie spodziewałem - stwierdził nekromanta. - A wedle planów nie ma innej drogi.

Kentril podszedł bliżej, by przyjrzeć się ścianie z głazów i ziemi, wyjął też kilka sporych kamieni.

Wielka sterta nagle potoczyła się w jego stronę i w kilka chwil zakryła jego buty aż po cholewy. Gorst wyciągnął go, nim został bardziej zasypany. Trójka cofnęła się szybko i zaczęła, aż kurz opadnie.

– Chyba... coś widzę - ogłosił Zayl po krótkim ataku kaszlu.

Rzeczywiście, sztylet ukazał niewielki otwór blisko szczytu. Kentril pożyczył zaczarowane ostrze i szybko lecz ostrożnie wczołgał się na górę.

– Wejście do jaskini jest tuż przed nami. Jeśli przeczołgamy się parę jardów, będziemy mogli ruszyć dalej.

Gorst i Kentril pracowali nad poszerzeniem otworu, zaś Zayl im przyświecał. Kiedy już tego dokonali, nekromanta przeczołgał się pierwszy, za nim olbrzym, a na końcu Kentril.

Po drugiej stronie sterty ujrzeli prawdziwe wejście do kompleksu jaskiń.

Jaskinia rozciągała się na setki stóp w szerz i w wwyż. Ze sklepienia zwieszały się ostre, wapienne zęby, niektóre z nich były dwa, trzy razy większe od Gorsta. Inne wystawały z dna ogromnej jaskini, niektóre miały nawet trzy stopy szerokości i dwa razy tyle wysokości.

Po ścianach spływała woda, rzeźbiąc nisze, tworząc wszędzie tysiące kształtów i przy okazji ukazując jasne, połyskujące kryształy wbite w skałę. W świetle sztyletu jaskinia migotała.

Kentril spojrział w dół i zachwyt nad pięknem komnaty znikł, gdy uświadomił sobie, co ich czeka. Jakieś sześćdziesiąt stóp przed nimi dno urywało się gwałtownie, ukazując czarną pustkę.

– Tam? - spytał Gorst radośnie.

Zayl pokiwał głową i sięgnął w zakamarki swojego obszernego płaszcza. Kentril dziwił się, że mimo przeczołgania się przez przeszkodę czarodziej wyglądał na zupełnie czystego.

Zayl wyjął żałośnie krótki kawałek liny. Kiedy jednak zaczął ciągnąć za końce sznura, zwój zaczął rosnąć. Choć na początku lina miała zaledwie stopę długości, dzięki jego wysiłkom urosła dwa, a potem trzy razy.

– Gorst! - zawołał blady mężczyzna. - Pomóż mi!

Zayl oddał sztylet Kentrilowi i podał wielkiemu najemnikowi koniec krótkiej liny. Gdy obaj za nią pociągnęli, ta rozciągnęła się jeszcze bardziej.

Pięć stóp, sześć, osiem i więcej. Gorst i nekromanta ciągnęli i ciągnęli, a lina się poddawała. Po kilku chwilach otrzymali całkiem długą linę, wystarczającą im w zupełności do zejścia.

Zayl przyjął bez słowa sztylet. Dwaj najemnicy umocowali zadziwiającą linę wokół jednego ze stalagmitów i sprawdzili ją. Nekromanta tymczasem wyjrzał za krawędź i przyjrzał się ciemnej głębinie.

– Jeśli oryginalny plan mówi prawdę, powinniśmy mieć wystarczająco dużo miejsca do wylądowania.

Kapitanowi nie spodobały się te słowa.

– A jeśli nie?

– To zawiśniemy nad tysiącstopową przepaścią.

Na całe szczęście obliczenia bezimiennej osoby, która kiedyś opisała te jaskinie, okazały się dokładne nie tylko w kwestii początkowego zejścia, ale też i następnych. Poruszając się coraz pewniej, cała trójka schodziła coraz głębiej, przez cały czas prowadzona przez świecące ostrze Zayla.

W końcu dotarli do miejsca, gdzie korytarze znów zaczęły prowadzić poziomo. Nekromanta zatrzymał się i przyjrzał się planowi, gdyż nie miał zamiaru ruszyć w stronę ślepego tunelu albo dziury. Kentril i Gorst przygotowali broń.

– Nadal jesteśmy na właściwym tropie? - spytał kapitan.

– Tak sędzę. Zakłęcie, które rzuciłem przez udaniem się tutaj, nie dało mi tak dokładnej odpowiedzi, jak oczekiwałem, ale mam powody, by sądzić, że jesteśmy już blisko. Bądźcie ostrożni.

Powoli przechodzili przez pokręcone korytarze, od czasu do czasu przecinające niewielkie i niezbyt imponujące komnaty. Tylko raz mieli powód się zatrzymać, gdy Gorst znalazł podarty bukłak, który, jak założyli, musiała zostawić drużyna niosąca dzieło Juris Khana. Zayl przyjrzał mu się uważniej, szukając wskazówek, ale nic nie odnalazł.

Po chwili Kentril zauważył, że w okolicy jest jaśniej, niż powinno być, gdyby oświetlał ich tylko sztylet Zayla. Najemnik dotknął ramienia nekromanty i poprosił go o schowanie zaczarowanego ostrza. '

Mimo chwilowej utraty magicznego światła droga przed nimi pozostała oświetlona.

Kapitan ruszył do przodu z wyciągniętym mieczem, a Zayl i Gorst byli gotowi wesprzeć go, gdyby pojawiło się jakieś niebezpieczeństwo. Blask z każdym krokiem stawał się coraz silniejszy. Nie stało się zupełnie jasno, a istniejące oświetlenie miało w sobie coś mrocznego, ale Kentril zdecydowanie z każdym krokiem widział coraz lepiej.

Nagle drużyna weszła do dużej, okrągłej komnaty, pośrodku której, na szczycie przerobionego stalagmitu, znajdowało się źródło światła... Klucz Cienia.

Ci, którzy zaryzykowali zniesienie go tutaj, starannie usunęli wszystkie narośle, tworząc pośrodku jaskini swego rodzaju kamienną rękę. Na środku jej dłoni bezgłośnie pulsował potężny czarny kryształ.

Nie widząc żadnego niebezpieczeństwa, Kentril zbliżył się, by lepiej przyrzeć się tworowi lorda Khana. Zayl stanął obok niego ze sztyletem w dłoni, gdyż też chciał przyrzeć się kamieniowi.

Nagle na stalaktycie tuż za kryształem ujrzeli przerażającą twarz.

Obaj najemnicy zaklęli głośno, nawet Zayl mruknął coś pod nosem. Wpatrywali się z niepokojem w wykutą w narośli postać. Mężczyzna z wapienia i innych minerałów wyglądał, jakby ktoś go bezlitośnie przywiązał do stalaktytu, z którego został wykuty. Jego ramiona i nogi zostały wygięte do tyłu najdalej, jak tylko można i najwyraźniej związane razem. Wyraz cierpienia i rozpacz na twarzy został wyrzeźbiony tak doskonale, że Kentril oczekiwał, iż uwięziona postać w każdej chwili dokończy niemy krzyk. Artysta ukazał jednocześnie makabrę i człowieka, przez co rzeźba stała się jeszcze bardziej poruszająca.

– Co to jest?

– Może jakiś strażnik. Jak gargulce i archanioły, które widzieliśmy wcześniej.

– Czemu nie podniósł krzyku, kiedy weszliśmy?

Nekromanta wzruszył ramionami.

Kentril podszedł do przerażającej rzeźby. Bardzo ostrożnie wyciągnął miecz i poklepał rzeźbę po piersi.

Nic się nie stało. Oczy zaciśnięte z bólu nie otworzyły się, by go potępić. Usta nie poruszyły się, by odgryźć głowę intruza. Rzeźba pozostała, no właśnie, rzeźbą.

Czując się nieco głupio, kapitan odwrócił się do pozostałych.

– Cóż, jeśli Gregusa Maziego tu nie ma, lepiej...

Poczuł, jak po plecach przebiega mu dreszcz, a oczy jego towarzyszy nagle rozszerzyły się... a nie patrzyli na niego, lecz na coś za nim.

Kapitan Dumon odwrócił się na pięcie.

Oczy - oczy, które pozostały zamknięte nawet po jego nieco aroganckiej inspekcji - teraz patrzyły na niego wściekle.

Z otwartych ust popłynął straszliwy, przeraźliwy jęk.

Wszyscy trzej zakryli uszy rękami, gdyż ostry, bolesny dźwięk zagłuszył wszystko inne. Strażnik krzyczał i krzyczał, a jego szalony wrzask obijał się echem od ścian komnaty i dalej jeszcze.

Straszny dźwięk trwał ponad minutę. W końcu zaczął stopniowo cichnąć, tak, że w końcu mogli odkryć uszy.

Wtedy właśnie usłyszeli uderzenia skrzydeł.

Chmura nietoperzowatych stworów wleciała do komnaty, krzycząc szaleńczo. W niepewnym świetle Kentril widział niewielkie, szare, demoniczne kształty sięgające może do kolan i przypominające nieco ludzi-gady. Szpony przypominające pazury drapieżnych ptaków atakowały ich trójkę, a uzębione pyski chciały ich pogryźć.

– *Alae Nefastus!* - krzyknął nekromanta. - Skrzydlate demony! To pomniejsze demony, ale w dużej liczbie mogą być niebezpieczne.

A pojawiły się rzeczywiście w dużej liczbie. Kentril szybko przebił tors jednego i patrzył z ponurą satysfakcją, jak stwór opada na ziemię. Niestety, na jego miejsce pojawiło się sześć nowych. Obok Gorst uderzył dwa na płask toporzyskiem, ale kolejny wbił się mocno w jego ramię. Olbrzym krzyknął z zaskoczenia i bólu, gdyż nawet jego gruba skóra nie stanowiła przeszkody dla ostrych jak brzytwa pazurów demona.

Potwory wypełniły komnatę, a ich wrzaski były niemal równie straszliwe jak krzyki strażnika. Kapitanowi udało się zabić jeszcze dwa, ale zdawało mu się, że nic nie osiągnął. Mimo to walczył nadal, bo drugie wyjście nie wydawało mu się zbyt atrakcyjne.

Jeden z demonów minął go i zaatakował Zayla. Nekromanta otworzył płaszcz i uwięził małego demona w środku.

Stwór wydał krótki, zduszony krzyk... a potem obok buta czarodzieja opadła kupka brązowego popiołu. Zayl puścił płaszcz i skoncentrował się na innych atakujących.

– Muszą służyć Gregusowi Maziemu! - zawołał Kentril. - Ten krzyk miał go ostrzec!

Zayl nie odpowiedział. Miast tego nekromanta wykrzykiwał niezrozumiałe słowa w stronę kolejnej grupy skrzydlatych potworów. W tym samym czasie czubkiem sztyletu narysował okrąg w powietrzu.

Skrzydlate bestie, które wybrał za cel, a było ich pięć, nagle odwróciły się i ku zdziwieniu Kentрила zaczęły atakować towarzyszy. Dwa niczego nie podejrzewające demony zginęły od ostrych szponów, nim inne całą masą rzuciły się na zdrajców. Po chwili cała piątka zauroczonych demonów zginęła, zabierając ze sobą dwa inne.

Jeden ze stworów przeciągnął szponem po policzku kapitana, plamiąc go własną krwią. Rana bolała tak bardzo, że Kentrilowi pojawiły się łzy w oczach. Mimo to kapitanowi udało się pochwycić odlatującego demona i przebić go.

Niestety, nawet kolejna śmierć nie odstraszyła potężnego stada.

– Za dużo ich! - mruknął Gorst.

– Kapitanie Dumonie! Jeśli ty i Gorst powstrzymacie je przez chwilę czy dwie, może uda mi się ich pozbyć!

Nie widząc innego wyjścia, Kentril przebił się do nekromanty, Gorst zrobił to samo z drugiej strony.

Obaj chronili Zayla, zaś mag w tym czasie wypowiadał słowa w nieznanym języku. Sztyletem narysował kolejny świecący obraz, tym razem przypominający najemnikowi wybuchającą gwiazdę.

Komnatę wypełniła mgiełka - ohydnie śmierdzący, ale poza tym najwyraźniej nieszkodliwy dym, który wpełzał w każdy kąt i każdą szczelinę.

Choć mgiełka nie miała wpływu na ich trójkę, poza wywołaniem swędzenia nosa i utrudnieniem widzenia, dla demonów wcale nie była tak

nieszkodliwa. Jeden po drugim skrzydlate potwory traciły kontrolę nad lotem. Zderzały się ze sobą, wpadały na ściany albo po prostu opadały na ziemię.

Kiedy już stwory upadły, zaczynały trząść się jak oszalałe. Ich krzyki i syki stopniowo stawały się coraz słabsze. W końcu nieruchomiały.

Po chwili wszystkie były martwe.

– *Zerata!* - zawołał nekromanta. Mgiełka natychmiast rozwiała się bez śladu.

Zayl nagle zatoczył się do przodu i upadłby, gdyby nie refleks Gorsta. Czarodziej przez chwilę wspierał się na olbrzymie, potem zdawał się odzyskiwać siły.

– Wybaczcie mi. To ostatnie zaklęcie wymagało ode mnie wiele siły, ponieważ musiałem je dokładnie wypowiedzieć i przez cały czas kontrolować. Inaczej efekt byłby inny.

– Co masz na myśli?

– Leżelibyśmy tam ze stworami.

Gorst kopnął kilka ciał, upewniając się, że żaden ze stworów nie udaje, po czym spojrzał na korytarz, którym przybyły.

– Nic więcej nie słyszę.

– Całkiem sporo ich było. - Zayl dołączył do najemnika przy wejściu do korytarza. - Być może zniszczyliśmy całe stado.

Olbrzym pokiwał głową i spytał - Gdzie jest ich pan?

To pytanie nurtowało również Kentrila. Czy te stwory to wszystko, co Gregus Mazi mógł posłać przeciw nim? Czemu nie zaatakował jakimś zaklęciem, gdy byli zajęci? Nawet początkujący taktyk doceniłby wartość takiego manewru.

Martwiło go coś jeszcze. Odwróciwszy się do Klucza Cienia, wpatrywał się w artefakt, zastanawiając się, czemu Mazi po prostu nie rozbił kryształu

o ziemię. Choć było możliwe, że taki czyn wymagałby więcej wysiłku, niż by się zdawało, Juris Khan mówił im, że jego były przyjaciel był czarodziejem o ogromnych zdolnościach i sprycie. Gregus Mazi powinien być w stanie rozbić artefakt w drobny pył...

Czemu więc nie rozbił klejnotu?

Wahania na pewno nie miały związku z wartością pieniężną Klucza, choć Kentril wiedział o kilku książętach i arystokratkach z Zachodnich Królestw, którzy za taki kamień zapłaciliby najemnikowi tyle, że mógłby spokojnie zakończyć karierę i żyć w dostatku. Klejnot wyglądał tak naturalnie, że aż trudno było uwierzyć, iż stworzyła go magia. Mimo to Kentril nie słyszał o wielu tak doskonałych kamieniach. Każdy szlif przypominał lustro. W niektórych kapitan widział swoje odbicie, w innych niewyraźne sylwetki towarzyszy, a nawet martwe demony. Kapitan Dumon widział nawet szczegóły twarzy makabrycznego strażnika...

Kentril obrócił się na pięcie i popatrzył w oczy straszliwej rzeźby. Ze wszystkich fragmentów przerażającej figury to one wykazywały największą precyzję i dokładność.

Były najbardziej ludzkie.

– Nie musimy już szukać Gregusa Maziego - zawołał Kentril do pozostałych. Próbował zmusić oczy, by spojrzały w jego stronę, ale one się nie ruszały. - Chyba go znalazłem.

TRZYNAŚCIE



– Sądzę, że masz rację, kapitanie - odpowiedział cicho Zayl, dokładnie przyjrzawszy się rzeźbie. - Teraz, gdy rzuciłem kilka zaklęć, mogę przysiąc, że jest w niej życie.

– Ale jak? - rozpaczliwie pragnął się dowiedzieć Kentril. - Jak to może być? Jak to się mogło stać?

Nekromanta nie wyglądał na zadowolonego.

– Mogę tylko założyć, że Juris Khan w swoich opowieściach nie był do końca szczery.

– To niemożliwe! Lord Khan nigdy nie zrobiłby czegoś takiego. Wiesz o tym.

– To odkrycie martwi mnie tak samo, jak ciebie... i tak samo dziwi. Być może lord Khan również nie jest świadom prawdziwego losu swego dawnego przyjaciela i dlatego można założyć, że jego córka też tego nie wie.

– Oczywiście, że nie wie! - warknął kapitan.

Gorst potrząsnął głową.

– Czy możesz coś zrobić? Czy możesz uczynić go na powrót człowiekiem?

– Obawiam się, że nie. To o wiele bardziej skomplikowane niż przekleństwo naszego gospodarza. Udało mi się stwierdzić, że Gregus Mazi jest nie tylko przykuty do stalaktytu. Stał się właściwie częścią samej góry. Takiego zaklęcia niestety nie da się odwrócić.

– Ale mówiłeś, że on wciąż żyje - nalegał olbrzym.

Zayl wzruszył ramionami, ale Kentril widział, że jest bardziej zmartwiony, niż chciał to okazać.

– Tak, inaczej zaklęcie przyzywające jego ducha zadziałałoby za pierwszym razem. Jeśli to was pocieszy, podejrzewam, że jeśli nawet jego umysł przetrwał przemianę, Mazi musiał już dawno oszaleć. Wydaje mi się, że już nie cierpi.

– Chcę go zobaczyć - zażądał czyjś głos. - Wyjmij mnie, żebym mógł się mu przyjrzeć.

Zayl wyjął z sakiewki czaszkę Humbarta Wessela. Gorst przyglądał się jej z pewnym niepokojem, choć chyba z jeszcze większym zainteresowaniem. Kentril uświadomił sobie, że zapomniał powiedzieć swemu zastępcy o wyjątkowym towarzyszu nekromanty.

Zayl uniósł wysoko czaszkę i pozwolił jej się przyjrzeć paskudnemu widokowi. Humbart nie mówił nic, tylko kilka razy poprosił nekromantę o skierowanie pustych oczodołów w tę czy inną stronę.

– Ano, to on - stwierdził raczej ponurym tonem. - Stary Gregus skończył jeszcze gorzej niż ja.

– Czy coś czujesz? - spytał nekromanta. - Jakąś wskazówkę, kto mógł to zrobić?

– To potężna magia, chłopcze. Nie wiem. Bardzo mi przykro, uwierz mi. Masz jednak rację w jednym: tego się nie da odwrócić. Nie ma sposobu, by znów uczynić go człowiekiem.

Kentril próbował nie myśleć, jak musiał czuć się ten człowiek. Czy bardzo cierpiał? Czy było tak, jak mówił Zayl, że być może Gregus Mazi został przeklęty, gdy jego umysł wciąż jeszcze działał? Uwięziony przez te wszystkie stulecia, nie mogąc się ruszyć, nie mogąc nic zrobić?

– Ale dlaczego? - spytał w końcu kapitan. - Dlaczego ktoś miałby to zrobić? Dla mnie wygląda to na więcej niż tylko karę. Widziałeś, co się stało, Zayl. Krzyknął, co wezwało tamte skrzydlate bestie!

– Tak... najwyraźniej jest częścią jakiegoś systemu ostrzegawczego. - Nekromanta zwrócił się w stronę Klucza Cienia. - Zastanawiam się, czy nie zrobił tak, bo byliśmy blisko tego.

– To nie ma sensu! My przecież nie dotknęlibyśmy kryształu! On musi pozostać na miejscu, bo inaczej nie miałoby znaczenia, że umieściliśmy drugi na szczycie Nymyru!

Zayl wyciągnął rękę w stronę artefaktu, jakby chciał go podnieść, jednocześnie przyglądając się reakcji potwornej postaci.

Zbyt ludzkie oczy rozszerzyły się gwałtownie, jakby patrzyły ze złością na bezczelnego nekromantę. Tym razem jednak krzyk nie ostrzegł strażników, prawdopodobnie dlatego, że żadnych już nie było.

Gdy Zayl cofnął dłoń, oczy strażnika uspokoiły się i znów zamknęły. Usta pozostały otwarte do krzyku.

– Rzeczywiście go strzeże. Interesujące. Przypominam sobie, że kiedy podszedłem, by mu się przyjrzeć, lekko zmieniłem pozycję, przez co znalazłem się tak blisko kryształu jak teraz. To musiało wywołać jego reakcję.

– Co teraz zrobimy? - spytał Gorst.

Kentril schował miecz do pochwy.

– Nie mamy tu zbyt wiele do zrobienia. Możemy równie dobrze wracać. Nie wiem, jak daleko zaszedł ze swoim zaklęciem Tsin.

Zayl spojrzał na sklepienie.

– Wciąż wyczuwam działanie wielkich mocy, ale masz rację. Wkrótce może skończyć... a, jak mówiłeś, nie mamy tu nic do zrobienia. Powrócimy do pałacu i omówimy to dokładniej między sobą.

– Zaczekajcie! - zawołała czaszka Humbarta Wessela. - Nie możecie go tak tu zostawić.

– Humbart...

Ale czaszka nie dała się uciszyć.

– Jesteście dobrymi ludźmi czy łajdakami, takimi, za jakiego uważaliście starego Gregusa? Kapitanie Dumonie, gdyby jeden z twoich ludzi leżał ciężko ranny na polu bitwy, a ty nie byłbyś w stanie zabrać go ze sobą, co byś zrobił? Zostawiłbyś go, żeby wróg mógł zrobić z nim, co zechce?

– Nie, oczywiście, że nie... - Doświadczony oficer od razu zrozumiał, o co chodzi duchowi. Nigdy nie pozostawia się towarzysza, by wróg mógł go torturować. Pozwala mu się umrzeć albo zabija się go własnym mieczem. Kentril został zmuszony do tego więcej niż raz, a choć nigdy nie sprawiało mu to przyjemności, wiedział, że to jego obowiązek. - Nie... Humbart ma rację.

Ponownie wyciągnął miecz, podszedł do zaczarowanego Gregusa Maziego i z wysiłkiem zaczął ostukiwać tors w poszukiwaniu jakiegoś miękkiego miejsca. Niestety, znalazł tylko twarde minerały. Zakłęcie było bardzo dokładne.

– Pozwól mi to zrobić, kapitanie. Myślę, że moje ostrze lepiej sobie poradzi. - Zayl podszedł ze sztyletem z kości słoniowej, ale Kentril zastąpił mu drogę.

– Daj mi swoją broń, nekromanto. Wiem, gdzie uderzyć, by szybko i czysto zabić człowieka. To należy zrobić odpowiednio.

Z szacunku dla doświadczenia żołnierza czarodziej przekazał sztylet Kentrilowi. Kapitan przyjrzał się pokrytemu runami ostrzu i odwrócił się do Gregusa Maziego.

Gdy uniósł sztylet do ciosu, oczy zatopionego w wapieniu strażnika nagle otworzyły się i skoncentrowały na Kentrilu tak bardzo, że aż zadrżała

mu ręka.

Wiedziony instynktem wojownik przesunął ostrze lekko na bok.

Wzrok figury podążał za bronią ze szczególnym zainteresowaniem.

W tym właśnie momencie kapitan Dumon uświadomił sobie, że umysł czarnoksiężnika pozostał nietknięty. Szaleństwo nie pozwoliło Gregusowi Maziemu na ucieczkę przed cierpieniami.

Przez krótką chwilę Kentril zawahał się, zastanawiając się, czy przypadkiem nie ma jednak sposobu na uwolnienie mężczyzny, ale wówczas oczy czarodzieja odpowiedziały na to pytanie, błagając żołnierza o uczynienie tego, co musiał.

– Niech cię Niebiosa mają w opiece - wyszeptał kapitan.

Z modlitwą na ustach i zawodową precyzją Kentril wbił sztylet w pierś.

Z rany nie wypłynęła ani kropla krwi, miast tego uwolnił się z niej ciepły wiatr pachnący nieco siarką, prawie jakby Kentril dotarł do jakiejś wulkanicznej krainy głęboko pod górą. Zaskoczyło to najemnika tak, że zrobił krok do tyłu, wyciągając jednocześnie ostrze.

Oczekiwał kolejnego piekielnego krzyku, podobnego do tego, który wezwał demony, ale z nieruchomych ust wydostało się tylko westchnienie. To krótkie westchnienie powiedziało kapitanowi nie tylko o śmierci, ale też o uldze Gregusa Maziego, o tym, że wreszcie uwolniono maga ze straszliwego więzienia. Oczy spojrzwały na niego z wdzięcznością, nim zaszklły siei zamknęły po raz ostatni.

– Jego przekleństwo się skończyło - wyszeptał po chwili Zayl. - Opuścił to straszliwe miejsce. - Nekromanta łagodnie wyjął sztylet z rąk Kentrila. - Powinniśmy chyba zrobić to samo.

– Spoczywaj w pokoju, Gregusie - mruknęła czaszka.

Wszyscy trzej, przygnębieni, w milczeniu wspinali się do wyjścia. Przybyli w poszukiwaniu złego czarodzieja, a odnaleźli cierpiącego

człowieka. Nic, co zakładali, nie okazało się prawdą, a to martwiło ich najbardziej, szczególnie Kentrila.

Wyszędłszy przez ten sam tunel, którym weszli, wojownicy oddzielili się od Zayla, który stwierdził, że wspólny powrót może nie być najmądrzejszym rozwiązaniem.

– Zostanę tu jeszcze trochę, a potem wrócę, niby to z miasta. Później musimy znów się spotkać, kapitanie. Czuję, że mamy pytania, które wymagają odpowiedzi.

Kentril pokiwał głową i podążył do pałacu, a Gorst poszedł za nim. Choć niepokojące wydarzenia w jaskiniach nadal go nurtowały, zbliżając się do siedziby lorda Khana, coraz intensywniej myślał o wynikach pracy Tsina. Czy to też poszło nie tak? Czemu nic nie może być takie, jak zakładają?

Jeszcze bardziej przeraził go fakt, że gdy doszli do bramy, nikt jej nie pilnował. Co gorsza, kiedy weszli do starożytnego budynku, obaj zauważyli, że ich kroki odbijają się echem po ogromnym pałacu, jakby śmiertelna cisza opuszczonych ruin ponownie opanowała królestwo. Kentril i olbrzym ostrożnie szli przez nieprzyjemnie puste korytarze, szukając jakichś śladów życia.

W końcu dotarli do potężnych drzwi komnaty Juris Khana. Kentril spojrzał na przyjaciela, wyciągnął rękę...

Drzwi otworzyły się same, ukazując pełen szacunku tłum klęczący przez podwyższeniem, na którym stało krzesło władcy.

Krzesło puste, ponieważ Juris Khan stał wśród swojego ludu. Wyciągał rękę, by dotykać głów strażników, chłopów i dworzan, dając im swoje błogosławieństwo. Obok niego szła Atanna, a twarz jej pełna była zachwyty. Całą komnatę wypełniała cisza, pełna szacunku i zadziwienia.

Wydawało się, że nawet radość z uwolnienia ojca nie dorównuje zadowoleniu, jakie okazała Atanna, gdy ujrzała stojącego w drzwiach

Kentriła. Kobieta natychmiast dotknęła ramienia Juris Khana, wskazując mu, kto stoi przy wejściu.

– Kentril Dumon! - zawołał radośnie stary monarcha. - Podejdź wraz ze swoim dobrym towarzyszem i weźcie udział w świętowaniu, bo z pewnością wy przyczyniliście się do tej wspaniałej chwili tak samo, jak ten doskonały czarodziej!

Jedną ręką wskazał na bardzo zadowolonego z siebie Quova Tsina. Vizjerei stał z lewej strony podwyższenia i niemal rozpląwał się, przyjmując hołdy dworzan obojga płci. Tsin zauważył spojrzenie Kentriła i popatrzył na niego triumfalnie, bez choćby odrobiny skromności.

Zachęcony przez Atannę Dumon podszedł do nich. Klęczący tłum przepuszczał go z niemal takim samym szacunkiem, jaki okazywał swemu władcy. Nigdy w życiu Kentril nie czuł takiego onieśmienia faktem, że inni oddają mu cześć. Przypomniawszy sobie wszystko, co zaproponował mu Juris Khan i po raz pierwszy rzeczywiście uwierzył, że może do tego rzeczywiście dojść.

– Mój drogi Kentril! - Lord Khan uścisnął go mocno i przyjaźnie jedną ręką, zaś drugą przyciągnął do siebie córkę. - To dzień radości tak wielkiej, jak wówczas, gdy archanioł po raz pierwszy dał nam nadzieję zbawienia. Odrodzenie Ureh jako promienia światła w świecie jest bliskie.

– Bardzo się cieszę, panie.

Na pomarszczonej lecz szlachetnej twarzy pojawił się wyraz pewnego zakłopotania.

– Jestem tego pewien. Ale patrz! Tu jest ktoś, kto również pragnie wyrazić naszą wdzięczność i jest w stanie to zrobić o wiele lepiej niż ja. Jeśli mi wybaczysz, synu, muszę pokazać się ludziom za murami pałacu. Muszą wiedzieć, że koniec naszego przekleństwa się zbliża!

Strażnicy pospieszyli do boków swego władcy. Zebrany tłum wstał jak jeden mąż i podążył za nim, gdy władca po raz pierwszy opuścił komnatę. Atanna poprowadziła Kentrila na bok, żeby ludzie nie pociągnęli ich ze sobą. Gorst, uśmiechając się szeroko, pozostawił parę sobie samym i ruszył przez tłum w stronę Quova Tsina.

– Wszystkie moje nadzieje - wydyszała Atanna. - Wszystkie moje sny... w końcu się spełniły, Kentril... i wszystko to zawdzięczam tobie!

– Myślę, że powinnaś też podziękować Tsinowi. W końcu to on złamał zaklęcie wiążące twego ojca.

Atanna nie chciała słyszeć jego sprzeciwów.

– Mistrz Vizjerei dał tylko narzędzia do uwolnienia mego ojca, ale ja wiem, że ty go do tego zachęciłeś, ty nakłoniłeś go do przekonania ojca, że nam będzie służyć najlepiej i będziemy służyć najlepiej, jeśli nie będziemy szukać drogi do Niebios. - Odchyliła głowę i pocałowała go.

– Cieszę się, że wszystko dobrze poszło.

– To prawda, ale cały czas, kiedy z nimi pracowałam, nie mogłam przestać myśleć o tobie... tak bardzo, że aż bałam się, że mogę przypadkiem zepsuć zaklęcie! - Jej oczy błyszczały, gdy na niego patrzyła. - Lepiej widzieć cię przed sobą niż tylko w wyobraźni! - Jej piękna twarz skrzywiła się lekko. - Kentril, jesteś zakurzony, a na policzku masz krew! Co ci się stało?

W całym podnieceniu Kentril zupełnie zapomniał o swoim wyglądzie. Nie wiedział jeszcze, co powiedzieć o Gregusie Mazim, więc w końcu odrzekł tylko - Jako żołnierz przyzwyczajony jestem do ciągłych ćwiczeń. Wyszedłem na zewnątrz pobiegać, potem trochę się wspinałem. - Wzruszył ramionami. - Raz się poślizgnąłem i zsunąłem w dół parę stóp.

– Jakie to straszne! To nie może się powtórzyć. Nie zgadzam się. Nie chcę cię stracić!

Choć jej reakcja sprawiła, że pożałował swojego kłamstwa, Kentril nadal trzymał się historyjki.

– Żałuję, że cię zmartwiłem.

Ale jej nastrój już zaczął się poprawiać.

– Nieważne. Właśnie uświadomiłam sobie, że musisz pójść ze mną na wielki balkon. Nigdy jeszcze tam nie byłeś. Tam właśnie poszedł ojciec.

– W takim razie nie powinniśmy przeszkadzać...

– Nie! Ty musisz tam być! - pociągnęła go w stronę, gdzie zniknął Juris Khan i dwór.

Ponieważ pałac w Ureh znajdował się wysoko, jego władcy mieli wiele balkonów, ale żaden nie był tak wielki i wspaniały jak ten, na którym stał ojciec Atanny. Kentril oceniał, że jest on na tyle szeroki, by zmieściło się na nim stu ludzi. Błyszcząca podłoga z białego marmuru i elegancko rzeźbiona kamienna balustrada sprawiały, że balkon mógł służyć jako miejsce, gdzie podczas uroczystości państwowych zbierali się goście. Kentril wyobraził sobie nawet, że w czasach świetności Ureh mogło to być miejsce, gdzie spożywano uroczyste kolacje na świeżym powietrzu.

W tej chwili balkon służył jednak ważniejszym celom. Ku zdziwieniu najemnika Juris Khan nie skierował się w stronę dworu, lecz przechylał się przez balustradę, wołając do ludzi poniżej.

A oni najwyraźniej słyszeli go dobrze mimo dzielącej ich odległości, ponieważ jakieś jego słowa wywołały okrzyki radości, okrzyki trwające całkiem długo.

Sześciu strażników stało na baczność w pobliżu odzianej na biało postaci, a każdy niósł pochodnię, co, jak zakładał kapitan, jakoś pozwalało mieszkańcom ujrzeć swego władcę. Kolejni żołnierze pilnowali, by nikt nie zrobił czegoś głupiego w rodzaju wypchnięcia Juris Khana za balustradę.

Kentril uznał, że takie środki ostrożności nie są konieczne. Wszyscy w pobliżu i poniżej wyraźnie wielbili swego przywódcę.

– Tutaj Harkin Khan wygłosił Mowę Świąteczną - powiedziała mu Atanna.
- Tutaj mój dziadek, Zular Khan, poślubił moją babkę i przedstawił ją ludowi. Tutaj mój ojciec wypowiedział słowa archanioła, by wszyscy mogli je usłyszeć.

– Jak ktoś w ogóle może go usłyszeć z takiej wysokości? Albo nawet go zobaczyć?

– Chodź, zobacz!

Kentril nie miał zamiaru stać się częścią wydarzenia, ale Atanna była zdecydowana. Pociągnęła go do przodu i daleko na prawo, tam, gdzie przemawiał lord Khan. Gdy dotarli do balustrady, Kentril zauważył dwie błyszczące metalowe sfery z okrągłymi otworami skierowanymi w stronę tłumów poniżej.

– Co to?

Rudowłosa kobieta wskazała na identyczną parę po lewej stronie ojca.

– Wzmacniają i przekazują głos każdego, kto mówi z miejsca, w którym stoi ojciec. W tym samym czasie tłumy widzą kilka razy powiększony obraz. Są bardzo, bardzo stare i zaklęcia, które je stworzyły, zostały już zapomniane, ale one wciąż działają.

– Niewiarygodne! - stwierdził Kentril. Czuł, że słowo to nie jest do końca odpowiednie, ale nie mógł wymyślić nic mocniejszego.

Atanna uniosła nagle palec do warg i wyszeptała.

– Sza! To powinienes usłyszeć.

Z początku kapitan Dumon słyszał obietnice, jakie Juris Khan już wcześniej składał swojemu ludowi. Mówił o końcu cierpień Ureh, o słońcu dotykającym ich ciała, ale nie palącym ich. Mówił o nowej roli, jaką Światło wśród światła odegra w świecie, kierując go w stronę dobra i pokoju...

A potem zaczął mówić o Kentrilu.

Najemnik potrząsnął głową, mając nadzieję, że gospodarz przestanie. Khan jednak mówił ze szczegółami o roli kapitana... a większość z tego, jak uważał kapitan, była przesadzona. Zgodnie z opisami władcy Ureh Kentril Dumon był niedoścignionym paladynem, obrońcą uciśnionych i pogromcą zła w każdej postaci. Ludzie na dole zaczęli wykrzykiwać radośnie, gdy tylko Khan wypowiadał jego imię, a kilku z zebranych na balkonie przekrzywiło głowy, by zobaczyć ten wzór cnót wszelakich.

Wówczas, ku jego jeszcze większemu przerażeniu, ojciec Atanny kazał mu się zbliżyć.

Odmówiłby, ale Atanna nie dała mu wyboru, prowadząc go do miejsca, gdzie czekał Juris Khan. Dobry władca otoczył go jedną ręką, a drugą skierował w stronę słuchaczy w mieście.

– Kentril Dumon z Marchii Zachodniej, oficer, uzdolniony dowódca... bohater Ureh. - Kolejne okrzyki. - Wkrótce obejmie nową funkcję... generała obrońców tej świętej krainy!

To wywołało nowe okrzyki i oklaski ze strony dworzan. Kentril ze wszystkiego najbardziej pragnął wtopić się w tło, ale Atanna stała z jego drugiej strony i nie mógł się ruszyć.

– Generale Kentrilu Dumonie! - zawołał Khan. - Dowódco wojsk, obrońco królestwa, księżę krwi! - Monarcha uśmiechnął się ojcowsko do Kentрила. - I wkrótce... mam nadzieję... członku mej rodziny!

Okrzyki stały się tak głośne, że Kentril obawiał się, iż od ich siły zawali się Nymyr. Kentril stał zmieszany, gdyż przez chwilę nie był pewien, co to ostatnie znaczyło, ale wówczas Juris Khan położył dłonie najemnika na dłoniach Atanny i uśmiechnął się do pary z sympatią.

Wtedy dopiero kapitan uświadomił sobie, że gospodarz właśnie udzielił im zgody na małżeństwo.

Atanna pocałowała go. Wciąż otępiały, Kentril opuścił z nią balkon. Zastanawiał się, czy to wszystko nie było snem. Wypełniała go nadzieja, to prawda, ale też niepewność. Czy odważy się przyjąć wszystko, co daje mu Ureh? Generał, książę i królewski małżonek?

– Muszę wracać do ojca - wyszeptała szybko Atanna. - Zobaczymy się wkrótce. - Pocałowała go, spojrzała jeszcze raz na niego i pospieszyła w stronę wielkiego balkonu.

– Ehm - zabrzmiał głos koło jego ucha. - Moje najserdeczniejsze gratulacje, kapitanie... przepraszam... panie.

Kentril odwrócił się i ujrzał wychodzącego z ciemnego kąta Zayla. Nekromanta pokiwał głową i spojrzał za niego.

– Niezły pokaz.

– Nie prosiłem o nic...

– Ale przyjemnie jest to dostać, prawda? A już na pewno sympatia wspianącej Atanny musi wywoływać drżenie twego serca.

Kentril skrzywił się, nie mając pewności, czy zakapturzony mężczyzna szydzi z niego, czy nie.

– Czego chcesz?

– Tylko spytać cię, jak wszystko wyglądało, gdy tu wróciłeś. Muszę przyznać, że opanowała mnie ciekawość i zdecydowałem się wrócić do pałacu wcześniej, niż to zapowiadałem. Ku memu zdziwieniu bramy nie pilnowali strażnicy, a w korytarzach nie było ludzi. Usłyszałem hałas dochodzący z tego kierunku i przybyłem na czas, by usłyszeć, że zostałeś ogłoszony dziedzicem tronu.

– Nie jestem dziedzicem - odrzekł kapitan. - Będę księciem-małżonkiem, jeśli mnie poślubi, nie... - Kentril zawahał się. W niektórych krajach ci, którzy poślubili księżniczkę lub jej odpowiedniczkę, zostawali władcami,

gdy poprzedni władca odszedł. Czy Juris Khan właśnie uczynił go kolejnym władcą Ureh?

Zayl zauważył pytające spojrzenie Kentрила i stwierdził ze śladem uśmiechu - Nie, nie wiem, jak to działa w Ureh. Możesz mieć rację... albo nie. A teraz chodź! Mamy dla siebie chwilę czasu, nim ona wróci i zajmie się przygotowywaniem dla ciebie garderoby odpowiedniej do nowej roli.

- Co chcesz wiedzieć?

- Powiedziałaś coś o Gregusie Mazim?

Kapitan Dumon poczuł się obrażony.

- Dotrzymuję słowa.

- Tak też sądziłem, ale musiałem się spytać. - Oczy nekromanty zwężyły się. - Opowiedz mi jak najdokładniej, co wydarzyło się od chwili, gdy tu wszedłeś. - Gdy Kentрил opisał mu wszystko ze szczegółami, Zayl skrzywił się. - Interesujący obrazek, ale mało nam daje.

- A czego ode mnie oczekiwałaś?

- Nie wiem... po prostu czułem, że coś może nam wskazać nasz kolejny krok. - Nekromanta westchnął. - Powrócę do moich komnat i pomedytuję nad tym. Jeśli przypomnisz sobie coś znaczącego, o czym nie wspomniałaś, przyjdź do mnie natychmiast.

Choć Kentрил wątpił, by zapomniał o czymś ważnym, obiecał Zaylowi, że tak właśnie zrobi. Gdy nekromanta odszedł, Kentрил nagle uświadomił sobie, jak wygląda, i że stał wśród arystokratów i ludu Ureh odziany w brudne, zniszczone ubranie. Choć teraz nie mógł już tego naprawić, może przynajmniej wyglądać lepiej następnym razem, gdy ktoś, szczególnie Atanna i Juris Khan, go ujrzy. Teraz z pewnością nadszedł czas, by założyć mundur galowy, który nosił na kolacji. Posłuży mu to przynajmniej do czasu, gdy wynajdzie sobie inne, bardziej odpowiednie ubranie.

Ruszył w stronę swoich komnat, ale w korytarzu ujrzał Gorsta i Tsina. Vizjerei wydawał się poruszony czymś, co mówił olbrzym, a gdy ujrzał Kentrila, spojrzał na kapitana z taką złością, jakby ten właśnie spalił bibliotekę Ureh.

Kentril poczuł niepokój, który zwiększył się jeszcze, gdy Gorst spojrzał na niego zza ramienia. Pospieszył się, modląc się, by okazało się, że źle odczytał wyraz ich twarzy.

– Powiedziałem mu - stwierdził Gorst, gdy zbliżył się jego dowódca. - Musiałem.

– Na siedmioookiego demona Septumosa, kapitanie Dumonie! Co wy sobie myśleliście? Czemu nie zostałem poinformowany? Czy wszystko, co ten kretyn powiedział o jaskini i Gregusie Mazim, jest prawdą? Wydaje mi się to trudne do...

– Jeśli Gorst ci to powiedział, to jest to prawda - odrzekł Kentril, przerywając tyradę czarodzieja. Nie miał na to czasu. Co myślał drugi najemnik? Gorst zwykle był rozsądny. Czemu powiedział Tsinowi, nie pytając wpierw o to kapitana?

Vizjerei z niedowierzaniem potrząsnął głową.

– Powinienem tam być! Gregus Mazi! Mógł wyjaśnić tak wiele spraw!

– On nie był w stanie niczego wyjaśnić. - Kentril spojrzał na Gorsta, który wcale nie wyglądał na zawstydzonego. - Powiedziałeś mu, w jakim stanie był Mazi, prawda?

Gorst pokiwał głową.

– Powiedziałem mu wszystko. Musiałem, po tym, co powiedział mistrz Tsin.

– A co takiego powiedziałeś, Tsin?

Czarodziej wyprostował się i mruknął.

– Nadal nie wiem, czy ten barbarzyńca miał rację...

– Co takiego powiedziałeś Gorstowi, Tsin?

Przynajmniej raz udało mu się poruszyć Vizjerei.

– Cecha, która sprawia, że ten tutaj jest bardziej znośny niż cała reszta, to jego szacunek wobec magii. Dlatego też tolerowałem jego pytania o wysiłek związany z rzuceniem wielkiego zaklęcia. Chciał usłyszeć o trudnościach i jak je przezwyciężyłem... Poza tym... - Przerwał, gdy Kentril podszedł bliżej z dłonią na rękojeści miecza. - Już do tego dochodzę. Powiedziałem Gorstowi o wzorcach i inkantacjach, które stworzyłem, by rozwikłać skomplikowane więzy zaklęcia i jak wszystko szło gładko, tak, jak się spodziewałem.

Kapitan Dumon miał przecucie, że jeśli te przechwałki wkrótce się nie skończą, spróbuje zadusić czarodzieja, niezależnie od konsekwencji.

– Wszystko poszło dobrze. Tego oczekiwałeś. Żadnych haczyków. Zakładałem...

– W takim razie źle zakładałeś, kretynie - warknął brodaty mężczyzna. - Był moment, gdy obawiałem się, że cała moja praca pójdzie na marne, kiedy coś poza moją kontrolą niemal zniszczyło całe starannie przygotowane dzieło sztuki! - Quov Tsin uderzył laską w podłogę. - Oczekiwałem kłopotów tylko ze strony dziewczyny, utalentowanej, ale zbyt rozproszonej przez marzenia... - W tym momencie spojrzał ponuro na kapitana, dając mu do zrozumienia, że to on jest przyczyną tego rozproszenia. - Nie spodziewałem się, że ktoś tak utalentowany i wyszkolony jak nasz gospodarz niemal zmieni to w katastrofę!

– A co on zrobił? - spytał Kentril, który nagle przestał się przejmować tak przyziemnymi sprawami jak mundury galowe i śluby z córkami lordów.

Tsin prychnął.

– Zrobił coś zupełnie nie do pomyślenia, jak młodziutki uczeń! Dotarliśmy do progu, miejsca, gdzie nie mogło być najmniejszego nawet

wahania czy błędu. Dziewczyna ściągała odpowiednie moce, zaś ja, kierując je słowami i gestem, starałem się odwrócić to, co uczyniło jednością ciało, drewno i kamień. Gdyby chodziło o więcej niż jego nogi, mogłoby to być zbyt skomplikowane nawet dla mnie, ale, całe szczęście, tak nie było. Ja...

– Tsin...

– Dobrze, dobrze! On się poruszył, kretynie! Juris Khan, którego zadaniem było koncentrowanie swej mocy i woli, by od wewnątrz przyspieszać zmiany w strukturze zaklęcia obejmującego jego ciało, poruszył się!

Vizjerei odchylił się do tyłu, jakby to, co powiedział, wyjaśniało wszystko. Kentril wiedział jednak, że musi być więcej. Gorst nigdy nie reagował przesadnie.

– Nie tylko się poruszył - wtrącił się olbrzym, teraz równie zniecierpliwiony, co kapitan. - Tsin mówi, że on niemal podskoczył, Kentril! Podskoczył, jakby ktoś podpalił go od dołu. A z tego co mówi Tsin, zdarzyło się to w chwili, gdy wbiłeś sztylet w pierś Gregusa Maziego.

CZTERNAŚCIE



Niepokojąca sugestia Gorsta pozostała z kapitanem Dumonem długo po ich rozstaniu. Kentril nie wiedział jeszcze, co począć z myślą, że Juris Khan jakoś zareagował na śmierć Maziego, ale wnioski płynące z tego faktu nie były zbyt przyjemne. To, że nawet Tsin nie znał żadnego innego wytłumaczenia tego zdarzenia, jeszcze wszystko komplikowało.

Mimo to Vizjerei nie był w stanie w pełni zrozumieć troski Gorsta, że ich gospodarz coś przed nimi ukrywa. Podobnie zresztą Kentril. Kapitan musiał jednak przyznać, że duża część jego oporów wiązała się z zaszczytami, jakimi obdarzył go lord Khan, a szczególnie ze zbliżającym się małżeństwem z jego córką. Jeśli chodzi o Quova Tsina, przyczyny jego oporów były jeszcze bardziej oczywiste - olbrzymie zbiory biblioteki w Ureh stały przed nim otworem tak długo, jak długo władca obdarzał go łaską.

Przespanie się z tą myślą niezbyt Kentrilowi pomogło, ponieważ nawet jego sny okazały się niepokojące. Właściwie to nawet ucieszył się z niespodziewanego pukania do drzwi, gdyż hałas ten obudził go ze snu, w którym Juris Khan okazał się Gregusem Mazim w przebraniu, a Atanna chętną kochanką łotra.

Choć Kentril miał nadzieję, że ujrzy cudną córkę Khana, za drzwiami stał dosyć zamyślony Albord. Kentril z początku przeraził się, że zaginęła następny z jego ludzi, ale młody najemnik szybko rozwiązał te obawy.

Niestety, powiedział coś, co w pewien sposób jeszcze bardziej zaniepokoiło dowódcę.

– Kapitanie, ludzie chcą odejść.

– Nikt nie wyjdzie do miasta, póki nie wyrażę na to zgody.

Albord potrząsnął głową.

– Kapitanie... oni chcą odejść z Ureh. Chcą wyruszyć do domu... i moim zdaniem powinni móc to zrobić.

Tym razem Kentril nie widział żadnego powodu, by ich zatrzymać. On dostał tutaj szansę na rozpoczęcie nowego życia, ale oni chcieli tylko powrócić do Zachodnich Królestw. Mogliby nawet już dostać swoją nagrodę, gdyby nie jego wahanie.

– Dobrze, daj mi parę dni, a ja upewnię się, że nasz szlachetny gospodarz...

Albord zaczął wyglądać nawet bardziej niepewnie.

– Kapitanie, Jodas i Orlif już z nim rozmawiali.

Kentril miał ochotę chwycić białowłosego najemnika za gardło, ale zwalczył ten impuls i nic po sobie nie pokazał.

– Kiedy? Co im powiedział?

– Całkiem niedawno. Ja sam dowiedziałem się o tym dopiero, gdy do mnie przyszli. Mówili mi, że powiedzieli jego wysokości, iż muszą już wyjechać i spytali, czy nadal ma zamiar dać im to, co im obiecał.

– A co odpowiedział Khan?

– Według nich wyściskał każdego jak brata i obiecał, że wszyscy dostaną po pełnym worku!

Kentril nie wątpił, że troskliwy władca to właśnie zrobił, a był to jeszcze jeden przykład szlachetności, która utrudniała zrozumienie, co mogło wiązać świętego władcę i tajemniczego Maziego. Kapitan oparł się o krzesło, próbując uporządkować myśli. Cóż mógł zrobić, jeśli nie

zaakceptować ich odejście równie łaskawie, co Juris Khan? W końcu zgodnie z wszelkimi zasadami mogli teraz robić, co chcieli. Ich umowa z Tsinem skończyła się już dawno.

– Nie mogę powiedzieć, że ich winię - odrzekł w końcu. - A poza Ureh będą bezpieczniejsi, przynajmniej na razie. Ile czasu zostało do waszego wyjazdu?

– Chcą odejść, gdy poza cieniem Nymyru znów wstanie dzień, czyli właściwie to jutro. - Albord wyprostował się. - Nie odchodzę z nimi.

– Nie?

Chłopska twarz rozjaśniła się.

– Kapitanie, po tym, jak ostatnio wspomniałem o odejściu, długo się zastanawiałem. Pod twoimi rozkazami nauczyłem się więcej, niż kiedykolwiek mógłbym dowiedzieć się na wsi. Mam tam rodzinę, jak wszyscy inni, ale moi bliscy wiedzą, że mogę długo nie wracać, albo i nie wrócić w ogóle. Chciałbym jednak zostać tu trochę dłużej. - Wyszczерzył się. - Przynajmniej będę mógł wrócić do domu i pochwalić się, że służyłem pod rozkazami księcia!

Te słowa sprawiły, że Kentril poczuł ulgę.

– Jesteś pewien, że nie chcesz z nimi wyjechać?

– Tym razem się zdecydowałem, panie.

– Dobrze. Przypilnuję, by mogli od razu wyruszyć. Dobrze się sprawili... wszyscy dobrze się sprawili.

Na młodzieńczej twarzy Alborda pojawił się uśmiech równie szeroki jak u Gorsta.

– Doceniam to, kapitanie... panie. Będę jednak zadowolony, jeśli będę mógł ich eskortować do zewnętrznych bram miasta.

Zadanie wydawało się proste i bezpieczne, nawet mimo niewyjaśnionych zniknięć trzech ludzi. Kentril podejrzewał, że podobnie jak on zostali oni

zwabieni w odludne miejsce i zadźgani. Ich ciała prawdopodobnie nie zostaną nigdy odnalezione. Z drugiej strony, jeśli Albord będzie się trzymał na otwartej przestrzeni, wśród ludzi, będzie bezpieczny.

– Nie pozbawię cię tej przyjemności, chłopcze... i dziękuję za lojalność.

Albord zasalutował swojemu dowódcy i wyszedł. Kentril ruszył z powrotem do łóżka, ale nie mógł przestać myśleć o swoich ludziach. Zastanawiał się, czy kogokolwiek z tej trójki udałoby się uratować, gdyby pozwolił im wcześniej wyruszyć do domu. Dla najemnika śmierć na polu bitwy to jedno, ale koniec w ciemnej uliczce z nożem w plecach to coś zupełnie innego. Kentril nie wiedział nawet, czyjego ludzie rzeczywiście zostali zabici. Być może zostali gdzieś uwięzieni albo...

Uwięzieni?

Kapitan Dumon wyprostował się gwałtownie. Znał tylko jeden sposób, by się tego dowiedzieć...

Kentril *znalazł* nekromantę w komnacie najbardziej oddalonej od innych, najwyraźniej na życzenie samego zainteresowanego. Czarodziej nie odpowiedział na pukanie, ale coś sprawiało, że Kentril był pewien, iż znajdzie Zayla w środku. Znów zapukał, tym razem cicho wołając jego imię.

– Wejść - zabrzmiał charakterystyczny, pusty głos Humbarta Wessela.

Kentril wsunął się do środka i odkrył, że nekromanta siedzi po turecku na podłodze, z rękami opartymi na kolanach, i wpatruje się w sżytelet z kości słoniowej wiszący w powietrzu przed nim. Obszerny płaszcz Zayla leżał na łóżku. Na ustawionym z boku niewielkim stoliku stała czaszka, skierowana przodem w stronę drzwi.

– Witaj, chłopcze! - powitała go radośnie. - On robi to dwa, trzy razy dziennie, jeśli tylko ma możliwość. Jego umysł zupełnie opuszcza ten świat...

– Jak długo mu to zajmuje? - spytał szeptem kapitan.

Lewa dłoń nekromanty nagle się poruszyła. W tej samej chwili sztylet zaczął spadać w stronę podłogi, lecz natychmiast został pochwycony.

– Tak długo, jak to konieczne - stwierdził Zayl, szybko prostując nogi i wstając jednym płynnym ruchem.

Czaszka zachichotała.

– Tak na wszelki wypadek ustawia mnie skierowanego w stronę drzwi. Jak ktoś wejdzie, ja wszczynam alarm.

Zayl spojrział ponuro na Humbarta.

– A ja nadal się go nie doczekałem.

– To przecież tylko nasz dobry znajomy Kentril Dumon, chłopcze! Od razu poznałem jego głos.

– Choć osobiście nie mam nic przeciwko tobie, kapitanie, Humbart zapomina, że mogłeś nie być sam... albo to wcale nie musiałeś być ty. Są zaklęcia iluzji, które mogą ogłupić każdego, nawet zbyt pewnego siebie ducha. - Szczupły mężczyzna podniósł płaszcz. - Co mogę dla ciebie zrobić?

– Przyszedłem, ponieważ... ponieważ wpadłem na pomysł związany z twoimi doświadczeniami.

– A odnosi się to do?...

Kapitan odkrył, że jego wzrok przeniósł się na czaszkę.

– Trzej moi ludzie nie wrócili z miasta. Reszta ma zamiar wyjechać jutro rano. Zanim się to stanie, być może będę musiał zorganizować wyprawę ratunkową.

Teraz Zayl skupił całą swoją uwagę.

– Wyprawę ratunkową? Masz powody, by sądzić, że któryś z zaginionych jeszcze żyje?

– Tutaj właśnie się przydasz. Nagle sobie przypomniałem, jak mówiłeś, że twoje wcześniejsze niepowodzenie z przyzwaniem Gregusa Maziego wynikało z tego, iż on żył. Potem wykorzystałeś inne zaklęcie, aby go zlokalizować...

– I chcesz, bym zrobił to samo dla twoich zaginionych podkomendnych.
- Nekromanta zmarszczył czoło zamyślony. - Nie widzę powodów, by to miało się nie udać... a może też rzucić trochę światła na to zacienione królestwo. Tak, kapitanie, z chęcią spróbuję pomóc.

– Kiedy możesz zacząć?

Zayl wziął czaszkę i umieścił ją w sakiewce ukrytej pod płaszczem.

– Nie mogę nic zrobić, póki nie znajdziemy przedmiotu należącego do któregoś z nich albo jeszcze lepiej włosa czy paznokcia. Czy odwiedzenie ich kwater byłoby teraz rozsądne?

Kentril wątpił, by ktokolwiek dziwił się, że dowódca chce przejrzeć rzeczy należące do zaginionych w poszukiwaniu jakichś wskazówek. Pokiwał głową. Wydawało się, że to wystarczy nekromancie.

W życiu najemnika tylko w wyjątkowych wypadkach gospodarze byli tak szczerzy, że każdy wojownik miał swój pokój. Niektórzy, jak Kentril, tak przyzwyczaili się do ciasnych kwater lub spania na wolnym powietrzu, że rzadko korzystali z innych mebli niż łóżka. Inni wykorzystywali taką sytuację do maksimum i te kilka posiadanych przez siebie rzeczy rozrzucaли po całym pokoju. Kentril miał pewność, że w pokojach całej trójki znajdą coś użytecznego.

Tym większe było jego zdumienie, gdy po wejściu do pierwszej komnaty nie znaleźli żadnych śladów zamieszkania.

Gdy Kentril po raz pierwszy wszedł do swoich komnat, nie był w stanie sobie wyobrazić, by ktokolwiek wcześniej w nich mieszkał;. Od jedwabistych, przetykanych złotem draperii po. szerokie, miękkie łóżka z

baldachimem, wszystko wyglądało na zupełnie nowe. Zarówno rama łoża jak i eleganckie meble zostały starannie wyrzeźbione z najlepszej dębiny, drewna, którego kapitan nie widział we wschodnim Kedzystanie, po czym zabarwione na głęboki, czerwonawy odcień brązu. Największa z należących do niego komnat została wyposażona, oprócz łożka, w ciężką komodę z uchwytemi z brązu, cztery krzesła i dwa stoły - szeroki, na którym najprawdopodobniej spożywano posiłki, i podobny, mniejszy, w pobliżu drzwi. Ściany ozdabiała seria niewielkich, lecz dopracowanych gobelinów przedstawiających wczesną historię Ureh.

W mniejszej z dwóch pozostałych komnat ich użytkownik mógł zadbać o siebie - a w tym celu miał nawet bieżącą wodę, co było prawdziwym znakiem bogactwa Juris Khana i jego poprzedników. W trzecim pomieszczeniu znajdowały się dwa obite skórą krzesła, nieduży, lecz elegancki stolik i półka z książkami. Kapitan Dumon z ciekawości przejrzał kolekcję w swojej komnacie, ale wiedział, że większość jego ludzi nawet nie odróżnia liter, nie mówiąc już o czytaniu.

Jako pierwsze wybrali komnaty Breka i już szybkie ich przejrzenie uświadomiło kapitanowi, że ktoś posprzątał po zniknięciu najemnika. Brek nie był najporządniejszym z wojowników, a z pewnością nie najczystszy. W jego komnacie powinno znajdować się jedzenie, puste butelki i więcej jeszcze. Znikł nawet plecak, który brodaty wojownik z pewnością zostawił w komnacie, wychodząc do miasta.

– To niezwykle niepokojące - stwierdził cicho Zayl.

Szybkie przeszukanie dwóch pozostałych komnat przyniosło takie same efekty. Wszystko wyglądało tak, jakby najemnicy w nich nie mieszkali. Nawet Kentril, najstaranniejszy ze wszystkich, nigdy nie utrzymałby komnaty w takim porządku.

Kapitan znalazł Gorsta, który grał w karty z Albordem i dwoma innymi wojownikami. Gdy wszedł do kwatery olbrzyma, wojownicy wstali, ale Kentril szybko kazał im spocząć.

– Kto był w komnatach Breka? Ktoś w ogóle tam był? - Gdy wszyscy czterej potrząsnęli głowami, zwrócił się do Alborda, który mieszkał obok zaginionego. - Przez ścianę nic nie słyszałeś?

– Od czasu, gdy Brek tam był po raz ostami, nic.

Kapitan Dumon pozwolił im powrócić do gry i dołączył do nekromanty. Nie był szczęśliwy, gdy ujrzał, że zwykle spokojny Zayl jest poirytowany ich odkryciem.

– W pałacu jest wielu służących - stwierdził ponuro. - Poruszają się równie cicho i szybko, co moi bracia i jest bardzo prawdopodobne, że zabrali rzeczy na przechowanie.

– Albo nie spodziewali się, że chłopcy wrócą- sprzeciwił się Humbart z sakiewki.

Kentril czuł się pokonany... i bardziej niepewny niż kiedykolwiek.

– Czyli nic nie możesz zrobić?

Zayl uniósł sztylet i mruknął coś pod nosem. Zaczarowane ostrze zapłonęło jasno. Nekromanta uniósł sztylet przed sobą i przesunął nim wokół komnaty.

– Co robisz?

– Próbuję sprawdzić, czy nie pozostał jakiś przydatny ślad. Jeden włos ukryty pod krzesłem, kawałek materiału przypadkiem zakryty kocem... - Gdy wypowiedział te słowa, opuścił ostrze z pewnym niesmakiem. - A w tym miejscu nie mogę znaleźć nic takiego. Przykro mi, kapitanie.

– Może moglibyśmy...

Nim Kentril skończył, drzwi otworzyły się i weszła Atanna.

– A, tutaj jesteś!

Podeszła do wojownika, najwyraźniej nie zauważając Zayla. Kentril przyjął szybki pocałunek i odkrył, że jest wyprowadzany z komnaty.

– I znów przebrałeś się w to okropne stare ubranie! - Pokręciła z niezadowoleniem głową, bardziej przypominając nadopiekuńczą matkę niż piękną czarodziejkę. - Musisz się przebrać, nim będzie za późno! Ojciec już na nas czeka!

– Gdzie? - Kentril nie mógł sobie przypomnieć o żadnej ważnej sprawie.

– Przecież chodzi o oficjalne przedstawienie cię dworowi! Wszyscy muszą cię poznać, zanim oficjalnie przyjmiesz rolę, jaką obiecał ci ojciec. Inaczej byłoby nieelegancko.

– Ale... - Mimo swej niepewności i piętrzących się pytań związanych z lordem Khanem, Kentril nie mógł się oprzeć rudowłosej księżniczce. Atanna przyszła po niego odziana w białą-zieloną suknię doskonale dopasowaną do jej kształtnego ciała i stworzoną, jak wydawało mu się przy wszystkim, co nosiła, aby zupełnie go oczarować.

– Nie kłóć się - przerwała mu, prowadząc go do jego komnaty. - Poczekam na ciebie, ale musisz się pośpieszyć! To bardzo ważne dla twojej przyszłości, Kentril... - Jej oczy płonęły jak klejnoty. - I naszej też.

To ostatnie sprawiło, że poczuł się zupełnie bezbronny. Zapomniał o wszystkich troskach związanych z Gregusem Mazim, podejrzaniach wobec Juris Khana... i wiedział bez żadnych wątpliwości, że na zawsze pozostanie niewolnikiem Atanny.



Mimo pewnego rozbawienia, jakiego dostarczał mu widok kapitana zupełnie otumanionego w obecności pięknej córki Juris Khana, Zayl martwił się o niego. Kentril Dumon z pewnością czuł się rozdarty między zaufaniem i zdradą, miłością i kłamstwami. Najemnik, nie kontrolujący

swoich emocji tak, jak wyznawcy Rathmy, mógł w każdej chwili zrobić fałszywy krok. Zayl miał nadzieję, że tak się nie stanie, gdyż kapitan pozostawał jego najlepszym sojusznikiem. Olbrzymiemu Gorstowi można zaufać, to prawda, ale brak mu mądrości Dumona. Jeśli zaś chodzi o Quova Tsina, to gdyby Vizjerei okazał się jedyną nadzieją Zayla, wszyscy byliby zgubieni.

Ale właściwie co im groziło? Podejrzewał, że kluczem byli trzej zaginieni mężczyźni. Nekromanta coraz mniej wierzył w wersję, że zginęli z rąk zwykłych ulicznych oprychów. Nie, czuł, że dzieje się coś bardziej mrocznego, bardziej złowrogięgo.

Sprawdzenie komnat pozostałych dwóch najemników wykazało taki sam brak śladów. Zayl zastanawiał się nad zahipnotyzowaniem jednego ze służących, by wyjawiał mu, gdzie schowali rzeczy najemników, ale to z pewnością zwróciłoby uwagę gospodarza. Poza tym nigdzie nie mógł znaleźć pokojowych. Jak już wspomniał kapitanowi Dumonowi, poruszali się rzeczywiście tak, jakby wytrenowali ich bracia Zayla, co u służących było bardzo dziwne. Kolejna zaskakująca część układanki, której całości nie potrafił jeszcze ogarnąć.

– Jeden włos, jeden kawałek paznokcia - mruknął do siebie, gdy skończył drugie przeszukanie, ostatnich komnat. - Nie proszę o wiele, ale najwyraźniej to i tak za dużo.

Jeden kosmyk i byłby w stanie zrobić to, czego dokonał w siedzibie Gregusa Maziego. Zayl nie lubił, gdy zatrzymywały go tak drobne rzeczy. Z pewnością siły, które utrzymywały świat w równowadze, nie zaplanowały takiej frustracji. Zayl prosił tylko o...

Nekromanta zamarł, że sztyletem gotowym do odłożenia. Nagle uświadomił sobie, że ignorował jedyną ścieżkę, która przez cały czas była dla niego otwarta. Kapitan Dumon sam zwrócił na nią uwagę, ale Zayl tak

skoncentrował się na powodzie, dla którego najemnik przyszedł do niego, że wcale jej nie zauważył. Odpowiedź na ich pytania niemal krzyczała, prosząc o wysłuchanie, ale czarodziej był głuchy.

Kiedy Zayl po raz pierwszy próbował porozmawiać z cieniem Gregusa Maziego, ten nie był martwy.

Ale teraz już jest... zabity z litości przez drużynę nekromanty, gdy towarzysze odkryli jego straszliwy los.

– Jestem głupcem! - stwierdził.

– Chcesz, żebym zaprzeczył? - zabrzmiał głos Humbarta.

Spojrzał w dół, na sakiewkę.

– Gregus Mazi nie żyje!

– Ano, i nie jest to powód do radości, słyszysz mnie, chłopcze?

Ale Zayl mu nie odpowiedział, już kierując się w stronę swojej komnaty. Umieści wzory, przygotowuje zaklęcie...

Nie, jego komnata się do tego nie nadaje. Podczas przeszukiwania kwater zaginionych najemników kapitan opowiedział Zaylowi o zastanawiającej reakcji Juris Khana podczas zaklęcia Tsina. Nekromanta nagle zaczął się zastanawiać, czy mądrym posunięciem jest wzywanie ducha czarodzieja w samej siedzibie tego, który twierdził, że go zabił.

Tak czy inaczej, opłacało mu się rzucić zaklęcie gdzie indziej, a Zayl nie mógł wymyślić lepszej lokalizacji niż otwór jaskini prowadzącej do miejsca, gdzie znaleźli to, co pozostało z nieszczęsnego maga.

Zgromadzenie wszystkiego, co konieczne, nie zajęło nekromancie dużo czasu, a wyjście w tajemnicy z pałacu jeszcze mniej. Zayl doskonale zapamiętał rozkład budowli, jakimś sposobem przeczuwając, że może mu się to przydać. Zrobił to z przyzwyczajenia, gdyż jego powołanie wywoływało zwykle nieufność u większości ludzi. Nigdy nie wiadomo,

kiedy nadgorliwy urzędnik postanowi podkreślić swą władzę przez pojmanie i pozbycie się „złego” nekromanty.

W pewien sposób wymknięcie się do szybu napełniło Zayla pewnością siebie. Urodzony w dżungli, czuł się rozproszony w zamkniętych przestrzeniach, nawet tak wielkich jak pałac. Teraz, na zewnątrz, czuł, że znów może oddychać. Jego umysł pracował szybciej, tak że nekromanta musiał znów zapytać samego siebie, dlaczego nie spróbował znów wezwać Gregusa Maziego, gdy ten w końcu zginął. Zmarnował tyle czasu...

Oświetlając sobie drogę sztyletem, Zayl wszedł kilkanaście jardów w głąb tunelu. Odnalazłszy w miarę szeroką część korytarza, nekromanta kucnął i zaczął rysować świecącym ostrzem wzory w ziemi. Zaklęcie, które planował rzucić, było właściwie identyczne jak to, które rzucił w siedzibie Maziego. Jediną różnicą były pewne dodane symbole, które miały zwiększyć prawdopodobieństwo sukcesu.

Zayl wyjął z sakiewki czaszkę Humbarta, trzy małe świece i jeden włos. Odłożył czaszkę na bok, umieścił odpowiednio świece i położył włos w środku. Nadawszy swój palec i upuściwszy kilka kropli krwi na włos, nekromanta zapalił końcem sztyletu świecę i zaczął inkantację.

W tunelu pojawił się lekki wietrzyk. Zayl przerwał na chwilę i ustawił się tak, by zasłonić włos przed wiatrem. Zadowolony, od nowa zaczął pracę.

Nagle wiatr pojawił się z drugiej strony. Zayl skrzywił się, gdyż z poprzedniej wizyty w tunelu nie pamiętał takich prądów. Powąchał powietrze, szukając zapachu magii, ale nic nie znalazł.

– Kłopoty? - spytała czaszka.

– Niewielkie trudności. - Czarodziej wziął parę kamieni i wybudował mały murek ochronny.

Znów zaczął mamrotać. Tym razem nie przeszkodził mu wiatr. Zayl wpatrzył się we włos i pomyślał o martwym czarodzieju.

Ponownie dym uniósł się z włosa w miejscu, gdzie spadła nań krew, a dym ten zaczął przybierać ludzki kształt. Gdy nekromanta mówił dalej, dym pęczniał, aż w końcu sięgnął na wysokość człowieka i coraz bardziej go przypominał. Zayl zauważył postać w stroju czarodzieja. Postać wydawała się wyciągać dłoń i jednocześnie coś mówić.

– Gregusie Mazi, wzywam cię! - zawołał Zayl. - Gregusie Mazi, zaklinam cię! Wzywam cię, byś znów chodził po świecie śmiertelnych, abyś przybył do mnie i podzielił się swą wiedzą!

Z dymu uformowała się imponująca, czarnowłosa postać, przypominająca bardziej Kentrila Dumona niż nekromantę czy Vizjerei. Szeroki w ramionach, o zdecydowanej twarzy, Gregus Mazi wcale nie przypominał żmii, jak go przedstawiano, lecz raczej legendarnego obrońcę.

– Młodszy niż wtedy, gdy go widziałem - zauważył Humbart.

– Cicho! - Zayl jeszcze nie przywiązał do siebie ducha, a póki tego nie zrobił, ryzykował przerwaniem rytuału.

Znów trochę pomruczał, a potem sztyletem narysował w powietrzu podwójną pętlę. Migoczący duch Maziego nabrał stabilności, stał się tak wyraźny, że przypadkowy przechodzień mógłby uznać, że jest w stanie go dotknąć. Tak naprawdę, gdyby Zayl się postarał, mógłby stworzyć nawet bardziej materialnego ducha, ale nie miał takiej potrzeby i na tyle szanował martwego maga, że nie chciał go aż tak przywiązywać.

Wkrótce zaklęcie będzie gotowe. Wówczas tylko Zayl będzie mógł odesłać ducha bez większego wysiłku.

Gdy tylko Gregus Mazi znów stał się częścią materialnego świata, próbował się odezwać. Jego usta otworzyły się, ale nie wyszedł z nich żaden dźwięk. Nadal wyciągał rękę do drugiego czarodzieja, ale poruszał się jakby w gęstym płynie. Tylko oczy wyrażały coś zdecydowanego, a była

to nagląca potrzeba przekazania jakiejś wiadomości, może tych właśnie informacji, których szukali on i kapitan.

– Gregusie Mazi, niech powietrze znów napełni twoje płuca! Niech mowa będzie twoją, gdyż na to zezwalam! Niech słowa, które pragniesz wypowiedzieć, zostaną usłyszane!

Martwy czarodziej zajęczał. Z ponurym zdecydowaniem wyciągnął palec w stronę Zayla i w końcu wymusił jedno słowo z otwartych ust.

– Diablooooo!

Gdy to powiedział, jego wygląd się zmienił. Szata czarodzieja, przez chwilę błyszcząca błękitem i złotem, pokryta świętymi słowami, wybuchła płomieniem. Wyciągnięty ostrzegawczo palec skurczył się i stał się kościsty. Podobnie silna, zdecydowana twarz stopiła się, aż pozostały tylko oczy...

– Zayl, chłopcze! Uważaj!

Potworne ręce z kamienia nagle wyrwały się ze ścian, chwytając nekromantę od przodu i od tyłu. Wycisnęły powietrze z płuc Zayla, a on z trudem powstrzymał je przed zgnieceniem go na miazgę.

Walcząc, rozrzucił świece. Potworny duch Gregusa Maziego, przywiązany do nekromanty, powinien pozostać na swoim miejscu, lecz miast tego natychmiast zbladł, a na jego bezwargich ustach nadal pozostało słowo ostrzeżenia.

Zayl wciąż miał sztylet, ale z ramionami przyciśniętymi niewygodnie do ciała nie mógł go unieść. Wykorzystując resztki oddechu, wykrzyczał słowa mocy.

– *Beraka! Dianos tempri! Berak...*

Więcej nie udało mu się wydusić. Jaskinia zatrzęsa się, a z jakiejś dużej odległości Zayl usłyszał wołającego go Humbarta Wessela.

Nekromanta stracił przytomność.

PIĘTNAŚCIE



Juris Khan nie skąpił, jeśli chodziło o wynagrodzenie najemników, którzy zdecydowali się odejść. Kentrila zadziwiały bogactwa, którymi obdarzył jego ludzi: złote monety, błyszczące diamenty, szkarłatne rubiny i wiele więcej. Jedynym ograniczeniem było to, ile sami mężczyźni potrafili unieść, ponieważ władca Ureh nie mógł dać im koni ani innych zwierząt. To wcale nie martwiło Jodasa i pozostałych, gdyż to, co otrzymali, i tak im wystarczało.

– Powróćcie raz jeszcze, gdy Ureh będzie wśród wielkich królestw tego świata, a ja to uzupełnię - powiedział im lord Khan. -Wszyscy jesteście tutaj mile widziani!

Gospodarz zorganizował ceremonię pożegnalną w wielkiej komnacie, gdzie wcześniej był uwięziony. Tłumy dworzan w najlepszych szatach stały po obu stronach, od czasu do czasu klaszcząc entuzjastycznie. Kentril spotkał wielu z nich już dwa razy, ale nadal nie pamiętał żadnych imion. Poza Atanną i jej ojcem wszyscy w pałacu zdawali się pochodzić z jednej formy, a ich głosy były echem głosu wielkiego Khana. To oczywiście wcale nie dziwiło kapitana, gdyż potężnych władców często otaczali tacy ludzie, a czy w błogosławionym Ureh miało być inaczej? Juris Khan przeżył z nimi najgorsze, co można sobie wyobrazić.

Gdy skończyła się uroczystość, Kentril sam pożegnał swoich ludzi. Przypomniał całej szóstce o najbezpieczniejszej drodze przez dżunglę i podkreślił konieczność unikania głębszych rzek.

– Kiedy już dotrzecie do Kurastu, droga będzie prostsza. Niech tylko nikt nie zobaczy tego, co ze sobą niesiecie.

– Będziemy ostrożni, kapitanie! - ryknął Orlif.

Gorst poklepał każdego z mężczyzn po plecach tak mocno, że większość się od tego aż zatoczyła, i jak troskliwy rodzic kazał im pamiętać o wszystkim, czego nauczył ich kapitan.

Na sygnał Alborda cała szóstka zasalutowała dowódcy i wymaszerowała. Kentril i Gorst podążyli za nimi aż do zewnętrznej „bramy i znów życzyli im wszystkiego najlepszego.

Choć rozpad drużyny zawsze wywierał na kapitanie Dumonie większe wrażenie, niż chciał po sobie pokazać, odejście pozostałych przy życiu ludzi niemal rozbiło jego maskę opanowania, którą zwykle nosił w takich sytuacjach. Już to, że tak wielu z nich nie powróci do domu, było wystarczająco złe, ale do tego cień nad królestwem wywoływał wrażenie, że odchodzą w środku nocy. Wojownicy i ich eskorta nieśli pochodnie, by lepiej widzieć strome schody. Choć Kentril wiedział, że słońce nad Nymyrem wstało zaledwie godzinę wcześniej, nie mógł przestać się martwić o zagrożenie ze strony nocnych drapieżników i wrogów skrytych w ciemnościach. Choć kapitan wiedział, że te niebezpieczeństwa istniały tylko w jego głowie, z trudem powstrzymywał się przed pognaniem za pozostałymi.

– Myślisz, że z nimi będzie wszystko dobrze? - zapytał nagle Gorst.

– Czemu pytasz?

Olbrzym wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Chyba zawsze mi przykro, gdy inni odchodzą.

Kentril uśmiechnął się, gdyż odzwierciedlało to jego własne troski.

– Są w grupie, uzbrojeni i wiedzą, gdzie idą. Ty i ja powróciliśmy z gór północnego Entsteig tylko z jednym mieczem. - Przyglądał się pochodniom,

jedynemu znakowi oddziału, schodzącym w stronę miasta. - Wszystko będzie dobrze.

Gdy nawet pochodnie przestały być widoczne wśród innych ogni oświetlających Ureh, obaj powrócili do pałacu. Lord Khan wspomniał coś o rozmowie z Quovem Tsinem o pracach koniecznych do zupełnego zakotwiczenia królestwa w prawdziwym świecie i całkowitym zniszczeniu złego zaklęcia. Kentrila bardziej interesowało jednak, że Atanna pozostała w środku. Bardziej niż kiedykolwiek tęsknił za jej wargami, jej oczami, ramionami. Odejście innych oznaczało dla niego koniec życia najemnika i początek czegoś zaskakującego. Gdyby nie wątpliwości, jakie on i Zayl mieli w sprawie Gregusa Maziego, Kentril uważałby się za najszcześniejszego człowieka na świecie.

Myśląc o nekromancie, spytał Gorsta - Widziałeś ostatnio Zayla?

- Nie widziałem go od czasu, kiedy chciałeś dowiedzieć się czegoś o Breku i pozostałych.

Gdy kapitanowi w końcu udało się spytać Juris Khana o to, co stało się z rzeczami zaginionej trójki, władca wyraził absolutne zaskoczenie i obiecał, że zajmie się tym ktoś z jego służby. Mówił to tak szczerze, że Kentril nie mógł mu nie uwierzyć. W rzeczy samej, Kentril chciał nawet odnaleźć Zayla, by powiedzieć mu o swym przekonaniu, iż lord Khan nie miał nic wspólnego z zabraniem rzeczy najemników. Niestety, nie mógł odnaleźć nekromanty.

- Rozejrzyj się za nim. Powiedz mu, że chcę się z nim jak najszybciej zobaczyć.

Gorst zawahał się, co u prostodusznego olbrzyma było rzadkie.

- Myślisz, że zaginął jak Brek?

Kentril o tym nie pomyślał.

– Sprawdź jego komnatę. Zobacz, czy są tam jego rzeczy. -Wyznawca Rathmy miał mało rzeczy osobistych, ale na pewno pozostawił coś w komnacie. - Jeśli okaże się, że nie ma tam nic, przybiegnij do mnie.

– Dobrze, Kentril.

Teraz to kapitan Dumon się zawahał, a wzrok skierował w stronę migoczących lamp i pochodni wiecznie ciemnego Ureh. Albord i reszta z pewnością już zbliżali się do bram miasta. Za godzinę, najwyżej dwie, Jodas, Orlif i pozostała czwórka wyjdą na słońce.

– Kentril?

– He? Przepraszam, Gorst. Zamyśliłem się.

– A o czym myślałeś?

Najemnik uśmiechnął się smutno.

– Zastanawiam się, czy jeszcze nie pożałuję, że z nimi nie oszedłem.



Zebrany tłum wykrzykiwał radośnie i machał im, gdy Albord i inni najemnicy maszerowali przez miasto. Młodemu oficerowi wydawało się, że wszyscy mieszkańcy miasta wyszli, by pożegnać najemników. Nigdy w czasie swej krótkiej kariery nie był tak doceniony. Kapitan Dumon od pierwszego dnia ostrzegał go, że życie najemnika jest trudne i mało satysfakcjonujące, ale ta chwila sprawiła, że zapomniał o wszystkich przeszłych nieprzyjemnościach.

– Jesteś pewien, że nie chcesz iść z nami, Alby? - zawołał Jodas. - Przyda nam się jeszcze jeden ostry miecz!

– Zostanę tutaj, dzięki. - Albord nie żałował, że zostaje w mieście, mimo iż wcześniej chciał ujrzeć swą rodzinę. Ale lepiej wrócić na przykład za rok i pokazać im wszystko, czego dorobił się jako jeden z adiutantów kapitana Dumona. Lord Khan już ogłosił, że kapitan zostanie szlachcicem i dowódcą

wojsk świętego królestwa, jak również mówił o jego nadchodzącym małżeństwie z królewską córką... co według Alborda było największym zaszczytem.

– Może kiedyś znów was odwiedzimy - odpowiedział Jodas z uśmiechem. Uniósł worek z nagrodą. - W końcu to nie starczy na zawsze!

Reszta zaśmiała się razem z nim. Wszyscy dostali wielkie bogactwo. Każdy z nich mógł żyć w dostatku do końca życia i jeszcze coś by po nim zostało. Oczywiście, najemnicy lubili hazard, ale Albord wątpił, by najbardziej rozrzutny z nich wydał ostatniego miedziaka wcześniej niż za kilka lat.

– Czy ci żartownisie znają drogę do własnych bram? - mruknął Orlif, odnosząc się do sześciu opancerzonych strażników, którzy ich eskortowali. Milczący i poważni, maszerowali idealnie równo, czego kapitanowi Dumonowi nie udało się osiągnąć u swoich ludzi. - Wydaje się, że idziemy już całą wieczność, a ten ciężar wcale nie robi się lżejszy!

– Jeśli te ciężkie wory was spowalniają- zażartował Albord -chętnie przypilnuję ich, aż powrócicie z Zachodniej Marchii!

Znów wszyscy się zaśmiali. Albord czuł się nieco oddalony od nich. Będzie mu ich brakowało, ale z kapitanem miał lepsze szanse. Zawsze wyczuwał w nim wielkość, a teraz to się potwierdziło.

– W końcu jesteśmy - zawołał jeden z najemników. - Jeszcze godzina i będziemy się uśmiechać na słońcu! Czyż to nie będzie przyjemny widok?

Albordowi bramy wydawały się bardzo wysokie. Gdy po raz pierwszy odwiedzili ruiny Ureh, bramy były zamknięte, jakby chciały ochronić tajemnice miasta! Wówczas były to porzewiałe relikty. Teraz wyglądały o wiele bardziej imponująco. Wysokie na przynajmniej dwanaście stóp i bardzo grube, zatrzymałyby każdą armię próbującą zdobyć miasto. Podobnie jak w wypadku bram pałacu, pośrodku każdego skrzydła

znajdowała się płaskorzeźba archanioła i tak jak tam, te również zostały brutalnie zniszczone. Albord znów zaczął się luźno zastanawiać, jak do tego doszło. Czy to jakiś sługa tamtego złego Gregusa Maziego próbował zniszczyć symbole mocy Niebios?

Straż honorowa zatrzymała się przy bramie i odwróciła w stronę odchodzących żołnierzy. Ich twarze, poważne i niemal bez wyrazu, sprawiły, że Albord miał ochotę chwycić za miecz. W ostatniej chwili białowłosy najemnik uświadomił sobie, jak głupie by to było.

W tłumie zapadła dziwna cisza, która jeszcze bardziej podkreślała dalekie odgłosy zabawy. To świętowanie trwało bez przerwy od chwili, gdy kapitan Dumon umieścił magiczny kamień na swoim miejscu. Albord rozejrzał się i odkrył, że wszystkie twarze zwróciły się w oczekiwaniu w jego stronę.

Jodas i inni nie widzieli w tym nic dziwnego i nawet spoglądali na niego z niecierpliwością.

– Czas się pożegnać, Alby. Musimy ruszać...

Odchodzący najemnicy wymienili uściski z młodym oficerem i pokleпали go po plecach. Albord z trudem powstrzymywał łzy i z rozbawieniem odkrył, że Jodas i Orlif też najwyraźniej cierpią na tę przypadłość.

– Lepiej, jeśli odejdiesz, zanim my wyjdziemy - zasugerował Jodas, gdy straż honorowa zaczęła otwierać bramy. - Powodzenia i tak dalej.

Wiele oddziałów najemników miało swoje przesady. Ci z Zachodniej Marchii wierzyli, że jeśli nie widziało się, jak towarzysze wychodzą przez bramę, wkrótce się ich znów zobaczy. Zobaczenie, jak przechodzą przez bramę, oznaczało całkowitą pewność, że już nigdy się ich nie spotka... i prawdopodobieństwo, że niektórzy wkrótce zginą. Najemnicy prowadzili zbyt niebezpieczne życie, by nie brać do serca wiary, która mogła

zwiększyć ich szanse przeżycia. Dlatego właśnie dowódca i jego zastępca w ogóle nie opuścili pałacu.

Albord ostatni raz pomachał całej szóstce i odszedł. Wciąż nie mając pełnej kontroli nad emocjami, nie odwrócił się i podejrzewał, że pozostali zrobili tak samo. Ciągłe odgłosy zabawy zaczynały mu działać na nerwy, bo sam nie miał wielu powodów do radości. Nawet myśl o przyszłości w Ureh wcale go nie pocieszała.

Świętujący zaczęli zachowywać się głośniejsze, a większość dźwięków zdawała się pochodzić z za jego pleców, czyli dochodziła ze strony, gdzie zostawił towarzyszy. Albord przyspieszył kroku - kiedy już powróci do pałacu, z pewnością się uspokoi i przypomni sobie, dlaczego jednak zdecydował się nie odchodzić z Jodasem i resztą.

W tej właśnie chwili jego uwagę przyciągnął głos, ledwo słyszalny ponad radosnymi okrzykami. Albord zatrzymał się, usiłując zrozumieć, co właśnie usłyszał. Głos wydawał się należeć do Orlifa... Orlif wołał białowłosego najemnika po imieniu.

Albord ruszył w stronę siedziby lorda Khana, ale nagła niepewność kazała mu się zatrzymać. Co mu szkodzi wrócić i sprawdzić? Jeśli usłyszał Orlifa, to ten musiał czegoś od niego chcieć. A jeśli się przesłyszał, to nic się nie stanie i nie będzie pecha, bo do tego czasu cała szóstka musiała już przejść przez bramę.

Zawrócił. Odkrycie, czy rzeczywiście usłyszał Orlifa, zajmie mu parę chwil. Wówczas będzie miał pewność, że rzeczywiście zrobił wszystko.

Krzyki radości były tak głośne, że aż bolały go uszy. Czy ci ludzie nigdy nie odpoczywają? Czy nie mają nic innego do roboty, jak tylko świętować? Oczywiście, mieli powody, by się cieszyć, ale nawet najemnicy od czasu do czasu lubili chwile ciszy i spokoju. Im szybciej wróci do pałacu, tym lepiej.

Tam przynajmniej będzie mógł się schronić przed radosnym szaleństwem mieszkańców...

Krótki krzyk przeciął powietrze.

Młody najemnik wyciągnął miecz i popędził w stronę bramy. Mógł się mylić, ale przysięgłby, że ten krzyk wydał z siebie Jodas. Albord wybiegł za ostami róg...

I zobaczył obraz tak przerażający, że zamarł w miejscu.

Morze przerażających ciał - a dokładniej skorup - kłębiło się razem jak głodne, paskudne ryby, które widział w jednej z rzek w dżungli. Odziane w podarte, brudne ubrania, walczyły ze sobą o coś, co znajdowało się między nimi. Ich szeroko otwarte usta, okrągłe i wypełnione ostrymi zębami, otwierały się i zamykały. Z boku kilka się pożywiało, a ich pokręcone, suche ręce ścisnęły kawałki ociekającego krwią mięsa.

Na szczyt wciąż rosnącej masy przedarł się człowiek.

Orlif, z poszarpaną twarzą i rękami ociekającymi własną krwią, ciął mieczem, próbując wywalczyć sobie wolność. Z miejsca, gdzie stał jak słup, Albord widział, że druga ręka najemnika została niemal w całości pożarta.

Orlif go zobaczył, a to, co Albord ujrzał w tym błagalnym spojrzeniu, przeraziło go bardziej niż cokolwiek innego.

Nagle coś pociągnęło najemnika z wnętrza głodnej masy potworów. Orlif krzyknął raz jeszcze... i został wciągnięty między nich.

– Nie! - ten krzyk wyrwał się z ust Alborda, nim udało mu się go powstrzymać.

Puste oczodoły zwróciły się w stronę otepiałego najemnika. Potworne postacie zaczęły odwracać się w jego stronę.

W końcu powrócił mu rozsądek... Albord odwrócił się i zaczął biec.

Przez ten cały czas, podczas całej potwornej sceny, muzyka, śmiech i radosne okrzyki trwały nadal. Albord rozglądał się na boki, ale nie widział śladu bawiących się. Wydawało mu się, że wokół świętuje miasto duchów.

Z bocznej uliczki rzuciła się na niego jedna z przerażających postaci. Albord odskoczył na bok i ciął ją mieczem. Ostrze przecięło nadgarstek i trupa dłoń upadła na ziemię. Stwór jednak nie wydawał się tym poruszony i podążał nadal za najemnikiem.

Pałac. Albord był pewien, że jeśli dotrze do pałacu, będzie bezpieczny. Kapitan Dumon tam będzie i będzie wiedział, co robić.

Gdy tak biegł, miasto z każdą chwilą się zmieniało, stając się coraz bardziej wypaczone i martwe, podobnie jak jego mieszkańcy. Budynki gwałtownie rozpadały się lub kruszyły, a po dachach i spękanych ścianach na wysuszoną ziemię spływało coś, co wyglądało jak gęsta krew. Niebo przybrało niezdrowy odcień, a smród gnijącego i palonego mięsa wypełnił nozdrza młodego najemnika.

Pałac Juris Khana wydawał się jednak nietknięty. Albord skoncentrował się na jedynej ostoi rozsądku w oszalałym świecie. Każdy krok przybliżał go do wybawienia.

Wówczas ku swemu przerażeniu odkrył, że droga jest zamknięta. Horda wysuszonych, głodnych trupów poruszała się powoli, lecz zdecydowanie tą właśnie ulicą, która doprowadziłaby go do kamiennych schodów. Okrągłe, zębate usta otwierały się i zamykały w oczekiwaniu na kolejną ucztę. Wydzielany przez nie smród wywołał mdłości u przerażonego najemnika. Mężczyzna z trudem powstrzymał się przed padnięciem na kolana i wymiotowaniem.

Albord spojrzał w lewo i ujrzał pustą ulicę. Bez wahania wbiegł w nią z nadzieją, że w końcu doprowadzi go do schodów.

Nagle coś chwyciło go za ramię. Albord odkrył, że stoi twarzą w twarz z jednym z ghuli, szyderstwem z kobiety, suchą skorupą odzianą w pozostałości bardzo skąpej, bardzo kobiecej złotej szatki. Kosmyki włosów otaczały straszliwą twarz, a usta były szeroko otwarte.

– Chodź, przystojny żołnierzu - zachrypiała grobowym głosem. - Chodź zabawić się z Nefriti...

– Puszczaj mnie, piekielny pomioście! - Albord dziko zaatakował demona, ale skutki były mizerne. W końcu wbił się w jedno ramię, ale przypomniawszy sobie, że to nawet nie spowolniło innego potwora, zaatakował szyję.

Ostrze przecięło łuszczącą się skórę i suchą kość jakby to był pergamin.

Głowa demona spadła na ulicę i odtoczyła się kilkanaście stóp. Jeszcze przez chwilę się kręciła, po czym zatrzymała z bezduszną twarzą zwróconą w jego stronę.

– Nefriti pragnie twego pocałunku - szydziła głowa. - Chodź, pocałuj Nefriti... - Usta otwierały się i zamykały.

Ku jego przerażeniu ciało nadal z nim walczyło. Albordowi w końcu udało się uwolnić, a potem jeszcze przebić pierś stwora. Gdy ciało w końcu upadło, przerażony najemnik zaczął uciekać.

Boczna uliczka doprowadziła go do dużej ulicy, która na całe szczęście była opustoszała. Albord zatrzymał się, by złapać oddech i wybrać odpowiedni kierunek. Pałac na szczycie wzgórza, teraz większy, wydawał się go przyzywać. Jeśli tylko uda mu się ominąć przeklęty tłum, będzie bezpieczny.

Popędzany przez obrazy Orlifa młody najemnik potykał się, biegnąc w stronę wzgórza. Teraz już wiedział, co stało się z trzema zaginionymi mężczyznami. To musiała być robota tego czarodzieja, o którym mówili, złego Gregusa Maziego. Władca Ureh twierdził, że zniszczył łotra, ale

Albord znał wystarczająco wielu czarodziejów i wiedział, że potrafią tworzyć doskonałe iluzje. Bez wątpienia Mazi jakoś oszukał swojego dawnego władcę, by ten uwierzył w jego śmierć, a teraz szukał zemsty.

Kapitan Dumon i pozostali musieli zostać ostrzeżeni...

Śmiech i muzyka atakowały jego uszy. Teraz te dźwięki wydawały mu się szalone, jakby świętujący znajdowali się w przytułku dla obłąkanych. Albord miał ochotę zakryć uszy, ale obawiał się, że to go spowolni, choćby w niewielkim stopniu. Dźwięki atakowały jego duszę i napełniały go równym przerażeniem, co demoniczna horda za nim.

Gdy ujrzał podstawę wzgórza, przyspieszył kroku. Już niedługo...

Jego but zaczepił o coś.

Albord potknął się i poleciał do przodu. Mocno uderzył w brukowaną ulicę, aż przez całe jego ciało popłynęły fale bólu. Na chwilę stracił przytomność.

Albord zmusił się do oprzytomnienia. Zauważył miecz kilka stóp od siebie. Sięgnął po niego i podniósł się.

Wtedy właśnie spostrzegł, że nie jest już sam.

Wychodzili z bocznych uliczek, zrujnowanych domów i ulic. Poruszali się jak jedna całość, z jednym tylko, ohydnyim celem. Zbliżali się do niego, wyciągając ręce,..

Albord obrócił się na pięcie, ale odkrył, że każdą drogę ucieczki wypełniają głodne trupy. Spojrzał z tęsknotą w stronę schodów i pałacu, ale wiedział, że mimo pozornej bliskości tych pierwszych nie uda mu się pokonać tych kilkunastu stóp.

Co dziwne, nagle w jego głowie pojawił się głos kapitana Dumona. *Jeśli to możliwe, walcz z wrogiem. Lepiej walczyć i szybko umrzeć, niż czekać na nieuniknione.* Kapitan Dumon nauczył go tego na początku. Dowódca

nauczył też Alborda, jak wygląda życie najemnika i że dla większości z nich przedwczesna śmierć jest niemal pewna.

Albord uchwycił mocno miecz, uniósł go wysoko nad głowę, wrzasnął i zaatakował.

Gdy zderzył się z pierwszym z potworów, jego miecz wbił się głęboko w wysuszone ciało i kruche kości. Wyciągnięte ręce odpadały, trupie ciała przewracały się. Pałac nadal go wzywał, zachęcając go do dalszego wysiłku.

Chwyciły go za rękę, potem za nogi. Jego pole widzenia wypełniały groteskowe twarze. Miecz został wyrwany z jego dłoni. Mimo to Albord przebił się jedną stopę, dwie...

W końcu powaliły go na ziemię, potworne twarze wpatrywały się w niego, a ohydne usta gorliwie pracowały.

Albord wrzasnął.



W olbrzymiej, cichej bibliotece Quov Tsin przeglądał książki zgromadzone przez setki lat i upajał się wiedzą, którą dla niego zebrano. Choć staremu Vizjerei schlebiały pochwały dworzan Juris Khana, bardziej pociągało go jego powołanie.

Teraz jednak nie umiał skoncentrować się tak dobrze jak zwykle... i mógł za to podziękować głupim najemnikom. Kapitan Dumon i olbrzym, Gorst, zasiali w nim ziarno wątpliwości co do prawdziwości słów gospodarza. Tsin nie lubił mieć wątpliwości. Lord Khan dał mu całą bibliotekę i uczynił najwyższym czarodziejem bajecznego królestwa. Z taką mocą Vizjerei mógłby stać się największym wśród swoich!

– Niech cię, Dumon! - mruknął Tsin, przewracając kartkę. - Czemu nie mogłeś pozostawić tego w spokoju...

– Czy coś się stało, mistrzu Tsinie?

Czarodziej podskoczył. Spojrzał ze złością na przybysza, po czym uświadomił sobie, że stoi nad nim ojcowski Juris Khan.

– Nic... nic ważnego, panie.

Khan uśmiechnął się łagodnie.

– Tak się cieszę, że to słyszę. Zrobiłeś tak wiele dla królestwa... i szczególnie dla mnie... że zmartwiłoby mnie, gdybyś był nieszczęśliwy.

Quov Tsin wstał i w tajemnicy przyjrzał się swojemu gospodarzowi. Czy podejrzenia kapitana w ogóle miały w sobie ziarno prawdy? Przecież człowiek przed nim w każdym calu pasował do legendy, którą czarodziej badał przez dekady. Z pewnością on, Tsin, odczytuje całą sytuację lepiej niż ten zakochany, prymitywny plebejusz Kentril Dumon!

– Jestem niezwykle uradowany twą wspaniałą nagrodą, mój panie, i całym swym życiem będę ci służył najlepiej, jak potrafię.

– Za to jestem bardzo wdzięczny, Vizjerei. To właściwie powód, dla którego przybyłem, by spotkać się z tobą w cztery oczy.

I tak przymrużone oczy Tsina zwęziły się aż do szparek.

– Prosisz mnie o pomoc, panie?

– Tak, mistrzu Tsinie... właściwie bez ciebie nie mógłbym mieć nadziei na uratowanie Ureh.

To odważne stwierdzenie poruszyło czarodzieja. *Bez ciebie nie mógłbym mieć nadziei na uratowanie Ureh.* Quov Tsin poczuł przepętniającą go dumę. Oto był władca, który doceniał jego umiejętności! Ponure podejrzenia najemnika rozwiewały się jak dym.

– Jestem na twe wezwanie, lordzie Khanie.

Wyższy mężczyzna przyjaźnie położył dłoń na ramieniu czarodzieja.

– W takim razie, jeśli choć na chwilę oderwiesz się od swoich ksiąg, muszę ci coś pokazać.

To bardziej niż zainteresowało Tsina.

– Oczywiście.

Juris Khan wyprowadził go z biblioteki. Gdy szli, władca Ureh wyjaśniał pewne historyczne aspekty świętego królestwa, opowiadając, jak ten przodek albo tamten pomógł stopniowo wynieść krainę do chwały. Wiedząc, że gospodarz po prostu zabija czas, zanim dotrą do celu, Quov Tsin właściwie ignorował jego słowa, zwracając raczej uwagę na to, że każdy strażnik prostował się jeszcze bardziej, gdy go mijali, a każdy służący wydawał się onieśmielony, gdy Khan po prostu kiwał mu głową. Wysoki mężczyzna był władcą absolutnym, a jednak jego lud kochał go i szanował. Wobec tego strachy Kentрила Dumona nic nie znaczyły.

Czarodziej szybko zorientował się, że prowadzony jest do części pałacu, w której jeszcze nie był. W pobliżu wielkiej sali Juris Khan otworzył niepozorne drzwi. Czarodziej dziwił się, jak mógł ich wcześniej nie zauważyć. Za nimi zaczynały się prowadzące w dół schody, ledwo oświetlone światłem nieznanego pochodzenia. Tsin i jego nowy władca schodzili coraz głębiej w podziemia wielkiego budynku. Vizjerei spodziewał się, że pałac ma jakieś podziemia, ale zaskoczyło go, jak głęboko schodzą.

Przez całą drogę nie widzieli żadnych świateł, pochodni ani lamp, a jednak tajemnicze blade oświetlenie chroniło ich przed schodzeniem w zupełnych ciemnościach. Co ciekawe, mroczne i niemal złowrogie aspekty otoczenia w ogóle nie martwiły Tsina, lecz raczej zwiększały jego podniecenie. Lord Khan musiał prowadzić go do niezwykle ważnego miejsca.

Wówczas poczuł wielkie moce, moce surowe i chaotyczne. Nim jeszcze dotarli do żelaznych drzwi, Tsin zaczął domyślać się, co na niego czeka.

Paskudna głowa gargulca była uchwytem dla potężnego pierścienia służącego jako klamka. Quov Tsin przyglądał się doskonale wyrzeźbionej

głowie, na wpół spodziewając się, że spróbuje ona dziobnąć Juris Khana, gdy monarcha sięgnie do pierścienia.

– *Tezarka...* - wyszeptał Khan, dotykając klamki.

Drzwi otworzyły się ze słabym jękiem... ukazując pracownię potężnego czarodzieja.

– Moja prywatna komnata... miejsce mocy.

Komnata na planie sześciokąta rozciągała się daleko w każdym kierunku. Tsin mógłby schować w niej ponad tuzin swoich skromnych pracowni. Rzędy półek wypełnionych proszkami, ziołami i różnymi rzadkimi przedmiotami znajdowały się wzdłuż każdej ze ścian, zaś księgi magiczne spoczywały na trzech wielkich drewnianych stołach. Słoje z okazami, których nawet dobrze wykształcony Tsin nie poznawał, umieszczono na innych stołach po prawej. W różnych miejscach w komnacie wykuto runy, ochronę przez nieudany zaklęciami. Wszystko oświetlał wprawiony w środek sklepienia olbrzymi kryształ. On to był źródłem mocy, która przepędzała całą komnatę.

Ale najbardziej interesujący okazał się duży kamienny podest pośrodku.

Był co najmniej tak samo wysoki jak Vizjerei, a na jego kamiennej podstawie wykuto skomplikowane runy. Wielu z nich Tsin nawet nie rozpoznawał. Podest pokrywały takie same znaki i, dodatkowo, symbol słońca.

Vizjerei odruchowo podszedł, by przyrzeć się podestowi. Przeciągnąwszy palcami po górnej krawędzi, wyczuł wewnętrzne moce, które zostały wezwane w przeszłości... i teraz czekają na ponowne wezwanie.

– To jest... bardzo stare - stwierdził w końcu.

– Zostało wyrzeźbione, nim jeszcze w umysłach moich przodków narodził się pomysł świętego Ureh. Zostało wybudowane, nim powstało

któreś ze wschodnich królestw, o zachodnich nie wspominając. Zostało stworzone przez poprzedników wyznawców Rathmy, mojego ludu i szlachetnego bractwa Vizjerei, dobry Tsinie. Czasem zastanawiam się, czy ci, którzy to wybudowali, byli ludźmi, czy też może niebiańskimi sługami, wysłanymi, by wskazać drogę...

– Tak wiele mocy... Więcej, niż bracia Tsina kiedykolwiek posiadali, nawet w tych stuleciach, gdy układali się z rzekomo podporządkowanymi demonami.

– To tutaj ty i ja w końcu pokonamy przekleństwo Gregusa Maziego, przyjacielu. To tu planuję przywrócić Ureh światu śmiertelnych.

Tsin mógł w to uwierzyć. Takimi pierwotnymi mocami trudno się manipulowało, ale jeśli lord Khan zrobi to, na co miał nadzieję, wszystkie zaklęcia kiedykolwiek widziane przez czarodzieja będą mu się zdawać dziełem uczniów zaledwie. Oto miejsce prawdziwego mistrzostwa...

– Gdy byłem uwięziony, nie mogłem zrobić nic - wyjaśniał gospodarz - zupełnie nic. Mogłem się za to zastanawiać, co zrobię, gdy już zostanę uwolniony przez kogoś o odpowiednich umiejętnościach. Przez podstępного Gregusa Maziego straciliśmy wszystkich czarodziejów prócz mnie i mojej drogiej Atanny. - Wyraz jego twarzy zmienił się. - A ona oczywiście nie jest tak utalentowana jak ty, mistrzu Tsinie.

Czarodziej szybko zaakceptował to oczywiste stwierdzenie. Atanna rzeczywiście miała talent - tak duży, że gdyby nie zakochała się w Kentrilu Dumonie, Tsin mógłby się z nią związać dla potomstwa - ale posługiwanie się takimi mocami wymagało wielkiej ostrożności i wyjątkowego doświadczenia. W rzeczy samej, Tsin był przekonany, że bez niego każda próba Khana skończyłaby się całkowitą klęską.

– W tej komnacie - wyszeptał Juris Khan, który jakimś sposobem znalazł się za niskim czarodziejem - połączywszy nasze umiejętności, możemy

bardzo wiele osiągnąć, przyjacielu. Nawet więcej, niż tylko przywrócenie Ureh świetności. Jeśli tylko się na to odważymy, tajemnice świata i spoza świata będą dla nas otwarte.

Quov Tsin widział to wszystko, chwałę i moc. Przeciągnął dłońmi po runach, napawając się ich mocą. Pomarszczony Vizjerei wyobrażał je sobie w działaniu, wszystkie w jego rękach...

Wówczas zauważył dziwny znak w samym środku podestu, niepokojący ślad, jakby plamę, której komuś nie udało się do końca usunąć.

– Co to? - spytał.

Juris Khan nawet nie spojrział na ślad. Gdy w końcu odpowiedział, zbagatelizował plamę.

– Krew, oczywiście.

SZESNAŚCIE



Zayl...

Próbował się poruszyć, ale nie mógł.

Zayl...

Próbował oddychać, ale nie mógł.

Zayl...

Gdyby nie trening, już dawno by nie żył, gdyż jego płuca pozbawione były powietrza.

Zayl, ty cholerny, młody idioto! Nie możesz mi teraz umrzeć, niech cię!

Nekromanta próbował coś powiedzieć, ale choć wiedział, że usta ma otwarte, nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Próbował otworzyć oczy, ale z początku powieki się opierały. Tylko z ogromnym wysiłkiem udało mu się unieść je na tyle, by coś zobaczyć.

I wtedy odkrył, że stał się taki jak Gregus Mazi.

Mimo iż dobrze widział w ciemnościach, zauważył tylko kilka szczegółów, które jednak świadczyły o jego losie. Zwiślał ze stalaktytu wysoko nad pierwszą potężną jaskinią, którą napotkali w poprzedniej wędrowce. Podobnie jak w wypadku nieszczęsnego Maziego, jego ręce i nogi zostały mocno związane z tyłu. W przeciwieństwie do czarodzieja jednak, Zayl nie miał powodu, by tu przebywać. Moc, która go tu umieściła, nie potrzebowała strażnika, lecz tylko życzyła nekromancie śmierci.

Zayl rzeczywiście zginie... i to wkrótce. Już czuł, jak jego ciało się zmienia, staje się jednością ze stalaktytem. Dziwne moce wsączały się w jego ciało, zmieniając jego strukturę. Za jakiś czas stanie się częścią góry w większym stopniu niż Mazi.

Ale wcześniej się udusi.

– Zayl, chłopcze! Wciąż musisz mnie słyszeć!

Głos Humbarta Wessela odbijał się echem od ścian potężnej jaskini i zdawał się dochodzić z każdej strony. Wysiłając się, nekromanta widział korytarz, przez który wcześniej weszli. Gdzieś tam bez wątpienia spoczywała czaszka, w pewien sposób uwięziona tak samo jak on.

Nadzieja, przez chwilę pobudzona, znikła. Cóż może dla niego zrobić pozbawiony ciała Humbart?

Umysł Zayla wypełnił mrok. Nekromanta poczuł ogromne wyczerpanie.

– Jeśli mnie słyszysz, jestem tam, gdzie mnie zostawiłeś, pamiętasz? Masz jasny umysł! Widzisz to miejsce w głowie?

Co chciała osiągnąć czaszka? Zayl chciał zasnąć. Czemu Humbart mu przeszkadza?

– Myślę, że nadal mnie słyszysz, chłopcze, przynajmniej taką mam nadzieję! Nie podoba mi się myśl o siedzeniu w tym ponurym miejscu przez całą wieczność, więc wysłuchaj mnie!

Głos Humbarta irytował nekromantę. Chciał powiedzieć martwemu najemnikowi, żeby sobie poszedł, ale ten nie mógłby go posłuchać, bo nie miał nóg.

– Twój sztylet, Zayl! Potrzebujesz sztyletu, żeby się wydostać!

Sztylet! Oczy Zayla otworzyły się szeroko. Czy wciąż miał swój sztylet?

Towarzysz szybko na to odpowiedział.

– Widzę go, chłopcze! Jest kilka stóp ode mnie!

Równie dobrzy mógłby być oddalony o tysiąc mil. Gdyby nekromanta go widział, mógłby go do siebie wezwać. Zayl nigdy jednak nie ćwiczył pośredniego przyciągania przedmiotów, szczególnie w takich warunkach. Musiał widzieć to, czego potrzebował;

Znów zapragnął zatopić się w nicości.

– Posłuchaj mnie! - nalegała czaszka. - Jest skierowany w moją stronę, a czubek przykrywa trochę kamienia. Okolicę rękojeści podpira inny kamień o kształcie zęba olbrzyma...

Mimo pragnienia, by usnąć, Zayl słuchał. W jego umyśle pojawił się zarys obrazu. Widział nawet czaszkę Humbarta, puste oczodoły wpatrujące się z nadzieją w ostrze...

Ale po co się tym zajmować?

– Widzisz to, prawda, chłopcze? A niech to! Jeśli wciąż żyjesz i mnie słyszysz, musisz to widzieć!

I w końcu Zayl zrozumiał. Humbart przebywał z nim na tyle długo, że poznał umiejętności tego, który go ożywił. Czaszka wiedziała, że nekromanta musi widzieć sztylet, więc postanowiła stworzyć dla niego doskonały obraz.

To nigdy nie zadziała... a może jednak? Będzie to wymagać zużycia resztek powietrza w jego ciele, tej odrobiny, która pozwalała Zaylowi przeżyć bez powietrza cztery, pięć razy dłużej niż zwykłym ludziom. Nekromanta będzie musiał zupełnie opróżnić płuca, by zebrać siłę konieczną do tego jednego zaklęcia.

Tymczasem Humbart kontynuował opis. Czaszka albo oceniała bardzo optymistycznie szanse towarzysza, albo też wolała nie myśleć o alternatywie. Zayl nie mógł mieć jej tego za złe, gdyż ze względu na zaklęcie nekromanty Humbart też będzie cierpiał. Jeśli ktoś nie znajdzie czaszki albo fragment korytarza się nie zapadnie i jej nie zmiążdży, były

najemnik pozostanie na zawsze uwięziony pod Nymyrem, a jego duch nie będzie mógł wyruszyć w dalszą drogę.

– I to tyle, Zayl, chłopcze! - krzyknęła czaszka, a jej głos był nieco bardziej stłumiony. - Powinieneś mieć dobry obraz... o ile w ogóle mnie słyszysz.

Zayl skoncentrował się na sztylcie i szybko wyobraził sobie scenę, którą opisał Humbart. Widział kamienie i to, jak leżał na nich sztylet. Znów widział czaszkę Humbarta patrzącą na częściowo pogrzebany czubek. Nekromanta wizualizował każdą zmianę w fakturze ściany, dopełniając obrazu.

Ostatkiem sił Zayl skoncentrował się na zaczarowanym sztylcie, żądając sercem i umysłem, by ten do niego przybył.

– Zayl!

Coś błyszczącego wleciało do jaskini, jakby wystrzelone z kuszy. Uwięziony nekromanta natychmiast skoncentrował się na tym. Przedmiot, promień światła w śmiertelnej ciemności, nagle skręcił w jego stronę.

Sztylet z kości słoniowej leciał prosto w jego kierunku. Zayl nagle przypomniał sobie, co byli zmuszeni zrobić dla Gregusa Maziego. Czy powinien pragnąć, by sztylet poleciał ostrzem do przodu? Czy powinien pragnąć, by ostrze zatopiło się w jego wciąż ludzkim ciele?

Ale sytuacja Maziego była inna. Nie tylko czarodziej został celowo umieszczony na swoim miejscu, ale też i zaklęcie miało stulecia na dopełnienie się.

Z Zaylem wszystko wyglądało inaczej. Transformacja dopiero się zaczęła. Z pomocą sztyletu ma jeszcze szansę na uratowanie się...

Sztylet nagle spadł na ziemię. Nekromanta z trudem ściągnął go z powrotem do siebie. Jego koncentracja rozluźniła się i, co gorsza, czuł, jak słabnie jego wola.

Chodź do mnie, zawołał w myślach. *Chodź do mnie*.

I tak też sztylet uczynił. Poruszał się tak szybko, że Zayl obawiał się, iż go jednak zabije. W ostatniej chwili sztylet skręcił gwałtownie wokół Zayla i stalaktytu i wcisnął się w pokrytą skorupą dłoń nekromanty.

W chwili, gdy dotknęła go rękojeść, Zayl poczuł, że znów może poruszać palcami. Ściskając mocno rękojeść, skierował w nią swoją moc. Płuca go bolały, serce waliło jak szalone, ale uwięziony czarodziej się nie poddawał.

Skorupa wokół niego rozpadła się, jakby trafiona piorunem.

Oslabiony Zayl poleciał w dół. Gdyby znajdował się nad najwyższą częścią jaskini, zabiłby się, ale stalaktyt, do którego został przywiązany, wznosił się nad przepaścią. To pozwoliło mu zebrać tyle sił, by się uratować.

Gdy Zayl już minął krawędź, udało mu się wypowiedzieć zaklęcie. Podmuch wiatru uniósł go w górę. Nekromanta z wielkim trudem pochwycił fragment ściany jaskini. Udało mu się w ostatniej chwili, gdyż zaklęcie przestało działać i niemal poleciał w głąb otchłani.

Wspiął się powoli do górnej części jaskini. Wyczerpany ponad wszelką miarę, leżał tam przez jakiś czas. Oddychał z trudem, a każdy cal ciała bolał go tak, jakby ktoś zrzucił na niego Nymyr.

– Zayl? - zabrzmiał niepewny głos.

– Ży... żyję - wydusił z siebie.

– Jesteś pewien? - spytała czaszka. - Wcale tak nie brzmisz.

– Daj... daj... mi chwilę.

– Nigdzie się nie wybieram - mruknął towarzysz nekromanty.

Oddech Zayla stopniowo się uspokajał. Maga nadal wszystko bolało, ale przynajmniej mógł się ruszyć.

W świetle sztyletu Zayl odkrył, że nie wyszedł bez szwanku. Ubranie zostało podarte w strzępy, a na skórze miał blizny we wszystkich tych

miejscach, w których jego ciało zaczynało się stapiać ze stalaktytem. Zayl nie wątpił, że na twarzy ma takie same znaki, ale dziękował wielkiemu smokowi, że pozostał przy życiu.

Chwiejąc się na nogach, nekromanta powrócił do korytarza, gdzie zdarzył się atak. Osypisko, które odkrył z kapitanem Dumonem, niemal znikło, jakby rozbite przez ogromną siłę. Zayl trzymał przed sobą sztylet na wypadek, gdyby znów został zaatakowany, ale nie wyczuwał niebezpieczeństwa.

Kilkanaście stóp dalej odnalazł czaszkę.

– Ech, chłopcze! Ten widok koi moje stroskane oczy... choć chyba powinien wywoływać troskę, tak wyglądasz!

– Nie jestem jeszcze gotów do ciebie dołączyć, Humbart. -Atak zmęczenia sprawił, że czarodziej usiadł na kamieniu. - Opowiedz mi, co się ze mną działo.

– Po tym, jak te dwie łapy się na tobie zacisnęły, upuściłeś sztylet. Martwiłem się, że zgniotą cię jak robaka, ale te dwa kamienne łapska poruszały się po ścianach, w stronę jaskini. Przepuściły cię prosto przez osuwisko, rozpychając kamienie na bok... wiesz, że prawie mnie zgniotło?

Zayl mógł zrozumieć niepokój czaszki, ale chciał usłyszeć resztę.

–Mów dalej.

– To tyle. Zniknąłeś mi z oczu, był błysk jakiegoś przeklętego światła, a potem zacząłem wrzeszczeć.

– A ja ci dziękuję. Uratowałeś mnie.

Czaszce jakimś sposobem udało się prychnąć.

– W końcu musiałem! Kto inny mógłby mnie wynieść z tego miejsca? ,

Zayl skrzywił się, patrząc za Humbarta. Czaszka nie widziała i najwyraźniej nie domyślała się, że dalej za nimi tony rumoszu zupełnie zamknęły wyjście. Nekromanta wątpił, by mógł się przekopać lub w jakiś

magiczny sposób przebić na drugą stronę. To oznaczało, że musiał odnaleźć inną drogę ucieczki.

– Chodźmy, Humbart. - Podniósł czaszkę i skierował się z powrotem do jaskini.

– Idziesz w złą stronę, chłopcze.

– Nie.

Po chwili milczenia czaszka stwierdziła - Och.

Weszli do wielkiej jaskini. Zayl uniósł sztylet i rozejrzył się dookoła.

– Pójdziemy tamtędy - stwierdził w końcu, wskazując na otwór przy samym szczycie jaskini.

– Tamtędy? A w jaki sposób?

Humbart zadał świetne pytanie. Na pierwszy rzut oka nie widać było żadnej możliwej drogi dojścia do celu. Zayl przejrzał poszarpane resztki płaszcza, ale lina, którą wcześniej wykorzystywał, znikła. Mimo to, zgodnie z zapamiętanymi planami, ten otwór był najlepszą szansą na znalezienie drogi wyjścia z wnętrza Nymyru.

Zayl spojrział na śliskie ściany prowadzące do przejścia, odetchnął głęboko i stwierdził - To proste, będę się wspinać.

– Wspinać? - Czaszka wydawała się przerażona. - Zayl, chłopcze, czy myślisz... - Dalsze sprzeciwy zostały stłumione, gdy czarodziej wepchnął ją z powrotem do sakiewki.

Nekromanta nie potrzebował takich komentarzy, gdyż i tak przestawał ufać w swoje umiejętności. Gdyby poślizgnął się podczas drogi w górę, wątpił, by pozostała mu wola potrzebna do rzucenia zaklęcia chroniącego jego ciało przed zmiążdżeniem na kamieniach poniżej. Mimo ryzyka musiał jednak spróbować.

Zayl nie powiedział Humbartowi, że jego własne przejścia uświadomiły mu, iż tajemnica Ureh właśnie miała się ujawnić, a to z pewnością nie było

nic dobrego.



Gorst przyszedł do Kentrila w niezbyt dobrym nastroju.

– Albord nie wrócił.

Kentril, który właśnie próbował ułożyć na sobie mundur galowy, przestał układać górę i spojrzał na zastępcę.

– Już prawie pora kolacji. Sprawdziłeś jego komnatę?

– Tak, Kentril. Jego rzeczy nadal tam są.

– Może postanowił zostać trochę dłużej w mieście po tym, jak inni odeszli. Może to sprawiło, że zaczął tęsknić. - Kapitan sam się tak czuł, gdy już pożegnał swoich ludzi. Nawet przyjemność z przebywania w towarzystwie Atanny nie zmieniła tego.

– Być może - mruknął Gorst, ale nie wydawał się przekonany słowami Kentrila bardziej niż sam kapitan.

Po raz pierwszy kapitan żałował, że musi się spotkać z Atanną. Nieobecność Alborda martwiła go.

– Potajemnie sprawdź pałac. Upewnij się, że sprawdziłeś każde miejsce, gdzie mógł się udać Albord. Jeśli będę miał okazję, zrobię to samo.

– Tak.

– Widziałeś Zayla?

– Jego rzeczy są w komnacie, ale on sam też znikł.

A to w pewien sposób wróżyło jeszcze gorzej niż nieobecność młodego najemnika. Zayl nie wydawał się należeć do tych, którzy po prostu gdzieś sobie idą, zwłaszcza że sam wyrażał zaniepokojenie.

– Gorst?

– Tak, Kentril?

– Weź ze sobą jakąś broń.

Olbrzym pokiwał głową, poklepując wiszący u boku miecz.

– Zawsze tak robię. Ty mnie tego nauczyłeś.

Noszenie topora mogłoby wywołać podejrzenia, ale miecz schowany w pochwie nie wywoływał nawet uniesienia brwi. Podobnie nikogo nie dziwiło, że potężny wojownik wędrował po pałacu. Jako cudzoziemiec miał prawo być ciekaw wspaniałej budowli, a ponadto mimo swych rozmiarów olbrzym skradał się jak kot.

Gorst zaczął odchodzić, ale się zawahał.

– Kentril, jeśli nie znajdę Alborda w pałacu, może powinienem zajrzeć do miasta?

Kapitan Dumon zastanowił się nad tym. W końcu, z nadzieją, że Albord mu wybaczy, odrzekł - Nie. Jeśli trzeba będzie przeszukać miasto, pójdziemy razem albo nie pójdziemy wcale.

Kiedy Kentril został sam, próbował dokończyć ubierać się, ale ostatnie wieści go zmartwiły. Teraz i nekromanta, i Albord zaginęli. Kapitan cieszył się, że przynajmniej Jodas i inni odeszli. Gdyby zostali, jak szybko wszyscy by zniknęli?

Zniknęli?

Alborda widziano po raz ostatni, gdy eskortował pozostałych...

– Nie... - Zapominając o ubraniu i nawet o Atannie, Kentril wybiegł z komnat i popędził do najbliższego okna, które wyglądało na jasno oświetlone miasto. Spoglądał na zacienione budynki, słuchał bawiących się tłumów i próbował przekonać samego siebie, że ta straszliwa myśl, która właśnie pojawiła się w jego głowie, nie mogła być prawdą. Ta szóstka, która przeszła przez bramy, na pewno teraz właśnie podróżuje przez jasną dżunglę. Na pewno przynajmniej oni są względnie bezpieczni.

Paskudne uczucie w żołądku nie pozwalało kapitanowi zaakceptować tak rozsądnego wyjścia.

– Atanna. - Ona powie mu, co się dzieje. Ona tak czy inaczej pokaże mu, czy jego strachy są uzasadnione.

Przechodził przez szerokie korytarze, ignorując saluty strażników. Kentril skoncentrował się na jednym - córce Juris Khana - i ten jeden raz nie szukał jej dla przyjemności.

Gdy zbliżył się do wielkiej sali, stanął przed nim jeden z niemal niewidocznych służących. Nim blady mężczyzna powiedział cokolwiek, Kentril chwycił go za kołnierz i zapytał - Gdzie jest twoja pani? Gdzie jest Atanna?

– Jestem tutaj.

Zaskoczony Kentril puścił służącego i odwrócił się. Piękna rudowłosa kobieta miała na sobie szatę podobną do tej, którą nosiła, gdy pomagała uwolnić ojca od przekleństwa. Za jej plecami Kentril zauważył drzwi, których nigdy wcześniej nie widział.

– Czego pragniesz, ukochany?

Ogromnie pragnął wziąć ją w ramiona, zapomnieć o swoich problemach, ale mimo iż byłoby to bardzo proste, kapitan Dumon nie mógł zapomnieć o swoich ludziach. Przynajmniej trzech na pewno zaginęło, a być może jeszcze siedmiu, wyłączając nekromantę.

– Gdzie byłaś?

– Pomagałam ojcu - odpowiedziała od razu. Z troską zacisnęła wargi. - Wyglądasz na zmartwionego, Kentril. Czy jakoś cię zmartwiłam?

Znów musiał walczyć z pragnieniem zatopienia się w niej.

– Chciałbym z tobą porozmawiać - Kentril przypomniał sobie służącego - bez świadków.

– Jesteśmy całkiem sami - odpowiedziała z kuszącym uśmiechem.

Kapitan obejrzał się przez ramię i odkrył, że postaci w liberii nigdzie nie widać. Oni rzeczywiście byli szybcy i cisi jak noc.

Atanna nagle znalazła się u jego boku i wzięła go za ramię.

– Przejdźmy się, dobrze?

Poprowadziła go w stronę balkonu, na którym po uwolnieniu pojawił się Juris Khan. Kentril pragnął ją zapytać, gdy jeszcze szli, ale Atanna położyła mu palec na wargach i uciszyła go, jakby był dzieckiem. Wpatrując się w te hipnotyzujące oczy, Kentril nie potrafił się sprzeciwić.

Powietrze na zewnątrz miało w sobie lekki chłód, który sprawił, że najemnik zadrżał. Jakże marzył o dniu, gdy Ureh będzie w stanie znieść słońce, a cień góry będzie oznaczał po prostu nadchodzenie nocy.

– Tak lubię tu siedzieć - szepnęła jego towarzyska. - Wiem, że to tylko wzgórze, ale wydaje mi się, że siedzę na szczycie góry wysokiej jak Nymyr!

Podążenie za nią, poddanie się nastrojowi byłoby tak łatwe. Kentril nie dał się jednak. Tu chodziło o życie.

– Atanno, muszę z tobą porozmawiać.

– Głupi, przecież właśnie to robisz!

Teraz się rozzłościł.

– Nie baw się ze mną! To ważne! Przynajmniej trzech moich ludzi zaginęło, a teraz nie mogę nigdzie znaleźć jeszcze jednego. Zaczynam się nawet martwić o tych sześciu, którzy odeszli, nie wspominając o Zaylu. Zbyt wielu ludzi podziało się nie wiadomo gdzie, a dla mnie to oznacza, że dzieje się coś strasznego.

Skrzywiła się niemal ze złością.

– Nie mówisz chyba, że coś im zrobiłam?

– Nie, oczywiście, że nie, ale tu coś się dzieje, a ja nie wiem, co o tym myśleć. Nic nie jest takie, jakie być powinno, nawet Gregus Mazi...

– Gregus Mazi?! - Jej spojrzenie stwardniało. - Co z tą żmiją?

Kentril uznał, że musi jej powiedzieć. Atanna z pewnością nie знаła prawdy. Chwycił ją za ramiona.

– Atanno, twój ojciec go nie zabił.

– Jak to? Ojciec powiedział...

– Posłuchaj mnie! - Przyciągnął ją do siebie, by widziała w jego oczach, że mówi prawdę. - Atanno, odnalazłem go... to znaczy Gregusa Maziego. Został przeklęty, zmieniony w część jaskiń pod nami. Był wykorzystywany jako piekielny strażnik.

– Co tam robiłeś? Jak wiedziałeś, gdzie go szukać?

Kentril obejrzał się przez ramię, żeby upewnić się, czy nikt ich nie szpieguje, po czym odpowiedział - Zayl to odkrył. Był w siedzibie Maziego i próbował wezwać ducha czarodzieja, żeby zapytać go o...

Atanna odwróciła twarz do ukrytego w cieniu Ureh i mruknęła - Nekromanta... oczywiście, on byłby w stanie to zrobić.

Kentril znów odwrócił ją do siebie.

– Posłuchaj mnie! Ty najlepiej znasz swojego ojca. Czy ostatnio zachowywał się inaczej? Czy coś w nim wywołuje może twoje wątpliwości?

– Mój ojciec jest dokładnie taki, jaki powinien być.

– Ale coś tu jest nie tak, Atanno, a ja z powodu nas dwojga ignorowałem to zbyt długo. Ludzie, którzy na mnie polegali, może już nie żyją, a to, co ich zabiło, może nadal kryć się w Ureh. Jeśli twój ojciec...

Położyła dłoń na jego policzku i pogłaskała go, co utrudniło mu koncentrację.

– Nic nas tu nie dotknie. To pałac Juris Khana. Mam ciebie, ty masz mnie i tylko to się liczy, nieprawdaż?

Jak prosto byłoby się zgodzić. Jej dotyk wywoływał dreszcze i sprawiał, że wszystko wydawało się mało ważne.

– Nie! - wykrzyknął, chwytając ją za nadgarstek. - Atanno! Musisz to potraktować poważnie! Nie mogę tu zostać i udawać, że nic się nie stało! Muszę przynajmniej wyruszyć na poszukiwanie Alborda i pozostałych! Oni...

– Nie możesz odejść! Mam cię i cię nie puszcę!

Kentril stracił wątek, gdyż zaskoczyła go gwałtowność słów młodej kobiety. W jej oczach była furia, która wydawała mu się nieprawdopodobna.

Zrobiła krok w jego stronę i twardy najemnik ku swojemu własnemu zdziwieniu się wycofał.

– Poprosiłam ojca o ciebie, a on powiedział, że mogę cię wziąć! Chciałam tylko ciebie. Nie chciałam innych. Tylko ciebie, nie rozumiesz?

Furia ustąpiła, ale jej miejsce zajęło niepokojące spojrzenie, które zdawało się wbijać w niego i przebijać go na wskroś. Bezmyślnie zrobił kolejny krok do tyłu.

Jej twarz złagodniała.

– Byłam tu taka samotna... taka samotna, tylko z nim i kilkoma innymi... a kiedy oni odeszli, pragnęłam czegoś więcej.

Kentril poczuł, że włosy stają mu dęba. Gdy Atanna zbliżała się do niego, wiatr pochwycił jej szatę i włosy, sprawiając, że materiał przykleił się do jej kształtnej sylwetki, a włosy kusząco otoczyły twarz. Jej uśmiech obiecywał mu wszystko, gdy patrzyła na niego zza firanki rzęs.

– Pragnę cię całym sercem, całą duszą i całym ciałem, Kentril - zagruchała. - Czy ty mnie nie pragniesz?

Tak było. Pragnął jej. Pragnął oddać się jej tak, jak ona zechciała. Kapitan chciał jej służyć, chronić ją...

Gdy jednak córka Juris Khana wyciągnęła do niego rękę, coś sprawiło, że Kentril rzucił się do przodu.

Najemnik wpadł na Atannę. Ona sapnęła z zaskoczenia i poleciała do tyłu, zupełnie wytrącona z równowagi.

I wypadła za balustradę.

– Atanna! - Kentril próbował ją pochwycić, ale już znikła mu z oczu. Zatoczył się do balustrady, szukając jakiegoś śladu. Niestety, głęboki cień sprawiał, że nic nie widział. Kentril wsłuchiwał się, ale nie słyszał ani krzyku, ani odgłosu odkrycia zdarzenia.

Zatoczył się do tyłu, a głowa niemal mu pękła. Nigdy nie miał zamiaru jej zabić! Chciał tylko wyrwać się spod władzy, jaką nad nim miała. Wiedział, że posługiwała się magią jak jej ojciec i obawiając się, że go straci, uznała za słuszne rzucenie na niego uroku, by jeszcze bardziej ją pokochał. Gdyby tylko zrozumiała...

Jej ojciec. Wszelkie pytania związane z Juris Khanem zblakły, gdy uświadomił sobie sytuację. Jak może stanąć przed władcą Ureh i powiedzieć mu, że jego jedyna córka spadła z balkonu po tym, jak została popchnięta przez człowieka, którego kochała? Jak?

W głębi duszy kapitan Dumon czuł, że jego umysł jeszcze nie działa w pełni sprawnie. Sprzeczne myśli walczyły ze sobą. Jedna część jego duszy zamartwiała się śmiercią Atanny i jej konsekwencjami, zaś druga wciąż zastanawiała się nad zniknięciami i prawdą o Gregusie Mazim.

Tak czy inaczej musi stanąć przed Juris Khanem. To, co zrobił, nie może zostać zignorowane. Musi stanąć przed Khanem.

Przypomniał sobie drzwi, które widział za Atanną i z których najprawdopodobniej wyszła. Twierdziła, że pomagała ojcu, co oznaczało, że monarcha może znajdować się tam, gdzie prowadziły drzwi.

Najemnik bez wahania wybiegł z balkonu. Odgłosy jego kroków odbijały się echem od ścian korytarza, ale poza tym nie słyszał nic więcej. Nie widział też ani śladu strażników czy służących. Czy usłyszeli, co się stało, i

poszli zabrać szczątki swojej pani? Czemu nikt z nich nie wyszedł na balkon, by sprawdzić, co się wydarzyło?

Takie sprawy przestały być ważne, gdy dotarł do drzwi. Otworzywszy je gwałtownie, ujrzał za nimi schody prowadzące daleko w dół. Drogi nie oświetlały lampy ani pochodnie, ale jakiś blask pozwalał mu widzieć drogę.

Odruchy doświadczonego żołnierza sprawiły, że prawie chwycił za broń, ale wtedy przypomniał sobie, co się właśnie stało. Jak będzie wyglądał, próbując wyjaśnić upadek Atanny, jednocześnie trzymając miecz w ręku?

Gdy Kentril zaczął schodzić w dół, pomyślał o powrocie i odszukaniu Gorsta, ale uznał, że przyjaciel nie powinien brać w tym udziału. To będzie sprawa pomiędzy Juris Khanem i Kentrilem.

Najemnik z ciężkim sercem podążył schodami aż do końca. Na dole przywitała go głowa gargulca trzymająca pierścień, umieszczona na żelaznych drzwiach. Nie mając gdzie pójść, Kentril pociągnął za pierścień.

Otoczył go chłodny wietrzyk.

Tezarka...

Zaskoczony puścił pierścień i obrócił się na pięcie. Mógłby przysiąc, że słyszał głos Atanny, ale to oczywiście na zawsze będzie niemożliwe. Wszelkie ślady jej obecności musiały wynikać z jego poczucia winy.

Przypomniawszy sobie, po co tu przyszedł, Kentril ponownie sięgnął do pierścienia. Już wiedział, że to nie zadziała, ale przynajmniej...

Żelazne drzwi otworzyły się z jękiem.

Kentril wszedł do środka.

– A, Dumon! Jakie doskonałe wyczucie czasu!

Pośrodku komnaty, obok wysokiej kamiennej platformy pokrytej mistycznymi znakami, stał Quov Tsin i niemal przyjaźnie wyciągał dłoń do najemnika. Srebrne runy na turinnashu Vizjerei świeciły jasno, a na jego

twarży malował się taki entuzjazm, że niewysoki mężczyzna wydawał się odmłodzony.

Zaskoczony Kentril podszedł do niego.

– Tsin? Co ty tu robisz?

– Przygotowuję zaklęcie tak potężne, że tylko ja mogłem je sobie wyobrazić! Przygotowuję się do wykorzystania mocy, w które Vizjerei od stuleci sienie zagłębiali, jeśli w ogóle!

Kentril rozejrzał się dookoła, ale w wielkiej komnacie nie widział nikogo innego. Choć już w przeszłości przebywał z czarodziejami, nawet odwiedzał ich w pracowniach, to miejsce napełniało go niewyobrażalną grozą.

– Gdzie lord Khan?

– Zaraz wróci. Możesz poczekać. Chce cię zobaczyć.

Ale Kentril nie zwrócił na to uwagi.

– Muszę go odnaleźć... wyjaśnić mu, co stało się z jego córką...

Tsin zmarszczył się.

– Jego córką? Co z jego córką? Wyszła dopiero przed chwilą.

– Myślę, że nasz dobry kapitan obawia się, iż coś strasznego przytrafiło się naszej drogiej Atannie - zagrział głos za plecami wojownika.

Zaskoczony Kentril cofnął się od drzwi. Przez wejście przeszedł Juris Khan, mimo swego wieku wyglądający młodziej i sprawniej, niż kiedykolwiek, gdy widział go kapitan Dumon.

Lord Khan uśmiechnął się dobrodusznie do zaskoczonego mężczyzny.

– Zaskoczyła cię. Sprawiała, że zareagowałeś instynktownie. Atanna bywa humorzasta, dobry kapitanie. Ty zareagowałeś tak, jak ona chciała.

– Ale... - Kentril nie mógł uwierzyć, że jego gospodarz umie mówić tak spokojnie o tym strasliwym wypadku. Choć pocieszało go, że monarcha

nie uważa go za odpowiedzialnego, to nie zmieniało to faktu, że dziecko władcy właśnie rozbiło się na kamieniach. - Ale Atanna nie żyje!

W tym momencie Juris Khan zaśmiał się.

- Martwa? Nie powiedziałbym tak! Nie jesteś martwa, kochanie, prawda?

Wówczas zza pleców władcy wyłoniła się jego córka.

Kapitan Dumon krzyknął słabo i oparł się o potężną platformę.

- Nie chciałam cię wcześniej denerwować - zamruczała, a drzwi same zamknęły się za nią. Gdy Atanna zbliżyła się, zauważył, że trochę się kołysze, gdyż jedna noga najwyraźniej została złamana w środku, a stopa drugiej skręciła się na bok. Lewe ramię zostało wykręcone za plecy pod nienaturalnym kątem, a prawa dłoń, wyciągnięta w stronę Kentрила, była tak zmasakrowana, że aż trudna do rozpoznania. Jej podarta szata była pobrudzona ziemią, ale co dziwne, nie krwią.

Jej głowa przechyliła się na bok, ledwie podtrzymywana tylko przez mięśnie szyi.

- Widzisz? - stwierdził Juris Khan. - Może jest trochę połamana, ale na pewno nie martwa.

SIEDEMNAŚCIE



Gorst przeszedł właściwie wszystkie poziomy pałacu i odkrył kilka znaczących faktów. Przede wszystkim większość strażników i służących znikła. Tylko ci, których spodziewałby się zobaczyć w okolicy komnat swoich i Kentрила pozostali jeszcze na posterunku. Gdy odwiedził inne piętra, wszystkie korytarze były puste i ciche. Nie mógł odnaleźć nawet licznych dworzan, którzy zwykle tłoczyli się w wielkiej sali podczas audjencji Juris Khana. Wydawało się, jakby w całym pałacu pozostała tylko szkieletowa załoga.

Olbrzym nie zakończył jeszcze poszukiwań, ale to, co zobaczył, musiał przekazać kapitanowi. Kentril zrozumie, o co w tym wszystkim chodzi. Gorst ogromnie podziwiał swojego dowódcę i przyjaciela, wierzył w jego rozsądek - może za wyjątkiem sytuacji, w których chodziło o córkę Khana. Wtedy kapitanowi zdarzało się zapomnieć o wszystkim. Oczywiście, gdyby piękna kobieta zdecydowała się zająć Gorstem, ten byłby jeszcze bardziej zagubiony. Bitwa to jedno - kobiety były czterema, pięcioma albo i sześcioma skomplikowanymi sprawami jednocześnie.

Prześliznął się obok dwóch czujnych, ale niczego nie podejrzewających strażników w pobliżu swoich komnat, a potem, udając, że nadchodzi z przeciwnej strony, nonszalancko pojawił się w ich polu widzenia. Choć Gorst nie widział, by ich oczy się poruszyły, wyczuł, że go zauważyli. Byli dobrzy, ale to nie wystarczyło.

Dotarł do komnaty Kentrila, dwa razy zapukał do drzwi. Gdy nikt nie odpowiedział, powtórzył to, tym razem dużo mocniej.

Żadnej odpowiedzi. Choć wydawało się bardzo prawdopodobne, że kapitan przebywał z Atanną, Gorst niepokoił się coraz bardziej. Nie potrafił sobie wyobrazić, co by zrobił, gdyby Kentril też zniknął. Choć Gorst umiał myśleć samodzielnie, najlepiej mu się działało, gdy wykonywał rozkazy.

Olbrzym ruszył w stronę swoich komnat, gdy jego uwagę przyciągnął ślad czerni na końcu korytarza. Spojrzał w tym kierunku, ale nic nie zobaczył. Najemnicy nie żyli długo, jeśli ignorowali takie rzeczy.

Dotarcie na miejsce bez zwracania uwagi strażników było proste, ale już odkrycie, skąd wzięła się czerń, było trudniejsze. Gorst wkrótce zaczął się zastanawiać, czy sobie tego nie wyobraził. W korytarzu nie widział żadnych śladów, a jeśli temu czemuś nie udało się w jakiś sposób wtopić w ścianę.

Wówczas Gorst zauważył, że fragment framugi drzwi faluje.

Zaciekawiony najemnik wyciągnął rękę i delikatnie dotknął tego miejsca.

Lewa strona framugi nagle zmieniła się i zaczęła falować tak gwałtownie, że Gorstowi zdawało się, iż patrzy na nią przez płynącą wodę. Chwilę później nawet to znikło... i nagle w stronę wojownika leciało posiniaczone i poszarpane ciało nekromanty, Zayla.

Zaskoczony najemnik pochwycił go w ostatniej chwili. Zayl jęknął słabo i chwycił resztkami sił szaty wojownika.

– Zabierz... - wydyszał blady mężczyzna. - Zabierz mnie... do... komnaty!

Upewniając się, że nikt ich nie widzi, Gorst zaniósł czarodzieja do jego komnat. Szybko opuścił Zayla na łóżko, po czym zaczął rozglądać się za czymś, co mógłby podać rannemu mężczyźnie.

– Otwórz sakiewkę, niech cię...

Z początku Gorst pomyślał, że to odezwał się nekromanta, ale Zayl miał zamknięte oczy i oddychał regularnie, choć powoli. Olbrzym w końcu przypomniał sobie o niepokojącym towarzyszku Zayla i o tym, gdzie można go znaleźć.

Słowa czaszki nadeszły w odpowiednim momencie, gdyż kiedy Gorst sięgnął do sakiewki, okazało się, że została ona podarta w kilku miejscach, podobnie jak ubranie czarodzieja. Przez otwory widać było zawartość i gdyby nie trochę szczęścia, wszystko wysypałoby się już dawno temu.

Gorst ostrożnie wyjął czaszkę i umieścił ją na pobliskim stole.

– Dzięki, chłopcze. Przez chwilę myślałem, że nie wrócimy w jednym kawałku.

Gorst powtarzał sobie, że rozmawia z innym najemnikiem, a nie tylko czaszką człowieka, który nie żył od stuleci.

– Co się stało?

– Chłopak próbował wezwać ducha starego Gregusa - wyjaśnił Humbart Wessel. - Tylko że kiedy Gregus się pojawił, wcale nie był stary, i nie był w dobrym humorze! Próbował nas ostrzec, ale kiedy się odezwał, same ściany pochwyciły biednego Zayla...

Humbart opowiadał dalej o strasliwym losie, jakiego nekromanta z trudem uniknął, a potem o wyczerpującej wspinaczce w jaskini i trudnym powrocie do pałacu. Opowieść wydawałaby się Gorstowi przesadzona, gdyby nie wszystko to, co już się wydarzyło.

– Niech nikt ci nie wmówi - zakończyła czaszka - że ten młodzik nie jest dobrym wojownikiem, bo jest czarodziejem! Zayl to odważny człowiek, którego dobrze mieć u swego boku podczas bitwy.

– Czy możemy coś dla niego zrobić?

– Cóż... sprawdź, czy wśród pozostawionych przez niego rzeczy nie ma małej czerwonej sakiewki.

Gorst przejrzał skromny dobytek Zayla i odnalazł rzeczoną sakiewkę. Uniósł ją do góry.

– Tak, to ta. Jeśli nie ma na niej przekleństw ani zaklęć ochronnych, otwórz ją.

Olbrzym posłuchał go i dopiero, gdy rozwiązał rzemienie, uświadomił sobie, co właściwie powiedział Humbart. Całe szczęście nic nie chciało go powalić ani zmienić w kupkę popiołu.

– Jest tam mała fiolka z żółtawym płynem?

Była obok czegoś, co przypominało wysuszoną gałkę oczną. Gorst przełknął ślinę, wyjął fiolkę i natychmiast zamknął sakiewkę.

– Wlej mu do gardła. Widziałem, jak tego używał, gdy cierniowy drzewiec niemal wbił go w ziemię... oczywiście Zayl w końcu rozwalił go w drzazgi.

Po otwarciu okazało się, że gęsty, paskudny płyn ma woń pasującą do wyglądu. Gorst zmarszczył nos i podszedł do nieprzytomnego mężczyzny. Wsunął dłoń pod głowę Zayla, by ją trochę unieść, po czym ostrożnie wlał zawartość fiolki do ust mężczyzny.

Zayl kaszlnął raz i połknął wszystko. Nagle ciało nekromanty zaczęło gwałtownie drżeć. Zaskoczony i przestraszony Gorst cofnął się.

– Powiedziałaś, że to mu pomoże!

Czaszka nie odpowiedziała.

Dreszcze nagle ustały... i Zayl zaczął znów kaszleć. W tym czasie dziwne rany na każdej widocznej części jego ciała zaczęły się goić, a potem znikać. Olbrzym patrzył w zadziwieniu, jak w ciągu kilku chwil twarz nekromanty zarumieniła się leciutko, a ostatnie rany znikły.

Zayl, słaby, lecz najwyraźniej z każdą chwilą odzyskujący siły, spojrzał na żołnierza.

– Dziękuję.

– A mi się nic nie należy? - spytał z wyrzutem w głosie Humbart Wessel.
- To nie moja wina, że nie mam raje, bo sam bym ci to dał!

– Zdecydowanie dziękuję również tobie, Humbart. - Nekromanta próbował się podnieść, ale nie mógł. - Wygląda na to, że potrzebuję jeszcze kilku chwil. Byłoby dobrze, gdybyś przyprowadził do mnie kapitana Dumona. Mamy wiele do omówienia.

– Nie mogłem znaleźć Kentрила - przyznał Gorst. - Na razie znalazłem tylko ciebie.

Srebrne oczy w kształcie migdałów, które jednocześnie przypominały najemnikowi oczy Quova Tsina i ich nie przypominały, zwięzły się podejrzliwie.

– Nikogo?

– Albord zaginął. To zmartwiło Kentрила tak bardzo, że kazał mi rozejrzeć się po pałacu. Nie mogłem znaleźć Tsina, właściwie nie widziałem nikogo poza tym piętnem. Wygląda na to, że cały pałac jest właściwie pusty.

– Tak, obawiam się, że to zaczyna mieć coraz większy sens.

Czaszka prychnęła z dezaprobatą.

– Powiedziałeś coś takiego ze dwa razy, gdy usiłowaliśmy wydostać się z wnętrza Nymyru, ale jeszcze nie wytłumaczyłeś mi, o co chodzi.

Zayl skrzywił się.

– To dlatego, że sam jeszcze do końca tego nie rozumiem.

Gorst wiedział, że rozumie jeszcze mniej niż tamci dwaj, ale był pewien jednej rzeczy - jego kapitan zaginął, a to oznaczało, że jeśli chodzi o niego, może zrobić tylko jedno.

– Muszę odnaleźć Kentрила.

– Może lepiej by było...

– Możesz ze mną iść albo nie - powiedział zdecydowanie olbrzym - ja idę szukać swojego kapitana.

Nekromanta zmusił się do podniesienia.

– Daj mi chwilę, Gorst, a chętnie pomogę ci w poszukiwaniach. Wydaje mi się, że najlepiej będzie, jeżeli opuścimy Ureh i jego okrytą cieniem przeszłość. Święte królestwo wydaje mi się coraz mniej święte.

Mimo niecierpliwości Gorst zgodził się zaczekać. Wiedział, że to wszystko ma związek z magią, a w walce z tym nie miał zbyt wielkich szans. Z toporem czy mieczem poradziłby sobie z każdym wrogiem z krwi i kości, ale wobec magii był właściwie bezbronny. Towarzystwo Zayla zmieni układ sił. Gorst dobrze wiedział, jak utalentowany był młody mężczyzna.

Powrót do sił zajął nekromancie kilka chwil, a kilka kolejnych doprowadzenie do porządku poszarpanego ubrania. Gorst oczekiwał, że mężczyzna wyczaruje sobie nowe ubranie, ale Zayl po prostu wyjął z plecaka zestaw podobny do tego, który został podarty. Tylko płaszcz niczym nie zastąpił.

– Musimy znaleźć ci nową sakiewkę - powiedział Zayl do czaszki. - Obawiam się, że nie mam nic tak dużego, w czym mógłbym cię umieścić, Humbart.

– Ja tutaj nie zostanę. Jeśli nie...

Gorst nie chciał czekać, aż skończą kłótnię.

– Mam wystarczająco dużą torbę. Możesz przywiązać ją sobie do pasa tak jak tamtą.

Zayl pokiwał głową.

– W takim razie odnajdźmy kapitana i wynośmy się z tego miejsca.



Zayl doszedł do wniosku, że nie doceniał olbrzyma. Gorst okazał się bardziej inteligentny i uzdolniony, niż zakładał nekromanta. Dostarczone

przez niego informacje na temat rozkładu komnat nie tylko zgadzały się z zapamiętanym przez nekromantę planem, ale też korygowały kilka niedokładności związanych z rozbudową pałacu i jedną ewidentną pomyłką rysownika.

Najemnik wykorzystywał proste sztuczki, by nie zwracać uwagi strażników, ale Zayl obawiał się, że nawet to zbyt ich spowolni. Dzięki eliksirowi, który podał mu Gorst - a którego składu wolał nie ujawniać najemnikowi - czuł się właściwie jak nowo narodzony. Rany znikły, a jedynym śladem niemal katastrofalnego końca było lekkie pulsowanie ramienia. Nekromanta czuł się pewien, że nie tylko ukryje siebie przed wzrokiem żołnierzy, ale też zrobi to samo dla olbrzyma. Oszczędzą sporo czasu, idąc prosto przed siebie, a nie przemykając po kątach.

Choć Gorst najwyraźniej nie zgadzał się do końca, nie kłócił się, gdy Zayl zaczął rzucać zaklęcie. Wykorzystując sztylet, by wyrysować ogniste wzory w powietrzu, Zayl wzmocnił normalne zaklęcie, po czym dotknął najemnika ostrzem.

– Nic się nie stało - poskarżył się najemnik.

– Teraz obaj jesteście przywiązani do zaklęcia. Widzimy się nawzajem, ale nikt nas nie widzi. To samo dotyczy większości zwykłych dźwięków, choć nie polecałbym wrzeszczenia czy kichania. Głośne czy niespodziewane odgłosy mogą przebić urok.

Gorst, nadal trochę niepewny, podążył za nim na korytarz. Kawalek dalej strażnicy bez ruchu wpatrywali się w korytarz. Zayl mógł tylko podziwiać ich wyszkolenie, tak podobne do jego. Każdy z ośmiu mężczyzn był wysoki i wyprostowany. Uzbrojeni w topory lub miecze, mogliby zostać uznani za bardzo realistyczne rzeźby. Ich niemal identyczne twarze i miny jeszcze podkreślały to wrażenie i dodatkowo sprawiały, że Zayl zaczął się zastanawiać, czy wszyscy nie są ze sobą spokrewnieni.

On i Gorst szli powoli, ramię przy ramieniu, krok za krokiem. Minęli pierwszą parę, potem drugą i nie zostali zauważeni. Najemnik wydawał się rozluźniać, nawet Zayl, który znał moc swojego zaklęcia, czuł pewną ulgę.

Coś w twarzy kolejnego strażnika sprawiło, że nekromanta zatrzymał się mimo powagi sytuacji. Gorst spojrzał na niego z niepokojem, ale Zayl zignorował go. Nekromanta ostrożnie wpatrywał się w postać w pancerzu, zastanawiając się, co w twarzy mężczyzny tak go zaniepokoiło. Nie wiedząc, co to jest, spojrzał na strażnika naprzeciwko i też mu się przyjrzał.

Nagle uświadomił sobie, co tak go niepokoiło, a czego nie był w stanie pojąć.

Żaden ze strażników nie mrugał. Zayl czekał dłużej, niż wynosiła ludzka wytrzymałość, a jednak żaden z nich nie zachował się jak zwykły człowiek. Nawet najdoskonalej wyćwiczeni strażnicy musieli czasem mrugać.

A jednak tego nie robili.

Zayl chciał powiedzieć o tym Gorstowi, ale bał się, że zaklęcie zawiedzie. Kiedy już przejdą, będzie mógł powiedzieć drugiemu o tym niepokojącym odkryciu. Teraz zmuszało ich do...

Niemrugające oczy jednego ze strażników zwróciły się w jego kierunku, napotykać szeroko otwarte oczy nekromanty.

– Widzą nas! - krzyknął Zayl.

Wszyscy poruszyli się jednocześnie. Gorst wyjął swój miecz i był gotów stawić czoła każdemu z czwórki, która już się do nich zbliżyła. Ten, który napotkał spojrzenie Zayla, skoczył do przodu z toporem w ręku, a twarz miał zupełnie bez wyrazu. Pozostała trójka ruszyła za nim, ich twarze wyglądały podobnie.

Zayl wyciągnął przed siebie sztylet i zamruczał. Przed nim zmaterializowała się czarna sfera, która wystrzeliła prosto w pierś

pierwszego atakującego. Strażnik zawahał się, po czym ruszył dalej, jakby nic się nie stało.

To nie ucieszyło nekromanty. Po raz pierwszy rzucił zaklęcie osłabienia i nie widział żadnych efektów. Ci strażnicy nie byli zwykłymi ludźmi... i dlatego może okazać się, że on i Gorst nie poradzą sobie z nimi.

Jeśli olbrzymi najemnik martwił się taki sprawami, to nie pokazywał tego po sobie. W rzeczy samej, gdy magiczny atak nekromanty się nie powiódł, wystarczyły siła i umiejętności Gorsta. Pierwszy strażnik, który dotarł do rozczochranego wojownika, najwyraźniej chciał szybko zdjąć mu głowę toporem. Gorst, najwyraźniej już pokonany, szaleńczo machał mieczem, zupełnie się odsłaniając.

Kiedy jednak topór się zbliżył, Gorst dokonał rzeczy zadziwiającej. Pozwolił, by toporzysko i górna część rękojeści znalazły się zaledwie na cale od jego gardła, a wtedy jedną potężną ręką pochwycił topór w locie i wyrwał go z raje właściciela.

Strażnik, choć rozbrojony, parł naprzód. Trzymając topór rękojeścią do przodu, Gorst uderzył go w brzuch. Metal wgiął się do środka, a z ust pozbawionego emocji przeciwnika wyrwało się westchnienie. Gorstowi nie wystarczyło, że jego przeciwnik zgiął się wpół. Zamachnął się mocno i uderzył przeciwnika toporzyskiem w twarz.

Twarz po prostu się rozpadła.

Kawałki poleciały na bok. Pod hełmem była tylko ciemność. Trzeba przyznać najemnikowi, że nie poczekał, aż kawałki twarzy dotkną ziemi. Szybko zakręcił orężem i zrobił to, co zamierzał z nim zrobić przeciwnik. Przeciął hełm, podbródek i to, co utrzymywało je na miejscu.

Bezgłowa postać upadła z łomotem na ziemię.

– Oni nie żyją! - wykrzyknął niepotrzebnie Gorst.

– Ale można ich powstrzymać - odrzekł Zayl.

Teraz, kiedy już wiedział, czemu stawiają czoła, czuł się pewniej. Nic dziwnego, że jego zaklęcie nie zadziałało - zaklęcie miało działać na typ przeciwnika, jakiego się spodziewał. Ci tu nie byli ludźmi, o nie. Przypominali swego rodzaju golem, a on jako nekromanta często zajmował się im podobnymi.

Dla wyznawców Rathmy ożywienie konstruktów - rzeźby z gliny, kamienia albo innej substancji - łączyły pewne podobieństwa z wskrzeszaniem umarłych. Ożywianie golema wymagało wielu ze sprzecznych żywiołów potrzebnych do wezwania ducha lub ożywienia trupa. W tym ostatnim przypadku oddawano życie temu, co kiedyś było żywe. W tym pierwszym napełniano to, co nigdy nie zaznało życia, jego podobieństwem.

Zayl uchylił się przed mieczem najbliższego przeciwnika, jednocześnie przebiegając w myślach zaklęcie stworzenia golema. Odwrócił je. Z nadzieją, że się nie myli, wykrzyczał słowa nie tylko w odwróconej kolejności, ale też każde z nich od tyłu -wszystko po to, by osiągnąć odwrotny efekt.

Strażnik upuścił miecz... i rękę... i ramiona, i nogi, i głowę, i ciało. Zbroja upadła na posadzkę, a twarz, którą nosił golem, rozbiła się na tysiące kawałków, gdy uderzyła o twarde podłoże.

Drugi niemal dopadł nekromanty, gdy ten podziwiał swoją pracę. Topór znalazł się całe od piersi Zayla. Nim potworny strażnik spróbował kolejnego ataku, mężczyzna wyrzucił z siebie odmienione zaklęcie.

Zdarzyło się jednak coś innego. Strażnik upuścił topór, jego ruchy stały się nieskoordynowane, ale nie rozpadł się tak, jak pierwszy. Zayl widział, jak powoli wraca do siebie.

Golem zaadaptował się do zaklęcia.

Za jego plecami Gorst stęknął, unosząc kolejnego przeciwnika przy pomocy ostrza na końcu żeleźca topora. Gdyby strażnik był człowiekiem, już by nie żył, ale golem walczył, próbując dosięgnąć olbrzyma swoim mieczem.

Gorst z wielkim wysiłkiem rzucił jeden konstrukt na drugi. Siła rzutu sprawiła, że gdy oba uderzyły o ziemię, ten na dole rozpadł się na kawałki. Pierwszy podniósł się jednak, a w zbroi miał wielki otwór tam, gdzie powinien być tors. Potwór uniósł topór pozostawiony przez towarzysza i zbliżył się do najemnika.

Zayl tymczasem poczuł, że trzech przeciwnicy go naciskają. Reagując instynktownie, wezwał Szpon Trag'Oula, który tak mu pomógł w pracowni Gregusa Maziego.

Kościana włócznia przebiła pierwszego golema, tego, który już i tak był spowolniony. Obrażenia zadane przez oba zaklęcia okazały się dla ożywionego strażnika zbyt wielkie. Jego tors zapadł się w siebie, a potem, niczym przewrócony domek z kart, cały golem rozpadł się na kawałki.

Wiedząc, że już nie może wykorzystać Szpona, Zayl natychmiast wezwał Den'Trag, Zęby Trag'Oula. To połączenie doskonale zadziało na gobelinowego stwora i tu też powinno zadziałać.

Kiedy jednak deszcz szybkich, morderczych strzałek trafił dwóch strażników, większość się odbiła.

Nekromanta z trudem mógł uwierzyć w to, co zobaczył. Jeszcze nie słyszał, by Zęby zawiodły. Owszem, część strzałek wbiła się w dwa golemy i nawet udało im się rozbroić tego z toporem, ale poza tym wywołały co najwyżej pewne spowolnienie ruchów.

Uświadomił sobie, że podobieństwa między Zębami i Szponem umożliwiły golemom zaadaptowanie się również do tego pierwszego zaklęcia. Zayl przeklął swoją głupotę i zaczął: szukać zaklęcia

niepodobnego do tych dwóch. Musiał myśleć szybko, bo choć ożywieni strażnicy obawiali się mocy sztyletu, jego niewielka długość sprawiała, iż mieli przewagę zasięgu.

Gdy ten, który został rozbrojony, pochylił się, by unieść topór, drugi przeciwnik nekromanty mocno pchnął swoim mieczem. Sztych znalazł się całe od gardła Zayla. Nekromanta cofnął się i zderzył z Gorstem, którego przeciwnicy zmusili do wycofania się.

Zayl wpadł na pewien pomysł, miał nadzieję, że dobry, bo inaczej bez powodu poświęcał życie ich obu.

– Gorst! Musimy się zamienić przeciwnikami!

– Zamienić? Czemu?

– Zaufaj mi! Kiedy powiem!

Najemnik nie sprzeciwił się. Stali plecami do siebie i Zayl czuł, jak ciało olbrzyma napina się, gdy wojownik przygotowywał się do wykonania rozkazu czarodzieja.

– Popchnij ich do tyłu o trzy kroki, a potem obróć się w lewo!

Zayl rzucił się do przodu, a ta nagła zmiana taktyki sprawiła, że golemy cofnęły się. Nekromanta jednak nie rzucił zaklęcia, tylko zrobił to, co nakazał Gorstowi. Odwrócił się na pięcie i zamienił swoich wrogów na tych, z którymi walczył olbrzym. W tym samym czasie Gorst odwrócił się, by stawić czoło przeciwnikom Zayla.

Nekromanta skierował sztylet w stronę nowych przeciwników i znów uwolnił Zęby Trag'Oula.

Ostre jak brzytwa pociski wbiły się w golemy, zupełnie przebijając zbroje. Konstrukty rozpadły się na setki kawałków, które poleciały we wszystkich kierunkach.

Zayl ryknął triumfalnie, co nie było dla niego typowe. Jak podejrzewał, te golemy nie stawiały mu czoła w walce, nie zdołały, się więc zaadaptować

do tego właśnie zaklęcia. Zmieniając przeciwników, przechytrzył ich twórcę.

Ale to oznaczało, że Gorst pozostał z parą, z którą nekromanta już walczył. Obawiając się, że najemnik może mieć problem, Zayl obrócił się na pięcie, jednocześnie składając zaklęcie, które, jak miał nadzieję, przynajmniej spowolni strażników.

Nie musiał się martwić. Gorst miał pod kontrolą sytuację... i jednego z golemów też. Olbrzym odrzucił broń i trzymał jednego z przeciwników do góry nogami, nad głową. Z całej siły - a w wypadku Gorsta oznaczało to naprawdę mocno - rzucił golemem o ziemię.

Hełm i fałszywa twarz zmieniły się w nierozpoznawalną masę. Potężny wojownik odrzucił resztę ciała na bok i zwrócił się w stronę ostatniego golema. Konstruktor, wcale nie przestraszony, próbował ciąć swoim mieczem. Gorst jednak, poruszając się szybciej, niż wydawałoby się to możliwe przy jego rozmiarach, chwycił go za nadgarstek i pociągnął.

Gdy strażnik poleciał w jego stronę, najemnik wbił pięść w pozbawioną emocji maskę z taką siłą, że od wewnątrz wygiął tylną część hełmu.

Najwyraźniej nie chcąc ryzykować, Gorst zerwał hełm i kopnął stwora w pierś.

Ostami golem spadł na ziemię i rozpadł się. Kończyny upadły w różne strony, a kawałki zbroi potoczyły się po posadzce.

– Co teraz? - spytał Gorst, zabierając jeden z toporów.

– Jak powiedziałaś, szukamy kapitana Dumona.

Znów pospieszyli korytarzem, a cisza i pustka w pałacu wcale nie uspokajały Zayla. Taki hałas, jak w czasie bitwy, powinien ściągnąć innych strażników na pomoc. Gdzie byli wszyscy, którzy wcześniej zamieszkiwali pałac?

Co ważniejsze, gdzie był kapitan Dumon? W miejscu tak ogromnym, z tak wieloma ukrytymi przejściami, jak mogli...

Jakim był głupcem! Zayl zatrzymał się, a Gorst niemal na niego wpadł.

– Czy masz przy sobie coś, co należało do kapitana? Cokolwiek? Jeśli nie, to musimy wracać do jego komnaty.

Olbrzym przez chwilę zastanawiał się nad tym pytaniem, po czym jego twarz rozjaśniła się.

– Mam to!

Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej niewielki, porzewiały medalion z brodatą twarzą jakiegoś zachodniego monarchy. Dookoła biegł mocno już zatarty napis: „Za honor, za obowiązek, za króla i królestwo”.

– Kentril dostał to od ojca. Nosił przez lata. Mówił, że przynosi mu szczęście. Oddał mi jakiś rok temu, jak prawie odrąbali mi głowę. Powiedział, że bardziej tego potrzebuję.

Zayl nie dokładnie na to miał nadzieję, ale jeśli aura Gorsta nie pochłonęła w całości starszej aury kapitana Dumona, medalion nadal może pomóc w odnalezieniu zaginionego najemnika. Niestety, brak czasu wymagał zastosowania mniej dokładnego zaklęcia, na które większy wpływ miały różne zewnętrzne przeszkody w rodzaju zmiany właściciela.

Zayl musiał jednak spróbować. Trzymając medalion w prawej dłoni, umieścił sztylet nad jego środkiem, cały czas mrucząc zaklęcie.

Natychmiast poczuł szarpnięcie... ale w stronę przyglądającego się Gorsta. Zirytowany Zayl skoncentrował się na Kentrilu Dumonie, wyobrażając go sobie jak najlepiej potrafił.

Teraz poczuł przyciąganie z innej strony, z miejsca gdzieś w okolicach wielkiej sali, którego jednak nekromanta nie znał zbyt dobrze. Nekromanta wymruczał parę słów, zwiększając dokładność zaklęcia, by mieć pewność, po czym skinął na Gorsta.

– Znalazłeś go?

Trzymając przed sobą porzewiałą pamiątkę, Zayl po raz trzeci sprawdził kierunek. Niewidzialna siła ciągnęła go ciągle w tę samą stronę.

– Na pewno jest w tamtym kierunku.

Gorst ścisnął mocno topór. Szedł blisko Zayla, podążającego za zaczarowanym medalionem. Gdy tak szli, nekromanta zauważył dziwną właściwość palących się pochodni i lamp oliwnych. Płomienie migotały raczej dziwnie i Zayl doszedł do wniosku, że światło wygląda właściwie ciemniej, jakby coś wysssało z niego naturalny blask.

Medalion doprowadził ich do samotnych drzwi, przez które przeszli bez wahania. Przed nimi znajdowały się schody prowadzące pod pałac, których żaden z nich nie mógł sobie przypomnieć z planów. Gorstowi nie podobał się słaby blask zdający się dochodzić zewsząd i znikąd. Nekromanta również czuł zimne dreszcze. Szli jednak dalej, gdyż mieli coraz większą pewność, że tam właśnie znajdą kapitana.

Na dole znajdowały się potężne żelazne drzwi. Głowa przerażającego gargulca o rysach takich jak te na zewnątrz wystawała z prawej strony, a w dziobie miała duży pierścień.

Gorst przyłożył ucho do drzwi, po chwili jednak potrząsnął głową.

– Nic nie słyszę. - Pociągnął za pierścień. - Są dla mnie za mocne. Jak spróbuję, to zniszczę pierścień.

– Zobaczę, co mogę zrobić. - Zayl minął olbrzyma i zbliżył sztylet. Wyczuwał ogromne moce, nie tylko w samych drzwiach, ale i za nimi.

– Zayl - zabrzmiał głos czaszki. - Myślę...

– Nie teraz, Humbart. Nie widzisz...

Przerwał, gdy pierścień nagle wypadł z dziobu gargulca. Wrzask odbił się echem od ścian korytarza. Nekromanta rzucił się do tyłu, gdy dziób skierował się w jego stronę, i wpadł na Gorsta.

Z drzwi wypadł na nich gargulec pełnych rozmiarów.

OSIEMNAŚCIE



– Atanno... - Kentril zagryzł wargi i nie powiedział nic więcej. Ta straszliwa marionetka to nie mogła być Atanna.

Uśmiechnęła się do niego makabrycznie, a jej głowa nadal była niemal zupełnie przechylona na bok.

– Mój drogi Kentril...

Juris Khan otoczył ją ramieniem. Z wyrazem twarzy, który pasowałby do kochającego ojca, powiedział - Moja droga, kiedy wychodzisz do ukochanego, powinnaś wyglądać jak najlepiej, nie sądzisz?

Delikatnie umieścił ramiona na swoich miejscach i przeciągnął dłonią po okaleczonej kończynie. Gdy cofnął palce, Kentril ujrzał, że dłoń Atanny została uleczona.

Szepcząc słowa, których Kentril nigdy nie słyszał, monarcha zrobił krok do tyłu. Jego córkę od stóp do głów otoczyła płomienna aura. Atanna uniosła się na kilka cali w powietrze, a gdy tak się stało, jej nogi skręcały się i zmieniały kształt, stając się na powrót normalnymi kończynami. Rany na twarzy i ciele zmniejszały się szybko, aż w końcu znikły. Nawet suknia się naprawiła, znikły też wszelkie ślady zniszczenia.

– *Olbystus!* - wykrzyknął Juris Khan.

Atanna powoli opadła na podłogę. Migocząca aura znikła. Przed Kentrilem stała niemal zupełnie uleczona kobieta.

Niemal... gdyż głowa nadal zwisała na bok.

Ojciec Atanny uśmiechnął się łagodnie i umieścił jej głowę na swoim miejscu. Mięśnie, żyły, ścięgna i ciało natychmiast się zrosły. Straszliwa rana zasklepiła się i wkrótce nie pozostał po niej żaden ślad.

Juris Khan poprawił jej włosy.

– Od razu lepiej.

– Czy znów jestem ładna, Kentril?

Nie wiedział, co powiedzieć, nie wiedział, co myśleć. Zdesperowany spojrzał w stronę Quova Tsina, który wydawał się przyjmować wszystko z gorliwością, która nie wróżyła dobrze.

– Jest tak, jak mówiłeś - niemal zagruchał niewysoki Vizjerei. - Moc do uczynienia niemal wszystkiego, nawet zachowania samego życia!

– Dar Niebios - odrzekł ich gospodarz. - Dar, którym można się dzielić.

– Niebios? - wyrwało się kapitanowi. - To dar z piekła rodem!

Khan spojrzał na niego ojcowsko.

– Piekło? Ależ to Ureh, mój dobry kapitanie! Żaden potwór ani sługa Mroczej Trójcy nie może tknąć tego świętego królestwa, czyż nie, mistrzu Tsinie?

Vizjerei pociągnął nosem.

– Nie bądź taki przyziemny, Dumon! Gzy nie potrafisz sobie wyobrazić mocy Niebios? Czy myślisz, że Piekło mogłoby tak zachować życie?

– Zachować je? Nazywasz to życiem? Ona nie żyje, Tsin! Spójrz na nią!

– Kentril, jak mogłeś coś takiego powiedzieć? - Atanna wydeła wargi i podeszła bliżej. Jej oczy płonęły magicznym ogniem jak zawsze, czuł też ciepło jej ciała, choć stała kilka cali od niego. Z każdym oddechem jej pierś unosiła się i opadała, co było fascynującym widokiem, tak że nawet Kentril zaczął wątpić w to, co powiedział. - Czyja naprawdę, naprawdę wyglądam na martwą?

– Otwórz oczy i umysł, kapitanie - nalegał Quov Tsin, zbliżając się do nich. - Zawsze wydawałeś mi się trochę mądrzejszy niż cała wasza zgraja. Znasz historie, znasz legendy o Świetle wśród światła! Wiesz, że archanioły sprawiły wielkie cuda dla ludu, wyjawiały rzeczy, które my możemy sobie tylko wyobrażać!

–Ale... ale to?

– Kentril ma rację, że jest sceptyczny - stwierdził Juris Khan. Wyciągnął rękę, by objąć całą komnatę. - Czyż archanioły nie mówią nam, że mamy strzec się zła w przebraniu dobra? Czyż nie ma opowieści o sprytnych demonach, które w każdej chwili próbują psuć ludzi? Mój drogi kapitanie, historia Ureh, w czasie, gdy szukaliśmy drogi do Niebios, popiera twoje podejrzenia. To z powodu subtelnych podstępów Diabła i innych pomniejszych demonów modliłem się o cud, o sposób na uchronienie mego królestwa przed złem. Na moje szczęście archanioł sprawił ten cud, choć więcej niż raz musieliśmy borykać się z podstępными zdrajcami i trudnymi do rozpoznania mrocznymi spiskami. Tak, rozumiem twój sceptycyzm, choć w tej chwili jest on nie na miejscu.

Tsin odwrócił żołnierza tak, że w polu jego widzenia znalazł się podest. Oczy najemnika rozszerzyły się, gdy Kentril zauważył błyszczące, pulsujące runy. Kentrila przepełniło pragnienie jak najdalszej ucieczki od artefaktu. Niestety, Vizjerei trzymał go za ramię, a za jego plecami stała Atanna.

– Archanioł, który przemówił do lorda Khana, nie mógł odwrócić tego, co się stało - wyjaśnił niski czarodziej. - Wyjawiał jednak naszemu gospodarzowi możliwą drogę ucieczki, jeśli tylko pojawią się odpowiednie elementy. Tak się stało.

Teraz Khan przeszedł dookoła podestu i popatrzył na Kentrila z drugiej strony.

– Z początku chciałem wykorzystać wasze szczęśliwe przybycie, by wypełnić moje pierwotne zamierzenie i zobaczyć Ureh w Niebiosach. Dobry mistrz Tsin przekonał mnie jednak, że powinniśmy pozostać w świecie śmiertelnych, a to, jak się okazało, tak doskonale współgra z tym, co obliczyłem, że zaczynam się zastanawiać, czy tego właśnie od początku nie pragnął archanioł.

Kapitan Dumon nie wiedział, co powiedzieć, więc tylko mruknął - Nie rozumiem.

– To bardzo proste, Dumon, ty kretynie! Archanioł wskazał na moce nie związane z Niebiosami ani Piekłem, moce natury, samego świata. Cóż może lepiej pomóc w ponownym związaniu Ureh z tym światem? Naturalną tendencją takich mocy jest dążenie do równowagi i harmonii. Ureh ponownie stanie się jednością, ludzie będą mogli wychodzić na słońce, stykać się z innymi ludźmi, innymi królestwami.

W tym momencie Kentril nie uważał tego wcale za tak wspaniały pomysł, jak sądził Tsin. Właściwie to żałował, że w ogóle umieścił kamień na swoim miejscu. Ureh nie okazało się tym, czego się spodziewał - a jego przyszłość taka, o jakiej myślał.

– A co z Gregusem Mazim? - spytał ostro kapitan, zrzucając ręce Atanny i Vizjerei. Nie potrafił zapomnieć tego straszliwego widoku.

– Lord Khan wyjaśnił mi tę prostą kwestię. Nie znaleźliście Gregusa Mazi, lecz jego ucznia. Próbował zniszczyć Klucz Cienia, lecz został przeklęty przez zaklęcie ochronne. Kretyn sam to na siebie sprowadził. Teraz chroni Ureh przed innymi, którzy mają podobnie złe zamiary...

W tej historii było za wiele dziur, ogromnych dziur, ale dla Quova Tsina, którego tam nie było, to wyjaśnienie zdawało się wystarczać. Kentrilowi Dumonowi nie wystarczało. Doskonale wiedział, że Juris Khan dodał do ogromnej sterty kłamstw kolejne. Wszystko, co kapitan i jego ludzie

myśleli o królestwie, okazało się nieprawdą. Przybyli, by odnaleźć legendę, a odkryli koszmar.

– A co z moimi ludźmi, Tsin? Co z Albordem i resztą... a nawet z nekromantą, Zaylem? Wielu dobrych ludzi zaginęło, a ja jeszcze nie usłyszałem rozsądnego wyjaśnienia ich zniknięcia.

Juris Khan wyszedł zza podestu. Wydawał się jeszcze wyższy i bardziej złowrogi niż wcześniej.

– Muszę przyznać, że skaza pozostawiona przez Gregusa dotknęła niektórych moich poddanych. Kiedy jednak Ureh powróci do świata ludzi, ci, którzy dopuścili się tak straszliwych czynów, zostaną ukarani.

Jakaś część Kentрила rozpaczliwie pragnęła uwierzyć starszemu mężczyźnie, ale najemnik usłyszał zbyt wiele rzeczy, w które nie potrafił uwierzyć.

– Tsin, możesz zostać, jeśli chcesz, aleja chyba sobie pójdę...

Atanna nagle znów znalazła się u jego boku. Kapitan czuł się rozdarty między pożądaniem a odrazą. Oto stała kobieta z jego snów... ta sama, która rozbiła się o ziemię i powróciła w wyjątkowo groteskowy sposób.

– Och, nie możesz odejść, Kentrilu, nie teraz!

Jej słowa ociekały słodyczą, ale sprawiły tylko, że stał się jeszcze bardziej czujny. Znów cofnął się od niej i wyciągnął miecz.

– Idę do drzwi. Tsinie, jeśli masz trochę rozsądku, pójdziesz ze mną.

– Nie bądź większym głupcem, niż jesteś, Dumonie. Ja nigdzie nie idę, a ty z pewnością nie możesz. Ciebie potrzebujemy najbardziej!

– Potrzebujecie mnie? Do czego?

Vizjerei pokiwał głową nad ignorancją mężczyzny.

– Jesteś niezmiernie ważny dla zaklęcia, to jasne, kretynie!

Kentril popatrzył od twarzy do twarzy... i odwrócił się, żeby uciec. Kentril Dumon mógł obronić się przed jednym czarodziejem. W walce z

dwoma mógł mieć jeszcze nadzieję na zwycięstwo.

Jednak w wypadku trzech tylko szalencie zdecydowałby się zostać i walczyć.

Kiedy jednak Kentril ruszył do drzwi, nagle odkrył, że biegnie w stronę podestu. Kapitan odwrócił się. jednym płynnym ruchem, ale znów ujrzał podest.

– Nie marnuj naszego czasu na takie gierki, Dumon! - warknął Tsin. - Przecież nie mamy zamiaru cię zabić.

Ponieważ ucieczka mu się nie powiodła, Kentril zatrzymał się i zaczął słuchać.

– Nie?

– Potrzebujemy tak mało krwi, że co najwyżej zakręci ci się w głowie, obiecuję.

Krew...

– Bądź przeklęty! - Wciąż trzymając miecz w ręku, Kentril rzucił się w stronę Tsina.

Broń znikła z jego ręki i pojawiła się chwilę później w dłoni Juris Khana.

Ojciec Atanny niemal od niechcienia odrzucił na bok ostatnią nadzieję Kentrila.

– Mój drogi kapitanie. Nadal nic nie rozumiesz. Tak, chcemy, byś się położył na podeście, ale to nie będzie ofiara z człowieka. Pozwól mi wyjaśnić... - Jego pomarszczona twarz przybrała niemal natchniony wyraz. - Mamy tu do czynienia z mocami, które stanowią część i całość tego, co utrzymuje naturalny porządek świata. W tym naturalnym porządku życie jest najważniejsze, a krew to najpotężniejszy symbol życia. Dlatego też, aby związać tę moc, potrzebujemy krwi. Podest służy jako punkt skupienia i dlatego krew musi popłynąć na nim.

Delikatna, lecz chłodna ręka dotknęła jego policzka. Kentril odskoczył i znów stanął twarzą w twarz z istotą, którą kochał, lub tak mu się zdawało.

– A do tego potrzeba tylko kilka kropli. Reszta jest dla nas, miłości moja. Pieszczota podniecała go, a jednocześnie mroziła.

– Dla nas?

– Oczywiście, Kentrilu, mój miły! Gdy zakłęcie się dopełni, nie tylko Ureh stanie się ponownie częścią tego świata, ale też ty nie będziesz się musiał bać śmierci. Czyż to nie cudowne?

Nigdy nie bać się śmierci...

Uczynią go takim jak ona.

Znów próbował uciec, ale ciało nie chciało go słuchać. Kentril mógł oddychać, nawet mrugać, ale jego ręce i nogi pozostały nieruchome.

– No wiesz, Dumon! Przynosisz nam obu wstyd. Chyba możesz poświęcić parę kropli, by uratować miasto, a propozycja, którą ma dla ciebie lord Khan... gdyby dało się to powtórzyć, sam chętnie bym z tego skorzystał.

Kentril odkrył z niejakim zadowoleniem, że jego usta nadal go słuchają.

– A proszę cię bardzo, Tsin!

– Niestety muszę być obecny przy zaklęciu. Poza tym nasz dobry gospodarz zapewnia mnie, że gdy układ się znów będzie odpowiedni, obdarzy mnie tą łaską. Na razie to ty masz to szczęście!

Nogi Kentrila zaczęły się poruszać, ale bez jego udziału. Stojący obok podestu Quov Tsin palcami naśladował chodzenie, a nogi Kentrila poruszały się w zgodzie z ruchami palców.

– Niech cię, Tsin! Nie czujesz, że coś tu jest nie tak?

Gdy kapitan zbliżył się do Vizjerei, zauważył, że oczy czarodzieja są zaszkłone. Z tak bliska Tsin wyglądał na człowieka w transie.

– Proszę na górę - nakazał Vizjerei.

Nie mogąc się przeciwstawić, Kentril wdrapał się na podest i ułożył się tak, jakby jego kończyny podtrzymywały niewidoczne kajdany.

Juris Khan stał nad nim. Monarcha trzymał w dłoni sztylet o wąskim, płomienistym ostrzu.

– Nie obawiaj się, Kentrilu Dumonie. Ureh będzie ci wdzięczny na wieczność.

Gdy uniósł ostrze nad głowę i wypowiedział słowa mocy, kapitan zauważył Atannę uśmiechającą się do niego.

Wkrótce znów będą razem... a on będzie taki jak ona.



Skrzydlaty gargulec wyskoczył z drzwi, a całe jego ciało wydawało się zrobione z żelaza. Stwór zaryczał, szpony skierowały się w stronę dwóch mężczyzn.

Trzeba przyznać Gorstowi, że stanął przed Zaylem i próbował zabić stwora swoim toporem. Niestety broń odbiła się od ciała bestii z głośnym łomotem, a do tego ostrze się wyszczerbiło.

– Co robimy? - spytał olbrzym. Gargulec od końca dzioba do zadu miał jakieś osiem do dziesięciu stóp. Zayl widział, że nawet Gorst nie odważył się zbliżyć. Strażnik porwałby go na strzępy.

– Spróbuję zakłęcia. - Gargulec przypominał bardzo golema, choć w zwierzęcej formie. Być może, myślał nekromanta, uda się go pokonać w ten sam sposób.

Zrobił tak jak poprzednio, odwracając słowa i ich kolejność, próbując przekształcić fałszywe życie w nieżywy przedmiot.

Potwór zatrzymał się na chwilę. Potrząsnął głową, jakby chciał oczyścić umysł, po czym spokojnie ruszył dalej.

Zayl i Gorst wycofali się po schodach. Gargulec szedł za nimi aż do punktu gdzieś w pół drogi między szczytem a podstawą schodów. Tam nagle zamarł, wpatrując się żelaznym wzrokiem w dwójkę przed sobą.

– Czyli... on przede wszystkim strzeże drzwi - mruknął Zayl, zastanawiając się, jak może wykorzystać tę wiedzę.

Gorst oparł się na toporze i spojrzał ze złością na bestię.

– Musimy tam zejść. Kentril na pewno tam jest, a mnie się to nie podoba.

Nekromanta musiał się z nim zgodzić. Nie wiedział, z jakiego powodu Kentril Dumon się tam znalazł, ale z pewnością było to coś bardzo paskudnego. Im dłużej gargulec ich zatrzymywał, tym większe prawdopodobieństwo, że kapitan zostanie zamordowany... albo gorzej.

– Co tam się dzieje? - zapytał głos przy pasie.

Po tym wszystkim, co się stało, Zayl całkiem zapomniał o Humbarcie. Oczywiście, czaszka nie mogła im zbytnio pomóc, ale nekromanta wiedział, że jeśli nie odpowie, Humbart będzie dalej gadał.

– Stoimy przed gargulcem, który blokuje drzwi, za którymi powinien znajdować się kapitan Dumon - poinformował zawartość sakiewki. - O ile nie masz jakiejś propozycji, radzę ci milczeć.

Czaszka jak zawsze to zignorowała.

– Próbowalesz zakląć na golemy?

– Tak, nie zadziało.

– A co z...

Zayl westchnął, jak zwykle poirytowany zachowaniem swojego bezcielesnego towarzysza, choć przecież dobry Humbart bardzo mu w przeszłości pomógł.

– Nie czas na to! Ja...

– Jedno pytanie, chłopcze! A może Żelazna Dziewica?

– Żelazna Dziewica? - mruknął Gorst, który pewnie słyszał tylko o narzędziu tortur o tej nazwie.

– Inne zaklęcie związane z odwróceniem. Czemu w ogóle zostało wspomniane... - Błdy nekromanta zawahał się. - Ale sądzę, że może zadziałać. To ryzykowne, lecz jeśli będę ostrożny, nic nie powinno mi się stać.

Olbrzym potrząsnął głową.

– Jeśli jest niebezpieczne, wykorzystaj mnie.

– Gorst...

Olbrzymi wojownik nie chciał o tym słyszeć.

– Jeśli nie zadziała ze mną, wypróbujesz coś innego. Jeśli nie zadziała z tobą, co ja zrobię?

Miał rację, co Zayłowi ogromnie się nie podobało. Słudzy Rathmy zawsze widzieli siebie walczących w pierwszym rzędzie w bitwie o utrzymanie równowagi. Zwykle nie ryzykowali życiem innych zamiast swoim.

– Dobrze, ale nie ryzykuj bez potrzeby.

– Co mam zrobić?

Już rzucając zaklęcie, Zaył odpowiedział - Zaczynaj walczyć z gargulcem.

– To wszystko?

Czaszka powiedziała coś jeszcze.

– Możesz też zacząć się modlić, chłopcze!

Gorst chrząknął. Zaył zakończył zaklęcie i wyjaśnił - Jeśli zadziała tak, jak powinno, każdy cios zadany tobie zamiast ciebie, zrani gargulca. Jeśli tylko poczujesz ból, natychmiast się wycofaj.

Olbrzym nic nie powiedział, nie skomentował nawet, że jeśli gargulec go trafi, nie będzie miał jak się wycofać. Unosząc broń, najemnik zszedł do metalicznej bestii.

Znajdując się w jej pobliżu, Gorst zatrzymał się nagle.

– A jeśli ja go uderzę, to czy mnie zaboli?

– Nie, możesz atakować.

Gargulec pozostawał bez ruchu, gdy obaj stali nad nim na schodach, gdy jednak wojownik się zbliżył, potwór ożył nagle. Kłapał dziobem i machał pazurami, choć Gorst nie znalazł się jeszcze wystarczająco blisko. Mimo wiary w swoje zaklęcie Zayl martwił się o towarzysza. Nie wiedział, jakie czary otaczają bestię. Przygotował się do ochrony Gorsta, gdyby coś poszło nie tak.

Znajdując się parę stóp od strażnika, olbrzym nagle uniósł topór nad głowę i wydał okrzyk wojenny. Gargulec ryknął w odpowiedzi i skoczył do przodu.

Metal uderzył o metal. Mimo zaklęcia rzuconego przez nekromantę Gorst walczył tak, jakby wszystko zależało tylko od jego umiejętności.

Dwa, trzy razy topór zderzył się z pazurami i dziobem gargulca. Ostre jak brzytwa pazury znalazły się całe od najemnika, ale Gorst uniknął ich, jak zrobiłby to w wypadku każdego ataku.

Jego niezwykła siła sprawiła, że udało mu się wgnieść głowę stwora, ale uderzenie w żelaznego przeciwnika okazało się wyczerpujące. Topór wyszczerbił się i zmatowiał, a ciosy stawały się coraz wolniejsze.

W końcu gargulcowi udało się przedostać jedną łapą za zasłonę Gorsta. Najemnik próbował się cofnąć, ale potknął się o schody.

– Co się dzieje? - spytał Humbart.

Zayl nic nie powiedział, gdyż był gotów do rzucenia zaklęcia, choć wiedział, że nie uchroni ono najemnika przed straszliwą raną.

Pazury rozdarły prawą nogę Gorsta.

Straszliwy, metaliczny pisk wypełnił korytarz.

Potworny przeciwnik Gorsta nagle zatoczył się, gdy w jego tylnej prawej łapie nagle pojawiło się rozdarcie. Gargulec, najwyraźniej się tym nie przejmując, rzucił się do przodu, próbując wbić dziób w nieosłonięty brzuch człowieka.

Metaliczny krzyk znów odbił się echem od ścian. Teraz gargulec się wycofał, choć robił to dość niepewnie. W okolicy jego brzucha pojawiła się wielka dziura. Żywe zwierzę już by nie żyło albo właśnie by umierało, ale magia wypełniająca skrzydlatego potwora nadal go napędzała, choć stwór nie poruszał się już tak szybko jak na początku.

– Działa! - zawołał Gorst. - Zbliżę się do niego!

Choć Zayl widział, że jego zaklęcie działa doskonale, nie rozluźniał się. Też zbliżył się do miejsca walki, szukając potencjalnego zagrożenia lub luki, którą mógłby wykorzystać.

Mocno machając toporem, Gorstowi udało się wgiąć ramię potwora. Taka rana w ogóle nie wywarła wrażenia na gargulcu, który znów zaatakował, tym razem sięgając prawego ramienia Gorsta.

Rezultaty były takie, jak się spodziewali. Potwór nie wbił się w miękkie ludzkie ciało, rozszarpując mięśnie i kości, lecz rozerwał swoją prawą przednią łapę. Nagle okazało się, że gargulec ma dwie ciężko uszkodzone kończyny po tej samej stronie ciała. Zatoczył się na bok i oparł o ścianę, ale nadal się nie poddawał.

– To trwa za długo! - ryknął najemnik. - Spróbuję czegoś innego!

Upuścił topór i pochylił się do przodu, podstawiając bestii swoją twarz i szyję.

– Gorst! Nie! - Choć zaklęcie dotychczas ochraniało wojownika, Zayl wolał nie ryzykować.

Metalowy strażnik zareagował jednak za szybko i nekromanta nie mógł nic zrobić. Skrzydlaty potwór zamachnął się mocno zdrową przednią łapą,

obejmując cały cel. Pazury, które mogły zerwać twarz Gorsta aż do kości, były coraz bliżej...

Z paskudnym odgłosem zgniatanego żelaza gargulec rozerwał swój pysk i gardło.

Z potwornej twarzy zostało niewiele poza kawałkiem oka. Wpatrujący się weń ludzie widzieli tylko wielką dziurę, podobną jak u zniszczonych golemów.

Gargulec zrobił niepewny krok naprzód i stanął na zniszczonej łapie. Tym razem przewrócił się na bok i wyraźnie nie mógł wyprostować.

Z niemal dzieciinną ciekawością Gorst pochylił się i odsłonił pierś przed zdrową przednią łapą. Potem wyciągnął rękę i poklepał strażnika po łapie.

Łapa instynktownie zaatakowała.

W piersi gargulca pojawiła się wielka dziura.

Metalowa bestia raz jęknęła... i przestała się ruszać.

– Niezłe zakłęcie - stwierdził Gorst, podnosząc się. - Ile działa?

– Bitwa się skończyła - odrzekł nekromanta. - Już go nie ma.

– Szkoda. Możesz znów je na mnie rzucić?

Zayl potrząsnął głową.

– Bez gwarancji sukcesu. Poza tym podejrzewam, że na dole nic by ci ono nie pomogło.

Olbrzym znów uniósł podniszczony topór, a odpowiedź czarodzieja najwyraźniej wcale go nie zmartwiła.

– Czyli znów będę musiał normalnie walczyć, co?

Ponieważ gargulec został zniszczony, znikła klamka, ale Zayl podejrzewał, że nie był to prawdziwy mechanizm umożliwiający wejście. Dostanie się do takiego miejsca z pewnością nie mogło zależeć od tak przyziemnego urządzenia. Prawdziwy klucz do drzwi musiał być magiczny... ale jak odkryć ten klucz?

Wyjął czaszkę.

– Humbart, co widzisz?

– Całe drzwi pokrywa czerwona moc. Ciemne, zielonkawe zygzaki przechodzą przez nie od góry do dołu, a pośrodku widzę niebiesko-żółtą plamę...

Zayl tego właśnie szukał.

– Skieruj na nią ostrze.

Czaszka zrobiła to, kierując ręką nekromanty w lewo i w prawo, w górę i w dół, jak było konieczne.

– Dokładnie tu, chłopcze!

Zayl poczuł dreszcz, gdy dotknął czubkiem ostrza wskazane miejsce. Od razu zaczął wypowiadać zaklęcie szukania i rozwiązywania. Wiedział, że bez niezwykłych umiejętności czaszki nigdy nie byłby w stanie tak dokładnie wskazać odpowiedniego miejsca, gdyż zaklęcia ochronne umieszczono bardzo sprytnie.

Jego umysł rozwiązywał i rozplątywał tysiące wzorów tworzących zamek, powoli wydobywając sekret jego otwarcia. Z ust nekromanty nie z jego woli wypływały słowa, których nigdy wcześniej nie słyszał, słowa stare i mroczne. Nekromanta zastanawiał się, czy się nie wyrwać, ale nie miał żadnego innego wyjścia, a kapitan Dumon z pewnością znajdował się w kłopotach.

W końcu przyszło do niego jedno słowo, ostateczny klucz, a gdyby miał wiedzę pierwszego rzucającego, zrozumiałby, że to jedyne konieczne słowo.

– *Tezarka...* - wyszeptał Zayl.

Drzwi ze skrzypieniem zaczęły się otwierać.

Nekromanta odskoczył do tyłu i dołączył do czujnego Gorsta w oczekiwaniu na nadchodzący atak. Drzwi otworzyły się szerzej, ukazując

światło w środku. Z wnętrza wypłynęła fala zmieszanych, potężnych mocy, która onieśmieliła nawet Zayla.

Nic jednak nie wypadło ze środka, by ich zaatakować. Żadnych strażników, żadnych golemów, nic.

Zayl i Gorst popatrzyli na siebie, po czym ostrożnie weszli.

Olbrzymia komnata natychmiast przyciągnęła ich uwagę, gdyż z pewnością była tajemną pracownią potężnego czarodzieja. Ciężkie księgi, zebrane okazy, proszki i artefakty - Zayl nigdy nic widział takiego zbioru. Widok ten na chwilę go zahipnotyzował. Nawet siedziba Gregusa Maziego tak go nie poruszyła.

To Gorst przerwał zakłęcie, zadając pytanie, które musiało zostać zadane.

– Dlaczego nikogo tu nie ma?

DZIEWIĘTNAŚCIE



Pozbawili go możliwości poruszania się, ale przynajmniej mógł mówić, a Kentril nie widział powodu, by milczeć.

– Tsin, wyrwij się z tego! Nie widzisz, że wszystko jest nie w porządku? Niech cię, sam jesteś pod wpływem zaklęcia!

– Uspokój się, Dumon - łąjał go Vizjerei. - Jesteś takim niewdzięcznym kretyńcem! Nieśmiertelność, bogactwo, moc... myślałem, że najemnicy właśnie o tym marzą!

Nic z tego. Quov Tsin nie mógł przejrzeć przez zaklęcie, które na niego rzucono. Lord Khan wykorzystał chciwość czarodzieja, podobnie jak zrobił to sam kapitan, gdy zachęcił Tsina do przekonania ich gospodarza, by ponownie uczynił Ureh częścią świata.

Ale czy ich gospodarz w ogóle wymagał przekonywania? To Atanna jako pierwsza wspomniała o tym Kentrilowi, mówiąc mu, że mogliby być razem, gdyby jej ojciec nie zapragnął raz jeszcze spróbować dostać się do Niebios. Najemnik uświadomił sobie teraz, że został wykorzystany. Juris Khan bez wątpienia posłał córkę, by zaszczepiła takie idee w głowie łatwowiernego kapitana, wiedząc, że Kentril zrobi wszystko, by przekonać Vizjerei.

On i Tsin zostali zmanipulowani niczym marionetki, albo gorzej, nabrani jak ryby na wędkę. Wybrano odpowiednią przynętę, a potem już władca Ureh bez trudu nimi kierował.

– To całkiem zabawne - stwierdził stary monarcha. - Właśnie posłałem moją drogą córkę, żeby cię odnalazła, gdy ty przybyłeś w jej poszukiwaniu. Miałem zamiar zaczekać dłużej, nim rzucę to zaklęcie... ale moje dzieci nie mogły się doczekać, były tak głodne, że zostałem zmuszony do rzucenia zaklęcia już tej nocy.

Kentril spojrział na Tsina, by sprawdzić, czy ten usłyszał, do czego właśnie przyznał się ich gospodarz, ale niski, łysiejący czarodziej wydawał się zajęty przygotowywaniem zaklęcia. Vizjerei zaczął obchodzić podest i mrużyć zaklęcia, od których niektóre runy zaczynały świecić jaśniej. Władza* którą Juris Khan miał nad czarodziejem, wydawała się zaiste absolutna.

– Obiecałem im twoich ludzi, gdy po raz pierwszy ich ujrzeliśmy, ale do tego zadania potrzebowałem jednego z was. Potrzebowałem również jeszcze jednego czarodzieja, by wspomógł mnie w tym zadaniu, gdyż innych musiałem niestety poświęcić wiele lat temu.

– Gregus Mazi nigdy nie próbował zniszczyć Ureh, prawda?

Władca wyglądał na obrażonego.

– Zrobił coś jeszcze gorszego! Ośmielił się stwierdzić, że nie wiem, co robię, twierdził, że ja, Juris Khan, kochający władca dla wszystkich poddanych, przekląłem mój lud, zamiast go zbawić ! Czy potrafisz uwierzyć w taką bezczelność?

Kapitan Dumon potrafił w to uwierzyć, jak również w wiele innych rzeczy związanych z władcą. Teraz pojął to, na co wcześniej wszyscy byli ślepi. Pan Ureh zupełnie oszalał, a jego pragnienie dobra zostało wypaczone.

– Przyznaję, były chwile, gdy moja wiara słabła, ale gdy tak się działo, pojawiał się przy mnie archanioł, wzmacniał mą wolę i kierował mnie w

odpowiednią stronę. Bez jego wsparcia być może nigdy nie dotarłbym do celu.

Ten archanioł, o którym mówił Juris Khan, musiał być wytworem jego własnego umysłu - a jednak oto był człowiek, któremu niemal udało się dotrzeć do Niebios! Jakimże więc sposobem ten anioł mógł być wytworem umysłu? Tylko z pomocą jednego z nich śmiertelnik mógłby mieć nadzieję na osiągnięcie czegoś takiego.

- Ostrzegam cię o podstępnych działaniach mrocznych sił, które próbowały wpłynąć na ludzi wokół mnie, mówił, że nie mogę ufać nikomu poza sobą samym. Nawet ci, którzy pracowali razem ze mną, by osiągnąć cel, mogli zostać splamieni.... -Na twarzy Khana pojawiła się duma. - I tak wymyśliłem sposób, by upewnić się, że nikt nie będzie miał okazji mnie zdradzić w chwili, gdy dopełni się nasze przeznaczenie!

Gdy kapłani i czarodzieje zebrali się, by dopełnić zaklęcia, nie uświadamiali sobie, że ich pan wymyślił coś jeszcze. Władca Ureh w tajemnicy stworzył drugie zaklęcie, tak zagłębione w pierwszym, że żaden z jego podwładnych tego nie zauważył. Każdy nieświadomie pomagał mu w upewnieniu się, że nikt nie spróbuje zepsuć świętego zadania.

To, co Juris Khan umieścił w głównym zaklęciu, miało zabić każdego, kto mu pomagał.

Ich los został przypieczętowany w chwili, gdy rozpoczęli. Zaklęcie, które miało przenieść Ureh do Niebios, wykorzystywało nie tylko naturalne moce magiczne świata, ale też i siły rzucających.

- Wszystko zostało starannie zaplanowane, aż do najdrobniejszych szczegółów - ciągnął dalej ten, który uwięził Kentrila. -Czułem, jak dusza Ureh wznosi się ponad ziemską skorupę... a siły życiowe splamionych zostają wyssane z ich zdradzieckich dusz.

Nie docenił jednak jednego z nich, tego, na którego najbardziej powinien uważać. Gregus Mazi, zaufany doradca, traktowany przez starego władcy niczym syn, mądry i utalentowany czarodziej. Razem z kapłanem Tobio Mazi najbardziej przyczynił się do przełomu potrzebnego, by wielkie zaklęcie w ogóle stało się możliwe.

– Widziałem to w jego oczach. Zauważyłem, gdy zrozumiał, co zaklęcie chciało z nim zrobić. Nie wiedział, że to ja je zmieniłem, ale poznał wynik. W najbardziej kluczowym punkcie, w najważniejszym momencie, Gregus wyrwał się z matrycy, którą stworzyliśmy. Resztkami mocy wyrzucił się poza Ureh...

Ta instynktowna reakcja nie tylko uratowała Maziego. Stworzyła też pewną nierównowagę, która wyrwała Ureh ze świata śmiertelnych, ale miast przenieść je do Niebios, pozostawiła je w mrocznym, beczasowym limbo. Z pomocą pozostałych kapłanów i czarodziejów z Ureh Juris Khan mógłby to naprawić i zakończyć wędrówkę do Niebios, ale jego zaklęcie uczyniło z nimi to, czego nie udało mu się dokonać z Gregusem Mazim.

Jedynym wyjątkiem okazał się Tobio, który wyszedł ze wszystkiego niemal bez szwanku. W tej chwili lord Khan uznał, że kapłan został wybrany, by żyć, i był niezwykle zadowolony, że jego stary przyjaciel okazał się wierny. Razem z Tobio Juris Khan zaczął szukać możliwości opuszczenia beczasowego więzienia, ale wszystkie plany zawiodły. Ludzie zaczęli panikować, obawiając się, że na zawsze pozostaną w pułapce.

Juris Khan uniósł sztylet nad Kentrila i zaczął rysować niewidzialne wzory.

– I wtedy, w najczarniejszej godzinie - dodał z uśmiechem wdzięczności - archanioł znów przybył do mnie w snach. Jak już wiesz, nie mogłem odmienić tego, co się stało, ale mogłem przynajmniej mną pokierować i... co ważniejsze... pomóc mi w dopełnieniu przeznaczenia naszego ludu.

Archanioł pokazał mi, jak otworzyć swego rodzaju drzwi, pozwolić, by jego moc wpłynęła we mnie, by moje i jego życzenia się zmieszały... i stąd dotknęły moje dzieci.

Kiedy jednak Tobio dowiedział się o tym darze, okazał się zazdrosny - przynajmniej w oczach Khana. Sprzeciwił się staremu przyjacielowi, stwierdził, że nie jest on powiernikiem niebiańskich mocy, lecz został splamiony przez moce piekielne. Kapłan był nawet na tyle bezczelny, że spróbował powstrzymać swego pana, ale Juris Khan bez trudu przemógł nic nie rozumiejącego kapłana. Ze smutkiem w sercu uwięził Tobio w starych lochach, z nadzieją, że któregoś dnia kapłan otrząśnie się z grzesznych myśli i powróci do wiernych.

Nie powstrzymywany przez nikogo, lord Khan mógł teraz zająć się wypełnianiem wskazówek archanioła, tworząc zaklęcia, które miały pomóc zachować jego dzieci, podczas gdy on szukał trwalszego leku. Archanioł pokazał mu, jak uspokoić lud i otworzyć każdego z nich na subtelne działania innych aniołów, po jednym na każdego człowieka. Skłonił ufego władcę Ureh do wprowadzenia do stadka wiernych własnej córki, ukazania jej chwały archanioła i darów, które zyska, jeśli będzie pomagać ojcu i swemu ludowi.

Juris Khan cofnął sztylet znad piersi kapitana Dumona i wyciągnął rękę do Atanny. Rudowłosa księżniczka podeszła do ojca i pozwoliła, by otoczył ją ramieniem. Atanna uśmiechnęła się do Kentрила z miłością. W jej wzroku widział, że całkowicie wierzyła w świętość swego ojca.

- Była przestraszona, mój drogi kapitanie, przestraszona ponad wszelkie wyobrażenie, ponieważ nie rozumiała błogosławieństwa, jakie chciał jej dać. - Ojciec spojrzał z radością na swą kochającą córkę. - Musiałem być zdecydowany. Musiałem nalegać... mimo jej niechęci. Wymagało to wiele uporu, również ze strony archanioła, ale w końcu otwarła się na niego.

Na twarzy Atanny był wyraz zachwytu.

– Byłam taka dziecinna, mój kochany! Obawiałam się tego, co pragnął mi dać ojciec! Gdy archanioł wniknął we mnie, krzyknęłam, wyobrażasz sobie? Teraz wydaje mi się to takie głupie!

Dla najemnika, który widział, co to błogosławieństwo uczyniło z Atanną i jej ojcem, wcale nie wydawało się to głupie. Niezależnie od tego, co archanioł pragnął osiągnąć, rezultatem było plugastwo.

– Sądzę, że jestem już niemal gotów, panie - ogłosił nagle Quov Tsin. - Trzeba rzucić jeszcze kilka pomniejszych wzorców.

– Jestem wdzięczny, mistrzu czarodzieju. Bez twych wysiłków nigdy bym tego nie osiągnął.

Kentril próbował wykorzystać tę chwilę odwrócenia uwagi, by sprawdzić swoje ciało. Niestety, mimo rozlicznych zajęć Vizjerei i makabrycznych wspomnień Khana, czary wiążące kapitana ani trochę nie osłabły.

Atanna znów znalazła się u jego boku i pogłaskała go po czole. W zamierzeniu miało to być pocieszające, ale była to ta sama dłoń, która wcześniej została zmasakrowana. Szmaragdowe oczy błyszczały, ale nie mrugały.

– Sam uznasz, że to było głupie, drogi Kentrilu, gdy już będzie po wszystkim. Będziesz się zastanawiał, tak samo jak ja, dlaczego narobiłeś tyle hałasu.

Nie potrafił spojrzeć jej w oczy, gdyż wciąż doskonale pamiętał, jak wyglądała, kiedy wszedł do komnaty. Kapitan spojrzał za nią na Juris Khana, który najwyraźniej skończył z opowiadaniem i teraz chciał to samo zrobić z Kentrilem.

– Co stało się z Gregusem Mazim?

Uśmiech monarchy bynajmniej nie był przyjemny.

– Opowiedziałem wam o kluczach, ich stworzeniu i poprzednich próbach zatrzymania cienia, jak uczyniliśmy to z waszą pomocą. Mówiłem wam też, jak przybył Gregus, by znów nas zdradzić. W tym wszystkim nie skłamałem, dobry kapitanie. Nie powiedziałem wam tylko, że miał pomoc... oszukanego Tobio.

Gregus Mazi w tajemnicy powrócił do Ureh i dowiedział się o kryształach, jak to wcześniej opowiadał Khan, ale odnalazł też uwięzionego kapłana. Wykorzystując szaleństwo Tobio i udając, że w nie wierzy, czarodziej poinformował swojego nowego sojusznika, że muszą usunąć lub zniszczyć oba klucze, aby święte królestwo nie mogło pozostać w świecie śmiertelnych. Uznali, że ich szanse będą większe, jeśli każdy ruszy na poszukiwania innego kamienia. Wówczas, jeśli choć jednemu się uda, Ureh znów trafi do limbo.

Ale choć Gregus Mazi trafił do miasta nie dostrzeżony przez nikogo, gdy zaczął szukać Klucza Cieni, nie uszedł uwagi swego dawnego pana. Czarodziejowi prawie udało się ukraść kryształ, ale lord Khan pochwycił go na gorącym uczynku.

Rzeczywiście walczyli, lecz zdradziecki czarodziej nie wiedział o wielkich darach archanioła. Mazi został szybko pokonany, a Khan zmienił go w strażnika - tego samego, którego odkrył Kentril - by upewnić się, że taka zdrada się nie powtórzy. Nim tak się jednak stało, władca Ureh wyciągnął od swojego dawnego przyjaciela informację, że Tobio już wyruszył w stronę drugiego kryształu.

– Widzisz, mój drogi przyjacielu, Klucz Światła rzeczywiście został umieszczony na miejscu przez odważnych męczenników. Kiedy jednak dowiedziałem się od Gregusa, że Tobio wyruszył, by zniszczyć nasze nadzieje na uwolnienie, przyznaję, że wpadłem we wściekłość. Wzywając moce podarowane przez archanioła, przeniosłem się na zaciemioną stronę

szczytu i tam odnalazłem oszukanego kapłana próbującego wyrwać Klucz Światła z przeznaczonego mu miejsca. - Khan przerwał i przymknął oczy, najwyraźniej znów przeżywając żal. Gdy znów otworzył oczy, powiedział swojemu więźniowi - Nadal płaczę z powodu biednego Tobio, sprowadzonego na złą drogę przez Gregusa. Na jego śmierć nic nie mogłem poradzić. Dałem mu szansę, by naprawił błędy, wyrwał się z szaleństwa i powrócił ze mną do Ureh...

Nagle Kentril przypomniał sobie, co odkrył w twardej, zamrożonej ziemi na szczycie Nymyru.

- Ale on tego nie zrobił, prawda?

-Niestety nie. Miast tego głupi Tobio wyrwał klucz i wyszedł w pierwsze promienie słońca. Muszę przyznać, że zareagowałem bez chwili zastanowienia, ale wiedziałem tylko, że ukradł wolność moich dzieci.

Stara kość, którą kapitan Dumon znalazł, należała do kapłana, nie do jednego z tak zwanych ochotników. Ponieważ Tobio nie został zepsuty, mógł wyjść na słońce, ale nie uratowało go to przed gniewem Juris Khana. Całe szczęście kryształ spadł tam, gdzie nawet władca Ureh nie mógł go osiągnąć. Szaleństwo, które pochłonęło zacienione królestwo, zostało powstrzymane.

Do chwili, gdy pojawił się Kentril i jego ludzie.

- Nawet gdyby dobremu Tobio się nie powiodło i tak potrzebowałbym pomocy dobrego czarodzieja, jak nasz przyjaciel Quov Tsin - dokończył ojciec Atanny. - Ale byłoby to łatwiejsze, gdyby królestwo pozostało na miejscu, a nie pojawiało się tylko raz na kilka lat. - Uśmiech powrócił. - Ale kończmy! Czas się zbliża, a ja na pewno zanudziłem cię opowieściami o przeszłości. Teraz musimy przygotować się do przyszłości, gdy mój lud... moje dzieci... oświecony przez anioły i nie obawiający się słońca, będzie mógł wyjść między ludzi i przekazywać dalej słowa archanioła.

Ale Kentril widział te „dzieci” - potworne istoty, które teraz zamieszkiwały miasto. Duchy, które widzieli na początku, były tylko iluzjami maskującymi gorszą jeszcze ohydę. Khan zagrał na współczuciu kapitana najemników - i dlatego Dumon skazał swoich ludzi na straszliwą, potworną śmierć.

Jego wizje nie były tylko halucynacjami wywołanymi przez narkotyk złodzieja czy ukąszenie owada. Święte królestwo, Światło wśród światła, zostało zmienione w coś diabolicznego - demonicznego. Przez cały ten czas Juris Khan nim manipulował, szukając sposobu, by jego przerażający poddani mogli wyjść poza granice cienia, rozejść się po świecie...

A przez cały ten czas mówił o wspaniałym archaniele, niebiańskiej istocie, która przybyła, by zaprowadzić jego i jego tródkę do schronienia w Niebiosach. Kentril znów zaczął się zastanawiać, dlaczego wszystko okazało się tak straszliwe. Kiedy słowa archanioła zostały spaczone lub przemienione?

A może w ogóle nie było archanioła?

Lord Khan już zajął swoje miejsce, za nim podążyli Atanna i Quov Tsin. Monarcha uniósł sztylet i otworzył usta...

- Mój panie! - wyrzucił z siebie Kentril. - Jeszcze jedno pytanie, aby uspokoić mą duszę i pozwolić mi przyjąć chwałę, którą chcesz mnie obdarzyć! Czy... czy mogę zobaczyć, jak wyglądał wspaniały archanioł?

Vizjerei, który najwyraźniej bardzo chciał kontynuować, tylko prychnął, słysząc to pytanie, ale Juris Khan przyjął je z zadowoleniem, najwyraźniej wierząc, że wojownik chce zrozumieć.

- Ależ oczywiście, Kentrilu Dumonie! Jeśli ma to dla ciebie znaczenie, mogę spróbować ci go pokazać. Musisz oczywiście wiedzieć, że sięgam do pamięci, a to, co zobaczysz, choć wspaniałe, jest tylko bladym, ludzkim odbiciem istoty doskonałej w każdym aspekcie. W rzeczy samej, sam nigdy

nie widziałem go w pełni, ale który człowiek zniesie oślepiającą chwałę jednego ze strażników Niebios?

Władca Ureh oddał sztylet córce, uniósł wysoko ręce i wymruczał zaklęcie. Kentril zeszywniał, choć właściwie nie wiedział dlaczego. Lord Khan pokaże tylko obraz archanioła, nie prawdziwą istotę. Najemnik nie mógł oczekiwać pomocy od iluzji.

– Patrzcie! - zawołał Juris Khan, wskazując na miejsce wysoko nad podestem. - Patrzcie na wojownika prawdy, strażnika bastionu światłości, strażnika dobra, strzegącego nas wszystkich! Patrzcie na archanioła Mirakodusa, złotowłosego obrońcę ludzkości! Patrzcie na Mirakodusa, który ochronił Ureh przez złem pragnącym jego duszy!

Gdy jego słowa odbijały się echem od ścian komnaty, w powietrzu uformowała się postać. Atanna westchnęła z zachwytem, nawet zblazowany Tsing z szacunkiem opadł na jedno kolano. Juris Khan miał łzy w oczach i bezgłośnie wypowiadał podziękowania obrazowi tego, którego nazywał największym obrońcą swego ludu.

Kentril również spoglądał z podziwem. Wysoka postać anioła, odziana we wspaniałą zbroję z najczystszej platyny, ze skomplikowanymi runami i glifami zdobiącymi napierśnik, błyszczała jasno niczym słońce. W jednej ręce anioł trzymał miecz ognisty, a drugą wyciągał w stronę patrzącego, jakby zachęcał go do podejścia bliżej. Z ramion archanioła wyrastały trzaskające i wijące się promienie czystej energii magicznej, które tworzyły iluzję potężnych ognistych skrzydeł.

Rzeźby, wśród których dorastał najemnik, zawsze przedstawiały anioły jako zakapturzone postacie bez twarzy. Ta nie. Kaptur został odrzucony do tyłu, ukazując doskonałą twarz otoczoną przez złote loki. Kapitan Dumon z początku czuł się trochę winien, że w ogóle spogląda w niebiańską twarz Mirakodusa, jakby najemnik nie okazał się jeszcze godzien, by to zrobić.

Szeroka szczęka, wysokie policzki, niesamowicie władcza twarz - Kentril nie widział dokładnie każdej części twarzy z osobna, ale wrażenie ogólne sprawiło, że na chwilę oniemiał. Żaden człowiek nie mógł mieć nadziei na dorównanie takiemu pięknu, takiej doskonałości. Lordowi Khanowi udało się tylko naszkicować ziemski obraz Mirakodusa, ale nawet to wystarczyło, by pozbawić najemnika mowy.

Kentril spojrzął w oczy nieziemskiego stworzenia i poczuł, że podziw ustępuje miejsca zupełnie innemu uczuciu.

Te oczy go przyciągały, więziły. Nie rozpoznawał ich barwy, wiedział jedynie, że były ciemne, ciemniejsze od najgłębszej czerni. Kentril Dumon czuł, że Mirakodus, niczym straszliwy wir, wciąga jego duszę w bezdenną otchłań. Zaprzagnął krzyknąć, ale wizja pozwalała mu tylko w milczeniu cierpieć przerażenie. Kentrila opanowała bezrozumna panika, jakiej nie odczuwał nigdy w życiu. Próbował oderwać wzrok, ale te oczy nie pozwalały mu uciec.

Kapitan czuł, że oczy archanioła wciągają go coraz głębiej i głębiej w koszmar, którego nie potrafił pojąć, ale który wydawał mu się jednocześnie znajomy. Jego skóra oderwała się od ciała, a kości tańczyły swobodnie. Kentril czuł niekończące się cierpienia przeklętej duszy.

Coś w jego duszy, resztki rozumu lub jakaś rozpaczliwa nadzieja, sprawiły, że oderwał wzrok od górującej nad nim postaci. Gdy Kentril z trudem zebrał myśli, próbował znaleźć sens w tym, czego był świadkiem. Z zewnątrz posłaniec, strażnik Niebios, ale w środku, co podświadomie zauważał może nawet sam Juris Khan, coś, co z pewnością nie mogło mieć nic wspólnego z archaniołami i ich dziedziną. Za fasadą, której najwyraźniej nikt inny nie potrafił przejrzeć, kapitan Dumon rozpoznał potworną moc, istotę z prawdziwego zła.

Kentril mógł sobie wyobrazić tylko jedną istotę, która mogła wywołać taki strach, takie przerażenie. Imię to samo wyrwało się z ust wojownika, gdy na próżno próbował uciec przed iluzją lorda Khana.

– Diabło...

– Tak - powiedział ten, który go uwięził, z zauroczonym uśmiechem, najwyraźniej nieświadom, co właśnie krzyknął Kentril. - Mirakodus w takiej chwale, jaką jest w stanie pojąć ludzki umysł! - Obraz znikł nagle, gdy Juris Khan z radością klasnął w ręce. Władca Ureh uśmiechał się do wciąż otępiełego najemnika. - A teraz, gdy pokazałem ci cudowną prawdę, czy możemy zaczynać?



Zayl rozejrzał się po komnacie, do której tak rozpaczliwie pragnęli dotrzeć z Gorstem, gdzie, jak był pewien nekromanta, powinien znajdować się kapitan Dumon. Podeszedł do środka, niemal nie zauważając potężnego, pokrytego runami podestu, i spróbował uświadomić sobie, co poszło nie tak.

– Gdzie on jest? - spytał potężny najemnik, rozglądając się po komnacie.
- Powiedziałeś, że tu będzie.

– Powinien być. - Zayl znów sprawdził zaklęcie, ale wyniki były te same. Wszystko wskazywało, że tu właśnie przebywa kapitan.

Najwyraźniej jednak tak nie było.

Nekromanta odłożył medalion i sprawdził, co mówi mu sztylet. Niestety, nic nie zauważył.

Gorst chodził dookoła i zaglądał w każdy kąt, choćby najbardziej dziwny.

– Myślisz, że gdzieś tu są inne drzwi?

– Możliwe, ale mało prawdopodobne.

– Mogą być nad nami albo pod nami?

Rozsądne pytanie, ale nekromanta skoncentrował swoje zaklęcie poszukiwania, żeby uniknąć tego błędu. Zgodnie z jego wynikami ich towarzysz powinien być przed nimi.

Zayl na chwilę przymknął oczy i pozwolił zmysłom wyjść poza ciało. Nagle stał się bardziej świadom przerażających i dzikich mocy, które koncentrowały się właśnie wokół podestu tuż przed nim.

– Coś widzisz? - spytał z nadzieją Gorst.

– Nic, co wyjaśniłoby, gdzie poszło mi nie tak. Mam pewność, że on powinien tu być.

Olbrzymi wojownik rozważał to przez parę chwil, po czym zaproponował - Może Humbart coś pomoże.

Zayl sam powinien był o tym pomyśleć. Czaszka udowodniła już swoją wartość, jednak nekromanta wahał się. Jego nauczyciele zawsze podkreślali wagę niezależności, ale skoro narzędzie takie jak Humbart działało, czemu go nie wykorzystać?

Mag wyjął doczesne szczątki starego najemnika i pokazał Humbartowi komnatę. Czaszka wydawała ciche odgłosy, ale nie odezwała się.

– Nie widzę ani śladu po nim - ogłosił Humbart, gdy skończyli. - Prawdziwa zagadka!

– Nic nie widzisz?

– Och, widzę mnóstwo różnych rzeczy! Widzę cholerną plątaninę kolorów, wzorów, linii i kształtów, wirującą szaleńczo wokół tego tam kamienia. Widzę, że każda runa na tym czymś świeci jak piorun. Widzę wystarczająco śladów surowej, ziemskiej i nieziemskiej energii owijającej się wokół tego czegoś, bym pragnął znów mieć nogi, żeby móc wziąć je za pas. Ale nigdzie nie widzę kapitana Kentрила Dumona!

Nekromanta skrzywił się.

– W takim razie moje zaklęcie jednak się nie udało. Mimo mych wszelkich wysiłków posłało nas w złym kierunku.

– Zdarza się każdemu, chłopcze. Może spróbuj jeszcze raz?

– Próbowałem wiele razy. Efekty będą te same, gwarantuję ci.

To wcale nie ucieszyło Gorsta.

– Ale nie możemy się poddać! - ryknął olbrzym i walnął pięścią w stół, niemal przewracając stojącą obok półkę z okazami. - Ja nie mogę!

– Spokojnie, chłopcze! - powiedział Humbart.

Obawiając się, że rosnąca wściekłość olbrzyma może skończyć się powtórką katastrofy z pracowni Gregusa Maziego, czarodziej powiedział szybko - Nikt się nie poddaje, Gorst! Musimy się po prostu nad tym zastanowić. Coś tu jest nie tak, a ja muszę to dokładnie rozważyć.

Najemnik uciszył się. Zayl miał tylko nadzieję, że nie rzucił słów na wiatr. Nekromanta znów przyjrzał się poszczególnym częściom pracowni, próbując odnaleźć coś, co byłoby nie tak. Wpatrywał się w półki, stoły, kamienny podest, słoje pełne...

– Humbart, powiedz mi ponownie, co widzisz na podeście.

Czaszka zrobiła tak, opowiadając o szalejących mocach i oślepiająco jasnych runach. Opowiedziała o zebranej nad nim szalejącej energii, dzikiej i potwornej. Humbart Wessel opisał wir czarodziejskich mocy nad kamiennym podestem i w nim samym.

– Nic z tego nie widzę - stwierdził Gorst, gdy czaszka skończyła.

Nekromanta też nie, a bardzo go to interesowało. Wyczuwał moce, owszem, ale nie widział ich jak Humbart.

Z barwnego opisu czaszki wynikało, że z każdą mijającą chwilą moce coraz bardziej się ożywiały. Musiały się do czegoś przygotowywać, a Zayl mógł sobie tylko wyobrazić, że jest to coś przerażającego.

Odłożywszy Humbarta do sakiewki, nekromanta podszedł do podestu. Choć w runach nie widział życia, pozostało w nim uczucie, że w jakiś sposób są ważne, a gdy przeciągnął po nich palcem, mógłby przysiąc, że pulsują.

– Co to? - spytał Gorst.

– Nie wiem... ale muszę czegoś spróbować. - Przyjrząwszy się runom, Zayl dotknął trzech, które rozpoznawał. Wymruczał pod nosem zaklęcie, tworząc związek między sobą a tymi runami. Przez jego ciało popłynęła surowa moc, pozbawiając go oddechu.

Olbrzym ruszył w jego stronę, ale Zayl potrząsnął głową. Wciąż próbując utrzymać siły w równowadze, czarodziej wyjął sztylet. Ostrze błyszczało jasno, a gdy uniósł je nad podest, runy wyryte w kamieniu rozbłysły tysiącem barw, tworząc niemal oślepiający pokaz mocy.

– Niech prawda będzie znana! - krzyknął Zayl do sklepienia. - Niech opadnie maska!. Niech świat zostanie ukazany takim, jakim jest, a nasze oczy zostaną odsłonięte! *Hezar ky Brogdinas! Hezar ke Nurati! Hezar ky...*

Nagle nekromanta poczuł się przesunięty tak gwałtownie, że nie udało mu się utrzymać więzi. Cofnął się. Teraz widział całą komnatę podwójnie - a każda z wersji była zupełnie inna. W jednej znajdował się Zayl i Gorst, a w drugiej inna, ledwie widoczna scena z trzema postaciami stojącymi blisko niego.

Gdy Zayl cofnął się jeszcze bardziej, Gorst się przybliżył.

– Widzę go! Widzę...

Nie doszedł dalej. Komnata - i właściwie cała rzeczywistość - znów się zmieniła. Olbrzym opadł na jedno kolano, a nekromanta z trudem się przed tym powstrzymał.

Inna wizja otoczenia zaczęła blaknąć. Zayl przepchnął się do przodu, gdyż bardzo nie chciał jej utracić. Ledwo widoczne postacie najwyraźniej

nie zauważyły, co się wokół nich dzieje. Wydawały się zajęte czymś związanym z podestem. Jedna wyglądała jak Juris Khan, a druga miała włosy w kolorze takim jak jego córka. Najniższy z trójki przypominał Zaylowi Vizjerei, choć nekromanta nie miał pojęcia, co Quov Tsin mógł tam robić.

Zayl ułożył dłonie na dwóch runach i znów zaczął szeptać zaklęcie. Wezwał do siebie moce. Coś próbowało je odciągnąć, ale nekromanta wytrzymał, pewien, że inaczej wszystko skończy się katastrofą.

Znów wszystko się przesunęło. Dwie wersje zbliżyły się do siebie.

Na podeście pojawiła się trzecia postać, z rękami i nogami rozciągniętymi, jakby została związana.

Ten zaskakujący dodatek sprawił, że Zayl ponownie niemal się zdekoncentrował. Wszystko znów zaczęło blaknąć, ale udało mu się powstrzymać wizję przed zupełnym zniknięciem. Po raz trzeci Zayl wykrzyczał słowa zaklęcia, żądając, by wewnętrzne moce run były posłuszne jego władzy.

Postać uwięziona na podeście zarysowała się wyraźniej. Zayl rozpoznał Kentrila Dumona, który jeszcze go nie widział. Kapitan patrzył szeroko otwartymi oczami na coś nad nim, a twarz jego miała taki wyraz, że nekromanta sam musiał spojrzeć.

Nad nimi górował Juris Khan. Jego oczy rozszerzyły się z niecierpliwości. Jego dłoń zaczęła właśnie opadać w stronę piersi kapitana Dumona - a w dłoni tej dzierżył paskudne ostrze skierowane w serce najemnika.

DWADZIEŚCIA



Juris Khan stwierdził, że potrzebuje ciszy, by dokładnie rzucić zaklęcie i dlatego prosty czar uniemożliwił Kentrilowi dalsze protesty. Gospodarz nawet przeprosił uwięzionego i zapewnił go, że kiedy już wszystko się skończy, z pewnością mu to wynagrodzi.

Nim zaklęcie się zaczęło, Atanna podeszła do unieruchomionego najemnika, by pogłaskać jego czoło i delikatnie pocałować w usta. Teraz jej wargi wydawały się zimne i martwe, a oczy szklily się. Gdyby ktoś dawno temu powiedział najemnikowi, że perspektywa wiecznego życia z piękną księżniczką będzie go odrzucać, roześmiałyby mu się w twarz.

Teraz Kentril mógł się jedynie modlić o cud.

Quov Tsin nadal ignorował oczywiste i pomagał w wypełnianiu ohydneho planu. Vizjerei rozpoczął pierwszą część zaklęcia, wzywając moce zamknięte w runach i wiążąc je z surową magią unoszącą się wokół nich. Stojąca obok niego Atanna, z błogim uśmiechem na twarzy, szeptała słowa, które brzmiały jak wspólny wymawiany od tyłu. Rozłożyła szeroko ręce, jedną dłoń skierowała do Tsina, a drugą do ojca.

Lord Khan stał nad rozciągniętym Kentrilem z wysoko uniesionym sztyletem, najwyraźniej gotów do uderzenia. Monarcha błogosławionego Ureh mówił mieszanką zrozumiałych i niezrozumiałych zdań, co jeszcze bardziej przerażało więźnia.

– Krew to rzeka życia! - wykrzyknął w pewnym momencie w stronę sklepienia. - A my z wdzięcznością pijemy z tej rzeki! Krew to pokarm dla

serca... a serce to klucz do duszy! Dusza to przewodnik do Niebios... i przewodnik do nieśmiertelności...

Sztylet zbliżył się, po czym znów cofnął, gdy Khan zaczął mówić w jednym z tajemnych języków. Kentril chciał zemdleć, ale wiedział, że jeśli się temu podda, może nigdy się nie obudzić. Nie wiedział jeszcze, czy wolałby to od potwornej egzystencji, jaką mu oferowano. Jeśli jednak pozostanie przytomny, może mieć nadzieję, chociaż słabą, że jakoś uda mu się znaleźć sposób na uwolnienie się, nim będzie za późno.

Na razie nie widział jednak sposobu ucieczki. Kentril patrzył szeroko otwartymi oczami, jak Juris Khan w końcu pochyła się do przodu i unosi sztylet nad serce więźnia. Spojrzenie starszego mężczyzny mówiło najemnikowi, że tym razem ostrze wbije się w cel.

Kentril poczuł, jak unoszą się wokół niego migoczące pędy czystej energii, sprawiając, że wszystkie mięśnie jego ciała zaczęły sztywnieć. Quov Tsin kierował pędami, z których lord Khan wydawał się czerpać siłę.

– Wielki sługo Niebios, archaniele Mirakodusie, usłysz swego pokornego sługę! Krew, siedziba duszy, otwiera drogę do prawdziwego świata! Niech twa moc nas kieruje! Niech moc Niebios odczyni to, co zostało uczynione! Rozwiąż więzy cienia! Niech słońce nie zabija twych dzieci! Pozwól, by Ureh powróciło do świata śmiertelnych, a wyjdą z Ureh twe dzieci i sprawią, by wszyscy mężczyźni i kobiety poznali twą prawdę!

Wszystko to brzmiało wariacko, ale Kentril nie mógł zrobić nic, by przerwać rytuał.

– Błogosławiony Mirakodusie, tą krwią ja, Juris Khan, błagam cię pokornie o tę łaskę!

Sztylet opadł...

Nagle znikąd pojawiła się ręka i chwyciła kapitana Dumona za prawe ramię. Kentril nie zwrócił na to większej uwagi, myśląc, że to Quov Tsin

chciał się upewnić, iż najemnik jakimś sposobem nie zmieni pozycji. Kentril zamknął oczy i czekał na cierpienie, na pustkę śmierci...

– Kapitanie, musisz szybko się ruszyć! Obawiam się, że nie mamy czasu!

Gwałtownie otworzył oczy.

– Zayl?

Nekromanta pochylił się nad nim i szczupłą dłonią chwycił go za prawe ramię. Z tyłu spoglądał na nich Gorst, a wyraz jego twarzy wahał się między ulgą a niedowierzaniem.

– Co... - zaczął, dopiero po chwili uświadamiając sobie, że powróciła mu mowa.

Nekromanta przerwał mu.

– Pospiesz się! W każdej chwili może sobie uświadomić, że przejąłem jego zaklęcie. Do tego czasu muszę nas stąd wydostać!

Zayl wziął sztylet i szybko przeciągnął nim nad każdą kończyną najemnika. Gdy to zrobił, Kentril poczuł, że znów może się poruszać. Nie potrzebował dalszych zachęt ze strony czarodzieja, by zeskoczyć z podestu.

– Muszę czegoś spróbować - stwierdził Zayl. - Mam tyle źródeł mocy do wykorzystania, że powinno się udać. To może być nasza jedyna szansa!

Kentrilowi nie podobała się myśl, że będzie tak sobie stał i miał nadzieję, że nekromanta ich uratuje.

– Czy możemy coś zrobić?

– Owszem. Gorst, daj broń kapitanowi. Wy dwaj musicie mnie chronić na wypadek, gdyby nasz szacowny gospodarz uświadomił sobie, co teraz robię.

Kentril wziął miecz, który podał mu drugi najemnik. W tej samej chwili uświadomił sobie, że Zayl oczekuje, iż Juris Khan w każdej chwili może powrócić z miejsca, w którym właśnie przebywa. Dwa najemnicy stali na

straży, gdy nekromanta pospiesznie rysował skomplikowany wzór nad runami,

– To powinno wystarczyć - stwierdził nagle Zayl. Bez słowa wyjaśnienia wskazał sztyletem najpierw na siebie, potem na każdego z towarzyszy.

Kentril poczuł się niezwykle lekki, zupełnie jakby stracił cały ciężar. Najemnik spodziewał się nawet, że zacznie latać niczym chmurka. Otworzył usta, by spytać się, co planuje nekromanta...

Komnata znikła.

Wokół nich zmaterializował się wietrzny górski grzbiet. Pierwszą reakcją Kentrila na tak gwałtowną zmianę było jak najszybsze przytulenie się do skał.

Zayl przeniósł ich na najbardziej strome zbocze Nymyru.

Wiatr wył złowrogo, słyszeli też grzmoty. Gdy Kentril uniósł wzrok, ujrzał, że niebo się zmieniło. Powróciły koszmarnie barwy z jego wizji. Szybko spojrzał w dół, na Ureh, lecz ujrzał tylko kilka światełek. Kapitan Dumon mógł sobie wyobrazić sceny w mieście, demonicznych mieszkańców niegdyś świętego królestwa odartych z wszelkich iluzji bycia ludźmi.

– Nie tu chciałem nas posłać - mruknął Zayl, a na jego twarzy malowała się frustracja. - Z mocą zabraną z run powinienem być być w stanie przenieść nas gdzieś poza granice cienia.

Kentril przypomniał sobie obraz fałszywego archanioła.

– Może tak nie wolno. Może z Ureh nie ma ucieczki.

Nekromanta przyjrzał mu się uważnie.

– Kapitanie, co robił Juris Khan, gdy się pojawiłem?

– Mówił, że chce rzucić zaklęcie zapewniające, że Ureh pozostanie w świecie śmiertelnych, co pozwoli jego dzieciom wyjść na świat. - Kentril odetchnął głęboko i szybko opowiedział to, co uznał za ważne. Opisał

szaleństwo monarchy, trans Quova Tsina, straszliwy wypadek z udziałem Atanny i odkrycie, że archanioł lorda Khana bynajmniej nie został posłany przez Niebiosy.

– To wszystko zaczyna się ładnie układać, choć nie w sposób, który by mnie pocieszał - zauważył Zayl, gdy Kentril skończył. -Sądzę, że rozumiem. Przyjaciele, myślę, że Juris Khan niemal posłał swój lud nie do schronienia w Niebiosach... lecz prawie skazał go na Piekło.

Te wieści nie zaskoczyły kapitana Dumona tak bardzo, jak stałoby się to wcześniej. Taka odpowiedź wyjaśniała wiele z tego, co im się przytrafiło i z pewnością pasowała do tego, co czuł, patrząc w oczy stworzonego przez Khana obrazu tajemniczego archanioła.

Zayl ostrożnie rozejrzał się dookoła, jakby oczekiwał, że ktoś może go podsłuchać na tej odległej grani.

– Oto, co myślę. W czasach, gdy Ureh wznosiło się ponad innymi miastami jako symbol czystości, trwało coś, co czarodzieje i kapłani zważyli Wojną Grzechu. Niewiele wiadomo o jej prawdziwej postaci, ale moce ciemności były wówczas najaktywniejsze i miejsce takie jak święte królestwo cierpiało z powodu rozlicznych, podstępnych ataków. Niektóre znane przez was legendy sugerują coś takiego, ale żadna nie wyjaśnia, jak bardzo było to niebezpieczne dla świata śmiertelnych.

– Demony zaatakowały Ureh? - spytał Gorst, a ta potworna wizja sprawiła, że zmarszczył czoło.

– Nie jako armia, lecz raczej siły próbujące zepsuć jego mieszkańców. Pokolenia władców pracowały bez ustanku, by nie dopuścić do zepsucia i ochronić niewinnych przed Mroczną Trójcą... - Nekromanta nagle ukląkł i zaczął sztyletem rysować symbole na skałach. - Wybaczcie mi. Podczas wyjaśniania muszę pracować, bo inaczej będziemy zgubieni...

– Co robisz?

– Zapewniam nam ochronę przed wzrokiem naszego gospodarza. .. taką przynajmniej mam nadzieję, kapitanie.

Narysował ogromny okrąg, zaś w jego środku umieścił kilka run. Choć ostry wiatr najwyraźniej nie działał na nekromantę, obaj najemnicy musieli przyciskać się do zbocza góry, żeby poczuć się choć trochę bezpieczniej.

– Twoja opowieść wypełnia wiele luk w mojej - kontynuował Zayl. - Obawiam się, że choć Juris Khan tak dokładnie strzegł swej trzódki, sam nie zauważył wilka. Wierzę, że, tak jak opowiadałeś, coś przyjmującego postać wojownika Niebios przekonało dobrego władcę, iż to, co robi, jest najlepsze dla Ureh. Tak samo jak ty wierzę, że mógł być to nawet sam Diabło!

– Ale to przecież niemożliwe! - sprzeciwił się Kentril, gdyż nie chciał uwierzyć, że widział prawdę. - To byłaby przesada!

– Wcale nie. Ureh było najwspanialszym ze wszystkich łupów. Wymagało wysiłków największych z demonów. Tak, kapitanie, sądzę, że Diabło przybył w postaci, którą opisałeś, skaził lorda Khana, czego ten nawet nie zauważył, a potem zmieniał wszystkie jego dobre pragnienia w coraz większe zło. Zamiast do Niebios, posłałby ich do Piekieł i tylko interwencja Gregusa Maziego temu zapobiegła. Niestety, nawet limbo nie mogło ich chronić na zawsze.

Jak podejrzewał czarodziej, Diabło jeszcze raz dotknął umysłu swego pionka. Powoli zmusił Juris Khana do oddania swego ludu i córki władcy demonów. Ureh stało się koszmarem, a ci, którzy się sprzeciwiali, zostali złożeni w ofierze lub skończyli jeszcze gorzej.

Ale Pan Grozy nie był jeszcze zadowolony. Może wpadł na ten pomysł, gdy Ureh po raz pierwszy na chwilę powróciło do świata śmiertelnych. Może wówczas Diabło zobaczył możliwość stworzenia prawdziwej bramy,

przez którą jego hordy mogłyby wylać się na świat, nie powstrzymywane przez żadne bariery.

– Ale by tego dokonać, Diabło potrzebował krwi, nieskażonej krwi. Niestety Juris Khan w swym szaleństwie zabił wszystkich czarodziejów. Potrzebował kogoś do pomocy, kogoś posiadającego odpowiednią wiedzę i umiejętności. Przypadkiem lub nie, wy dostarczyliście mu obu składników.

– Ale ty mnie uratowałeś. Powstrzymaliśmy go.

Zayl podniósł się, a jego poważne spojrzenie zetknęło się ze spojrzeniem kapitana.

– Naprawdę? Gdy w końcu cię odnaleźliśmy, zakłęcie wydawało się dosyć zaawansowane.

– Ale on nie utoczył ani kropli mojej krwi.

Nekromanta pokiwał głową, lecz to stwierdzenie najwyraźniej go nie uspokajało.

– Wciąż ma mistrza Tsina.

Kentril ze zdziwienia otworzył usta. Tsin stał się marionetką lorda Khana, ale podobnie jak najemnicy nie został dotknięty przez pierwsze zakłęcie rzucone na Ureh ani przez następujące po nim zepsucie.

– Czy to możliwe? Nie będą go potrzebować do ukończenia pracy?

– Vizjerei pomógł im w związaniu mocy, których potrzebowali. Owszem, byłoby to ryzykowane, ale sądzę, że nasz gospodarz i jego prawdziwy pan są do tego zdolni. Jeśli będzie to konieczne, krew Tsina wystarczy.

W takim razie, choć Kentril został uratowany, on i jego towarzysze nadal ponosili klęskę. Pozostawiali za sobą królestwo opanowane przez demona, które już niedługo nie będzie uwięzione w cieniu góry.

A gdy tak się stanie, koszmary, które prześladowały Kentrila, opanują cały świat.

– Nie...

– Masz rację - zgodził się blady mężczyzna. - Ja sądzę jednak, że istnieje jeszcze szansa na zapobieżenie tym przerażającym rzeczom, na zapewnienie Ureh wiecznego spokoju, jak to powinno stać się już dawno.

– Ale jak? Jeśli krew Tsina została już przelana, czy to nie znaczy, że miasto znów jest częścią naszego świata?

– Aby zadziałać, zaklęcie musi zostać związane z dwoma kluczami. Podejrzewam, że oba muszą znajdować się na swoim miejscu, kiedy słońce dotknie tego na szczycie. Dopiero wówczas zaklęcie krwi zwiąże się z ciemnością i światłem i pozwoli tym w Ureh swobodnie wyjść poza obręb cienia.

Gorst powiedział to samo prostszymi słowami.

– Jeśli kamienie pozostaną na miejscu, demony będą wolne. Jeśli nie, Ureh zmieni się w ruiny.

– Zgadza się... ale jeśli do tego dojdzie, tym razem zostanie tak na zawsze.

Kentril miał już jasny obraz sytuacji.

– Wykorzystaj swoją magię, żeby przenieść nas w pobliże jednego z kluczy. Rozbijemy go i będzie po wszystkim.

– Obawiam się, kapitanie, że byłoby to niemądre. Próbowałem odesłać nas do waszego starego obozu, tuż za granicą cienia, a... - rozłożył szeroko ręce - ...widzisz, gdzie wylądowaliśmy.

– Co w takim razie robimy?

Zayl bawił się nożem.

– Zastanawiam się nad wykorzystaniem resztek mocy ukradzionych z run, żeby przenieść nas chociaż kawałek dalej. Sądzę, że mogę przenieść ciebie i Gorsta wystarczająco blisko Klucza Światła, żebyście mieli jakąś szansę. Ja tymczasem zejdem do Klucza Cienia. Jednemu z nas może się

udać. Tyle wystarczy, by nie pozwolić temu koszmarowi na wyjście poza Ureh.

Ten plan już jednak wypróbowano, a Gregusowi Maziemu i kapłanowi Tobio się nie powiodło. Kentril wspomniał o tym.

Nekromanta jednak miał gotową odpowiedź. Z ponurym uśmiechem wyjaśnił - Ja będę o wiele bardziej widoczny. Podejrzewam, że ze względu na moje umiejętności Juris Khan uzna mnie za większe zagrożenie. Poza tym będzie miał wszelkie powody, by przypuszczać, że podróżujemy razem.

- Iluzja? - Kentril nie wierzył, że Khan nabierze się na tak proste zaklęcie.

- Nie całkiem. Kapitanie... mogę prosić o kroplę krwi?

Po tym, jak prawie utracił jej całkiem sporo, najemnika zdziwiło takie pytanie. Czuł jednak, że może zaufać Zaylowi, zwłaszcza w takiej sytuacji. Ten człowiek uratował mu życie.

Kentril wyciągnął dłoń, wnętrzem do góry.

Nekromanta pokiwał głową wyciągnął ostrze do przodu, w tym samym czasie mówiąc - Ty też, Gorst.

Olbrzym wysłuchał go bez wahania, zapewne ośmielony decyzją Kentрила. Zayl nakłuł palec każdego z mężczyzn i kazał im odwrócić dłoń wierzchem do góry.

Krople krwi splamiły górski grzbiet. Odziany na czarno czarodziej poczekał, aż każdy z wojowników stracił trzy krople, po czym kazał im się cofnąć.

Szeptał przez kilka sekund, przeciągając dłonią nad skrwawionymi miejscami. Wówczas, ku zdziwieniu obu najemników, Zayl nakłuł swój własny palec i pozwolił, by na każde miejsce spadły po trzy krople jego krwi.

– W innych warunkach rzuciłbym to w zupełnie inny sposób -stwierdził.
- Ale teraz musi wystarczyć to.

Znów wymruczał coś pod nosem. Kentril widział wysiłek na jego twarzy i zrozumiał, że to, co Zayl próbował osiągnąć, sprzeciwiało się wszystkiemu, czego go nauczono.

Nagle ziemia przed kapitanem zaczęła się unosić. Z początku tylko o kilka cali, potem bardziej i bardziej, po minucie wybrzuszenie sięgało kapitanowi do pasa i nadal rosło. Z każdą chwilą nabierało też coraz bardziej konkretnego kształtu. Z boków wyrosły ramiona, z ramion pojedyncze palce, a potem dłonie.

Wkrótce po pierwszym wybrzuszeniu zaczęło się podnosić drugie. To rosło jeszcze szybciej i wkrótce stało się tak wysokie jak Gorst. W rzeczy samej, im bardziej się mu Kentril przyglądał, tym bardziej upodabniało się do olbrzyma. Powstały nogi, potem zarys torsu. Pojawiła się nawet bujna czupryna.

I tak oto na oczach zadziwionych wojowników powstali ich bliźniacy.

Nowy Kentril i nowy Gorst stali nieruchomo niczym kamienie, z których się narodzili. Tylko ich oczy mrugały, ale robiły to w regularnych odstępach czasu, nie przypadkowo, jak u ludzi.

– Odmiana zaklęcia stworzenia golema - powiedział Zayl przyjaciółom. - W takich warunkach nie powinno się tego wypróbować, ale się udało.

Patrząc w swoją własną twarz, Kentril spytał - Mogą mówić?

– Nie mają własnych umysłów. Mogą wykonywać podstawowe czynności, takie jak chodzenie i, do pewnego stopnia, walka, ale nic więcej. Myślę jednak, że to wystarczy, by skierować spojrzenie Juris Khana na mnie, nim dotrzecie do Klucza Światła.

– Zayl, robisz z siebie przynętę... i to z gatunku tych, które nie przeżywają polowania!

Wyraz twarzy nekromanty nie zmienił się.

– To daje nam największe szanse, kapitanie.

Był wyraźnie zdecydowany, by nie dać się przekonać, a Kentril w rzeczy samej nie był w stanie wymyślić lepszego rozwiązania. W walce przeciwko Khanowi Zayl miał większe szanse niż nie znający się na magii wojownicy.

– Wystarczająco długo tu siedzimy - ciągnął dalej Zayl. - Muszę was odesłać, nim w końcu odkryje, gdzie jesteście. Podejrzewam, że udało nam się uniknąć początkowej pogoni tylko dlatego, że nie wylądowaliśmy tam, gdzie chciałem.

Po raz kolejny nekromanta skoncentrował się na dwóch wojownikach. Kentril stanął obok Gorsta i próbował się przygotować do magicznej podróży. To, że ostatnia próba Zayla poszła nie tak, wcale go nie pocieszało. Równie dobrze mogli przecież skończyć, zwisając z najwyższej wieży pałacu Khana.

– Niech smok was strzeże - powiedział cicho nekromanta.

Zayl i góra zniknęli.



Juris Khan wpatrywał się w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą leżał Kentril Dumon, wpatrywał się z mieszaniną złości i rozczarowania. Musiał być temu winien ten mroczny czarodziej, ohydny nekromanta, którego zmuszony był przyjąć, by utrzymać pozory. Martwiło go, że w ogóle musiał wpuścić do ukochanego miasta kogoś zajmującego się magią trupów, ale nawet zmuszał się do uśmiechu, gdy widział Zayla.

I oto jak nekromanta mu odpłacił.

– Co, na płomień? - wybuchnął Quov Tsin. - Co się stało?

– Nieporozumienie - odrzekł Juris Khan. - Głupie nieporozumienie.

Na twarzy Atanny widać było głębokie rozczarowanie, co jeszcze zwiększało wściekłość władcy Ureh na nieczystego Zayla.

– Mój Kentril! - krzyknęła. - Ojczy! Mój Kentril!

Uspokajająco położył dłoń na jej miękkim ramieniu.

– Uspokój się, ukochana córko. Dobry kapitan wróci do nas. Być może będziemy musieli wykonać inny rytuał, by przygotować go dla ciebie, ale nie martw się, tak się stanie.

– Ale co z nim się stało? - spytał ostro Vizjerei. - Gdzie się podział?

– Wygląda na to, że nie doceniłem tego Zayla. Nekromanta nie tylko przejrzał zaklęcie przeniesienia, które dawno temu rzuciłem na tę komnatę, ale wykorzystał je, sięgając z innej rzeczywistości do tej i zabierając ze sobą kapitana.

– Ale co z zaklęciem? Co z nim?

Lord Khan popatrzył z namysłem na czarodzieja, ale odezwał się do córki.

– Tak, co z nim? Moja droga Atanno, czy nasza praca została całkiem zniszczona?

– Oczywiście, że nie, ojczy! Nigdy bym cię tak nie zawiodła. Jak możesz w ogóle się o to pytać?

– Oczywiście, oczywiście! Przyjmij me przeprosiny, Atanno. - Zaśmiał się lekko i zbliżył na odległość ramienia do Quova Tsina. - I ty też, mistrzu Tsinie.

Niewysoki czarodziej zmrużył oczy.

– Przeprosiny? Za co, mój panie?

– Za to, co teraz muszę zrobić. - Juris Khan z zadziwiającą siłą chwycił niskiego Vizjerei i rzucił go na podest.

– Mój panie...

– Wiedz, że twa ofiara pozwoli moim dzieciom dotrzeć do każdej krainy i ukazać drogę do Niebios temu złemu światu!

Usta Tsina otworzyły się w przygotowaniu do zaklęcia. Każda runa na jego szacie zabłysła pomarańczowo. Stary czarodziej próbował nawet odepchnąć Khana swoimi chudymi ramionami.

Nic jednak nie pomogło mu w starciu z mocą, jaką posiadał Juris Khan. Z modlitwą do wielkiego archanioła Mirakodusa na ustach, lord Khan wbił sztylet w kościstą pierś Vizjerei.

Tsinowi oczy wyszły na wierzch. Próbował złapać oddech, ale mu się to nie udało. Jego dłonie zsunęły się z szaty monarchy i zwisły bezwładnie.

Krew wypłynęła z głębokiej rany, ściekła po szacie i w końcu dotarła na podest.

Z ciała Quova Tsina wystrzeliła błyskawica, zmuszając lorda Khana do cofnięcia się. Pojawiły się kolejne błyskawice i nad ciałem rozpętało się isticie epickie starcie mocy.

Władca świętego miasta opadł błagalnie na kolano.

– Wielki Mirakodusie, wysłuchaj mych pokornych błagań! Niech świat Śmiertelnych znów będzie naszym światem!

Przez cały pałac przeszedł wstrząs, ale to wcale nie przstraszyło Juris Khana; Władca Ureh poczuł się oddzielony i przez chwilę widział setki różnych wersji swego otoczenia. Te zaczęły się zlewać i w końcu złączyły w tą, którą znał najlepiej.

Zaklęcie się udało. Ciało i dusza Ureh znów zostały połączone. Światło wśród światła znów płonęło jasno w świecie śmiertelnych...

Aby wszystko się dopełniło, potrzebował tylko słońca, które już niedługo miało wstać. Gdy jego promienie dotkną klucza na szczycie Nymyru, zaklęcie zostanie przypieczętowane, usunie ostatnią przeszkodę...

Ale nie... istniała jeszcze jedna przeszkoda, gdyż nekromanta z pewnością spróbuje go powstrzymać. Z pewnością skazony przekona swoich przyjaciół, by spróbowali ukraść lub zniszczyć kamienie, jak to Gregus Mazi zrobił z biednym Tobio.

Zayl musi zostać usunięty. Bez niego Kentril powróci do wiernej trzódki. Olbrzym Gorst wydawał się niewinny, ale jeśli nie uda się go przywrócić na drogę światłości, wówczas Khan będzie musiał i jego usunąć.

– *Shakarak!*

Pojawiła się przed nim ognista kula. Khan wyszeptał kolejne słowo mocy i środek płonącej sfery stał się przezroczysty. Pojawiła się w nim twarz Zayla.

– *Shakarog!*

Obraz cofnął się, ukazując całego nekromantę i jego otoczenie. Juris Khan z odrazą wpatrywał się w bladą postać. Ciało niemal pozbawione kolorów, ubrany w szaty prawie tak czarne jak jego serce. Prawdziwe narzędzie Piekieł, nie Niebios. Archanioł natychmiast rozkazałby go zniszczyć dla dobra wszystkich.

Obok Zayla pojawiła się kolejna postać.

Kapitan Kentril Dumon.

– Aha - wyszeptał do siebie. - W przeciwieństwie do Gregusa i Tobio, ci postanowili podróżować razem, żeby skoncentrować swoje wysiłki. Szkoda, że nic im to nie da.

Atanna stanęła przy nim, wyciągając delikatną dłoń w stronę kapitana najemników.

– Kentril - zagruchała.

– Przyprawdzą go tu dla ciebie, moja droga. - Nie dodał, że zrobi to, jeśli zabicie go nie okaże się koniecznością. Zaklęcie, które zapewniłoby jego córce idealnego partnera, już nie mogło zostać rzucone, a choć lord

Khan obiecaj jej kapitanu Dumona, coraz lepiej uświadamiał sobie, jak trudne może się to okazać.

Mimo to spróbuje... ale najpierw musi odwrócić jej uwagę, gdyby chciała pójść z nim. Nie będzie dla niej przyjemne, jeśli ujrzy śmierć kapitanu, gdyby okazało się to konieczne.

– Atanno, kochana, nigdzie nie widzę tego wielkiego, tego imieniem Gorst. Musisz dopilnować Klucza Światła, upewnić się, że on nie wejdzie na górę i nie spróbuje go przed świtem zabrać. Zrozumiałaś?

Całe szczęście nie słyszała, co mówił o grupie idącej razem, ani też nie widziała, jak on przez chwilę, że olbrzym podąża za dowódcą.

– Ale ja chcę do Kentrila...

– Będzie tylko jeszcze bardziej zagubiony, może sobie nawet zrobić krzywdę. Wiesz, jaki był rozdarty. Nekromanta na pewno naopowiadał mu rozmaitych kłamstw.

Atanna wyraźnie nadal chciała iść, ale i tak pokiwała głową.

– Dobrze, ojcze...

– Cudownie! - Przytulił ją i pocałował w czoło. - Teraz ruszaj. Wkrótce to wszystko wyprostujemy, a dobry kapitan Dumon znów będzie twój.

– Jak sobie życzysz. - Uśmiechnęła się, pocałowała go w policzek i znikła.

Wszelkie grzeczności znikły razem z córką. Juris Khan ponuro popatrzył na postacie schodzące coraz niżej w stronę Klucza Cienia. Tym grzesznym czynem skazali się na potępienie, podobnie jak Gregus. Będzie musiał ich zgnieść, nawet ukochanego Atanny, jeśli okaże się to konieczne. Ich złe czyny nie mogą ujść bezkarnie.

Mimo to przyzwoitość nakazywała mu modlić się za grzeszników, gdy przygotowywał się do zabicia ich. Podobnie jak w wypadku Gregusa i

Tobio, Juris Khan wyszeptał kilka słów i zakończył zdaniem, które zawsze przynosiło mu pocieszenie.

– Oby archanioł Mirakodus wziął wasze dusze.

Potem z pełnym zadowolenia uśmiechem odszedł, by posłać całą trójkę do miejsca ostatecznej nagrody.

DWADZIEŚCIA JEDEN



Wykorzystując ostatek mocy zabranej z pracowni Juris Khana, Zayl posłał siebie i golemu do tej samej jaskini, w której został uwięziony. Nekromanta nie ważył się wykorzystać innego, podobnego zaklęcia, gdyż taka magia była w najlepszym wypadku ryzykowna i w tych warunkach bardziej mogła zaszkodzić niż pomóc. Od tego miejsca będzie musiał poruszać się tylko z pomocą zaklęć, które dobrze znał, niezależnie od tego, jak bardzo go to będzie ograniczać.

Tak naprawdę nekromanta nie spodziewał się dotrzeć do celu bez przeszkód - a nawet w ogóle do niego dotrzeć. Kapitan Dumon domyślił się prawdy - Zayl miał szczerzy zamiar poświęcić się, gdyby oznaczało to, że dwaj najemnicy dotrą do celu. Wystarczy, że przed wschodem słońca zostanie usunięty jeden klucz, a ten na szczycie Nymyru był równie dobry.

Zayl zrobił wszystko, by przyciągnąć uwagę wroga, pozostawiając magiczne ślady, które każdy kompetentny czarodziej był w stanie zauważyć, nie mówiąc już o podążaniu za nimi. To samo w sobie mogłoby nie wystarczyć, ale dwaj towarzysze nekromanty z pewnością minimalizowali szanse, że Khan spojrzy gdzie indziej. Władca Ureh z pewnością poszuka swych ofiar, zaczynając od tak łatwej do wykrycia magii Zayla, a potem, przy pomocy swej sztuki, odkryje, że wyznawca Rathmy nie wędruje sam.

Pozostali dwaj posłusznie podążali za nim, niemal jak szczenięta za matką. Twarze mieli zdecydowane, ale tylko dlatego, że Zayl tak zażądał.

Nie byłoby dobrze, gdyby Juris Khan przybył i ujrzał, że dwaj wojownicy patrzą się prosto przed siebie jak dwa bezmyślne zombie. Prawda wyszłaby na jaw zbyt wcześnie. Każda dodatkowa sekunda oznaczała większą szansę powodzenia dla kapitana i jego towarzysza.

Z pomocą prowizorycznego odpowiednika jego starej liny, szybko zeszli głębiej do wnętrza góry. Nekromanta schodził jako pierwszy, pokazując golemom, jak należy to robić. Ponieważ były związane z jego krwią, dokładnie powtarzały zachowanie mężczyzny. Jedynym niebezpieczeństwem poza' ich przeciwnikiem pozostawała konieczność samodzielnego działania. Gdyby musiały to robić same, ryzykowałyby upadkiem i roztrzaskaniem się.

– Jesteś tego pewien? - spytał Humbart. - Może ruszył za nimi?

Zayl już wcześniej rozważał taką możliwość, ale wolał nie rozmawiać o tak katastrofalnym rozwoju sytuacji.

– Z pewnością najpierw zabrały się za mnie, gdyż ze względu na moje umiejętności uważa mnie za największe zagrożenie. To byłoby logiczne.

– Ano, ale logika może nie mieć z tym zbyt wiele wspólnego, co?

– Pozostaje nam tylko mieć nadzieję.

Czaszka nie odpowiedziała, co samo w sobie było odpowiedzią.

Im głębiej schodzili, tym bardziej Zayl się martwił. Czy lord Khan zignorował oczywiste i odkrył najemników? Czy od razu odkrył pomysł nekromanty z golemami? Pytanie za pytaniem, troska za troską dręczyły Zayla jak nigdy wcześniej.

W końcu dotarli do poziomu, gdzie znajdował się zaczarowany kryształ. Trzymając sztylet w gotowości, Zayl kierował golemami. Konstrukty miały taką samą broń jak ludzie, których udawały, zrobioną z tego samego kamienia, co ich ciała. Czarodziej nie wiedział, jak długo taki oręż

wytrzyma w walce. Znów miał tylko nadzieję na opóźnienie, które pozwoli pozostałym wypełnić misję.

Byli coraz bliżej i nadal nic im nie przeszkadzało. Lekkie skrzywienie warg Zayla, które pojawiło się na początku, pogłębiało się z każdym krokiem. Nekromanta już zauważał szczególny blask emanujący z Klucza Cienia. Tak blisko i nadal ani śladu pościgu. Czyżby to nekromancie miało się udać, podczas gdy najemnicy zapłacą najwyższą cenę?

Zatrzymał się. Po chwili namysłu wskazał, by golem Gorsta zajął pozycję na przedzie.

Potężna postać zrobiła krok do przodu. Trzymała topór w taki sam sposób, jak zrobiłby to prawdziwy Gorst. Każdy ruch był ruchem wojownika i świadczył o tym, jak dobrze udało się szybkie zakłęcie nekromanty.

Fałszywy Gorst wszedł w krawędź niepokojącego światła klucza. Przygotował broń.

Nic się nie stało. Golem odwrócił się do Zayla, oczekując na rozkazy.

Nad konstruktem zmaterializowała się wyjąca postać i rzuciła się na niego.

Nekromanta nigdy nie widział tego rodzaju demonicznych postaci, ale po opisie kapitana Dumona poznał, że to jedna z potwornych istot, w jakie zamienili się niegdyś pobożni mieszkańcy Ureh. Sucha skorupa ciała, otwarte, okrągłe usta pełne ostrych zębów, bezduszne czarne dziury w miejscu, gdzie powinny być oczy - choć Zayl często stykał się z umarłymi i nieumarłymi, spaczeni ludzie z bajkowego królestwa wywoływali w nim dreszcze.

Gdy golem walczył ze swoim potwornym przeciwnikiem, obok niego zmaterializował się drugi, a potem trzeci. Zayl ruszył do przodu, ale wówczas ze ściany wyskoczył kolejny stwór i zaatakował mężczyznę.

Poszarpane kosmyki nie osłaniały koszmarnej twarzy wpatrującej się pożądliwie w nekromantę. Podarte resztki niegdyś kuszącej szmaragdowej sukni ledwo osłaniały wysuszone ciało.

– Pocałuj mnie - wychrypiała zjawa. - Poddaj się moim pieścizotom...

Zayl zadrżał ze strachu. Działając właściwie odruchowo, pchnął sztyletem.

Ku jego zdziwieniu ostrze zatopiło się głęboko w gardle ghula. Sztylet zapłonął jasno, wbijając się w suche ciało. Plugastwo wydało z siebie odgłos, który mógł być westchnieniem ulgi. Zayl na wszelki wypadek przekręcił magiczne ostrze i wyszeptał kilka słów.

Rana na szyi zapłonęła. Gdy nekromanta wyciągnął ostrze, płomień rozbłysnął jaśniej i szybko ogarnął całą postać. Istota zatoczyła się na ścianę i zwinęła się w pozycji embrionalnej. W mgnieniu oka całe ciało spowiła jasność, a i tak wysuszone ciało zaczęło się jeszcze kurczyć.

Zayl popatrzył jeszcze przez chwilę, by upewnić się, że wkrótce już nic nie pozostanie. W końcu odwrócił się, by stawić czoła tym, którzy zaatakowali pierwszego golema, i odkrył, że nie tylko jest ich trzy razy więcej, ale też że atakują z obu stron.

Zostali otoczeni.

Golemy ze wszystkich sił starały się powstrzymać piekielną gromadę, oba walczyły z umiejętnościami odziedziczonymi po prawdziwych wojownikach. Fałszywy Gorst odrąbał ramię jednego z ghuli, zaś jego towarzysz przebił pierś innego. Niestety, choć obaj wojownicy byli dziełami magii, ich broń nie posiadała właściwości sztyletu czarodzieja. Owszem, gdyby mieli wystarczająco dużo czasu, w końcu udałoby im się posiekać wrogów na kawałki, ale liczba przeciwników i okoliczności nie dawały im zbyt wielkiej szansy.

Co oznaczało, że sprawą musiał zająć się Zayl.

W tak ciasnym miejscu nie ważył się użyć Szponów ani Zębów Trag'Oula, zwłaszcza że Juris Khan z pewnością krył się gdzieś w okolicy, gotów do ataku. Może jednak coś podobnego...

Spoglądając szybko przez ramię, Zayl rzucił zaklęcie.

Z obu ścian, sklepienia, a nawet ziemi wystrzeliły grube pręty z prawdziwej kości. Jeden z demonicznych napastników zderzył się z barierą w chwili, gdy ta powstawała. W odpowiedzi na milczący rozkaz Zayla golem Kentrila wycofał się w ostatniej chwili, z trudem unikając uwięzienia.

Mur, zbudowany z kości tysiąca różnych, od dawna martwych istot, skutecznie zamykał drogę ghulom. Ich usta otwierały się i zamykały, a pokręcone, suche palce szaleńczo lecz nieskutecznie próbowały dosięgnąć nekromanty. Z demoniczną wściekłością potwory próbowały przedostać się poza jego dzieło, ale póki co ochronny mur wytrzymawał.

Nie wiedział jednak, jak długo. Zayl szybko odwrócił się do ghuli tłoczących się wokół golema Gorsta i rzucił kolejne zaklęcie. Sztyletem narysował w powietrzu parę zakręconych linii, jednocześnie recytując słowa.

Dwa potwory prześlizgnęły się za konstrukt, ale udało im się podejść tylko kilka stóp w stronę nekromanty, gdy zadziało na nich zaklęcie. Z niemal ludzkimi krzykami pochyliły się i szybko wycofały. Za nimi te, które walczyły z golemem, również skuliły się ze strachu.

Jeden odwrócił się i uciekł w głąb ciemnego korytarza. To sprawiło, że reszta podążyła za nim. Scena była jednocześnie przerażająca i smutna. Każdy z tych potworów był kiedyś człowiekiem i w pewien sposób Zayl żałował tego, co właśnie musiał im zrobić. Oni nie byli niczemu winni. Zostali zdradzeni przez kogoś, komu najbardziej ufali i kogo najbardziej szanowali.

Przez lorda Juris Khana.

Podczas gdy golemy pełniły straż, Zayl ruszył w stronę komnaty klucza. Nie wiedział, czyjego towarzysze przeżyli, czy nie, ale przynajmniej jeden z kryształów musiał zostać usunięty lub zniszczony. Jeśli okaże się, że to ten, nekromanta nie zawaha się.

Był tam, gdzie widział go po raz ostatni. Za nim nadal znajdował się przywiązany Gregus Mazi, ale przynajmniej jego koszmar już minął.

Zayl ostrożnie ruszył w stronę klucza. Na ziemi leżały gnijące trupy skrzydlatych demonów, które zabili ostatnim razem, ale nie widział żadnego nowego niebezpieczeństwa. Nekromanta zbliżał się coraz bardziej do kryształu. Jego palce znalazły się na kilka cali od kamienia...

Coś w głębi komnaty się poruszyło.

Oczy nekromanty rozszerzyły się.

Poruszając się niczym marionetka, Gregus Mazi wyrwał się zwięzienia.

Kiedy jednak Zayl spojrział w te oczy, wiedział, że to nie Mazi się obudził. Czarodziej rzeczywiście zginął... ale teraz jego ciało poruszała wola szalonego Juris Khana.

Z ciałem połyskującym od krystalicznych osadów, nieumarła postać wyciągnęła rękę w stronę Zayla, który natychmiast wyszedł poza jej zasięg.

Ręka nagle wystrzeliła do przodu, a w miarę zbliżania się robiła się coraz większa i dłuższa.

Nekromanta zareagował zbyt powoli. Wydłużone palce otoczyły go całego i ścisnęły tak mocno, jak kamienne dłonie w tunelu.

W przeciwieństwie jednak do tamtej, niemal śmiertelnej walki, tym razem Zayl nie musiał polegać tylko na sobie. Golemy, dostrojone do jego woli, weszły do komnaty z bronią w rękę.

Stalaktytowy człowiek rzucił do przodu drugą rękę, próbując zrobić z fałszywym Kentrilem to samo, co zrobił z Zaylem. Golem, kierowany przez

nekromantę, odpowiedział machnięciem miecza. Spory kawał wyciągniętej ręki upadł na ziemię... ale podobnie stało się z częścią broni golema.

– Poddajcie się swemu losowi - powiedział Gregus Mazi. - Żałujcie za grzechy, a archanioł może jeszcze was przyjmie.

Usta może i należały do wskrzeszonego czarodzieja, ale głos i słowa mogły pochodzić tylko od szalonego władcy Ureh.

– Kentrilu Dumonie, mój drogi kapitanie - ciągnęła dalej makabryczna postać, kierując puste oczy w stronę fałszywego najemnika - odrzuć kajdany wątpliwości i zdrady, narzucone ci przez tę zepsutą duszę! Czeka cię wieczność z Atanną.

Mimo iż Zayl znajdował się w niebezpieczeństwie, uczył przyływ nadziei. Te zdania pokazały, że lord Khan sądzi, iż konstrukt jest prawdziwym kapitanem. To znaczyło, że nie zauważył dwóch najemników wspinających się po zboczu Nymyru. Nawet jeśli Zayl zginie, istnieje jeszcze szansa, że kapitan Dumon i Gorst położą kres zagrożeniu, jakie stanowi to miasto przeklętych.

Golem Kentрила oczywiście nie odpowiedział, gdyż coś takiego było dla nekromanty nieosiągalne. Miast tego znów uderzył w wyciągniętą dłoń, odrąbując jeden z palców i tracąc więcej ostrza.

Khan, który najwyraźniej spoglądał przez oczy nieumarłej marionetki, na razie nie zauważył w golemie nic dziwnego, nie zwrócił nawet uwagi na nietypowy miecz. Im dłużej Zaylowi uda się odwracać jego uwagę, tym lepiej.

– Kapitan Dumon słucha tylko mnie, panie - odrzekł nekromanta, starając się mówić jak najbardziej pogardliwie. - Jak długo żyję, jest mój!

– W takim razie dla dobra jego duszy... a nawet twojej... musisz zginąć, nekromanto!

Ale choć Zayl tego właśnie się spodziewał, nie miał zamiaru poddać się łatwo. Moment, gdy Juris Khan zainteresował się kapitanem, dał mu chwilę na zastanowienie. Zaklęcie było niebezpieczne również dla niego, ale jeśli mu się uda, na miejscu będzie musiał się zjawić sam Juris Khan.

Wyobraził sobie wybuchającą gwiazdę, a potem nałożył ją na kamienną postać niegdyś zamieszkaną przez Gregusa Maziego. Wykorzystując resztkę powietrza w płucach, Zayl wykrzyczał jedno słowo mocy.

Gregus Mazi eksplodował.

Siła wybuchu sprawiła, że Zayl poleciał do tyłu na golema Kentrila. Nekromantę i jego marionetki obsypał deszcz kamiennych pocisków. Cała komnata zatrzęsała się i nawet stalaktyt, który przez stulecia był więzieniem Gregusa Maziego, spadł i wbił się w ziemię.

Zayl mocno uderzył się w głowę i na chwilę go zamroczyło. Nadal bombardowały go kamienie, zmuszając do osłonięcia twarzy ramieniem. Mag rzucił odmianę zaklęcia, które sprawiało, że trup tego, kto zginął gwałtowną śmiercią, uwalniał w strasznym wybuchu całe cierpienie zgromadzone w ciele w ostatnich chwilach życia. Niestety, choć Zayl próbował ukierunkować wybuch, rozmiar komnaty nie pozwalał mu uniknąć rykoszetów.

Ogłuszony nekromanta podniósł się z trudem. Żaden z golemów nie próbował mu pomóc, gdyż konstrukty nie miały takiego rozkazu. Zayl przyjrzał im się szybko i ocenił sytuację. Z bliska widział, jak bardzo zostały zniszczone, gdyż nie chroniły ich żadne zaklęcia. Fragmenty twarzy obu konstruktów zostały zniszczone, a z torsów i kończyn odpadły kawałki kamienia. Dodatkowo mag zauważył kilka szerokich pęknięć, ostrzegających o możliwej niestabilności. ‘

– Nie ma takiej głębi zła, do której byś się nie posunął, prawda, nekromanto?

Zayl szybko odwrócił się w stronę Klucza Cienia - a za nim ujrzał twarz Juris Khana.

Monarcha wpatrywał się z zadowoleniem w kryształ, nawet położył na nim dłonie niczym na ukochanym dziecku. Oświetlony przez ten szczególnie ciemny blask, lord Khan wyglądał równie potwornie jak istoty, którymi stali się jego poddani.

– Wziąć ciało człowieka i tak bezmyślnie, tak beztrosko zniszczyć dom, w którym mieszkała jego dusza... zaprawdę twe zepsucie jest nieuleczalne!

Zayl odczuł pokusę, by przypomnieć mężczyźnie, że on sam nie widział nic złego w przejęciu kontroli nad ciałem, ale nekromanta podejrzewał, że Juris Khan miał gotowe uzasadnienie wszystkiego, co robił. W swym umyśle władca Ureh, niezależnie od tego, co robił, działał zawsze z błogosławieństwem nie do końca niebiańskiego archanioła, o którym wciąż mówił.

– Obawiam się - kontynuował gospodarz Zayla - że odpowiednim miejscem dla twojej duszy są otchłanie Piekieł. - Khan zaczął odwracać się w stronę golema Kentрила. - Ale dla dobrego kapitana i jego przyjaciela wciąż może być jeszcze nadzieja...

W słabym świetle Khan najwyraźniej jeszcze nie zauważył, zniszczeń i niedostatków obu postaci. Zayl uświadomił sobie, że może jeszcze wszystko przeciągnąć i natychmiast skoczył do przodu z błyszczącym sztyletem w dłoni.

– Jeśli mam trafić w piekielne otchłanie, w takim razie zabiorę cię ze sobą! - wykrzyknął.

Juris Khan zareagował tak, jak Zayl miał nadzieję - odwrócił się od konstruktów i całą uwagę poświęcił nekromancie.

Z klucza wypłynęła fala czarnego światła i uderzyła w Zayla.

W ostatniej chwili udało mu się przygotować magiczną tarczę. Mimo to moc czarnego światła sprawiła, że poleciał na przeciwległą ścianę. Zayl krzyknął, od uderzenia zaboląły go wszystkie kości.

– Kapitanie Dumonie - zawołał mężczyzna w królewskich szatach - odejdz od niego. Chodź do mnie. Atanna czeka na ciebie.

Golem oczywiście się nie poruszył.

Lord Khan pochylił się do przodu i z twarzą wykrzywioną z wysiłku powtórzył - Odejdz od niego. Chodź do mnie. Atanna...

Zayl właśnie próbował się podnieść, choć głowa go łupała, a nogi się pod nim uginały, gdy ojciec Atanny uświadomił sobie, jak go oszukano.

– Homunkulusy! - krzyknął Khan. Uniósł rękę i skierował ją w fałszywego Kentrila.

Golem zadrżał. Zrobił krok do przodu, ale zostawił za sobą pół nogi. Ten brak równowagi szybko pokonał dzieło nekromanty i golem pochylił się do przodu. Nim jednak zdołał dotknąć ziemi, ręce, druga noga, a nawet głowa odpadły i poleciały we wszystkie strony.

Lord Khan zacisnął pięść.

Golem stracił wszelkie podobieństwo do człowieka. Ziemia i kamienie rozsypały się po komnacie. Po marionetce Zayla nie pozostało nic więcej.

Zayl nie myślał, że twarz jego przeciwnika może stać się jeszcze bardziej ponura, ale obecny wyraz twarzy Juris Khana sprawił, że nawet opanowany nekromanta pożałował, iż nie stoi dalej od niego.

– Szczyt góry... - Lord Khan patrzył na Zayla z nienawiścią. -Wspinają się na szczyt Nymyru!

– M...może powinienes pójść za nimi. Ja p...popilnuję dla ciebie Klucza Cienia.

– Nie szydź ze mnie! Na archanioła, naprawdę jesteś zły!

Nekromanta czuł, że powoli wracają mu siły. Jeśli jeszcze przez chwilę utrzyma uwagę Khana, najemnikom się powiedzie.

– Jedyńm złem jest to, co sam sprowadziłeś do Ureh, lordzie Khanie! Udało ci się zrobić to, czego przez stulecia nie udało się dokonać demonom i oszukanyh przez nich czarodziejom. Ty sprowadziłeś wieczne potępienie na święte królestwo! Ty zepsułeś swój ukochany lud!

–Jak... śmiesz!

Ponownie z kryształu wypłynęła fala czarnego światła, ale tym razem Zayl był przygotowany. Atak znów popchnął go na ścianę i nawet przez chwilę utrudnił mu oddychanie, ale nie posiniaczył tak bardzo jak poprzedni.

Kierowany przez niego drugi golem nagle rzucił się do przodu, wymachując kamiennym toporem w stronę Juris Khana i kryształu.

Khan skierował swoją moc na nadchodzącego, uderzając w fałszywego Gorsta. Kawałki kamienia poleciały na wszystkie strony. Kamienny olbrzym potknął się, ale parł dalej, kierowany wolą Zayla.

Ponieważ Khan zmuszony był walczyć z dwoma przeciwnikami naraz, jego atak na nekromantę osłabł odrobinę. To wystarczyło, by Zayl nie tylko lepiej się ochronił, ale i przeszedł do ataku.

Nie zaatakował jednak starego władcy, lecz Klucz Cienia. Pomyślał, że jeśli uda mu się go choć uszkodzić, tym lepiej. Najbardziej zależało mu na powodzeniu misji kapitana Dumona i Gorsta. Słudzy Rathmy poświęcali życie utrzymaniu równowagi. Zayl był gotów oddać swoje już teraz.

Nekromanta wypuścił Zęby Trag'Oula z nadzieją, że choć jeden trafi do celu.

Juris Khan machnął ręką i połyskująca srebrno tarcza ochroniła klucz przed gradem pocisków. Kostne strzały odbiły się w różnych kierunkach, część nawet w stronę nekromanty.

Zayl zacisnął zęby i odesłał pociski. Gdy to zrobił, golem w końcu się rozpadł - Zęby dokończyły to, co zaczął Khan.

- Pomiot Diablo! - Władca stanął przed chronionym kryształem, a wydawał się przy tym rosnąć. Jego oczy płonęły czerwienią jak oczy każdego demona, co było dość ironiczne, biorąc pod uwagę jego opinię o nekromancie. Choć Juris Khan został całkiem skażony przez najmroczniejszego z Mrocznej Trójcy, nie widział nawet, że został przeklęty. - Łowco dusz! Przyjmij karę na wieki!

- Czy ta kara będzie oznaczała siedzenie tutaj i słuchanie twoich kazań, panie? - zaszydził Zayl. Jak dotąd jego najlepszą bronią okazały się nie zaklęcia czy nawet golem. Słowa wydawały się wywierać na Juris Khanie większe wrażenie niż cokolwiek innego, szczególnie te, które stawiały go w innym świetle, niż on siebie postrzegał.

Tym razem jednak władca Ureh nie zareagował tak, jak czarodziej się spodziewał. Lord Khan potrząsnął tylko głową w udawanej litości i powiedział - Oszukany głupiec. Zło, które cię przeżarło, każe ci nie doceniać mocy światła. Wiem, czego próbujesz i wiem dlaczego tego próbujesz!

- Próbuję, byś nie atakował mych uszu ciągłymi napomnieniami.

Khan znów nie połknął przynęty. Zaśmiał się cicho i spojrzał z góry na Zayla, jakby nekromanta był zapchlonym psem.

- Ostatnia, rozpaczliwa broń pokonanego łajdaka. Twoje zabawki posłużyły ci lepiej, mistrzu Zaylu, bo przynajmniej na chwilę mnie oszukały.

- Miały cię tu ściągnąć - odrzekł nekromanta - gdzie czekałem na ciebie.

- A ty myślisz, że zatrzymasz mnie tutaj, zajmiesz mi czas, podczas gdy twoi towarzysze dotrą do drugiego klucza? Myślałeś, że pozostawię go bez opieki? Atanna go strzeże. Zobaczy najemników i zrobi to, co właściwe.

Zayl pozwolił sobie na lekki uśmiech.

– Nawet wobec Kentрила Dumona?

Teraz w końcu przyciągnął uwagę Juris Khana.

– Atanna upewni się, że Kentрил nie usunie ani nie uszkodzi kryształu. Wystarczy, że to zrobi.

– Ona pragnie kapitana, panie. Bardzo go pragnie. Jej pożądanie... a może nawet miłość?... może sprawić, że się zawaha. To może mu wystarczyć.

– Atanna zna swoje obowiązki - sprzeciwił się starszy mężczyzna, ale wyraz jego twarzy przeczył tym słowom. - Nie zdradzi dzieła archanioła!

Gdy Khan mówił, wokół jego dłoni pojawiła się trzaskająca moc. Zayl wiedział, że czas rozmów się skończył i że jeśli ma dać kapitanowi i Gorstowi jakąś szansę, musi walczyć ze wszystkich sił.

– Czas, byś wyznał grzechy i prosił o rozgrzeszenie, nekromanto! - ryknął Juris Khan, a jego twarz podświetlały moce, które wezwał. - I nie obawiaj się o serce Atanny. Jest w końcu córką swojego ojca... i zrobi to, co musi zostać zrobione, nawet jeśli oznacza to zniszczenie Kentрила Dumona!



Ostre wiatry i przenikliwe zimno nie przeszkadzały rudowłosej czarodziejce, gdy przyglądała się ciemnemu zboczowi góry w poszukiwaniu olbrzyma, Gorsta. Atanna siedziała na niebezpiecznie wąskiej półce i przyglądała się ciemnemu zboczowi oczami, które w ciemności widziały niemal tak dobrze jak kocie, szukając śladów ruchu.

Rozpraszała ją tylko jedna myśl, wbijająca się w jej umysł niczym wygłodniała pijawka. Wiedziała, że ojciec obiecał nie krzywdzić jej drogiego Kentрила, ale wypadki się zdarzały. Wierząc, że nekromanta mówi

prawdę, Kentril mógłby poświęcić się za surowego, bladego mężczyznę. To bardzo zmartwiłoby Atannę.

Nie zauważywszy nic nadzwyczajnego, przeniosła się w inne miejsce. Atanna miała nadzieję trzymać się z dala od okolic szczytu, gdyż nawet nocne niebo nie zapewniało bezpieczeństwa. Tylko głęboki cień, uspokajający cień chronił ją przed strasliwym losem, przed którym nie mógł ocalić jej nawet dar archanioła.

Troski znikły w chwili, gdy ujrzała odległą postać. To musiał być olbrzym. Atanna przygotowała się do podejścia bliżej, by upewnić się, że mężczyzna zginie od razu. Ze względu na Kentrila śmierć jego przyjaciela będzie szybka...

Nagle w polu jej widzenia pojawiła się druga, mniejsza postać.

– Nie! - wydyszała. Nie mógł to być Zayl, którego widziała w wizji ojca, ale przecież nie mógł to być też Kentril. Był z nekromanta. Jak mógł być tutaj?

Musiała ich zatrzymać. Musiała ich powstrzymać przed dotarciem do Klucza Światła. Proste zaklęcie zniszczyłoby część góry, po której się wspinali... i zabiłoby Kentrila.

Atanna nie mogła tego zrobić. Musiał być jakiś inny sposób, by ich powstrzymać. Jednak próba zniszczenia części góry, by zamknąć im drogę, również pewnie by ich zabiła.

– Nie mogę tego zrobić - wyszeptała. Lecz nie uczynienie niczego oznaczałoby zdradzenie nie tylko ojca, lecz i wspaniałego archanioła Mirakodusa.

Myśl o archaniele zbudziła w sercu Atanny miłość i strach. Kobieta myślała o jego wspaniałym darze, ale jednocześnie wspominała ze strachem chwilę, gdy wstąpił do jej umysłu i duszy. Atanna nie chciała przeżyć tego po raz wtóry. Wspomnienie tego było blizną na jej duszy.

Modliła się o odpowiedź i niemal natychmiast wydawało jej się, że została wysłuchana, gdyż wpadła na pewien pomysł. Atanna nie mogła podnieść ręki przeciwko swojemu ukochanemu, ale nie mogła też zdradzić ojca. Dlatego też przygotowuje wyzwanie dla Kentrila, które pokaże, czy rzeczywiście jest jej wart. Ojciec i archanioł z pewnością uznają to za sprawiedliwe. Z pewnością to rozumieją.

A jeśli Kentril umrze... cóż, Atanna czuła, że on też będzie musiał to zrozumieć.

DWADZIEŚCIA DWA



Kentrilowi za późno przyszło na myśl, że ich wspinaczka po zboczu Nymyru będzie utrudniona. Kiedy ostatnim razem to robili, mieli pochodnie, którymi oświetlali sobie drogę. Kapitan przypomniał to sobie, gdy zaklęcie Zayla już zadziało, ale wtedy nekromanta już znikł.

Ku jego zdziwieniu jednak, nekromanta również zauważył ten problem i go rozwiązał. Gdy zmaterializowali się na zboczu góry, Kentril natychmiast uświadomił sobie, że całkowita ciemność w głębi cienia zmieniła się w głęboką szarość, która pozwalała najemnikowi widzieć przynajmniej na pewną odległość w każdym kierunku. Gorst również zyskał tę umiejętność. Ponieważ czarodziej z pewnością nie był w stanie zmienić samego cienia, dał im pewną zdolność widzenia w ciemności.

Niestety, dar pokazał im też, że Zayl nie był w stanie przenieść ich tak blisko klucza, jakby chcieli. Dwóm wojownikom pozostał spory kawałek drogi.

– Przydałaby nam się jakaś lina - mruknął Gorst.

Kolejna rzecz, o której Kentril nie wspomniał przed zaklęciem, ale tym razem Zayl też tego nie przewidział. Kentril spoglądał na ścieżkę w górze, próbując znaleźć lepszą drogę, ale wylądowali na grzbiecie, który pozwalał na ruszenie w jednym tylko kierunku.

– Będziemy musieli sobie radzić - odrzekł w końcu.

Gorst pokiwał głową i nie powiedział nic więcej. Jeśli kapitan chce spróbować wspinaczki bez wyposażenia, to tak będzie.

Z najwyższą ostrożnością zaczęli się wspinać. Kentril nie był w stanie ocenić godziny, ale jeśli nie zdarzy im się zbyt wiele wypadków, powinni dotrzeć na miejsce nawet trochę przed czasem. Oczywiście, to zależało również od tego, na jak długo Zayl zajmie Juris Khana.

Najemnik próbował nie myśleć o możliwym poświęceniu nekromanty. Szansa, że Zayl przeżyje, nie była wielka. Kentril widział, jaką moc miał ich zdradziecki gospodarz i trudno mu było uwierzyć w zwycięstwo nekromanty. Zayl zrobi wszystko, by powstrzymać Khana, ale prędzej czy później szalony monarcha zabije wyznawcę Rathmy.

Kentril miał tylko nadzieję, że będzie to później... bo inaczej wszyscy przegrają.

Wspinali się coraz wyżej, ale żaden atak nie nastąpił. Kapitan nie miał zbyt wiele czasu na myślenie, ale gdy zbliżyli się do szczytu, jego myśli powróciły do Atanny. Mimo tego, czym się okazała, Kentril odkrył, że pewne jego wcześniejsze wspomnienia są dlań zbyt cenne, by mógł je po prostu odrzucić. Być może, gdyby wszystko wyszło inaczej, gdyby wcześniej nie poznał prawdy, mógłby z radością przyjąć nieśmiertelność z rąk jej ojca - ale potem musiałyby żyć z jej skutkami.

Zatrzymał się na chwilę, odetchnął głęboko i spróbował oczyścić umysł. Ciągłe myślenie o Atannie nie miało sensu. Widział ją po raz ostatni, po raz ostatni...

Na niewielkiej półce nieco nad nimi stała postać w długiej szacie. Mimo iż znajdowała się daleko, Kentril wiedział, że to nie lord Khan.

– Atanna! - krzyknął.

Wiatr rzucił piachem w jego twarz. Najemnik odwrócił się i otarł łzy z oczu.

Gdy znów spojrzął, postać znikła.

– Co to było? - spytał zza jego pleców Gorst. - Widziałeś coś?

– Wydawało mi się, że widzę... - Przerwał. Gdyby to była Atanna, z pewnością podeszłaby bliżej albo zniszczyła go ze swej półki. Nie odeszłaby tak po prostu. To nie miało sensu.

– Nic - powiedział w końcu. - To tylko moja wyobraźnia.

Parli dalej. Mimo iż wciąż obawiali się, że dotrą do miejsca, którego nie będą mogli przejść bez odpowiedniego sprzętu, zawsze znajdowali jakieś wyjście. Czyżby Zaylowi jakoś udało się ich wysłać w okolicę najłatwiejszą do wspinaczki? Jeśli tak, to z mocą ukradzioną z run udało mu się osiągnąć więcej, niż mówił najemnikom.

– Jesteśmy już prawie na miejscu - odważył się w końcu mruknąć Kentril. - Prawie...

Gorst chrząknął. „Prawie” oznaczało wciąż spory kawał drogi.

Kapitan Dumon wyciągnął rękę i uchwycił obiecujący występ, który jednak rozpadł mu się w dłoni. Na chwilę stracił równowagę i przytulił się do zbocza. Jednocześnie spojrzął w dół.

Daleko poniżej poruszało się po zboczu coś przypominającego armię mrówek.

Kapitan zatrzymał się.

– Gorst! Widzisz to?

Olbrzym przeciągnął się.

– Widzę. Co to, Kentril?

– Nie...

Kształty poruszały się tak szybko, że w czasie ich krótkiej przecież rozmowy stały się odrobinę lepiej widoczne. Były duże, wielkości człowieka, i ludzkie w kształtach. Wydawały się szare, choć widział też plamy kolorów na ich grzbietach, rękach i nogach.

Kentril przełknął ślinę.

– To mieszkańcy Ureh. Idą po nas.

Wyobraził sobie setki szeroko otwartych ust, wysuszone, niegdyś ludzkie, skorupy. Wyobraził sobie paznokcie niczym pazury i wygłodniałe twarze. Kapitan potrafił sobie wyobrazić, co stało się z Albordem i pozostałymi, i wiedział, że teraz taki los może im przypaść w udziale.

– Musimy dotrzeć na szczyt, i to prędko! - Ale mogli poruszać się tylko tak szybko, jak pozwalało im na to otoczenie, a choć starali się bardzo, mieli wrażenie, że potworna horda porusza się co najmniej dziesięć razy szybciej.

Szczyt ich wzywał, ale był jeszcze daleko. Kentril i Gorst, wyczerpani, musieli się w końcu zatrzymać na niewielkiej półce, szerokiej na tyle, że zmieścili się obaj.

Kentril spojrział w dół i zaklął.

– Wspinają się, jakby byli dziećmi góry - powiedział. W tym tempie złapią nas tuż pod szczytem.

Gorst pokiwał głową.

– Nie uda się nam... ale tobie może.

Kentril spojrział na mężczyznę.

– Co to ma znaczyć?

Olbrzym zaczął zupełnie spokojnie wyjmować topór, który na czas wspinaczki zawiesił na plecach.

– To najlepsze miejsce w okolicy. Ja ich zatrzymam. Ty idź dalej.

– Nie bądź głupcem, Gorst! Jeśli ktoś pójdzie na górę, to ty! Ja ich zatrzymam.

Drugi najemnik potrząsnął głową. Wyciągnął rękę z toporem. Jego przyjaciel musiałby trzymać tę broń w obu rękach.

– Widzisz? Sięgam dwa razy dalej niż ty, Kentril. Tego potrzebujemy. To ja powinienem zostać i ty o tym wiesz... poza tym jestem ci to winien za ostatni raz, gdy się tu wspinaliśmy.

– Gorst... - Kapitan Dumon wiedział, że nie ma co się sprzeczać. Ze wszystkich znanych mu ludzi Gorst był najbardziej uparty. Mogliby się kłócić tak długo, aż dotarliby do nich plugawi mieszkańcy Ureh, a rozczochrany wojownik i tak by się nie poddał.

Kentril spojrział jeszcze raz w dół i pokiwał głową.

– Dobrze... ale jeśli będziesz miał możliwość się uratować, zrób to. Nie martw się o mnie.

– Zrobię, co się da. Lepiej ruszaj.

Kentril położył dłoń na ramieniu przyjaciela.

– Niech twe ramię będzie silne.

– Niech twa broń będzie ostra - odpowiedział Gorst, kończąc starą litanie najemników.

Kapitan zebrał się w sobie i ruszył w górę. Podciągał się coraz wyżej, próbując nie myśleć, co czeka olbrzyma, i mając nadzieję, że jakoś obaj wyjdą cało z tego chaosu. Jeśli uda mu się dotrzeć do szczytu, nim potwory dotrą do Gorsta, może uda mu się go uratować. Musi tylko zniszczyć klucz...

Ta pocieszająca myśl dała mu siłę do dalszych wysiłków. Płaskowyz na szczycie zbliżał się coraz bardziej. Kentril widział już wznoszący się nad nim kryształ. Uznał za ironię losu, że teraz będzie musiał zniszczyć to, czego wcześniej z całych sił starał się dokonać.

Usłyszał dochodzący z dołu syk.

Kentril zaklął i zaczął poruszać się jeszcze szybciej. Krawędź była kilkanaście stóp nad nim. Jeszcze tylko chwila.

Gorst wydał okrzyk bojowy.

Mimo iż kapitan wiedział, że nie powinien tego robić, spojrział w dół.

Olbrzym stał na krawędzi półki i machał właśnie toporem w stronę pierwszego stwora, który do niego dotarł. Plugastwo nie miało zbyt dużo

miejsca do manewru i nie mogło uniknąć ataku. Topór głęboko wbił się w jego głowę.

Istota wydała z siebie przerażający krzyk i spadła z półki.

Nie tracąc ni chwili, olbrzym zmienił uchwyt na toporze i wykorzystał go, by zepchnąć kolejnego przeciwnika.

Mimo tych początkowych sukcesów, w górę pięła się co najmniej setka potworów, a każdy chciał jak najszybciej dotrzeć do samotnego przeciwnika.

Kentril niemal w panice próbował dotrzeć do płaskowyzu. Każda stopa wydawała mu się jednak miłą i miał wrażenie, że porusza się w melasie.

Bardzo ludzki ryk bólu wstrząsnął nim do głębi i sprawił, że musiał znów spojrzeć w dół.

Potworne istoty atakowały Gorsta ze wszystkich stron. Dwóm udało się wejść na półkę, a inna próbowała znaleźć uchwyt koło nóg olbrzyma. Tuzin innych próbowało znaleźć odpowiednią pozycję wokół samotnego najemnika.

Gorst z całej siły uderzył stwora wciąż noszącego podniszczone resztki napierśnika i kolczugi. Ostrze przecięło górną część torsu potwora, ale stworowi i tak udało się zacisnąć palce na rękojeści topora.

Choć Gorst ze wszystkich sił potrząsał toporem, nie mógł zrzucić zdeterminowanego ghula. Wysilek ten sprawiał, że nie był w stanie walczyć z pozostałymi. Drugi demon wskoczył na plecy Gorsta i próbował wbić ohydne zęby w jego szyję.

Olbrzym obrócił się i rzucił toporem w potwora, który nadal próbował znaleźć uchwyt. Stwór poleciał w dół razem z tym ściskającym rękojeść, zabierając ze sobą topór.

Już bez broni, Gorst sięgnął do tyłu i chwycił potwora przyczepionego do grzbietu. Niestety, ten nie dał się usunąć tak łatwo jak pozostali, a gdy

Gorst z nim walczył, na półkę weszły cztery inne.

Kentril wspinał się nadal, ale z każdym krokiem powracał spojrzeniem do przyjaciela. Gdy spojrzał po raz kolejny, Gorsta atakowały już trzy potwory, a inne znajdowały się blisko. Ramiona najemnika płamiła krew, a on sam wyraźnie miał kłopoty z utrzymaniem się na nogach.

Kapitan niemal zawrócił, przez chwilę myśląc, że jeśli dołączy do drugiego najemnika, razem zatrzymają całą horde. Szybko jednak wrócił mu zdrowy rozsądek. Gorst został tam, by dać Kentrilowi czas na zrobienie tego, co konieczne. Gdyby teraz zawrócił, poświęcenie najemnika poszłoby na marne.

Poświęcenie... Dopiero teraz w pełni zrozumiał znaczenie tego słowa.

W tym momencie Gorst ryknął tak głośno, że jego krzyk odbił się echem od Nymyru i poza nim. Jakby nagle jakimś sposobem powróciły mu siły, olbrzym wyprostował się, unosząc jednego z przeciwników w powietrze. Tymczasem przynajmniej pół tuzina potwornych dzieci Juris Khana przyczepiło się do niego, rozrywając jego ciało i odbierając powoli życie.

Wciąż rycząc, Gorst nagle rzucił się do przodu.

– Nie! - krzyknął Kentril, a jego błaganie odbiło się echem od zbocza góry.

Olbrzym zeskoczył z półki.

Jego przeciwnicy nie zdążyli się od niego odczepić i polecili razem z nim. Skok Gorsta, jak na niego niezbyt daleki, ledwie umożliwił mu opuszczenie półki. Najwyraźniej jednak takie właśnie było zamierzenie Gorsta, ponieważ spadając, zgniatał jednego wspinającego się potwora po drugim, tworząc niemal lawinę potworów spadających na leżące pod nimi Ureh.

– Gorst... - Kentril nie mógł oderwać wzroku od coraz mniejszej sylwetki. Gorst był towarzyszem kapitana dłużej niż pozostali. Olbrzym

wydawał się niepokonany, niemożliwy do powstrzymania...

W oczach zebrały mu się łzy, ale Kentril nie mógł sobie na nie pozwolić. Odetchnął głęboko, odwrócił wzrok i zaczął wspinać się dalej. Ostatnia szarża Gorsta zapisała się w jego wyobraźni. Zbliżał się wschód słońca, a Kentril musiał się upewnić, że śmierć przyjaciela, śmierć wszystkich jego ludzi, nie pójdzie na marne.

Coraz bardziej zbliżał się do szczytu... a pod nim horda coraz bardziej zmniejszała odległość.



Zayl krzyknął, nie po raz pierwszy zresztą. Krzyczał długo i głośno, ale się nie poddawał. Jego szaty było podarte, a całe ciało pokrywała krew, ale się nie poddawał.

Nie zbliżył się jednak ani na cal do Klucza Cienia.

Juris Khan wydawał się nie zwracać uwagi na wszystkie potężne zaklęcia, które rzucał Zayl. Władca Ureh zbliżył się do ранego, bliskiego śmierci nekromanty.

– Twoja determinacja, jeśli nie twoja sprawa, jest godna podziwu, nekromanto. Szkoda, że twoja zepsuta dusza na zawsze będzie należeć do Diabła.

– ...Tak jak twoja?...

– Aż do samego końca próbujesz wszystko wypaczać, co? -Lord Khan potrząsnął głową niczym ojciec nad dzieckiem, co mimo całego wyszkolenia niezmiernie zirytowało nekromantę.

– Twój błogosławiony archanioł to sam Diabło, czy tego nie widzisz?

Ale władca Ureh nie umiał tego zobaczyć, gdyż robota demona była dokładna. Zayl rozumiał, jak to się stało, gdyż Juris Khan najwyraźniej był z siebie bardzo dumny. Był w końcu władcą najświętszego z królestw,

symbolem pobożności i dobroci, i z tego powodu nie był w stanie pojąć, iż najgorszy i najsprytniejszy z demonów zrobił z niego głupca.

Niestety potężnego głupca. Juris Khan przyjął na siebie wszystko, co mógł rzucić na niego Zayl, i otrząsnął się z tego. Nekromancie pozostał właściwie tylko sztylet, który mógłby mu pomóc, gdyby jakoś udało mu się odwrócić uwagę wroga. Wówczas może udałoby mu się ominąć zaklęcia ochronne Khana i jakoś go zranić.

Co mógł zrobić? Każda próba spotykała się z jeszcze silniejszą odpowiedzią. Pozostawały tylko słowa... a tych Zaylowi też niewiele pozostało.

Mimo to spróbował, mając nadzieję, że wbrew słowom Khana Kentrilowi Dumonowi i Gorstowi udało się dotrzeć do kamienia. Ale gdyby tak się stało, czy ta bitwa trwałaby nadal?

– A gdzie jest twój archanioł, panie? Może gdyby zjawił się tutaj, mógłbyś dowieść raz na zawsze, że kłamię. Chyba nie proszę o zbyt wiele? A może i tak.

– Nie muszę prosić Mirakodusa, by dał mi dowód, niewierny, gdyż widziałem jego dary i wierzę w jego słowa. Gdyby zechciał się teraz do nas odezwać, byłby to jego wybór, nie mój ani twój! - Juris Khan stanął nad nekromantą. - Pokajaj się przed Niebiosami, złodzieju trupów, gdyż za chwilę twój język ucichnie na zawsze, a wtedy skończą się twe kłamstwa.

Zayl nie widział powodu, by wątpić w jego słowa. Gdy monarcha się zbliżył, Zayl modlił się, by Trag'Oul pomógł jego duszy przejść do kolejnego miejsca wielkiej bitwy i nie pozwolił prawdziwemu panu Khana zabrać jej do Piekieł.

Jakby w odpowiedzi na jego modlitwy nagle zagrzemiał głos -Juris Khanie! Juris Khanie! Odezwę się do ciebie!

Obaj mężczyźni zamarli. Usta Khana otwierały się i zamykały. Władca Ureh spojrzął jeszcze raz na Zayla i uniósł wzrok w kierunku sklepienia.

– Juris Khanie! Szlachetny służy! To ja, twój dobroczyńca, twój archanioł...

Na pomarszczonej twarzy pojawił się wyraz szacunku i zadziwienia. Lord Khan uniósł dłonie nad głowę w geście błagania i zawołał - Mirakodusie! Wielki Mirakodusie! Błogosławisz swego pokornego służy swą obecnością!

Głos mówiący o sobie, że jest głosem archanioła, odezwał się o wiele ciszej do nekromanty - Jeśli masz coś jeszcze w rękawie, to lepiej to teraz wykorzystaj, chłopcze!

Zayl nie potrzebował zachęty. Rzucił się do przodu, koncentrując całą wolę na sztylecie, który skierował teraz w pierś mężczyzny w długich szatach.

Pobożność malująca się na twarzy Juris Khana została w jednej chwili zastąpiona przez gniew. Władca Ureh próbował dosięgnąć Zayla, a jego dłonie płonęły mocą.

Sztylet trafił pierwszy.

Komnatę wypełnił oślepiający blask, gdy zaklęte ostrze nekromanty przebiło się przez zaklęcia ochronne Khana. Po chwili wahania sztych zatopił się w migoczącej szacie i wszedł głębiej.

Juris Khan sapnął i uderzył Zayla w twarz. Jego siła połączona z bólem sprawiły, że nekromanta znów poleciał na ścianę.

Zayl poczuł, że coś pęka. Nie był w stanie się zatrzymać, więc odbił się dwa razy od ziemi i zatrzymał u stóp wroga.

– Ty... ty... - Khan wyraźnie nie mógł znaleźć słowa, które wyrażałoby jego wściekłość.

Mimo załamanych oczu nekromanta widział krew spływającą z rany mężczyzny. Nie trafił w serce, ale z pewnością zbliżył się do niego na tyle, by zadać przeciwnikowi poważną ranę.

– Gdzie... gdzie jest teraz twój archanioł? - udało mu się powiedzieć. - Wydaje się... że cię... opuścił, panie!

– Bezczelny głupiec! - Szalony władca oparł się o tarczę, którą otoczył Klucz Cienia. - Potrzebuję tylko kilku chwil, by się uleczyć! - Khan odsłonił doskonale zęby. - A ty tych kilku chwil nie masz!

Z wejścia do komnaty doszedł znajomy hałas. Zayl usłyszał poruszenia wielu stóp. Zmusił się do odwrócenia i spojrzenia w stronę wejścia.

Jeden z potwornych mieszkańców miasta zajrzał do środka. Za nim podążyło dwóch kolejnych.

Ponieważ siły Zayla osłabły, jego kostny mur pękł, pozwalając głodnym demonom dostać się do środka.

Juris Khan, który wciąż oddychał chrapliwie, wskazał na leżącego nekromantę.

– Oto on, moje dzieci! Oto ten, którego szukacie!

Ich okrągłe usta otworzyły się z niecierpliwością. Ponure otwory, gdzie kiedyś były oczy, skierowały się w stronę Zayla. Potwory zbliżały się do niego, a Zayl wiedział, że nie ma czym z nimi walczyć.

Resztkami sił trzymał przed sobą sztylet, z nadzieją, że powstrzyma przynajmniej jednego, nim reszta rozerwie go na kawałki. Mimo wszelkich nauk, jakie pobierał, i całego treningu, w tej chwili nekromanta bardzo pragnął żyć.

– Teraz pozostał tylko jeden - ogłosił Khan, a jego głos był silniejszy niż przed chwilą. Rana wyraźnie krwawiła coraz mniej, a na twarzy, choć samej z siebie potwornej, nie widać było bólu.

Zayl źle zgadł. Fałszywy archanioł dobrze chronił swą cenną marionetkę. Diabło, jeśli kapitan Dumon dobrze zgadywał, pragnął, by Ureh dało swój dar całemu światu... i otworzyło drogę piekielnym legionom.

– Teraz pozostał tylko jeden - powtórzyła demoniczna postać. Juris Khan wyprostował się, najwyraźniej przygotowując się do opuszczenia komnaty. - A kto wie? - ciągnął dalej, uśmiechając się nabożnie. - Może nawet nie jeden, co?

Gdy horda nagle ruszyła do przodu, by rozszarpać Zayła, Juris Khan znikł. Zgubiony nekromanta wiedział, że jego przeciwnik chce się upewnić, iż odpowiedź na to ostatnie pytanie jest twierdząca.



Czy słońce już wzeszło? Pod osłoną zaczarowanego cienia Kentril nie mógł mieć pewności, ale miał nadzieję i modlił się, by tak się nie stało. Skoro Gorst, a z pewnością i Zayl już nie żyli, ogromnym wstydem byłoby zejść tak daleko, a jednak przegrać.

Udało mu się wciągnąć na niewielki płaskowyż, ale wówczas odkrył, że nie ma siły, aby stanąć prosto, nie mówiąc już o poruszaniu się. Leżąc na zimnej, twardej ziemi, kapitan oddychał ciężko, próbując pozbyć się zadyszki. Tylko kilka chwil. Tego właśnie potrzebował. Tylko kilku chwil.

Niespodziewany grzechot kamienia tuż pod krawędzią ostrzegł go, że nawet tych kilku chwil nie dostanie.

Choć całe jego ciało jęczało z bólu, Kentril zmusił się do wstania. Zatoczył się w stronę ostatniego podejścia, a choć wiedział, że cel znajduje się już blisko, zastanawiał się, czy w tym stanie uda mu się jeszcze wspiąć na taką wysokość.

Usłyszał kolejne grzechoty. Kapitan odwrócił się i ujrzał na brzegu płaskowyżu suchą, martwą dłoń.

Odwrócił się i podbiegł do niej. Nad krawędzią pojawiła się przerażająca twarz. Ponieważ dzięki podarowanej mu przez Zayla umiejętności widział wszystko w odcieniach szarego, twarz wydawała mu się jeszcze okropniejsza.

Zebrał całą odwagę i z całych sił kopnął stwora w głowę.

Potwór poleciał do tyłu z jękiem pasującym do potępionej duszy i znikł poniżej. Kentril wyjrzał poza krawędź i ujrzał, że cztery kolejne nie są daleko od szczytu, a za nimi wspina się kolejny tuzin.

Kapitan Dumon dowlóknął się do skał i zaczął ostatnią część wspinaczki. Musiało mu się udać. Uda mu się.

– Dalej, przeklęty rekrucie! - mrucał do siebie, szukając uchwytów. - Na pewno potrafisz się wspinać pięć razy szybciej!

Stopa za stopą, cal za caliem Kentril zbliżał się do celu. Na wschodzie nie widział śladów słońca, co było dobrym znakiem. Teraz znajdował się już blisko górnej krawędzi cienia, przez co powinien być w stanie zauważyć światło, gdyby jakieś było. To, że go nie zauważał, znaczyło, że dzień jeszcze się nie zaczął.

Wszystkie nadzieje Kentrila rozpadły się w proch, gdy usłyszał znajome syczenie. Natychmiast spojrzął w dół, choć dobrze wiedział, co ujrzy.

Pierwsi z demonicznej hordy dotarli na płaskowyż.

Z początku kręcili się dookoła, szukając go. Jeden spojrzął w górę i zauważył. Tylko tego potrzebowali. Pierwszy podbiegł do skały, najwyraźniej nie mogąc się doczekać smacznego mięsa.

Całe szczęście ghule nie były w stanie się wspinać z każdej strony skały. Część ruszyła za kapitanem, a reszta próbowała innych dróg, szukając takiej, na której się utrzymają.

Dwa z nich, które najwyraźniej oszołomiło pożądanie mięsa i krwi, pospieszyły na wschodnią stronę, niewątpliwie mając nadzieję na

przegonienie pozostałych.

Nie zaszły daleko. Kentril patrzył oszołomiony, jak dwa potwory zapłonęły jasno, jakby objął je ogień. Ich krzyki sprawiły, że reszta istot się zatrzymała. Dwójka zaczęła wracać do towarzyszy, ale gdy się poruszały, kawałki suchego ciała zmieniały się w popiół, a kości zginały, jakby zrobiono je z miękniętego wosku.

Jeden upadł. Wyglądał jak na wpół stopiona parodia ludzkiego trupa, która z każdą chwilą stawała się coraz bardziej płynna. Drugi dotarł do miejsca, które musiało być krawędzią cienia, ale nie zdążył się uratować. Też upadł i zmienił się w obrzydliwą stertę, która dla pozostałych stworów musiała być tak poruszająca, że wszystkie starały się jej unikać.

Kentril nagle uświadomił sobie, że ci tuż pod nim znów zaczęli się wspinać. Przeklinając swoją niezdrową fascynację śmiercią potworów, podciągał się w górę jak najszybciej, próbując nadrobić stracony czas.

Poruszał się za wolno. Ręka jednego ze stworów prawie chwyciła go za nogę. Kapitan kopniakami zdołał skruszyć część palców, spowalniając ghula.

Nagle dotknął krawędzi. Z bijącym sercem i krwią tętniącą w skroniach, Kentril podciągnął się... i ujrzał Klucz Światła.

Oczywiście, nie zaszły zbyt wielkie zmiany. Wszystko, nawet samego wojownika, pokrywała cienka warstwa szronu. Kentril ostrożnie ruszył w stronę celu.

Coś poruszonego przez but potoczyło się w stronę klejnotu.

Kość, którą wcześniej wykopali. Ostami ślad jego poprzednika, nieszczęsnego kapłana Tobio.

Próbując nie myśleć, że wkrótce może do niego dołączyć, kapitan Dumon podszedł do Klucza Światła. Gdy to robił, uświadomił sobie, że

jego blask pozostał stały, ale nie oślepiający. Właściwie to nie wydawał się świecić bardziej niż jego odpowiednik pod ziemią.

Czy to ma znaczenie?, łąał się Kentril. *Może sobie świecić jasno jak słońce albo być ciemny jak jaskinie. Weź go i skończ z tymi*

Wyciągnął rękę do kryształu...

Nagle jego umysł wypełniła piękna twarz Atanny. Niemal wyobrażał sobie, że unosi się przed nim, zasłaniając sobą całe ciemne niebo.

Mój drogi Kentrilu... powiedziała. *Mój słodki Kentrilu, jakże pragnę twego uścisku...*

Kapitan zawahał się, rozdarty między obowiązkiem a uczuciem.

Wróć do mnie, Kentrilu, mówiła dalej. Jej oczy błyszczały, a usta zdawały się gotowe do pocałunku. *Bądźmy znów razem... razem na zawsze.*

Na zawsze. Te słowa znów skłoniły go do działania. Nie pragnął darów Juris Khana, a już z pewnością nie tego.

Ale mimo całego zdecydowania nie mógł uciec przed syrenią pieśnią Atanny. Gdy dotknął zadziwiająco ciepłego kamienia, głos kobiety wypełnił jego głowę nowymi słowami, nowymi obietnicami.

Drogi, słodki, kochany Kentrilu... tak wiele możemy dać sobie nawzajem... byłam taka samotna, nim cię ujrzałam... a gdy pokazałeś mi broszę... wiedziałam, że Niebiosy przeznaczyły cię dla mnie... wróć do mnie, a wszystko będzie dobrze... będziemy jednym...

– Wynoś się z mojej głowy! -warknął Kentril, zamykając oczy. Próbował pozbyć się z pamięci obrazu, zapachu, smaku Atanny. - Wynoś się...

Syk ostrzegł go niemal w ostatniej chwili. Zza jego pleców wyszło jedno z ohydnych „dzieci” Juris Khana - bezwłosy, wychudzony trup odziany w pobrudzone szaty kupca. Na łańcuchu na wpeł zatopionym w suchej szyi ghula wisiał zaśnieżony medalion z kilkoma cennymi kamieniami,

– *Doskonałe towary!* - bełkotał trup. - *Dobre garnki! Prosto z pieca!*

Najemnik nie wiedział, czy potwór ma pojęcie, co mówi, ale słowa istoty bardzo go przeraziły i jeszcze raz przypomniały mu, że to, co przed nim stoi, kiedyś było człowiekiem.

Kentril mocno uderzył lewą ręką, trafiając w pierś stwora. Jego pięść zatopiła się po kostki, gdyż suche ciało i stara kość pękły. W efekcie potwór tylko cofnął się parę kroków.

Kentril bez wahania kopnął stwora. Tym razem trafił w nogę, przewracając ghula. Istota nie była w stanie się zatrzymać i wyleciała poza krawędź.

Kapitan Dumon znów chwycił kryształ. Wyrwał go i spojrzał na wschód. Nadal ani śladu świtu. Teraz musiał go tylko zniszczyć.

Ale głos i twarz Atanny znów wypełniły jego pole widzenia, aż nie był w stanie stwierdzić, co jest prawdą, a co tylko iluzją.

Kentrilu, mój drogi Kentrilu... moja jedyna miłości... chodź do mnie... zapomnij o tym szaleństwie...

Atanna unosiła się przed nim w srebrnej, jedwabnej szacie, wyciągała do niego rękę i błagała go, Kentrilowi kobieta bardziej przypominała anioła niż fałszywy Mirakodus. Jakże zniewalająca była, jakże kusząca...

Zrobił krok w jej stronę.

Spadło na niego coś śmierdzącego otwartym grobem.

Kentril uderzył w zamarzniętą ziemię, a kryształ wypadł z jego ręki. Kapitan skrzywił się, gdy okrągłe usta kłapnęły w pobliżu jego twarzy, gdyż oddech ghula był bronią niemal równie zabójczą, co jego zęby.

Kentrilowi udało się unieść kolano i odepchnąć potwora. Wojownik sięgnął do klucza, ale przeciwnik chwycił go za ramię i odciągnął do tyłu. Kapitan z przerażeniem zauważył, że trzem innym stworom udało się wspiąć na górę i że teraz zbliżają się do niego.

Kentril nie był w stanie wyjąć miecza, ale udało mu się choć wyciągnąć sztylet. Ciął trzymającą go rękę, przecinając wysuszoną skórę i kości. Palce rozluźniły uchwyt na tyle, że udało mu się uwolnić. Kapitan opuścił sztylet, wyjął miecz i zaczął się ostrożnie cofać w stronę kamienia.

Większe ostrze wcale nie przerażało zebranych stworów. Zbliżały się do niego tak szybko, jak na to pozwalała śliska powierzchnia. Kentril pchnął najbliższego, potem szeroko ciął dwa pozostałe. Udało mu się jednego trafić, ale bez widocznych efektów.

W końcu dotarł do Klucza Światła. Odpychając przeklętych mieszkańców Ureh, kapitan podniósł go.

– Stać! - zawołał jak najgłośniej. Zimno i zmęczenie sprawiły, że nie było to zbyt głośno. - Stać albo go wyrzucę!

Stwory zatrzymały się.

Kentril miał je w szachu... ale na jak długo? Nie będą przecież czekać, aż wszędzie słońce i je zniszczy. Nawet teraz słyszał, jak inne stwory wspinają się na górę po zacienionych zboczach. Wystarczy chwila dekoncentracji i padnie ofiarą jednego z nich.

Nie zrobisz tego, gdyż za bardzo pragniesz żyć.

W jego głowie pojawiła się twarz, ale tym razem nie była to Atanna. Teraz z wnętrza czaszki patrzył na niego Juris Khan, widząc wszystko, co kapitan pragnął ukryć - że bardzo pragnął żyć, pragnął znaleźć wyjście z sytuacji bez wyjścia.

Kentrilu... dobry kapitanie... możesz żyć, żyć dobrze... możesz kochać, kochać dobrze... królestwo może należeć do ciebie...

Kapitan Dumon widział siebie jako dowódcę wspaniałej armii, w zbroi tak błyszczącej i majestatycznej jak ta należąca do archanioła lorda Khana. Widział, jak stoi przez radującymi się tłumami, dającymi wszystkim dobrą

nowinę Ureh. Kentril widział nawet, jak siedzi na tronie Juris Khana, z Atanną u boku i pięknymi dziećmi u stóp..,

Wówczas niemal boska postać Juris Khana pojawiła się przed nim, wydając się unosić z miasta tak daleko pod nim, i wypełniła sobą niebo. Olbrzymi władca, z łaskawym uśmiechem na królewskiej twarzy, wyciągnął wielką rękę do Kentrila, obiecując mu drogę ucieczki i wszystko to, co najemnik widział w swych marzeniach.

Odłóż klucz na miejsce i wróć do domu, mój drogi kapitanie... wróć do domu, synu...

Kentril czuł, jak jego wola słabnie, czuł się gotów do przyjęcia wszystkiego, co oferowała mu olbrzymia postać... nawet jeśli ta wspaniała oferta kryła w sobie prawdziwy koszmar.

Wówczas Kentril pomyślał o Zaylu, który z pewnością nie żył, skoro Juris Khan tu przybył. Pomyślał o Albordzie, Jodasie, Breku, Orlifie i reszcie oddziału, ofiarach potwornego zła, ku któremu ślepo poprowadził ich kapitan.

Przede wszystkim jednak przypomniał sobie Gorsta, który przed chwilą poświęcił swoje życie dla przyjaciela. Gorsta, który nie wahał się i zrobił to, co musiał.

Kapitan Kentril Dumon odrzucił miecz na bok, przycisnął artefakt do piersi... i zeskoczył z krawędzi.

Zamknął oczy, gdyż nie chciał widzieć zbliżających się skał. Wiatr uderzył go w twarz, w ciało, jakby chciał wyrwać Klucz Światła z jego uchwytu. Kentril wyobraził sobie, jak rozbija się o skały, jego ciało zmienia się w krwawą masę, a kryształ rozpada się.

Wówczas wiatr i uczucie spadania ustały.

Kapitan otworzył oczy i odkrył, że unosi się w powietrzu.

Nie... nie unosi się. Eteryczna dłoń Juris Khana trzymała go, a jego palce zaciskały się wokół niego. Wielka twarz patriarchy zdecydowanie nie wyglądała przyjaźnie.

Odlóż go, Kentrilu Dumonie... odlóż go natychmiast...

Wpatrując się w olbrzymią twarz, Kentril Dumon myślał, jak bardzo lord Khan przypomina teraz swojego złowrogiego archanioła. Szczególnie oczy miały w sobie demoniczny blask, a im bardziej Kentril się wpatrywał, tym bardziej twarz się zmieniała, tym mniej stawała się ludzka, a bardziej piekielna.

Odlóż go, a może będziesz żyć!

Mimo zmieniającej się twarzy Khana, mimo miażdżących go palców, Kentril nie chciał puścić klucza. Lepsza śmierć, lepiej połamać sobie wszystkie kości w zetknięciu z ziemią, niż pozwolić temu czemuś opanować świat.

Uniósł wysoko Klucz Światła i próbował go rzucić na miasto. Jego ręce nie mogły jednak wykonać końcowego ruchu, choć Kentril próbował ze wszystkich sił.

Twarz Juris Khana straciła wszelkie podobieństwa do twarzy ludzkiej. Teraz władca bardziej niż odrobinę przypominał plugastwo, jakim stali się jego ludzie. Skóra mu się skurczyła, a usta przybrały ohydny, wygłodzony kształt. Oczy płonęły wściekłością nie Niebios, lecz tego, co poniżej.

Odlóż klucz albo zerwę skórę z twego żalosego ciała, wyjmę jeszcze bijące serce i pożrę je na twoich oczach.

Kentril próbował nie słuchać, koncentrując się raczej na dokończeniu misji. Gdzie było to przeklęte słońce? Ile jeszcze czasu do wschodu?

Z trudem oddychał, nie mówiąc już o myśleniu. Część jego duszy błagała go o przyjęcie propozycji Khana, nawet jeśli nie mógł mu zaufać. Wszystko, byle dłużej nie cierpieć.

Nagle wszystko pociemniało. Z początku Kentril myślał, że traci przytomność, ale potem uświadomił sobie, że to zaklęcie Zayla przestaje działać. Dumon wciąż widział coraz bardziej potworną sylwetkę Khana, ale nic więcej. Ureh stało się ciemnym, niewyraźnym kształtem, a pobliskie góry cieniami. Na wschodzie pojawił się ślad szarości, ale poza tym...

Ślad szarości?

W chwili, gdy kapitan to sobie uświadomił, poczuł ciepło w dłoniach. Zmusił się do podniesienia wzroku i zauważył, że słaby blask Klucza Światła wzmógł się.

Gdy szybko wrócił do szarości daleko za królestwem cienia, miał pewność, że noc wreszcie się kończy.

Z nowym zdecydowaniem uniósł kryształ w stronę olbrzymiej, widmowej postaci. Ze wszystkich sił przeciwstawiając się kontroli Juris Khana, Kentril krzyknął - Ty go odłóż!

Rzucił klucz.

Wielka, widmowa dłoń wyciągnęła się w stronę artefaktu, ale gdy próbowała pochwycić kamień, ten zapłonął jasno niczym słońce. Klucz Światła przepalił eteryczną dłoń i poleciał w stronę miasta.

Juris Khan zaryczał z wściekłości i bólu.

Głupiec! - ryczał olbrzym w głowie Kentrila. *Skazona dusza! Będziesz...*

Nie doszedł dalej, gdyż w tej właśnie chwili świecący kryształ uderzył o coś.

Rozbił się, a z jego środka wypłynęło oślepiające światło, które rozlało się we wszystkie strony, jakby pragnęło wszystko objąć w płomiennym uścisku.

W okolicy zniszczonego artefaktu nagle wybuchł dzień. Ureh, góra Nymyr, otaczająca je dżungla... nic nie uniknęło wspaniałego blasku uwolnionego przy zniszczeniu dzieła Khana.

Fala czystego słonecznego światła dotknęła dziesiątek potworów, które znajdowały się na szczycie lub wspinały się po zboczach. Przeklęci mieszkańcy niegdyś świętego miasta, wrzeszcząc i jęcząc, topili się i płonęli na oczach przerażonego Kentrila. Ci, którzy jeszcze nie dotarli na szczyt, tuzinami spadali w stronę ziemi, zmieniając się w plamy ognia na zboczach Nymyru.

Gdy światło - budynek po budynku - oblewało Ureh, dotknięte przezeń budowle rozpadały się, zmieniając się w zniszczone, puste skorupy, które Kentril i jego towarzysze odkryli w momencie przybycia do miasta. Ściany zapadały się do środka, podobnie dachy. Setki lat wystawienia na działanie żywiołów przyniosły swoje efekty, ale tym razem wszystko odbyło się w ciągu kilku chwil.

Uszy Kentrila wypełniało wycie i krzyki przeklętych mieszkańców Ureh, dochodzące z każdej strony, grożąc doprowadzeniem go do szaleństwa. Wobec stworów, które zabiły jego przyjaciół, czuł właściwie tylko litość. Zostali zmienieni w potwory przez człowieka, któremu najbardziej ufali, a demony wykorzystały ich suche skorupy jako bramę do tego świata.

Może teraz znajdą wieczny odpoczynek.

Po chwili również Juris Khan zaczął się zmieniać, przekształcać. Kentril zaczął poruszać się w powietrzu - nie do końca spadał, ale też się nie unosił. Gdy pojawiły się pierwsze promienie słońca, zauważył ciemną postać i teraz patrzył, jak zepsuty władca królestwa się zmienia. Juris Khan coraz mniej był człowiekiem, a coraz bardziej bestią. Postać przypominająca mieszkańców miasta szybko znikła. Teraz władca ukazał zło swego wnętrza, zło, którym mógł być tylko Diabło.

Nad znikającym olbrzymem na chwilę uniosła się przerażająca postać z Piekła rodem i zaryczała z wściekłości na to, co zrobił Kentril. Z pokrytej łuskami czaszki, która zdawała się rozciągnięta na długość, spływała krew.

Dwa paskudne, również pokryte łuskami rogi unosiły się wysoko nad nietoperzowatymi uszami. Nad wąskimi otworami w miejscu nosa znajdowały się ukryte pod grubymi łukami brwiowymi oczy, które wpatrywały się w bezczelnego człowieka. Widoczne w nich nienawiść i zło doskonale pasowały do tego, co przerażony najemnik zauważył wcześniej w portrecie fałszywego archanioła Mirakodusa.

Diabło jeszcze raz ryknął z wściekłości... i znikł tak szybko, jak się pojawił.

Wizja Juris Khana zapadła się w sobie z jękiem bólu. Królewskie szaty pociemniały i podarły się. Resztki skóry stały się tak kruche, że odpadały w tysiącu kawałków. Lord Khan uniósł drugą dłoń do piersi, jakby był w stanie jakoś powstrzymać nieuniknione... i wtedy cały olbrzym zmienił się w stertę połamanych kości i szmat.

Zniknęły ostatnie resztki obrazu Khana.

Kentril odkrył, że znów spada.

Opadał coraz niżej, tak szybko, że ledwo mógł oddychać. Wzywały go ruiny niedawno jeszcze wskrzeszonego królestwa. Kentril zamknął oczy, modląc się, by koniec był szybki i w miarę bezbolesny.

Gdy przerażony wojownik już oczekiwał uderzenia, nagle znów się zatrzymał. Otworzył szeroko oczy. Jakieś sto stóp poniżej zauważył pozbawione dachu pozostałości jakiejś okrągłej budowli.

Zaledwie zdążył to zauważyć, zaczął znów opadać, ale tym razem powoli, niemal ostrożnie. Rozejrzał się, próbując odkryć, skąd ten cud.

Zauważył nadal ukryty w cieniu pałac Khana.

Światło kryształu jakimś sposobem nie dotarło jeszcze do wysokiej budowli, ale teraz pojawił się prawdziwy świt i pierwsze jego promienie zaczęły już pożerać resztki fałszywej ciemności. Kentril mógłby więcej nie

myśleć o zniszczeniu budowli, gdyby nie zauważył stojącej na krawędzi wielkiego balkonu postaci - postaci z długimi rudymi włosami.

Choć byli tak daleko od siebie, ich spojrzenia zetknęły się. W jej wzroku Kentril widział taką mieszankę emocji, że z zaskoczenia z początku nie domyślił się, iż to ona powoli go opuszcza. Dopiero gdy na jej poważnej twarzy pojawił się krótki, smutny uśmiech, zrozumiał w całej rozciągłości, co dla niego zrobiła.

Światło zaczęło oblewać pałac. Kentril poczuł, że opada szybciej, ale nie tak szybko, by groziło mu to śmiercią. Atanna przechyliła się przez balustradę i wyciągnęła rękę w jego stronę.

Choć Kentril wiedział, że córka Juris Khana nie chciała go dotknąć, nie mógł się powstrzymać i też wyciągnął dłoń w jej stronę. Atanna znów się do niego uśmiechnęła, tym razem dłużej...

Dotknęło jej słońce.

Gdy okryło całe jej ciało, Atanna po prostu się rozpułyła.

W tym momencie wspaniały pałac Juris Khana zapadł się w sobie i szybko zmienił się w pył i gruz. Samo wzgórze wydawało się zmniejszać.

Bez pomocy zaklęcia Atanny, Kentril Dumon zaczął spadać jak kamień.

DWADZIEŚCIA TRZY



Ciemność przebiły głosy.

– Może lepiej po prostu wskrześ go ze zmarłych, chłopcze, będzie prościej.

– On żyje... choć nie wiem, jak to możliwe.

Kentril chciał, żeby głosy odeszły, zostawiły go w wiecznym spokoju, ale one nie chciały.

– Spróbuję czegoś innego. Może to go obudzi.

Prychnięcie.

– Powinieneś wykorzystać tę moc, żeby siebie połączyć!

– Przeżyję...

Promyk światła przebił pustą ciemność, irytując najemnika. Kentril próbował zasłonić oczy, ale nagle poczuł przeszywający go ból.

– Poruszył się, Humbart! Zareagował!

– Cudom nie ma końca!

Światło stało się męczące, oślepiające. Płonęło w jego umyśle, zmuszając go, żeby na nie patrzył.

Kentril z jękiem otworzył oczy.

Przywitało go światło dnia, ale to nie ono było źródłem oślepiającego blasku. Był nim sztylet z kości słoniowej, trzymany w lewej dłoni przez nekromantę Zayla.

W jedynej dłoni, jaka pozostała nekromancie.

Drugie ramię Zayla kończyło się kikutem, przewiązanym tuż nad nadgarstkiem. Błady wyznawca Rathmy wydawał się jeszcze bledszy niż zwykle, za wyjątkiem czerwonych blizn na twarzy. Jego ubranie wisiało w strzępach, a on sam wyglądał, jakby nie spał od wielu dni.

– Witamy z powrotem, kapitanie - powiedział czarodziej tonem, który mógłby się wydawać niemal radosny.

– Patrzcie! Martwi powstają! - zaśmiał się Humbart Wessel. Czaszka leżała na kamieniu obok klęczącego Zayla.

– Zayl... - udało się wydyszeć Kentrilowi. Jego głos był suchy i poszarpany. - Ty... żyjesz...

Nekromanta pokiwał głową.

– Jesteś tak samo zdziwiony jak ja, kiedy znalazłem cię w ruinach Ureh. Jakim cudem znalazłeś się tu na dole, skoro wspiąłeś się na szczyt Nymyru, żeby powstrzymać Juris Khana?

Kentril zmusił się do odwrócenia w ich stronę. Gdy to zrobił, poczuł straszliwy ból w dole piersi i w lewym ramieniu.

– Ostrożnie, kapitanie. Miałeś połamane żebra i zwichnięty bark. Ulecę je bardziej, kiedy sam odzyskam siły, ale to zajmie, trochę czasu.

Kentril zignorował go i popatrzył na to, co pozostało po bajecznym Ureh. Teraz miasto wydawało się jeszcze bardziej zrujnowane, niż wtedy, gdy ujrzał je po raz pierwszy. Z zewnętrznego muru pozostały tylko fragmenty, zapadły się dachy większości budynków. Ureh nie przypominało już nawiedzonej legendy, lecz raczej kolejne starożytne miasto, pozostawione na pastwę czasu i żywiołów.

Z pałacu pozostały tylko kruszące się fundamenty.

– Powiedz mi, co się stało, kapitanie Dumonie - poprosił go nekromanta.
- Jeśli chcesz.

Ze wszystkich ludzi na świecie Zayl najbardziej zasługiwał na poznanie prawdy. Kentril przyjął od czarodzieja butelkę z wodą i opowiedział mu wszystko z tyloma szczegółami, ile zapamiętał, zaczynając od wspinaczki, przez pościg, poświęcenie Gorsta, aż po jego decyzję położenia kresu królestwu cienia nawet za cenę własnego życia. Gdy mówił o Atannie, poczuł ściskanie w gardle i wilgoć w oczach, ale mówił dalej, aż jego towarzysz wiedział wszystko.

Po zakończeniu Zayl mądrze pokiwał głową.

– Być może strzegł cię prawdziwy archanioł, kapitanie. Miałeś doskonałe wyczucie czasu, szczególnie jeśli chodzi o mnie. Jeszcze kilka chwil i demoniczne dzieci Khana rozdarłyby mnie na strzępy. Tylko nóż i trochę aktorstwa ze strony Humbarta tak długo utrzymały mnie przy życiu.

– Co on zrobił? - spytał Kentril, spoglądając na czaszkę.

– Udawałem, że jestem nim, ich panem i władcą, i kazałem im się zatrzymać, bo nekromanta jest potrzebny do jakiegoś zaklęcia. Coś takiego zrobiłem też z Khanem. Może po tym wszystkim powinienem zostać aktorem?

To sprawiło, że Zayl niemal się uśmiechnął.

– Ponieważ ani nasz dobry gospodarz, ani jego zepsuty lud go nie widzieli, w obu wypadkach kupiło mi to kilka cennych chwil. Mimo to horda całkiem szybko wyszła z osłupienia... - uniósł obwiązany kikut -...co widać.

– Już po wszystkim? Niebezpieczeństwo minęło?

– Tak. Ureh i jego mieszkańcy spoczęli w pokoju, a brama do piekieł została zamknięta. Nim cię odnalazłem, rozejrzałem się po okolicy w poszukiwaniu śladów zepsucia. Nic nie znalazłem.

Kentril spojrzał w niebo. Uznał, że właśnie minęło południe... ale którego dnia?

– Jak długo byłem nieprzytomny?

– Dwa i pół dnia. Znalazłem cię zaraz po zachodzie słońca pierwszego dnia i zrobiłem to, co mogłem.

Dwa i pół dnia... Walcząc z bólem, Kentril podniósł się do pozycji siedzącej.

– Co z moimi nogami, Zayl?

– Chyba nie są złamane, ale ty ocenisz to najlepiej.

Kentril sprawdził je i odkrył, że choć go bolą przy poruszaniu, będzie w stanie chodzić.

– Jeśli uda mi się wstać, chcę stąd odejść. Nie chcę pozostać w tych murach ani chwili dłużej.

Zayl skrzywił się.

– Może rozsądniej byłoby pozostać tu jeszcze dzień albo...

– Chcę odejść.

– Jak sobie życzysz. Rozumiem. - Nekromanta podniósł się z pewnym trudem. Włożył czaszkę do poszarpanej sakiewki u boku i pomógł najemnikowi.

Gdy Kentril wstał, coś uderzyło o ziemię przy jego stopach. Z ciekawości ostrożnie pochylił się i podniósł to.



Twarz Atanny patrzyła na niego z broszy.

– Co to? - spytał Zayl, gdyż nie mógł tego zobaczyć.

Kapitan szybko zacisnął palce na broszy.

– Nic. Nic takiego. Chodźmy.

Ruszyli w stronę bujnej dżungli. Gdy tak powoli szli, nekromanta poinformował Kentрила o swoich planach.

– Na dzisiejszą noc możemy wykorzystać wasz stary obóz, a jutro poprowadzę nas bezpiecznie do moich braci. Będą w stanie uleczyć nas obu, a wtedy ruszysz w swoją stronę.

– Obcy nie będzie niemile widziany?

Zayl zaśmiał się cicho.

– Nie taki, który stawiał czoła samemu Diabłu. Wszyscy będą chcieli usłyszeć tę historię.

Przeszli przez wyrwę w murze, pozostawiając za sobą Światło wśród światła. Kiedy jednak wyszli już poza dawny zasięg cienia, kapitan Dumon

zatrzymał Zayla.

– Daj mi chwilę, proszę – poprosił.

Kentril popatrzył w milczeniu na to, co stało się jednocześnie końcem snu i koszmaru. Wiatr wył wśród ruin zagubionego miasta, brzmiąc jak pieśń żałobna dla wszystkich, którzy tam zginęli.

– Przykro mi z powodu twoich przyjaciół - powiedział nekromanta bardzo łagodnie.

Kentril jednak myślał o nich mniej niż o kimś innym.

– Skończyło się. Najlepiej, by zostało zapomniane... na zawsze. Odwrócił się od miasta i ruszyli dalej. Gdy jednak szli, dłoń kapitana Dumona wsunęła się potajemnie do sakiewki... i wrzuciła do środka broszę.

Za jego plecami żywiły wróciły do swego zadania - powolnego, lecz nieuniknionego zacierania ostatnich śladów królestwa cienia.

KONIEC TOMU TRZECIEGO

Królestwo Cienia

GAZARA!

DEDYKACJA

KRÓLESTWO CIENIA

JEDEN

DWA

TRZY

CZTERY

PIĘĆ

SZEŚĆ

SIEDEM

OSIEM

DZIEWIĘĆ

DZIESIĘĆ

JEDENAŚCIE

DWANAŚCIE

TRZYNAŚCIE

CZTERNAŚCIE

PIĘTNAŚCIE

SZESNAŚCIE

SIEDEMNAŚCIE

OSIEMNAŚCIE

DZIEWIĘTNAŚCIE

DWADZIEŚCIA

DWADZIEŚCIA JEDEN

DWADZIEŚCIA DWA

DWADZIEŚCIA TRZY